

CHRIS WHITAKER

KONIEC JEST POCZĄTKIEM

*Doskonale napisana powieść.
Bohaterowie stworzeni
tak błyskotliwie, że wręcz
wyskakują ze stron. Wybitna!*

B.A. PARIS

W
ydawnictwo
ab
two

Chris Whitaker

KONIEC JEST POCZĄTKIEM

przełożyła Katarzyna Bażyńska-Chojnacka



Tytuł oryginału: *We Begin at the End*

Copyright © 2020 by Chris Whitaker

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXXIII

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Bażyńska-Choj-
nacka, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych -- jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Część pierwsza. Banitka

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

Część druga. Big Sky

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Część trzecia. Rekompensata

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

Część czwarta. Złodziejka serc

46

47

48

49.

Podziękowania

Przypisy.

Strona redakcyjna

Dla mojej małej banitki

Widzisz coś i podnosisz rękę.

Nieważne, czy to bibułka od papierosa, czy puszką po napoju.

Widzisz coś i podnosisz rękę.

Ale niczego nie dotykaj.

Po prostu podnieś rękę.

Mieszkańcy stali w gotowości, po kostki w wodzie. Ruszyli tyralierą, dwadzieścia kroków od siebie, sto par oczu wbitych w ziemię, ale mimo to jednym rytmem, jak w potępieńczym układzie tanecznym.

W tle opustoszałe miasto, echo długiego, nieskazitelno lata zbrukanego nowiną.

Nazywała się Sissy Radley. Lat siedem. Jasne włosy. Wszyscy ją znali. Komendant Dubois nie musiał rozdawać zdjęć.

Walk szedł na skraju. Piętnastoletni i nieustraszony, kolana drżały mu przy każdym kroku.

Maszerowali przez las jak armia, policjanci z przodu, przesuujące się światła latarek, za drzewami był ocean, daleko w dole, ale dziewczynka nie umiała pływać.

Obok Walka -- Martha May. Chodzili ze sobą od trzech miesięcy, pierwsza baza zdobyta, jej ojciec był pastorem w kościele episkopalnym w Little Brook.

-- I co, dalej chcesz być gliną? -- Zerknęła na niego.

Walk wpatrywał się w Dubois, z opuszczoną głową, w jego rękach ostatnia nadzieja.

-- Widziałam Star -- ciągnęła Martha. -- Na przodzie, z ojcem. Płakała.

Star Radley, siostra zaginionej. Najlepsza przyjaciółka Marthy. Stanowili zgraną paczkę. Tylko jedno z nich było teraz nieobecne.

-- Gdzie Vincent? -- spytała.

-- Chyba z drugiej strony.

Walk i Vincent byli prawie jak bracia. Gdy mieli po dziewięć lat, nacnęli sobie wnętrza dłoni, przycisnęli do siebie i złożyli przysięgę bezwarunkowej lojalności.

Dalej już nie rozmawiali, po prostu patrzyli pod nogi, minęli Sunset Road, minęli drzewo życzeń, trampki Chucka Taylora rozgarniały liście. Walk maksymalnie skupiał uwagę, ale mimo wszystko prawie to przegapił.

Dziesięć kroków od Cabrillo, drogi stanowej numer jeden, sześćset mil wzdłuż kalifornijskiego wybrzeża. Stanął jak wryty, podniósł wzrok i zobaczył, że tyraliera posuwa się naprzód bez niego.

Przykucnął.

But był mały. Z czerwonej i białej skóry. Ze złotym zapięciem.

W tej samej chwili na autostradzie zwolniło auto, światła reflektorów omiotły zakręt, a potem padły na niego.

I wtedy ją zobaczył.

Nabrał powietrza i podniósł rękę.

Część pierwsza. Banitka

Walk stał z boku rozgorączkowanego tłumu. Niektórych znał, odkąd się urodził, innych od chwili, kiedy to oni się urodzili.

Urlopowicze z aparatami, oparzeniami słonecznymi i zrelaksowanymi uśmiechami, nieświadomi, że woda jest silniejsza niż drewno.

Lokalne media czekały w gotowości.

-- Można na słówko, komendancie Walker? -- zapytała dziennikarka radiostacji KCNR.

Uśmiechnął się, wbił ręce głęboko w kieszenie i patrzył, którą najlepiej się przebić, podczas gdy zgromadzeni ludzie dławili okrzyki ekscytacji.

Kiedy dach się załamał i runął do wody, rozległy się pojedyncze okrzyki. Kawalek po kawałku fundament kruszył się i rozpadał, jakby przytulny dom był już tylko zwykłym budynkiem. Dom Fairlawnów, który Walk pamiętał od zawsze, w czasach jego dzieciństwa stał jakąś milę czy dwie od oceanu. Otoczony taśmą w zeszłym roku, odkąd woda podmyła klif; od tamtej pory przyjeżdżali tu ludzie z California Wild, mierzyli i szacowali.

Ruch kamer i nieprzyzwoite podekscytowanie, kiedy posypały się dachówki, ale frontowy ganek trzymał się twardo. Rzeźnik Milton przyklęknął na jedno kolano i uwiecznił symboliczną chwilę, w której maszt się przechylił, a flaga załopotała na wietrze.

Młodszy Tallow podszedł za blisko. Matka odciągnęła go za kołnierz tak gwałtownie, że upadł na tyłek.

W tle słońce zapadało się wraz z budynkiem, przecinając wodę pomarańczowymi i fioletowymi smugami oraz cieniami o nieokreślonej

barwie. Dziennikarka dostała swoją zdobycz: historię tak błahą, że prawie bez znaczenia.

Walk rozejrzał się i zobaczył Dickiego Darke'a, który beznamiętnie obserwował scenę. Stał tam jak gigant, prawie siedem stóp¹ wzrostu. Gość od nieruchomości, właściciel kilku domów w Cape Haven i klubu przy Cabrillo, nory, gdzie niegodziwość kosztowała dziesięć dolców i spory kawał przyzwoitości.

Stali tak jeszcze godzinę. Walka rozboleła nogi, zanim ganek wreszcie się poddał. Gapie z trudem powstrzymywali się od owacji, po czym się odwrócili i zaczęli rozchodzić, na grille i piwo, ku ogniskom, których rozchwiane płomienie przyświecały Walkowi podczas wieczornego patrolu. Pełgały po kamiennych płytach, wzdłuż linii szarego muru ułożonego na sucho, ale trzymającego się mocno. Za nim znajdowało się drzewo życzeń, wielki dąb, tak rozłożysty, że trzeba było ustawić mu podpórki pod gałęziami. Stare Cape Haven robiło wszystko, żeby pomóc mu przetrwać.

Kiedyś Walk wspinał się na to drzewo z Vincentem Kingiem, na tyle dawno temu, by niemal przestało się liczyć. Położył drżącą dłoń na broni, drugą zahaczył o pas. Nosił krawat, sztywny kołnierzyk, jego buty lśniły. Kiedy przyjął stanowisko, część mieszkańców była wniebowzięta, część żałowała. Walker, kapitan statku, który tkwił w swoich przyzwyczajeniach.

Zobaczył dziewczynkę przedzierającą się przez tłum w jego stronę. Trzymała za rękę młodszego brata, który z trudem za nią nadążał.

Duchess i Robin, dzieciaki Radley.

Podbiegł w ich stronę, ponieważ wiedział o nich wszystko, co powinien wiedzieć.

Chłopczyk miał pięć lat i bezgłośnie płakał, dziewczynka właśnie skończyła trzynaście i nie płakała nigdy.

-- Wasza matka -- powiedział. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie tak tragicznego faktu, że dziewczynka nawet nie kiwnęła głową, po prostu się odwróciła i ruszyła przodem.

Szli w zmierzchu ulicami, pośród sennych parkanów i migających lampek. W górze wschodził Księżyc, kpiący przewodnik, jak zawsze od trzydziestu lat. Mijali wielkie domy; szkło i stal walczyły z naturą, przerażliwie piękną.

W dół Genesee, gdzie Walk nadal mieszkał w starym domu rodziców. Następnie w Ivy Ranch Road, gdzie w polu widzenia pojawił się dom Radleyów. Okiennice ze złuszczoną farbą, przewrócony rower, leżące za nim koło. W Cape Haven każdy odcień poniżej ideału równie dobrze mógł być czarny.

Walk zostawił dzieci w tyle i pobiegł ścieżką; w środku nie paliło się światło, ale migał ekran telewizora. Spojrzał za siebie i zobaczył wciąż płaczącego Robina oraz Duchess z jej twardym i zawziętym spojrzeniem.

Znalazł Star na kanapie, z butelką u boku, tym razem bez żadnych leków, w jednym bucie, z drugą stopą gołą: drobne palce, paznokcie pomalowane.

-- Star. -- Przyklęknął i poklepał ją po policzku. -- Star, proszę, obudź się, no już.

Mówił spokojnie, ponieważ dzieci stały w drzwiach. Duchess obejmowała brata ramieniem, a on wtulał się w nią tak mocno, jakby w małym ciałku w ogóle nie miał kości.

Kazał dziewczynce zadzwonić pod dziewięćset jedenaście.

-- Już dzwoniłam.

Uniósł kciukami powieki Star i zobaczył tylko białka.

-- Nic jej nie będzie? -- usłyszał głos chłopca.

Walk rozejrzał się z nadzieją na przyjazd karetki, zmrużył oczy, patrząc na rozplamione niebo.

-- Wyjrzycie, czy jadą?

Duchess zrozumiała i zabrała Robina na zewnątrz.

Wtedy Star drgnęła, zwymiotowała i zaczęła się trząść, jakby Bóg i śmierć chwycili jej duszę i ciągnęli każde w swoją stronę. Walk czekał; od śmierci Sissy Radley i Vincenta Kinga minęło trzydzieści lat, ale Star nadal bełkotała o eternalizmie, kolizji przeszłości z teraźniejszością, sile obracającej przyszłością zawsze w niewłaściwym kierunku.

Duchess pojechała z matką. Walk zabrał Robina.

Patrzyła, jak ratownik robi swoje. Nie próbował się uśmiechać i czuła za to wdzięczność. Był łysy, spocony i zapewne zmęczony ocalaniem tych, którzy z taką determinacją próbują umrzeć.

Przez chwilę stali przed domem, drzwi otwarte dla Walka, jak zwykle; trzymał rękę na ramieniu Robina. Robin tego potrzebował -- pocieszenia od dorosłego, poczucia bezpieczeństwa.

Po drugiej stronie ulicy falowały zasłony, poruszane cieniem milczącego osądu. A potem zobaczyła na końcu drogi dzieciaki ze swojej szkoły, na rowerach, ostro pedałuujące, z czerwonymi twarzami. W miasteczku, gdzie najczęściej na pierwsze strony gazet trafiają plany zagospodarowania przestrzennego, wieści rozchodzą się bardzo szybko.

Dwaj chłopcy zatrzymali się obok radiowozu i rzucili rowery. Wyższy, zasapany, przyklepał rozwiane włosy, gdy podchodził powoli do karetki.

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

-- Umarła?

Duchess uniosła podbródek, spojrzała mu prosto w oczy i wytrzymała spojrzenie.

-- Spierdalaj.

Silnik zawarczał, gdy drzwi się zasunęły. Przydymione szyby sprawiły, że świat stał się matowy.

Samochody rozjeżdżały się zygzakiem, gdy mknęli w dół wzgórza; za sobą mieli Pacyfik, ze skałami wystającymi nad wodę jak głowy tonących.

Patrzyła na swoją ulicę aż do końca, aż drzewa się zbiegły i połączyły na Pensacola, z gałęziami wyciągniętymi jak ręce złożone do modlitwy za dziewczynkę i jej brata, za rozgrywającą się tragedię, która zaczęła się na długo przed tym, zanim oboje się urodzili.

Noc zlała się z innymi, podobnymi, każda wchłaniała Duchess tak kompletnie, że wydawało jej się, że już nigdy nie ujrzy dnia, nie w taki sposób jak inne dzieci. Szpital znajdował się w Vancour Hill i Duchess знаła go aż za dobrze. Kiedy zabrali matkę, stała na błyszczącej podłodze, lekko odbijającej światło, jednym okiem zezując na drzwi, aż Walk wprowadził do środka Robina. Podeszła i wzięła brata za rękę, po czym poprowadziła go do windy, skąd pojechali na piętro. Pokój rodzinny, przyciemnione światła, zestawiała razem dwa krzesła. Naprzeciwko znajdował się magazynek, więc Duchess sama pobrała miękkie koce i zrobiła legowisko. Robin stał skrępowany, kiwał się ze zmęczenia, pod oczami rysowały mu się ciemne kręgi.

-- Chcesz siusiu?

Kiwnięcie.

Zaprowadziła go do łazienki, poczekała chwilę, potem patrzyła, jak myje ręce. Znalazła pastę do zębów, wycisnęła trochę na palec i przeje-

chała mu parę razy po zębach i dziąsłach. Wypluł, a ona przetarła mu usta.

Pomogła bratu zdjąć buty i wejść nad oparciami krzesel na posłanie, gdzie ułożył się jak małe zwierzątko, kiedy go przykrywała.

Oczy miał szeroko otwarte.

-- Nie zostawiaj mnie.

-- Nigdy.

-- Mama wyzdrowieje?

-- Tak.

Wyłączyła telewizor; pokój pogrążył się w ciemności, oświetlenie awaryjne spowilo ich czerwienią na tyle łagodną, że chłopiec zasnął, zanim dotarła do drzwi.

Stała w szpitalnym świetle, plecami do wyjścia; nie wpuści nikogo do środka, na trzecim piętrze jest drugi pokój rodzinny. Po godzinie wrócił Walk i ziewnął, jakby miał powód. Duchess wiedziała, na czym upływają jego dni, że jeździ autostradą Cabrillo, długimi milami doskonałości daleko od Cape Haven, gdzie każde spojrzenie chwytalo tak rajskie widoki, że ludzie przemierzali cały kraj, by je znaleźć, kupować domy, a następnie porzucać na dziesięć miesięcy w roku.

-- Śpi?

Skinęła głową.

-- Byłem u twojej matki. Wszystko będzie dobrze.

Znów kiwnięcie.

-- Możesz iść i wziąć sobie coś do picia w puszcze, automat jest obok...

-- Wiem.

Rzut oka w głąb pokoju, gdzie brat spał głęboko; nie ruszy się, dopóki ona go nie obudzi.

Walk wyjął banknot dolarowy, wzięła go niechętnie.

Poszła korytarzami, kupiła sobie napój, ale go nie wypila. Będzie dla Robina, kiedy wstanie. Zajrzała do boksów: dźwięki narodzin, łez i życia. Dostrzegała ciała ludzi przypominające skorupy, tak puste w środku, że wiedziała, iż żaden z nich już nie wyzdrowieje. Policjanci przyprowadzili mężczyzn z wytatuowanymi ramionami i zakrwawionymi twarzami. Poczula alkohol, wybielacz, wymiociny i gówno.

Minęła pielęgniarkę, otrzymała uśmiech, bo większość z nich wiedziała ją już wcześniej, jednego z tych dzieciaków, którym los rozdał przegrane karty.

Kiedy wróciła, zobaczyła, że Walk ustawił dwa krzesła przed drzwiami. Zajrzała do brata i usiadła.

Walk podał jej gumę, ale potrząsnęła głową.

Wiedziała, że facet chce porozmawiać, pieprzyć o zmianie, o zawirowaniach na drodze, o tym, że wszystko będzie inaczej.

-- Nie zadzwoniłeś.

Patrzył na nią uważnie.

-- Do opieki społecznej. Nie zadzwoniłeś.

-- Powinienem był.

Powiedział to smutno, jakby zawiódł ją lub odznakę, nie wiedziała które.

-- Ale nie zadzwonisz.

-- Nie zadzwonię.

Brzuch opinała mu jasnobrązowa koszula. Miał pucołowate, zaczerwienione policzki chłopaka, któremu pobłażliwi rodzice nigdy nie powiedzieli "nie". I twarz tak szczerą, że Duchess nie potrafiła sobie obrazić, by umiał dochować sekretu. Star mówiła, że jest uosobieniem dobra, i właśnie w tym tkwił problem.

-- Powinnaś się przespać.

Siedzieli tak, aż gwiazdy usunęły się przed blaskiem świtu, księżyc zapomniał, gdzie jego miejsce, i trwał jak skaza na nowym dniu, przypomnienie tego, co odeszło. Naprzeciwko było okno. Duchess stanęła przy szybie i przycisnęła głowę do drzew i tracącej swoją dzikość przyrody. Śpiew ptaków. Daleko w tle zobaczyła wodę, punkciki trawlerów przecinających fale.

Walk chrząknął.

-- Twoja matka... był pewien mężczyzna...

-- Zawsze jest mężczyzna. Cokolwiek się spierdoli na tym świecie, zawsze jest mężczyzna.

-- Darke?

Wyprostowała się.

-- Nie powiesz mi? -- spytał.

-- Jestem banitką.

-- No tak.

Nosiła kokardę we włosach i często ją tarłosiła. Była zbyt chuda, zbyt blada, zbyt piękna, tak jak jej matka.

-- Obok właśnie urodziło się dziecko. -- Walk zmienił temat.

-- Jak mu dali na imię?

-- Nie wiem.

-- Stawiam pięćdziesiąt dolców, że nie Duchess.

Zaśmiał się cicho.

-- Egzotyka łamana przez rzadkość. Wiesz, że miałaś być Emily.

-- "Srogich by trzeba Nawałnic"[2](#).

-- Tak.

-- Ciągle to czyta Robinowi. -- Duchess usiadła, założyła nogę na nogę, pomasowała sobie mięśnie; miała za luźne i zniszczone trampki.

-- Czy ta nawałnica przeminie, Walk?

Łyknął kawy, jakby szukał niemożliwej do znalezienia odpowiedzi na to pytanie.

-- Mnie się podoba imię Duchess.

-- To pobądź przez chwilę Duchess. Gdybym była chłopcem, pewnie bym się nazywała Sue. -- Odchyliła głowę do tyłu i patrzyła na migające paski. -- Ona chce umrzeć.

-- Nie chce. Nie możesz tak myśleć.

-- Nie mogę się zdecydować, czy samobójstwo jest czynem najbardziej samolubnym czy bezinteresownym.

O szóstej pielęgniarka ją przywiozła.

Wyglądała jak cień człowieka, matkę przypominała jeszcze mniej.

-- Duchess z Cape Haven. -- Star uśmiechnęła się, ale bardzo słabo.

-- Wszystko jest dobrze.

Duchess patrzyła na nią, wtedy Star się rozplakała, a dziewczynka przeszła przez pokój, przycisnęła policzek do piersi matki i zastanawiała się, jak to jest, że jej serce ciągle bije.

Leżały tak razem pośród świtu; nowy dzień, ale bez promyka obietnicy, ponieważ Duchess wiedziała, że obietnica to kłamstwo.

-- Kocham cię. Przykro mi.

Istniało wiele słów, którymi Duchess mogła na to odpowiedzieć, ale w tamtej chwili nie znalazła w sobie niczego więcej niż te, których użyła.

-- Też cię kocham. Wiem.

Za szczytem wzgórza ziemia opadała.

Słońce wspinało się po modrym niebie, gdy Duchess siedziała z bratem na tylnym siedzeniu radiowozu i ścisnęła go za małą rączkę.

Walk zwolnił na ich ulicy, zajechał przed stary dom, a potem wszedł za nimi do środka. Próbował zorganizować śniadanie, ale znalazł szafki tak kompletnie puste, że zostawił ich i pobiegł do Rosie's Diner, po czym wrócił z pankejkami i uśmiechnął się, kiedy Robin zjadł trzy.

Gdy Duchess umyła chłopcu twarz i przebrała go, wyszła przed dom i zastała Walka siedzącego na schodku. Patrzyła, jak Cape skromnie budzi się do życia: przejechał listonosz, z domu obok wyszedł Brandon Rock i zaczął podlewać trawnik. To, że żaden z nich nie zwrócił najmniejszej uwagi na radiowóz zaparkowany przed domem Radleyów, zasmuciło i jednocześnie ucieszyło Duchess.

-- Podwieźć cię?

-- Nie.

Usiadła obok niego i zawiązała but.

-- Mogę pojechać po twoją mamę.

-- Powiedziała, że zadzwoni do Darke'a.

Duchess nie wiedziała, jaki jest naprawdę charakter przyjaźni matki z komendantem Walkerem, chociaż domyślała się, że chciałby ją pieprzyć, tak jak wszyscy inni mężczyźni w miasteczku.

Popatrzyła na ich zmaltretowany ogródek. Latem zeszłego roku zabrały się z matką do sadzenia roślin. Robin przyniósł małą konewkę i polewał ziemię, a jego policzki przy każdym kursie stawały się coraz bardziej czerwone. Porcelanki niebieskie, kloniki i pruszniki.

Uschły z zaniedbania.

-- Powiedziała, o co chodziło? -- spytał delikatnie Walk. -- Wczoraj wieczorem. Wiesz dlaczego?

Był to ten rodzaj okrutnego pytania, do którego nie przywykła akurat z jego strony, ponieważ w większości przypadków nie było ku temu powodu. Ale tym razem wiedziała, dlaczego pyta, wiedziała o Vincencie Kingu, o cioci Sissy, która leżała pochowana na cmentarzu tuż przy kłifie. Każdy znał jej grób za wyblakłym od słońca parkanem, wśród dzieci, którym się nie udało, dzieci uśmierconych przez tego samego Boga, do którego modlili się ich rodzice.

-- Nie, nic nie powiedziała.

Za sobą usłyszeli Robina. Duchess wstała, poprawiła mu włosy, poślinionym palcem starła pastę do zębów z policzka, a potem sprawdziła szkolny plecak, czy ma czytanekę i ćwiczenia, i butelkę z wodą.

Poprawiła mu paski na ramionach; brat się uśmiechnął, ona odpowiedziała uśmiechem.

Stali tak razem i patrzyli na radiowóz toczący się długą ulicą, po czym Duchess otoczyła Robina ramieniem i ruszyli przed siebie.

Sąsiad zakręcił wąż i podszedł na skraj ogródka, z całych sił próbując zminimalizować utykanie. Brandon Rock. Barczysty, opalony. Kolczyk w uchu, rozwichrzone włosy, jedwabny szlafrok. Czasem siedział w garażu z otwartymi drzwiami i puszczał metal na cały regulator.

-- Znowu matka? Powinno się zadzwonić do opieki społecznej.

Głos Brandona brzmiał tak, jakby ktoś kiedyś złamał mu nos, a on nigdy nie zadbał o jego nastawienie. W ręce trzymał ciężarek i wywijał nim w tę i w tę. Prawą rękę miał wyraźnie bardziej umięśnioną niż lewą.

Duchess odwróciła się do niego.

Powiał wiatr, rozchylił mu szlafrok.

Zmarszczyła nos.

-- Obnażanie się przed dzieckiem. Powinnam wezwać gliny.

Brandon gapił się, gdy Robin pociągnął ją dalej.

-- Widziałaś, że Walkowi trzęsły się ręce? -- spytał chłopiec.

-- Zawsze ma trudne poranki.

-- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, ale wiedziała. Walk i jego matka, wspólne problemy i ten sam sposób, w jaki sobie z nimi radzili.

-- Mama coś mówiła? Wczoraj wieczorem, kiedy byłam w swoim pokoju? -- Odrabiała lekcje, opracowywała swoje drzewo genealogiczne, kiedy Robin załomotał do drzwi i powiedział, że mama znów źle się czuje.

-- Wyjęła zdjęcia. Te stare, z Sissy i dziadkiem.

Robin podchwycił pomysł z dziadkiem, kiedy pierwszy raz zobaczył wysokiego mężczyznę na zdjęciach matki. To, że nigdy go nie poznał, że Star nigdy o nim nie opowiadała, nie miało większego znaczenia. Robin potrzebował ludzi, poduszki bezpieczeństwa w postaci pustych imion, która chroniła go przed poczuciem bezbronności. Tęsknił za kuzynami i wujkami, niedzielną grą w piłkę, grillem, tak jak u innych dzieciaków z grupy.

-- Wiesz o Vincencie Kingu?

Duchess wzięła go za rękę, kiedy przechodzili przez Fisher.

-- A co? Co o nim wiesz?

-- Że zabił ciocię Sissy. Trzydzieści lat temu. W latach siedemdziesiątych, kiedy faceci nosili wąsy, a mama śmieszoną fryzurę.

-- Sissy nie była naszą ciocią, znaczy nie taką prawdziwą.

-- Była -- odpowiedział po prostu. -- Wyglądała jak ty i mama. Tak samo.

Duchess na przestrzeni lat poskładała sobie tę historię z tego, czego się dowiedziała od mamroczącej Star i z archiwów biblioteki w Salinas. Tej samej biblioteki, w której spędziła całą wiosnę, szukając materiałów do drzewa genealogicznego. Prześledziła korzenie Radleyów daleko wstecz, potem aż upuściła książkę na podłogę, kiedy odkryła powiązania z poszukiwanym banitą, Billym Blue Radleyem. Był to ten rodzaj znaleźiska, po którym czuje się dumę, a nawet coś więcej, na myśl, że wyjdzie się na środek i zaprezentuje je klasie. Po stronie ojca nadal miała wielkie nic, jeden wielki znak zapytania, który wywoływał gniew matki na samo wspomnienie. Star nie raz, lecz dwukrotnie była z nieznanym, zaszła w ciążę i zostawiła dwoje dzieci na całe życie w niewiedzy, czyja krew płynie w ich żyłach. "Dziwka", szepnęła pod nosem. Dostała szlaban na miesiąc.

-- Wiesz, że on dziś wychodzi z więzienia? -- Robin mówił szeptem, jakby zdradzał jej wielki sekret.

-- Kto ci powiedział?

-- Ricky Tallow.

Matka Ricky'ego Tallowa pracowała w dyspozytorni wydziału policji w Cape Haven.

-- Co jeszcze powiedział Ricky?

Robin uciekł spojrzeniem.

-- Robin?

Ugiął się szybko.

-- Że powinien za to trafić na krzesło. Ale potem panna Dolores na niego nakrzyczała.

-- Powinien za to trafić na krzesło. Rozumiesz, co to znaczy?

-- Nie.

Duchess wzięła go za rękę i przeszli na Virginia Avenue, gdzie działki były nieco większe. Miasteczko Cape Haven prężyło się w stronę wody, wartość ziemi była odwrotnie proporcjonalna do odległości od wzgórz; Duchess знаła swoje miejsce -- ich dom stał przy najbardziej oddalonej od oceanu uliczce.

Wmieszali się w grupę dzieciaków. Duchess usłyszała, że mówią o aniołach i pracy domowej.

Kiedy doszli do bramy, potargała mu jeszcze raz włosy i sprawdziła, czy ma dobrze zapiętą koszulę.

Przedszkole znajdowało się przy Hilltop Middle. Duchess spędzała swoją przerwę za ogrodzeniem, obserwując brata. Machał do niej i uśmiechał się, a ona jadła kanapkę i patrzyła na niego.

-- Bądź grzeczny.

-- Dobra.

-- Nie rozmawiaj o mamie.

Uściskała go, pocałowała w policzek i wysłała do wejścia, pilnując, by został przejęty przez pannę Dolores. Potem ruszyła dalej; na chodniku tłoczyły się dzieci.

Duchess stąpała ze spuszczoną głową po schodach, gdzie zebrała się już grupa: Nate Dorman z kumplami.

Nate, postawiony kołnierz, rękawy zawinięte nad chude bicepsy.

-- Słyszałem, że twoja mama znowu się najebała.

Chóralny śmiech.

Stała prosto przed nim.

Patrzył na nią.

-- No co?

Odpowiedziała mu spojrzeniem.

-- Jestem banitką, Duchess Day Radley, a ty jesteś tchórzem, Dorman.

-- Odbiło ci.

Zrobiła krok w jego stronę i obserwowała, jak przełyka ślinę.

-- Jeszcze jedno słowo na temat mojej rodziny i urwę ci łeb przy samej dupie, chuju jebany.

Próbował się zaśmiać, ale nie do końca mu wyszło. Krążyły o niej różne plotki. Pomimo ładnej buzi i szczupłej sylwetki potrafiła oddać, wściec się tak, że nawet koledzy by mu nie pomogli.

Przepchnęła się naprzód, usłyszała za plecami, jak tamten ciężko wydycha powietrze, i weszła do szkoły z oczami zaczerwienionymi po kolejnej nocy pełnej udręki.

Podmyte klify ciągnęły się zakosami przez prawie milę, zanim droga odbijała od zatoki i znikła między wysokimi dębami Clearwater Cove. Walk jechał przepisowo, nigdy nie przekraczał trzydziestki.

Zostawił Duchess i Robina i pojechał do domu Kinga; odgarnął liście ze ścieżki i pozbiierał śmieci. Robił to od trzydziestu lat, zgodnie z wypracowaną rutyną.

Na posterunku zgłosił się do Leah Tallow w dyżurce; byli tylko oni dwoje, Walk na służbie każdego dnia przez całe swoje życie. Obserwował przez okno, jak zmieniają się pory roku, turyści przyjeżdżają i odjeżdżają. Zostawały kosze piknikowe. Wino, ser i czekolada, które widziały, jak rok w rok poszerzał pasek o jedną dziurkę.

Mieli jeszcze pomocnicę, Valerię, która przychodziła w razie potrzeby: parady, pokazy albo kiedy jej się znudziło oporządzanie ogródka.

-- Gotowy na dziś? Na powrót Kinga?

-- Jestem gotowy od trzydziestu lat. -- Próbował odpowiedzieć jej uśmiechem. -- Wychodzę, kupię po drodze jakieś ciastka.

Ruszył Main, jak zwykle rano, wypracowanym krokiem, który podpatrzył u policjantów w telewizji. Próbował zapuścić wąsy jak Magnum, robił notatki przy oglądaniu *Akt zbrodni*, kupił nawet beżowy płaszcz. Kiedy pojawi się prawdziwa sprawa, będzie jak znalazł.

Flagi wisiały na latarniach, błyszczące SUV-y parkowały zderzak w zderzak, a zielone markizy zaciaśniały nieskazitelnie czysty chodnik. Zobaczył nieprawidłowo zaparkowanego mercedesa Pattersonów; nie spał go, może kiedy spotka przy następnej okazji Curtisa, to przyjacielisko go pouczy. Przyśpieszył przy rzeźniku, ale Milton szybko wyszedł, a

potem stanął na schodku. Biel spryskana czerwienią, ściereczka w ręce, jakby próbował zetrzeć plamy z rąk.

-- Dobry, Walk.

Milton był mocno owłosiony. Gęste kędziory wyrastały mu z każdego miejsca na skórze; był tym typem mężczyzny, który trzy razy dziennie musi się golić aż po linię oczu, żeby przejeżdżający obok pracownik zoo nie strzelił do niego środkiem usypiającym.

W oknie zawieszony jeleni, tak świeży, że pewnie jeszcze wczoraj ryczał w Mendocino. Milton polował, w sezonie zamykał sklep, przywdziewał czapkę uszanke, pakował do jeepa strzelby, płachty i lodówkę z piwem. Walk pojechał z nim raz -- nie mógł znaleźć wystarczającej wymówki.

-- Gadałeś już z Brandonem Rockiem? -- Milton wypluł to nazwisko z wysiłkiem, jakby się krztusił.

-- Jest na mojej liście.

Brandon Rock miał mustanga, który przy próbie odpalenia robił coś takiego, że za pierwszym razem cała ulica zadzwoniła na policję. Potem stało się to zwyczajnie uciążliwe.

-- Słyszałem o niej. O Star. Znowu.

Milton otarł pot z głowy zakrwawioną ściereką. Krążyły plotki, że jada wyłącznie mięso, i zbierał tego żniwo.

-- Nic jej nie jest. Zachorowała, tym razem zachorowała.

-- Widziałem wszystko. Wstyd jak cholera... z tymi dziećmiakami.

Mieszkał naprzeciwko Star. Życzliwie interesował się nią i dziećmi, co mówiło więcej o jego samotnym życiu niż kurcząca się grupa straży sąsiedzkiej, którą kierował.

-- Zawsze wszystko widzisz, Milton. Może trzeba było zostać gliną.

Milton machnął ręką.

-- Mam dość roboty ze strażą. Dziesięć-pięćdziesiąt jeden zeszłej nocy.

-- Pomoc drogowa.

Milton używał policyjnych kodów swobodnie i zawsze niepoprawnie.

-- Ma szczęście, że o nią dbasz. -- Wyjął z kieszeni nic dentystyczną i zaczął wygrzebywać kawałek mięsa wciśnięty między przednie zęby. -- Przypomniało mi się o Vincencie Kingu. To dziś? Ludzie mówią, że dziś.

-- Tak. -- Walk schylił się, podniósł puszkę po napoju i wrzucił ją do kosza. Słońce grzało go w kark.

Milton gwizdnął.

-- Trzydzieści lat, Walk.

Mogło być dziesięć, w najgorszym razie dziesięć, gdyby nie bójka w więzieniu. Walk nie dostał nawet pełnego raportu, po prostu wiedział, że przyjaciel z dzieciństwa doprowadził do śmierci dwóch osób. Dziesięć lat zmieniło się w trzydzieści, nieumyślne spowodowanie śmierci - w morderstwo, a chłopiec stał się mężczyzną.

-- Ciągle myślę o tamtym dniu. Jak idziemy przez las. No nic, King wraca do Cape?

-- Z tego, co wiem, to tak.

-- Możesz go do mnie przysłać, gdyby czegoś potrzebował. A właściwie, wiesz co, Walk... Może odłożę mu parę nóżek. Co myślisz?

Walk szukał właściwych słów.

-- No tak. -- Milton chrząknął i wbił wzrok w ziemię. -- Dziś mamy... superksiężyc. Będzie niezły widok, a ja mam nowego celestrona. Zaczy muszę jeszcze wszystko poustawiać, ale gdybyś chciał wpaść...

-- Mam plany. Innym razem?

-- Jasne. Ale podjedź po zmianie, dam ci karkówkę. -- Wskazał głową jelenia.

-- O Boże, proszę, nie. -- Walk cofnął się o krok i poklepał po brzuchu. -- Muszę zrzucić parę...

-- Daj spokój, to samo chude. Jak dobrze poddusisz, ładnie się skurczy. Dałbym ci serce, ale kiedy je przypiekam, ten smak aż śpiewa.

Walk przymknął oczy, zebrało mu się na mdłości. Ręce mu się trzęsły. Milton to zauważył; wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, więc Walk szybko odszedł.

Rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i łyknął kilka tabletek.

Był boleśnie świadomy swojego uzależnienia.

Mijał kawiarnie i witryny sklepów, przywitał się z paroma osobami, pomógł pani Astor zapakować zakupy do samochodu, wysłuchał, jak Felix Coke rozwodzi się nad ruchem na Fullerton.

Zatrzymał się przy delikatesach Brandt's; rzędy ciast i serów wypełniały witrynę.

-- Cześć, komendancie Walker.

Alice Owen, włosy zebrane na karku, w pełnym makijażu mimo stroju do ćwiczeń. Niosła miniaturowego kundelka, tak chudego, że Walk mógł policzyć mu żebra, kiedy zwierzak dygotał. Wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać, i zobaczył obnażone kły.

-- Możesz potrzymać chwilę Lady, a ja wejdę do środka po jedną rzecz? Tylko chwilę.

-- Jasne. -- Sięgnął po smycz.

-- Och, nie możesz jej postawić. Dopiero co miała przycięte paznokcie i są jeszcze bardzo wrażliwe.

-- Pazury?

Alice włożyła mu psa w ramiona i weszła do sklepu.

Widział przez szybę, jak składa zamówienie, potem zatrzymuje się i rozmawia z jakimś turystą. Minęło dziesięć minut; pies dyszał mu w twarz.

Kiedy w końcu wróciła, była obładowana torbami, więc sam zaniósł zwierzę do SUV-a i zaczekał, aż kobieta się zapakuje. Podziękowała, po czym sięgnęła do papierowej torby i dała mu cannoli. Przez chwilę protestował, potem zaczekał, aż znajdzie się sam na Main, i pochłonał je w dwóch kęsach.

Następnie przeszedł wzdłuż Cassidy i skręcił w Ivy Ranch Road. Przy domu Star postął chwilę na ganku, słuchając muzyki dobiegającej ze środka.

Otworzyła drzwi, zanim zdążył zapukać, i wyszła do niego z uśmiechem, tym uśmiechem, który sprawiał, że nie potrafił z niej zrezygnować. Zapadnięta w sobie, ale piękna, wyniszczona, lecz ciągle z płomieniem w oczach. Włożyła różowy fartuch, jakby właśnie coś piekła. Walk wiedział, że szafki są puste.

-- Dzień dobry, komendancie Walker.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Wentylator obracał się powoli, karton-gips miejscami świecił dziurami, zasłony były zerwane z kólek, jakby Star za bardzo śpieszyła się, żeby zakończyć dzień. Radio grało na cały regulator, Skynyrd śpiewali o Alabamie, a Star tanecznym krokiem przemknęła przez kuchnię i wpakowała do worka puste butelki po piwie i opakowania po lucky strike'ach. Uśmiechnęła się do niego -- wyglądała jak dzieciak, i taka też była. Wrażliwa, z problemami i powodująca problemy.

Okręciła się dookoła, potem wrzuciła do śmieci popielniczkę z folii aluminiowej. Nad kominkiem wisiało zdjęcie: ich dwoje, czternastoletni, gotowi i czekający na przyszłość, która kroczyła ku nim.

-- Jak twoja głowa?

-- Świetnie jak nigdy. Wreszcie mam jasny umysł, Walk. Dzięki, i to wszystko... to wczoraj wieczorem. Myślę, że tego potrzebowałam, wiesz. Ostatni raz. Teraz patrzę na wszystko we właściwy sposób. -- Popukała się w głowę i ruszyła dalej, wciąż tanecznym krokiem. -- Dzieciaki nic nie widziały, prawda?

-- Czy musimy dzisiaj o tym rozmawiać? Właśnie dzisiaj?

Kiedy muzyka przycichła, wreszcie się zatrzymała, otarła pot z czoła i związała włosy.

-- Pojawi się i zniknie. Duchess wie?

Pytała go o własną córkę.

-- Całe miasto wie.

-- Myślisz, że się zmienił?

-- Wszyscy się zmieniliśmy.

-- Ty nie, Walk. -- Chciała to powiedzieć z uznaniem, ale on usłyszał pogardę.

Nie widział Vincenta od pięciu lat, chociaż często próbował. Najpierw wizyty odbywały się pod nadzorem, jeździł z Gracie King starym regalem. Było zimno i ciężko, sędzia wysłał piętnastolatka do więzienia dla dorosłych. Ojciec Star zeznawał, opowiadał o Sissy, jakim była dzieckiem i kim mogła zostać. Pokazywali zdjęcia z miejsca zbrodni: chude nóżki, krew na rączce. Wezwali dyrektora Hutcha, mówił o tym, jakim chłopcem był Vincent. Trudnym.

A potem przyszła kolej na Walka; jego ojciec się przyglądał, brązowa koszula, uczciwa twarz. Był brygadzystą w Tallow Construction, mieli fabrykę, która puszczała z dymem marzenia dwa miasta dalej. Tego samego lata Walk pojechał z nim, tak tylko, żeby popatrzeć. Stał

w kombinezonie i obserwował całą tę szarość, rury i rusztowanie skomplikowane niczym wnętrzości, katedrę z metalu.

Wtedy, na sali sądowej, napotkał dumne spojrzenie ojca i przedstawił szczerą prawdę, która przypieczętowała los przyjaciela.

-- Już nie muszę oglądać się wstecz -- powiedziała Star.

Zrobił kawę. Zabrali ją na taras, ptaki na huśtawce trzepotały leniwie, ale poderwały się wysoko, kiedy Walk opadł na stare krzesło.

Star powachlowała sobie twarz.

-- Odbierasz go?

-- Nie chciał. Pisałem do niego.

-- Ale i tak pojedziesz.

-- Pojadę.

-- Nie mów mu... nic mu nie mów o mnie.

Podrygiwała kolaniem, palcami wybijała rytm o krzesło. Skupienie energii przed nadejściem prawdziwego oczyszczenia.

-- Zapyta.

-- Nie chcę, żeby tu przychodził. Nie zniosę tego, nie w moim domu.

-- W porządku.

Zapaliła papierosa i przymknęła oczy.

-- No więc jest taki program, zupełnie nowy, do tego...

-- Daruj sobie. -- Podniosła rękę. -- Mówiłam ci. To już za mną.

Próbowali terapii, Walk woził ją co miesiąc do Blair Peak, przez wieki. Psychoanalityk dawał radę, były postępy. Walk podrzucał ją, zostawiał, szedł na obiad i czekał. Trzy godziny, nieraz więcej, aż zadzwoniła. Czasem jeździły z nimi dzieci. Milczące, na tylnym siedzeniu, obserwowały, jak ich niewinność ciągnie się za radiowozem i zostaje coraz bardziej w tyle.

-- Nie... Tak nie może dalej być.

-- Ciągłe łykasz piguły, Walk?

Chciał jej powiedzieć, że to co innego, ale potem pomyślał, że wcale nie. Oboje byli poturbowani. To jasne jak słońce.

Sięgnęła i ścisnęła go za rękę, nie miała na myśli nic złego.

-- Chyba masz krem na koszuli.

Spojrzał w dół, Star się zaśmiała.

-- Spójrz na nas. Wiesz, czasem nadal się tak czuję.

-- Jak?

-- Jak piętnastolatka, skarbie.

-- Starzejemy się.

Wydychała idealne kółko.

-- Nie ja, Walk. Robisz się starszy ode mnie, ja się dopiero rozkręcę.

Roześmiał się głośno, a ona mu zawtórowała. Cali oni, Walk i Star, trzydzieści lat przewinięte w tył, aż została para dzieciaków, które wygadują bzdury i stroją sobie żarty.

Minęła godzina spokojnego milczenia; żadne z nich się nie odzywało, ale wiedzieli, że oboje mają w głowie to samo. Vincent King wraca do domu.

Walk prowadził samochód i jednym okiem zerkał na wodę mieniącą się złotem i huczącą falami.

Sto mil na wschód, do zakładu karnego w hrabstwie Fairmont.

Kowadło chmury burzowej wisiało w górze jak nagromadzone błędy, ludzie na dziedzińcu stali i patrzyli w niebo.

Zajechał na rozległy parking i zgasił silnik. Dźwięk brzęczyków, pokrzykiwania, fala samotnych, uwięzionych dusz wylewająca się ku bezkresnej, zapomnianej przez Boga równinie.

Nie było to miejsce dla piętnastolatka, bez względu na okoliczności. Sędzia siedział z kamienną twarzą, gdy wygłaszał płomienne wezwanie do poprawy, brutalną prawdę o nawróceniu w miejscu o lata świetlne oddalonym od budynku sądu w Las Lomas. Walk czasem się zastanawiał, jakie szkody dokonały się tamtej nocy, niezmierzona pajęczyna cierpienia, która osnuła tak wiele istnień, zastąpiła nowe starym, świeże -- zgnilizną. Widział to w Star, widział w jej ojcu, ale najbardziej w Duchess, która niosła w sobie tę noc na długo przed tym, jak się urodziła.

Stukanie w maskę. Wysiadł i uśmiechnął się do strażnika Cuddy'ego -- wysokiego, chudego i radosnego. Bez względu na trudne doświadczenia, znękanie i upodlenie z powodu narzuconego towarzystwa Cuddy zawsze był przyjazny i życzliwy.

-- Vincent King -- powiedział z uśmiechem. -- Dbasz o swoich w Cape Haven, co nie? Jak tam u was, dalej prawie jak w raju?

-- O tak.

-- Szkoda, że nie miałem setki takich jak Vincent, przyznaję bez bicia. Chłopaki mówią, że najczęściej zachowywał się, jakby go tu wcale

nie było. -- Cuddy ruszył, a Walk zrównał z nim krok.

Przeszli przez bramę, potem kolejną, aż dotarli do niskiego, przysadzistego budynku w kolorze wyblakłej zieleni, którą co sezon rozjaśniają, jak powiedział Cuddy.

-- Najbardziej uspokajający kolor dla ludzkich oczu. Symbolizuje wybaczenie i osobistą przemianę.

Walk popatrzył na dwóch facetów, którzy z zaciśniętymi w skupieniu ustami zapamiętale szurali szczotkami po cokole.

Cuddy chwycił Walka lekko za ramię.

-- Słuchaj, Vincent King odsiedział swoje, ale trudno mu będzie przyjąć to do wiadomości. Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń.

Walk stał w poczekalni i patrzył na rozległą przestrzeń oraz ludzi, którzy chodzili w kółko, trzymając głowy wysoko, jakby Cuddy nauczył ich, że wstyd to grzech. Jeśliby tylko usunąć drut kolczasty brutalnie dzielący ten obszar, scena zapierałaby dech w piersiach -- to nie mężczyźni w kombinezonach, tylko zagubione dzieci, którymi kiedyś byli.

Minęło pięć lat, odkąd Vincent przestał przyjmować odwiedzających, więc gdyby nie oczy, wciąż intensywnie niebieskie, Walk miałby problem, żeby go rozpoznać. Wysoki, chudy, na granicy wyniszczenia, z zapadniętymi policzkami, zupełnie niepodobny do aroganckiego piętnastolatka, który tu wchodził.

Ale wtedy Vincent go zobaczył i się uśmiechnął. Był to uśmiech, który wciągał go w tarapaty i wyciągał z nich częściej, niż Walk pamiętał. Jego przyjaciel wciąż tam był, bez względu na ostrzeżenia, na ludzkie gadanie, że coś takiego zmienia człowieka; on nadal tam był.

Walk zrobił krok naprzód, pomyślał, że otworzy ramiona, ale tylko powoli wyciągnął rękę.

Vincent spojrział na dłoń, jakby zapomniał, że ma ją po prostu uściśnąć na powitanie, nic więcej. Delikatnie nią potrząsnął.

-- Mówiłem ci, żebyś nie przyjeżdżał -- powiedział beznamiętnym, spokojnym tonem -- ale dziękuję.

Było coś pełnego godności w sposobie, w jaki się poruszał.

-- Dobrze cię widzieć, Vin.

Vincent wypełnił dokumenty, strażnik czuwał w pobliżu. Widok człowieka, który wychodzi na wolność po trzydziestu latach, nie wymaga komentarza. Kolejny dzień w Kalifornii.

Pół godziny później byli już przy ostatniej bramie; obaj odwrócili głowy, kiedy nadszedł Cuddy.

-- Będzie ciężko, Vincent. -- Uściskał go, szybko i mocno, coś tam się między nimi zadziało, może po trzydziestu latach wreszcie przełamali rutynę. -- Ponad połowa. -- Cuddy przytrzymał Vincenta przez chwilę. -- Tylu do mnie wraca. Zrób wszystko, żeby nie być jednym z nich.

Walk zastanawiał się, ile razy strażnik wypowiadał przez lata te znamienne słowa.

Szli znów razem; przy radiowozie Vincent położył rękę na masce i spojrział na Walka.

-- Nigdy nie widziałem cię w mundurze. Dostałem foto i padłem, ale tu, na żywo, jesteś gliną.

-- Jestem. -- Walk się uśmiechnął.

-- Nie wiem, czy chcę się kumplować z gliną, gościu.

Walk roześmiał się, z ulgi prawie odebrało mu dech.

Na początku jechał powoli, Vincent wyglądał przez otwarte okno i trochę na nich wiało. Walk chciał rozmawiać, ale pierwsze mile przebyli, tocząc się po prostu przed siebie, jak we śnie.

-- Przypomniało mi się, jak zakradliśmy się na "Saint Rose" -- rzucił w końcu. Starał się zachowywać swobodnie, jakby nie ćwiczył zagajania rozmowy przez całą drogę.

Vincent spojrział na niego i lekko się uśmiechnął na to wspomnienie.

Spotkali się jako dziesięcioletnie dzieci w pierwszy dzień lata. Zjechali pędem nad wodę, schowali rowery i chyłkiem przedostali się na łódź rybacką. Kiedy słońce powędrowało wysoko i padało na nich z góry, dyszeli ciężko pod brezentem. Walk nadal to pamiętał. Warkot silnika oznaczający, że Skip Douglas z załogą wypływają na bezkresny ocean. Nawet nie był zły, kiedy się wyczołgali, nadał tylko wiadomość przez radio i powiedział, że zostaną z nim przez cały dzień. Walk nigdy dotąd nie pracował tak ciężko przez wiele godzin, szorując deski i skrzynie; odór rybiej krwi nie pasował do tego, co czuł, do niewyobrażalnego smaku życia.

-- Skip jeszcze działa, facet, który nazywa się Andrew Wheeler, czarteruje łodzie. Skip musi mieć teraz z osiemdziesiąt lat.

-- Matka strasznie się wtedy na mnie darła. -- Vincent odchrząknął. -- Dzięki. Za pogrzeb, za to wszystko.

Walk opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

-- Powiesz mi coś o niej?

Vincent poprawił się na siedzeniu, podciągnął nogi, spodnie kończyły mu się nad kostkami.

Walk zwolnił przy przejeździe kolejowym, drogę przeciął im towarowy, stalowe, zardzewiałe wagony przetoczyły się z jękiem.

Przejechali przez tory i wjechali do miasteczka, które właściwie zniknęło, gdy zamknięto kopalnię, i dopiero wtedy Walk się odezwał.

-- Wszystko u niej w porządku. Ma dzieci. Duchess i Robina. Pamiętasz, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy Star?

-- Tak.

-- Cofniesz się w czasie, kiedy zobaczysz Duchess.

Vincent wtedy odpłynął, a Walk wiedział, dokąd powędrował myślami. Tamtego pierwszego dnia ojciec Star wtoczył się riviérą do Cape. Vincent i Walk podjechali i zobaczyli całe życie zapakowane w bagażniku: ubrania, pokrowce, pudła przyciśnięte do szyby. Zawsze razem, z rękami na kierownicach stelberów, słońce grzało ich w karki. Najpierw wysiadł mężczyzna -- był ogromny i miał szerokie ramiona -- spojrzał na nich, jakby znał ten typ chłopaków. Byli jednak dziećmi i, jak Walk pamiętał, ich zmartwienia ograniczały się do znalezienia karty z Willem Maysem, bo zabawkowa kula do wróżenia Vincenta powiedziała im, że spotka ich wielkie szczęście. A potem wyciągnął dziewczynkę, która wciąż spała, trzymając głowę na ramieniu mężczyzny, podczas gdy on lustrował uważnie swoją nową ulicę. Sissy Radley. Właśnie mieli popędzić do ogródka Walka i domku na drzewie, nad którym pracowali, kiedy tylne drzwi się uchyliły i Walk zobaczył najdłuższe nogi, jakie kiedykolwiek widział. Vincent aż przeklął i z otwartymi ustami wbił wzrok w dziewczynę mniej więcej w ich wieku, o urodzie Julie Newmar. Wysiadła i popatrzyła na nich, żując gumę. "Ożeż kurwa", powtórzył Vincent. Wtedy ojciec wprowadził ją do starego domu Kleinmanów, ale zanim odeszła, odwróciła się i rzuciła im spojrzenie, z przechyloną głową, bez uśmiechu, i tym spojrzeniem utorowała sobie drogę do duszy Vincenta.

-- Tęskniłem za tobą. Przyjeżdżałbym, gdybyś mi pozwolił. Odwiedzałbym cię co weekend.

Vincent nie odrywał oczu od widoku za oknem ze skupieniem człowieka, który przeżył życie, wgapiając się w telewizor.

Przy autostradzie Central Valley, w Hanford, zatrzymali się na obiad i zamówili burgery. Vincent zjadł pół swojego i zamarł ze wzrokiem wbitym w szybę, za którą stała matka z dzieckiem, a starszy mężczyzna zatrzymał się, jakby każdy przeżyty rok przytłoczył go ciężarem. Walk zastanawiał się, co tam widzi. Samochody, których nazw nie znał, sklepy, które widział tylko na ekranie. Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, kiedy to wydawało się, że w dwa tysiące piątym roku samochody będą latać, a domy -- sprzątać roboty, a teraz byli tu i teraz.

-- A dom...

-- Sprawdziłem. Wymaga pracy: dach, weranda, połowa desek przegniła.

-- W porządku.

-- Jest taki przedsiębiorca budowlany, Dickie Darke, płacze się tu co miesiąc przed sezonem letnim. Gdybyś kiedyś chciał sprzedać...

-- Nie chcę.

-- W porządku. -- Walk powiedział, co do niego należało. Gdyby Vincent potrzebował pieniędzy, będzie mógł sprzedać dom, ostatni w szeregu przy Sunset Road.

-- Gotowy na powrót do domu?

-- Właśnie wyszedłem z domu, Walk.

-- Nie, Vin, zupełnie nie.

Kiedy zajechali do Cape Haven, nie rozbrzmiały fanfary, nie pojawiły się przyjazne twarze ani hałaśliwy komitet powitalny. Walk zauważył, że Vincent głęboko odetchnął, gdy ich oczom ukazał się Pacyfik,

sunąca ku nim bezkresna masa wody, a potem czubki sosen i wielkie rezydencje w Cape i pod miastem.

-- Nabudowali -- stwierdził Vincent.

-- Owszem.

Na początku był opór, ale niewielki, ponieważ wizja pieniędzy go przełamała. Głos zabrali przedsiębiorcy, tacy jak Milton, i powiedzieli, że są zmęczeni nieustanną walką. Ed Tallow stwierdził, że jego firma budowlana walczy o przetrwanie.

Cape Haven zostało wykute w klifach, spokojne i konserwatywne miasteczko żywcem przypominające dawne Anaheim. Walk czuł to, każda nowa cegła kładła się na jego dzieciństwie, na wspomnieniach, które tak rozpaczliwie chciał zachować.

Walk rzucił ukradkiem okiem na ręce przyjaciela, na liczne głębokie blizny na kostkach. Zawsze był twardy. W końcu zjechali w dół, w Sunset Road, gdzie dom Kinga czaił się jak niemile widziany cień w słoneczny dzień.

-- Nie ma sąsiednich domów.

-- Spadły. Klif się osuwa, jak Point Dume. Ostatni wczoraj. Fairlaw-nów. Twój jest w bezpiecznej odległości, a parę lat temu zbudowali fa-lochron.

Vincent spojrział na budynek, odgradzony taśmami jak miejsce zbrodni, którym zresztą był. Za nim stało kilka domów, wystarczająco blisko, by ulica nie była odizolowana, ale na tyle daleko, by z okien Kinga roztaczał się najbardziej malowniczy widok.

Vincent wysiadł i stanął przed nim, popatrzył na przegniłe szczyty i zerwane okiennice.

-- Skosiłem trawę.

-- Dzięki.

Walk poszedł za Vincentem krętą ścieżką, po schodach, do chłodnego, ciemnego holu. Kwieciste tapety przywoływały milion przyjemnych wspomnień z lat siedemdziesiątych.

-- Założyłem świeżą pościel.

-- Dzięki.

-- I wrzuciłem co nieco do lodówki. Masz kurczaka i...

-- Dzięki.

-- Nie musisz ciągle tego powtarzać.

Nad kominkiem wisiało lustro; Vincent minął je, nie patrząc. Walk pomyślał, że porusza się teraz inaczej, każdy krok to opowieść ku przestrodze, o doświadczeniu i lepszej ocenie sytuacji. Wiedział, że pierwsze lata były bardzo trudne, i to nie w stylu "popłakuję i nie mogę spać w nocy", trudne dla ładnego chłopca pośród najbardziej ponurych typów. Pisali listy, Walk i Gracie King, do sędziego i Sądu Najwyższego, nawet do Białego Domu. Prosilili, żeby go przynajmniej odizolować. Niczego nie wskórali.

-- Chcesz, żebym się pokręcił w pobliżu?

-- Wracaj do pracy, rób, co do ciebie należy.

-- Zajrzę później.

Vincent odprowadził go do drzwi i podał mu rękę.

Walk uściskał go, przyjaciela, którego właśnie odzyskał. Udawał, że nie odczuł wzdrygnięcia, tego, że Vincent zeszywniał.

Obaj odwrócili się na dźwięk silnika. Walk zobaczył escalade'a. Dickie Darke.

Darke wysiadł z auta. Nosił się ze swoim wzrostem jak ze źle dopasowanym garniturem. Obwisłe ramiona, oczy wbite w ziemię. Ubierał się zawsze na czarno: marynarka, koszula, spodnie. Roztargniony, afektowany.

-- Vincent King. -- Głos miał głęboki, poważny. -- Nazywam się Dickie Darke. -- Ani śladu uśmiechu. Nigdy się nie uśmiechał.

-- Dostałem pańskie listy -- odezwał się Vincent.

-- Miasto wygląda teraz zupełnie inaczej.

-- O tak. Drzewo życzeń to jedyne, co rozpoznaję. Pamiętasz, jak chowaliśmy podkradane papierosy w dziurze pod korzeniami, Walk?

Walk się zaśmiał.

-- I sześciopak piwa.

Darke wreszcie podniósł głowę i rzucił Walkowi spojrzenie, które go zmroziło. Potem przeniósł wzrok na dom.

-- Ostatni w szeregu. Ziemia na tyłach również należy do pana.

Vincent zerknął ukradkiem na Walka.

-- Płacę milion. Obecna wartość to osiemset pięćdziesiąt, w aktualnym stanie. A rynek szybko się zmienia.

-- Nie jest na sprzedaż.

-- Wszystko ma swoją cenę.

Walk się uśmiechnął.

-- Daj spokój, Darke. Facet dopiero co wrócił do domu.

Darke patrzył jeszcze przez chwilę. Potem odwrócił się i odszedł, spokojnie, nieśpiesznie, ciągnąc za sobą długi cień.

Vincent śledził go wzrokiem, wpatrywał się w niego, jakby widział coś, czego Walk nie mógł dostrzec.

Duchess miała spotkanie z przedszkolanką, panną Dolores. Pozwalała ona Robinowi zostawać na trzy długie godziny, aż Duchess skończy lekcje, głównie dlatego, że Walk wkroczył i ją o to poprosił, ale nie bez znaczenia był też fakt, że Robin należał do dzieci zupełnie niekłopotliwych.

Kiedy chłopiec zobaczył siostrę, posprzątał swoje rzeczy, podniósł torbę i ruszył biegiem. Duchess przyklęła i uściskała go, potem poma-chała panie Dolores i wyszli.

Pomogła Robinowi ułożyć na ramionach paski plecaka, a potem sprawdziła, czy ma w środku swoją książeczkę i butelkę z wodą.

-- Nie zjadłeś kanapki. -- Spojrzała na niego.

-- Przepraszam.

Minął ich szkolny autobus, rodzice czekali w terenówkach, nauczyciele wyszli na trawnik i rozmawiali, a dzieci kopały obok piłkę.

-- Musisz jeść, Robin.

-- Ale ja...

-- No co?

-- Nie włożyłaś nic do środka -- wyznał niechętnie.

-- Bzdura.

Popatrzył na czubki butów.

Duchess rozsunęła zamek plecaka i wyjęła kanapkę.

-- Kurwa.

-- Nic się nie stało.

-- Stało się. -- Położyła mu rękę na ramieniu. -- Przygotuję hot dogi, jak wrócimy.

Uśmiechnął się.

Kopali na zmianę kamień i szli tak do końca East Harney, aż Robin trafił nim do studzienki.

-- Dzieciaki gadały coś o mamie? -- spytał, kiedy wzięła go za rękę i przeszli przez ulicę.

-- Nie.

-- Ricky Tallow tak. Powiedział, że jego mama mu powiedziała.

-- Co mu powiedziała?

Przeszli pod gałęziami wierzby i skrócili sobie drogę między For-
dham i Dupont.

-- Powiedziała, że nie może do mnie przyjść, bo nasza mama nas
nie upilnuje.

-- Ty możesz iść do niego.

-- Jego mama i tata zawsze strasznie na siebie krzyczą.

Potargała mu włosy.

-- Chcesz, żebym z nią porozmawiała i spróbowała coś załatwić?

-- Tak.

Duchess знаła Leah Tallow. Wydział policji w Cape Haven: tylko
ona, Walk i stara jak cholera Valeria jako wsparcie. Nie potrafiła sobie
wyobrazić tej trójki pracującej nad prawdziwą zbrodnią.

-- Ricky powiedział, że przeprowadzi się do pokoju brata, który wy-
jeżdża na studia. Mówi, że brat ma akwarium. Możemy mieć akwa-
rium?

-- Masz maskę do nurkowania. Chodź sobie patrzeć na ryby w mo-
rzu.

Kiedy dotarli do Main, zobaczyli pod Rosie's Diner grupkę dziew-
czyn, tę samą co zawsze, z koktajlami, przy dwóch stolikach ustawio-
nych na słońcu. Gdy przechodzili, rozległy się szepty i śmiechy. Weszli
do sklepu; za ladą stała pani Adams.

Duchess wzięła paczkę frankfurterek, a Robin przyniósł bułki. Się-
gnęła do portfela i wyjęła trzy dolary w banknotach, wszystko, co mia-
ła.

Robin podniósł wzrok.

-- Możemy wziąć frytki?

-- Nie.

-- To może chociaż keczup. Będą suche.

Duchess położyła paczkę i bułki.

-- Ja się miewa wasza mama? -- Pani Adams spojrzała na nią znad okularów.

-- Dobrze.

-- Słyszałam co innego.

-- To po chuj pani pyta?

Robin ścisnął jej rękę. Pani Adams mogła kazać jej wyjść, ale Duchess rzuciła trzy dolary na ladę, nie dała jej szansy zareagować.

-- Nie wolno przeklinać -- powiedział Robin, kiedy wyszli na Main.

-- Jak się czuje mama?

Duchess odwróciła się i zobaczyła Milтона przed sklepem mięsnym. Wytarł ręce o fartuch, zostawiając na nim smugi krwi.

Robin podszedł do witryny i popatrzył na króliki powieszony za gardła.

-- W porządku -- powiedziała Duchess.

Milton zrobił krok w ich stronę; woń była tak silna, że ścisnęło ją w gardle. Krew i śmierć.

-- Jesteś do niej strasznie podobna.

-- Tak, już mi pan to mówił.

Dostrzegła strzępki mięsa wplątane we włosy na jego rękach. Milton gapił się na nią przez chwilę, jakby zapomniał o całym świecie, po czym aż się cofnął, gdy wpadła mu w oko torba z zakupami.

Zacmokał.

-- To nawet nie leżało koło kiełbasy. Wyprodukowane w laboratorium. Zaczekaj.

Wszedł do środka, świszcząc przy każdym kroku.

Po chwili wrócił z brązową papierową torbą z krwistym odciskiem.

-- Morcilla. Powiedz matce, skąd ją masz. Przyślij ją, gdyby chciała się nauczyć, jak ją właściwie przygotować.

-- Nie można po prostu usmażyć? -- spytał Robin.

-- Chyba w więzieniu. Jeśli chcesz rozkoszy dla zmysłów, musisz się zaprzyjaźnić z żeliwnym kociołkiem. Najważniejsze jest odpowiednie ciśnienie i...

Duchess złapała torbę, wzięła Robina za rękę i pośpiesznie odeszła, czując na sobie wzrok Milтона.

Pod Rosie's Diner wstrzymała oddech, po czym wprowadziła Robina do środka, odcinając się drzwiami od dziewczyn i ich spojrzeń. Wewnątrz był tłok, urlopowicze zajmowali stoliki, w powietrzu wisiał ciężki zapach kawy. Głośne rozmowy, wakacyjne domy, plany na lato.

Duchess stanęła przy ladzie i zobaczyła słój z saszetkami keczupu, za darmo dla tych, którzy coś kupili. Szybko rzuciła okiem na Rosie, zajęta papierami.

Wzięła jedną saszetkę dla Robina i chciała się odwrócić.

-- A nie musisz czegoś kupić, żeby dostać keczup?

Spojrzała w górę. Cassidy Evans z jej klasy. Robin ze zdenerwowania przestępował z nogi na nogę.

Cassidy złośliwie się uśmiechnęła; usta pociągnięte błyszczkiem, lśniąca włosy, wiecznie skwaszona mina.

-- To tylko jedna saszetka.

-- Proszę pani, czy trzeba coś kupić, żeby wziąć keczup? -- spytała Cassidy głośno, ociekając niewinnością.

Rozmowy przycichły, oczy obcych świdrowały ją tak, że czuła, jakby ją paliły.

Rosie odstawiła filiżankę i podeszła do baru. Duchess odłożyła saszetkę z powrotem, a potem wzdrygnęła się, gdy słój spadł na podłogę i

się rozbił.

Chwyła Robina za rękę i wywlekła go na zewnątrz; Cassidy rzuciła się za nimi, Rosie coś krzyczała.

Szli w milczeniu cichymi ulicami.

-- Nie potrzebujemy żadnego sosu -- powiedział Robin. -- I tak będzie dobre.

Podążając Sunset Road, widzieli dzieciaki bawiące się piłką na piasku, poniżej drogi. Chłopiec obserwował je ze skupieniem. Duchess często się z nim bawiła: zabawkami, żołnierzykami, samochodami, że patyk to różdżka. Czasem krzyczał na Star, bo chciał wyjść, lecz przez większość dni matka leżała w ciemnym salonie przy wyciszonym telewizorze. Duchess słyszała rozmowy o dwubiegunowości, lęku, uzależnieniu.

-- Co się dzieje? -- spytał Robin.

Zobaczyli przed sobą trzech chłopców: biegli w ich stronę, przyspieszyli jeszcze, kiedy ich mijali.

-- To dom Kinga -- powiedziała Duchess. Zatrzymali się po drugiej stronie ulicy i spojrzeli. Okno od frontu było wybite, w szybie widniała dziura wielkości niedużego kamienia.

-- Powinniśmy komuś powiedzieć?

Popatrzyła na dom, zobaczyła, że w środku poruszył się jakiś cień, i potrząsnęła głową. Wzięła Robina za rękę i poszli w swoją stronę.

Walk siedział w tylnym rzędzie odkrytej trybuny i patrzył, jak piłka opada spiralnie na koniec boiska, gdzie przejął ją skrzydłowy. Rozgrywający podniósł rękę i dzieciak się uśmiechnął, potem szybko spoważniał. Znów pobiegli.

Walk kibicował Kuguarom przez całe życie. Vincent kiedyś grał w drużynie, na skrzydle. Miał wrodzony talent, mówiło się o lidze międzystanowej. Od tego czasu niewiele zwyciężali, a już na pewno nie kilka razy z rzędu. Ale Walk i tak w piątkowy wieczór zajmował swoje miejsce między grupkami nastolatek w pełnym makijażu, przenikliwie wrzeszczących. Po wygranej pakowali się do Rosie's Diner, gracze i cheerleaderki, z tym rodzajem uczucia, który sprawiał, że Walk się uśmiechał.

-- Świetnie rzuca -- powiedział Vincent.

-- Tak.

Walk kupił sześciopak piwa Rolling Rock, ale Vincent nawet nie tknął alkoholu. Zajechał po służbie i zastał go pracującego za domem, mimo że już zmierzchało. Wyszlifował do tej pory większość tarasu, ręce pokrywały mu bąble, twarz miał napiętą z wysiłku.

-- Przejdzie na zawodowstwo. -- Vincent obserwował, jak dzieciak zalicza kolejne podanie. Tym razem skrzydłowy przejął piłkę i wrzasnął.

-- Też byś tak mógł.

-- Chcesz mnie o coś zapytać?

-- O co?

-- O cokolwiek.

Walk łyknął piwa.

-- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak było.

-- Potrafisz, tylko nie chcesz. I to jest spoko. Jakkolwiek było, zasłużyłem na to.

-- Nie. Nie w ten sposób.

-- Poszedłem na jej grób. Nie zabrałem... nie położyłem kwiatów ani nic. Nie wiedziałem, czy powinienem.

W świetle reflektorów szło podanie za podaniem. W dole, w najdalszym rogu Walk zobaczył sylwetkę Brandona Rocka, w bejsbolówce założonej tył na przód. Walk widywał go na każdym meczu.

Vincent spojrział w to samo miejsce.

-- To Brandon?

-- Tak.

-- Myślałem, że mu się uda. To znaczy kiedyś był dobry.

-- Kolano. Wskoczyło mu i nigdy już nie działało jak trzeba. Pracuje w Tallow Construction, coś tam ze sprzedażą. Utyka, pewnie powinien używać kuli, ale sam wiesz, jaki jest Brandon.

-- Teraz już nie.

-- Dalej jeździ mustangiem ojca.

-- Pamiętam, jak jego stary go kupił. Pół ulicy się zbiegło.

-- Chciałeś go ukraść.

Vincent się roześmiał.

-- Pożyczyć, Walk, tylko pożyczyć.

-- Kocha ten samochód. Myślę, że tak to widzi, wiesz. Lepszy czas w jego życiu. Włosy, ciuchy, facet ciągle żyje w siedemdziesiątym ósmym. Zobacysz, nie zmienił się, Vin. Żaden z nas, tak naprawdę.

Vincent zerwał etykietę ze swojego piwa, ale dalej go nie pił.

-- A Martha May? Bardzo się zmieniła?

Walk zamarł na dźwięk tego nazwiska, ale tylko na sekundę.

-- Jest prawniczką w Bitterwater. Zajmuje się głównie rozwodami i sprawami rodzinnymi.

-- Zawsze uważałem, że będzie z tobą. Wiem, byliśmy młodzi, ale sposób, w jaki na nią patrzyłeś...

-- Zupełnie jak ty na Star.

Skrzydłowy wypuścił piłkę, która potoczyła się w stronę trybun. Brandon poderwał się i ruszył -- szybko, jeśli wziąć pod uwagę jego nogę. Dopadł piłki, ale zamiast podać do skrzydłowego, rzucił czterdzieści jardów dalej, do rozgrywającego, który złapał ją w powietrzu.

-- Nadal umie rzucać -- powiedział Walk.

-- Chyba pogarsza tylko sytuację.

-- Pójdiesz zobaczyć się ze Star?

-- Powiedziała ci, że nie chce mnie widzieć.

Walk zmarszczył brwi, a Vincent się uśmiechnął.

-- Zawsze cię przejrzę, Walk. Kiedy mówiłeś, że potrzebuje trochę czasu... Kurde, nie miała dość czasu? Ale potem pomyślałem, że ma rację. Czasem historii jest za dużo. No ale ty i Martha.

-- My... nie mamy ze sobą kontaktu.

-- Powiesz mi czy nie?

-- Tamtego wieczora, po wyroku. Byliśmy razem. Zaszła w ciążę.

Vincent wpatrywał się w boisko.

-- No i jej ojciec. Był pastorem i w ogóle.

-- Kurde, Walk.

-- No. I ona też chciała być pastorem, iść w jego święte ślady.

Walk odchrząknął.

-- Zmusił ją do... aborcji. To znaczy, to dlatego... byliśmy dzieciakami. Ale coś takiego nie może przejść obojętnie. I nie chodziło tylko o to, jak na mnie patrzył, tylko jak ona patrzyła. Jakby widziała błąd.

-- A ty patrzyłeś na nią i widziałeś...

-- Wszystko. Widziałem wszystko. Na przykład moich rodziców; byli razem pięćdziesiąt trzy lata. Dom, dziecko, życie.

-- Wyszła za mąż?

Walk wzruszył ramionami, jakby nie chciał po raz setny roztrząsać tego samego.

-- Jeszcze nie jest za późno, żeby wszystko naprawić.

-- To samo mogę powiedzieć o tobie.

Vincent wstał.

-- Dla mnie jest o trzydzieści lat za późno.

Bar znajdował się w San Luis, które było zaledwie szerokim odcinkiem autostrady przecinającej ugory i opadającej w stronę doliny Altanon.

Star pożyczyła starego comanche'a od Milтона z naprzeciwka. Klimatyzacja nie działała, więc Duchess i Robin wychylali głowy przez okna jak dwa psy, oboje zmęczeni, ale przechodzili przez to przynajmniej raz na miesiąc.

Duchess zabrała swój referat i ścisnęła mocno papiery, kiedy matka prowadziła ich przez parking, gdzie przecisnęli się między dwiema furgonetkami do tylnego wejścia. Star niosła sparciały pokrowiec na gitarę, ubrana w obcięte džinsy z wysokim stanem i bardzo krótki top.

-- Nie powinnaś tego nosić.

-- Tak, ale napiwki są większe.

Duchess przekleła pod nosem, a Star się odwróciła.

-- Proszę. Opuśćmy dziś, po prostu przypilnuj brata i żadnych problemów.

Duchess zaprowadziła Robina do boksu na końcu, wpuściła go przed sobą, a potem usiadła obok, aby odgrodzić brata od miejsca, w którym nie powinien być. Star wetknęła im po napoju, Duchess rozłożyła papiery, a potem dała Robinowi kilka czystych kartek. Wyjęła piórniki i podsunęła mu kredki.

-- Będzie śpiewać o moście? -- spytał Robin.

-- Zawsze śpiewa.

-- Uwielbiam to. Zaśpiewasz z nią?

-- Nie.

-- To dobrze. Nienawidzę, kiedy tam płacze.

Z przepelnionych popielniczek unosił się dym. Ciemne drewno, flagi nad barem, przyćmione światło. Duchess usłyszała śmiech. Matka wlewała w siebie szoty w towarzystwie dwóch mężczyzn; potrzebowała tego, zanim zacznie.

Robin sięgnął do miski z orzeszkami na stole, Duchess odepchnęła jego rękę. POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

-- Są całe w sikach.

Gapiała się w kartkę, w miejsce na informacje o ojcu, długą, pustą gałąź jej drzewa genealogicznego. Dzień wcześniej Cassidy Evans stała przed klasą i opowiedziała o swoim pochodzeniu, a potem pokazała zakrzywioną linię szlacheckiego rodu, która wiodła od niej do du Pontów, a jej przemowa była tak sugestywna, że Duchess prawie czuła zapach prochu.

-- Zrysowałem cię.

-- Narysowałem.

Popchnął kartkę w jej stronę. Duchess się uśmiechnęła.

-- Serio mam takie wielkie zęby?

Szturchnęła go w bok, a on zaśmiał się tak głośno, że Star odwróciła głowę i uciszyła ich gestem.

-- Opowiedz mi jeszcze raz o Billym Blue Radleyu -- poprosił Robin.

-- Z tego, co czytałam, był nieustraszony. Napadł z bronią na bank, a potem uciekał przed szeryfem tysiące mil.

-- Paskudnie.

-- Szukał swoich. Swoich ludzi, rodziny. -- Położyła mu rękę na piersi. -- To nasza krew, o tu. Jesteśmy banitami.

-- Chyba ty.

-- Jesteśmy tacy sami.

-- Ale mój tata i twój nie byli tacy sami...

-- Hej. -- Chwyciła go lekko za twarz. -- Krew Radleyów, oboje ją mamy. I właśnie dlatego, że nasi ojcowie nie byli wcale dobrzy... jesteśmy tacy sami. Powiedz to.

-- Jesteśmy tacy sami.

Potem przyszedł czas, że światła jeszcze trochę przygasły, Star usiadła na stołku pośrodku i zagrała zestaw coverów oraz kilka własnych piosenek. Jeden z mężczyzn, z którymi piła, gwizdał i wrzeszczał po każdym numerze.

-- Dupki -- rzuciła Duchess.

-- Dupki -- zgodził się Robin.

-- Nie używaj takich słów.

Wtedy mężczyzna wstał, wskazał na Star i złapał się za krocze. Powiedział coś jeszcze, jakby do czegoś nawiązywał. Nazwał ją jebaną prowokatorką. Stwierdził, że pewnie jest lesbą.

Duchess zerwała się na równe nogi, chwyciła swój napój i posłała butelkę wzdłuż baru. Butelka spadła i rozbiła się u stóp mężczyzny. Ga-

pił się na nią z otwartymi ustami, a ona wpatrywała się w niego z rozłożonymi ramionami, mówiąc mu, żeby się ruszył, że ona się nie cofnie.

-- Siadaj. -- Robin szarpał ją za rękę. -- Proszę.

Zamrugła i spojrzała na niego, zobaczyła strach, potem przeniosła wzrok na matkę, która bezgłośnie powiedziała dokładnie to samo.

Facet się gapił. Duchess pokazała mu środkowy palec i usiadła.

Robin dopijał swój napój, gdy Star zawołała:

-- Duchess, chodź tutaj! Moja córeczka śpiewa o wiele lepiej niż jej mamuska.

Duchess wtopiła się w ławkę, patrzyła na matkę i potrząsnęła głową, nieważne, że wszyscy się odwrócili, przywoływali ją gestami i kłaskali. Był taki czas, że śpiewała, kiedy była młodsza, zanim poznała trochę świat. Śpiewała w domu, pod prysznicem, na podwórku.

Star oświadczyła, że córki to nie bawi, i zaczęła śpiewać ostatnią piosenkę, piosenkę, przy której Robin odłożył kredki i patrzył na matkę, jakby była prawdziwą świętą.

-- Uwielbiam to.

-- Wiem.

Kiedy Star skończyła, zeszła ze sceny, zebrała pieniądze i upchnęła kopertę do torebki, pewnie z pięćdziesiąt dolarów. Wtedy facet wrócił i tym razem złapał ją za tyłek.

Duchess była na nogach, zanim Robin zdążył się odezwać. Ruszyła przed siebie. Przyklękła i podniosła odłamek szkła.

Star odepchnęła mężczyznę, ale ten nie odpuszczał, ścisnął dalej, dopóki nie zorientował się, że wszyscy w barze patrzą nie na niego, tylko gdzieś za jego plecy. Odwrócił się, a ona tam stała, mała i gotowa. Trzymała szkło wysoko, ostrym końcem celując w jego gardło.

-- Jestem Duchess Day Radley, banitka. A ty jesteś barową pizdą i zaraz oberżnę ci łeb.

Usłyszała cichy płacz brata. Matka chwyciła ją za nadgarstek i mocno szarpnęła, szkło upadło na podłogę. Podeszli inni mężczyźni i załagodźli sytuację. Polały się darmowe drinki.

Star popchnęła Duchess do drzwi, zgarnęła Robina i poszła za nią.

Parking był ciemny, gdy wsiadali do samochodu.

Star rzuciła się do niej, krzyczała, że jest głupia, że ten facet mógł jej zrobić krzywdę, że wie, co robi, i nie potrzebuje trzynastoletniej opiekuńki. Duchess siedziała w milczeniu, czekała, aż matka skończy.

Wreszcie Star odpaliła silnik.

-- Nie powinnaś prowadzić.

-- Jestem trzeźwa.

Star spojrzała w lusterko i poprawiła włosy.

-- Nie będziesz wiozła mojego brata w takim stanie.

-- Powiedziałam, że już jestem trzeźwa.

-- Trzeźwa jak kiedyś Vincent King?

Duchess zobaczyła ruch ręki, ale nawet nie drgnęła, przyjęła uderzenie w policzek jak gdyby nigdy nic.

Robin płakał z tyłu.

Duchess pochyliła się, wyjęła kluczyki ze stacyjki i przepelzła do niego. Pogłaskała go po włosach, otarła łzy i pomogła przebrać się w piżamę.

Spała godzinę, potem wróciła na przód i podała Star kluczyki. Wyjechały z parkingu i ruszyły do domu, matka i córka, razem.

-- Pamiętaj, że ma urodziny w ten weekend -- powiedziała spokojnie Duchess.

Minęła chwila, zanim Star odpowiedziała:

-- Oczywiście, to mój królewicz.

Duchess ścisnęło w żołądku. Nie miała własnych pieniędzy. Roznosiła gazety, pociła się na rowerze co weekend, ale płacili bardzo mało.

-- Jeśli dasz mi pieniądze, zajmę się tym.

-- Sama to załatwię.

-- Ale...

-- Duchess, do cholery, powiedziałam, że to załatwię. Miej trochę wiary.

Mogła odbić piłeczkę, że traci wiarę za każdym razem, kiedy jej własne urodziny mijają w zapomnieniu.

Samochód podskakiwał na wybojach, dopóki nie wyjechali na autostradę.

-- Jesteś głodna? -- spytała Star.

-- Ogarnęłam hot dogi.

-- Zabrałaś jakiś sos? Wiesz, że Robin lubi.

Duchess spojrzała na matkę zmęczonymi oczami. Star wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po policzku.

-- Powinnaś była dołączyć do mnie dziś wieczorem.

-- Śpiewanie dla bandy pijaków. Zostawię to zawodowcom.

Star wyciągnęła papierosa z torebki, wetknęła go między zęby i zaczęła szukać zapalniczki.

-- Jeśli włączę radio, zaśpiewasz coś dla mnie?

-- Robin śpi.

Star objęła Duchess za ramiona i przyciągnęła do siebie. Cmoknęła ją w głowę, kiedy wlekli się autostradą.

-- Był tam dziś jeden taki. Ma studio w dolinie. Dał mi wizytówkę i kazał zadzwonić. Może to jest to.

Duchess ziewnęła, jej powieki zrobiły się ciężkie, światła zaczęły się rozmazywać.

-- Duchess z Cape Haven. Wiesz, zawsze marzyłam, żeby mieć córkę. Z piękną kokardą we włosach.

Duchess wiedziała.

-- Co wiesz o Billym Blue Radleyu?

Star się uśmiechnęła.

-- Twój dziadek kiedyś ciągle o nim opowiadał. Uważałam, że wszystko to sobie wymyślił.

-- Był prawdziwy. Krew Radleyów, mamó. -- Pomyślała, czy nie zapytać znów o ojca, ale odłożyła to na potem, była zbyt padnięta, żeby się w to teraz zagłębiać.

-- Wiesz, że cię kocham, prawda?

-- Jasne.

-- Poważnie, Duchess. Wszystko, co robię... wszystko robię dla was dwojga.

Duchess wpatrywała się w noc.

-- Ja tylko chciałabym...

-- No co?

-- Chciałabym, żeby było coś pomiędzy. No wiesz. Ludzie tak żyją. Nie to, że mają wszystko albo nic... toniesz albo płyniesz. Większość ludzi po prostu brnie przez wodę, i tyle wystarczy. Bo kiedy ty toniesz, ciągniesz nas za sobą.

Star otarła oczy.

-- Ja się staram. Będzie lepiej. Dziś rano znów powtórzyłam afirmację. Będę powtarzać codziennie. Chcę to zrobić dla was.

-- Znaczy co?

-- Nie chcę być egoistką. Bezinteresowność, Duchess. To czyni z ciebie dobrego człowieka.

Dochodziła północ, gdy dotarli do miasta. Duchess prawie umarła, kiedy zobaczyła na podjeździe escalade'a.

Brama była otwarta, Darke stał przed domem, na werandzie, czekał i wpatrywał się przed siebie w sposób, który ją przerażał, jakby widział coś w cieniu. Nie lubiła go. Był zbyt spokojny, kurewsko duży i kurewsko dużo się gapił. Widywała go pod szkołą, za ogrodzeniem, jak po prostu siedział w samochodzie i ją obserwował.

-- Myślałam, że masz dziś zmianę od północy? -- odezwała się Duchess.

Star sprzątała biura w Bitterwater.

-- No... nie poszłam tam wczoraj, więc mi powiedzieli, że mam już nie wracać. Nie martw się, pójdę na barmankę do lokalu Darke'a, pewnie dlatego tu jest.

-- Nie chcę, żebyś tam pracowała.

Star uśmiechnęła się, po czym znów pokazała wizytówkę, jakby to miał być dowód na cokolwiek.

-- Szczęście się do nas uśmiecha.

Duchess podniosła brata. Był lekki, miał chude nogi i ramiona, włosy urosły mu za bardzo, ale nie stać ich było na Joego Rogersa przy Main, gdzie się strzygli inni chłopcy. Cieszyła się, że jest za mały, by zwracać na to uwagę. Wkrótce jednak to się zmieni i już się tym martwiła.

Ich wspólny pokój, plakaty, które powiesiła, nauka i planety -- on miał być tym mądrym. Na półce jedna książka, o niegrzecznym Maksie odesłanym do łóżka bez posiłku, ale ostatecznie, co Robin uwielbiał, w porze kolacji okazywało się, na czym bohaterowi naprawdę zależy. Wy-

pożyczyła ją z małej biblioteki w Salinas i przedłużała co tydzień, dwie mile w każdą stronę rowerem.

Z dworu dobiegła ją rozmowa. Darke był właścicielem domu, Star nie miała pieniędzy na wynajem. Duchess była dość duża, by wiedzieć, co to oznacza, i na tyle młoda, by jeszcze nie rozumieć.

Pobiegła myślami do pracy domowej, jak bardzo będzie miała przesrane, jeśli jej nie skończy. Nie może sobie pozwolić na karne siedzenie po lekcjach, bo kto odbierze Robina? Star nie można było ufać.

Zdecydowała, że zdrzemnie się do świtu, a potem wczesnie wstanie. Rozsunęła zasłony. Ulica spała. Naprzeciwko był dom Milтона, z werandą rzęsiście oświetloną przez całą noc, co przyciągało roztrzepotane ćmy. Zobaczyła lisa, który z wdziękiem przebiegał ze światła w cień. A potem przy domu Brandona Rocka dostrzegła mężczyznę -- stał i patrzył w jej okno. Nie mógł jej zobaczyć w miejscu, w którym stała, trochę cofnięta w głąb pokoju. Był wysoki, nie tak jak Darke, ale nadal wysoki. Włosy krótko przystrzyżone, lekko przygarbiony, jakby duma zsuwała mu się z ramion.

Położyła się do łóżka.

I dokładnie wtedy, gdy powieki zaczęły jej opadać, usłyszała krzyk.

Krzyczała matka.

Wyskoczyła z pokoju z wyćwiczoną troską, dziewczynka nawykła do nocnych zająć, do matki, która zabiegała o najgorszych mężczyzn. Zamknęła drzwi za sobą; Robin się nie obudzi, a nawet jeśli, to nie będzie pamiętał. Nigdy nie pamiętał.

Usłyszała głos Darke'a, jak zawsze opanowany.

-- Uspokój się.

Zajrzała przez drzwi, szczelinę, wycinek piekła, lampa z boku rzucająca cień na matkę, leżącą na dywanie. Darke obserwował ją uważnie,

jakby była dzikim zwierzęciem, które właśnie uspokoił. Był za duży, za duży na to krzesło i na mały dom, i za duży, żeby się go pozbyć.

Duchess wiedziała, co robić, które deski skrzypią, więc niedostrzeżona przekradła się korytarzem do kuchni. Nie zadzwoni pod dziesięćset jedenaście, rozmowa zostałaby nagrana. Kiedy wybierała numer komórki Walka, usłyszała dźwięk i odwróciła się -- za późno, bo wtedy Darke odbierał już jej słuchawkę.

Wbiła mu paznokcie w rękę i drapała do krwi. Wyprowadził ją z kuchni, mocno ściskając za ramię. Drapała, przewróciła stolik, na wprost jej oczu znalazło się zdjęcie Robina z pierwszego dnia w przedszkolu.

Nad nią stał Darke.

-- Nic ci nie zrobię, więc nie nasyłaj na mnie glin.

Głos tak głęboki, że prawie nieludzki. Słyszała o nim różne historie, tylko strzępy, że jakiś człowiek wepchnął się przed niego na Pensacola, więc Darke wywlókł go z samochodu i zmasakrował mu twarz. I robił to z takim spokojem, że przechodnie patrzyli jak zahipnotyzowani.

Przyglądał się jej, jak zawsze. Studiował jej twarz, włosy, oczy, usta. Każdy szczegół, aż poczuła dreszcze.

Spojrzała w górę, na niego, gniewna twarz, z małym, zmarszczonym nosem.

-- Jestem banitką, Duchess Day Radley, a ty jesteś damskim bokse-rem, Dickie Darke'u.

Przesunęła się w tył, głową do drzwi. Światła latarni wpadały przez szybę, oblewając ją pomarańczową poświatą, gdy patrzyła, jak matka krzyczy, wrzeszczy i biegnie do Darke'a.

Nie zerwała się i nie pomogła, wiedziała, że lepiej tego nie robić. Wstała natomiast, kiedy zobaczyła cień za oknem.

Z tyłu Star wymachiwała pięściami. Darke złapał ją za ręce i próbował przytrzymać.

Duchess szybko podjęła decyzję; cokolwiek czai się na zewnątrz, nie będzie gorsze niż to w środku. Otworzyła drzwi i spojrzała mężczyźnie w twarz. Odsunęła się na bok; minął ją, chwycił Darke'a i zaczęli walczyć. Zadał jeden cios, trafił mocno w bok głowy.

Darke nawet nie drgnął, rozpoznał go i zamarł, wpatrywał się ze spokojem, rozważając wszystkie możliwości. Był o wiele wyższy od tamtego, lepiej zbudowany, ale ten drugi wyglądał, jakby się palił, palił do walki.

Darke wyłowił kluczyki z kieszeni, bez pośpiechu, i wyszedł z domu. Mężczyzna ruszył za nim, z Duchess za plecami.

Obserwowała escalade'a, dopóki światła auta nie znikły w ciemności. Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią. A potem za jej plecy, tam, gdzie na starej werandzie stała Star, bez tchu.

-- Chodź, Duchess.

Duchess się nie odezwała, poszła za matką z powrotem do domu; spojrzała za siebie tylko raz, w stronę mężczyzny, jakby przysłanego tu, by ją chronić.

Podczas szarpaniny rozdarła mu się koszula, a kiedy zaświecił księżyc, zobaczyła to. Krzyżujące się blizny, które go pokrywały, nabrzmiałe, gniewne i świeże.

Zmęczenie ją przytłoczyło, nie walczyła, pozwoliła sobie na to, każdy krok, oddech przychodził jej z trudem, oczy piekły, do uszu dobiegały stłumione dźwięki, czasem tak odległe, że nie reagowała.

Poczuła lekki uścisk dłoni, twarz brata, poważna, po nocy spędzonej w snach.

-- Wszystko dobrze? -- zapytał, zmartwiony.

Duchess niosła jego torbę i swoją. Siniak na przedramieniu, na które upadła. W swojej schowała referat, niedokończony, jej rodowód. Stopnie miała średnie, wiedziała, jak utrzymywać je na tym poziomie. W nic się już nie wtrącała, próbowała nie pakować się w gówno, nie chciała ryzykować, że Star się w cokolwiek wtrąci. Przy wieczorkach z rodzicami znajdowała wymówkę: "mama musi pracować, wie pani, jak to jest". Jadła sama, bała się, żeby inni nie zobaczyli, co ma. Czasem chleb z masłem, tak czerstwy, że można go było łamać. Niektórzy mają gorzej, wiedziała to, po prostu nie chciała ich towarzystwa.

-- Spałam w twoim łóżku, kopaleś mnie przez całą noc -- powiedziała.

-- Przepraszam. Wydaje mi się, że słyszałem jakiś hałas. Pewnie mi się śniło.

Patrzyła za nim, jak wybiega naprzód, na podjazd sąsiada, gdzie znalazł długi patyk i przyniósł go jak pies. Wyciągnął rękę i oparł się na nim niczym na lasce. Udawał staruszką tak długo, aż zaczęła się śmiać.

Wtedy drzwi się otworzyły. Brandon Rock dbał o swojego mustanga z taką troską, jakiej, zdaniem Star, nie okazywał byłej żonie.

Miał na sobie sportową kurtkę z czasów szkolnych, wyblakłą i obcisłą, tak że rękawy kończyły mu się w połowie przedramion. Spojrzał na

Robina.

-- Trzymaj się z daleka od samochodu.

-- Nawet się do niego nie zbliżył.

Brandon przeciął trawnik i stanął blisko niej.

-- Wiesz, co jest pod przykryciem?

Wskazał gestem na pojazd, ściśle owinięty niebieskim brezentem.

Codziennie wieczorem obserwowała, jak Brandon układa auto do snu, niczym noworodka.

-- Mama mówi, że przedłużenie penisa.

Patrzyła, jak jego policzki zaczynają płonąć.

-- To mustang z sześćdziesiątego siódmego.

-- Sześćdziesiąty siódmy, pewnie ten sam rocznik co kurtka.

-- To moja szczęśliwa liczba. Spytaj o mnie matkę. Rozgrywki międzystanowe. Nazywali mnie Szybkim Bykiem.

-- Szpetnym zbukiem?

Robin podszedł z tyłu i wziął ją za rękę. Czowała, że Brandon nie spuszcza z niej wzroku, dopóki nie zniknęli za zakrętem.

-- Dlaczego się tak wściekł? Przecież nawet nie zbliżyłem się do mustanga.

-- Jest wkurzony, bo chciał się umówić z mamą, a mama go olała.

-- Czy Darke przyszedł wczoraj w nocy?

Przed nimi świeciło słońce, podnosiły się żaluzje, otwierały sklepy.

-- Nie słyszałam.

Duchess wolała Cape Haven zimą, kiedy opadał blichtr i miasto stało się takie jak inne. Lato z trudem znosiła: długie, piękne, brzydkie.

Zobaczyła, że Cassidy Evans z koleżankami siedzą przed Rosie's; krótkie spódnice, opalone nogi, wydymały do siebie wargi.

-- Chodź, pójdziemy przez Vermont -- powiedział Robin, a ona pozwoliła się sprowadzić z Main, z oczu dziewczyn, które by się śmiały. -- Co będziemy robić w wakacje?

-- To samo co zawsze. Łazić po okolicy, chodzić na plażę.

-- Och.

Wbił wzrok w ziemię.

-- Noah jedzie do Disneylandu. A Mason na Hawaje.

Położyła mu rękę na ramieniu i lekko ścisnęła.

-- Coś dla nas wymyślę.

Robin podbiegł do drzewa przy Fordham. Patrzyła, jak rozchyła gałęzie wierzby, przechodzi pod nimi i próbuje się wspiąć na dolny konar.

-- Cześć.

Duchess się odwróciła; ze zmęczenia nie usłyszała nadjeżdżającego radiowozu, była zbyt rozkojarzona, by dostrzec zwalniającego przy niej Walka.

Zatrzymała się na chwilę, a on zgasił silnik, zdjął okulary przeciwsłoneczne i przez moment na nią patrzył.

-- Wszystko gra?

-- Jasne. -- Odpędziła wspomnienie ręki Darke'a, krzyku matki.

Walk pozwolił wybrzmieć słowu, pogmerał bezmyślnie przy radiu i zabębnił w drzwi.

-- A w nocy wszystko było okej?

Zawsze, kurwa, wszystko wiedział.

-- Przecież właśnie powiedziałam.

Uśmiechnął się wtedy. Nigdy jej nie zadreślał. Pilnował, ale Duchess wiedziała, że czasem dorośli myślą, iż pilnowanie oznacza robienie rzeczy prowadzących do sytuacji, które potem wymykają im się spod kontroli.

-- No dobra.

Ręka mu drżała, kciuk i palec wskazujący stykały się raz po raz.

Zobaczył, że to widzi, więc odpalił silnik radiowozu. Zastanawiała się, jak dużo wypił.

-- Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać, Duchess.

Miała już dość, ta jego tłusta, uprzejma twarz i pijane spojrzenie. Był miękki, galaretowaty, budyniowaty. Łagodny uśmiech, łagodne spojrzenie na jej świat. Nie widziała żadnego pożytku z łagodności.

Kiedy dotarli do szkoły, odprowadziła Robina do jego grupy, pomachała pannie Dolores i zawróciła. Ostatnie dni szkoły, musiała się mieć na baczności, ale był problem z pracą domową, drzewo genealogiczne mogło wszystko kompletnie zjechać. Zawsze odrabiała zadania. Brzuch ją zabolął, więc położyła na nim rękę, wyczuła twardy węzeł, jakby zbliżało się coś złego. Nie mogła wyjść przed klasę i powiedzieć, że nie wie, kim jest jej ojciec. Po prostu nie mogła.

Na korytarzu podeszła do szafki, próbowała uśmiechnąć się do dziewczyny obok, ale ta ją zignorowała. Tak było już od dłuższego czasu, jakby inni wiedzieli, jaka jest, wyczerpana odpowiedzialnością i konsekwencjami, a z takimi nikt nie chce się przyjaźnić.

W klasie usiadła na swoim miejscu, pośrodku, przy oknie z widokiem na pola. Stado ptaków dziobało w ziemi.

Pomyślała o Robinie, kto go odbierze, jak każą jej zostać po lekcjach. Nie było nikogo. Nikogo. Przełknęła gulę w gardle, oczy ją zapiekły. Nie płakała.

Drzwi się otworzyły, ale nie stanął w nich pan Lewis. Weszła starsza kobieta, powłócząc nogami, z parującym styropianowym kubkiem z kawą, z okularami dyndającymi na sznurku. Zastępstwo.

Duchess osunęła się na ławkę, kiedy kazała im wyjąć podręczniki i być cicho.

Walk znalazł go na pustym placu, tam gdzie z domu Fairlawnów została kupka gruzu. Robotnicy posprząтали działkę, zabezpieczyli, zebrali koparką drewno i dachówki i załadowali na ciężarówki, gotowe, by wywieźć wspomnienia.

Darke obserwował ich, a sama jego obecność sprawiała, że poruszali się szybciej. Gdy zobaczył Walka, trochę się wyprostował, a Walk instynktownie cofnął się o krok.

-- Piękny dziś dzień. Leah mówiła, że dzwoniłeś na posterunek. Znów jazdy w klubie?

-- Nie.

Tyle z pogawędki, bez względu na to, jak bardzo Walk by się starał. Z tego człowieka nie dało się wyciągnąć nic więcej niż to absolutnie, boleśnie konieczne.

Walk wetknął drżącą rękę do kieszeni.

-- No więc?

Darke wskazał na budynek za plecami.

-- Należy do mnie.

Mały dom z tyłu, złuszczone okiennice i podgniła weranda, ślady wysiłku, by go jako tako oporządzić, ale wyglądał, jakby był gotowy, żeby go zburzyć i postawić nowy.

-- To przecież Dee Lane. -- Walk zobaczył ją w oknie. Pomachał do niej, ale patrzyła gdzieś za niego, na wodę, widok wart milion dolarów, otwarty bezlitosnym oddechem natury.

-- Wynajmuje go. Nie chce się wynieść. Złożyłem na czas wszystkie dokumenty.

-- Pogadam z nią. Wiesz, mieszka tu od bardzo dawna.

Cisza.

-- I ma córki.

Darke odwrócił się, popatrzył w niebo, może w końcu coś do niego dotarło.

Walk skorzystał z okazji i dokładnie mu się przyjrzał. Czarny garnitur. Prosty zegarek na nadgarstku grubym jak kostka Walka. Walk zastanawiał się, na czym wyciskał. Może podnosił rodzinny samochód.

-- Co teraz zrobisz, w sensie z domem?

-- Będę budował.

-- Wystąpiłeś o pozwolenie? -- Walk sprawdzał wnioski, oponował przeciwko zmianom, zawsze i wszędzie. -- Słyszałem, że w nocy był jakiś problem. U Radleyów.

Darke po prostu patrzył.

-- Małe miasteczko. -- Walk się uśmiechnął.

-- Już niedługo. Rozmawiałeś jeszcze z Vincentem Kingiem?

-- Powiedział... znaczy dopiero co wyszedł, więc w obecnej chwili...

-- Po prostu powiedz.

Walk zakaszłał.

-- Mam ci powiedzieć, żebyś spierdalał.

Maska smutku albo rozczarowania pojawiła się na twarzy Darke'a. Strzyknął stawami palców, dźwięk zabrzmiał jak wystrzał. Walk mógł sobie tylko wyobrazić, jakie szkody wyrządziłby tamten swoimi butami w rozmiarze osiemnaście.

Walk ruszył się, podszedł do miejsca robót; ludzie za sterami maszyn, z papierosami przyklejonymi do ust i oczami zmrużonymi od słońca.

-- Komendancie Walker.

Walk odwrócił się.

-- Panna Lane może zostać jeszcze przez tydzień. Mam magazyn. Gdyby miała jakieś rzeczy, proszę jej przekazać, żeby wystawiła przed dom. Zabiorę je i przechowam. Za darmo.

-- Miło z twojej strony.

Przed domem Dee znajdował się mały taras, poza tym coś na kształt kwietnej rabatki, która świadczyła o dumie tego miejsca, bez względu na jego rozmiary. Znał ją od dwudziestu lat, każdy rok spędziła w domku przy Fortuna Avenue. Miała męża, do czasu aż zaczął się kurwić i zostawił ją z długami i dwójką dzieci do wychowania.

Dee wyszła do niego przez taras.

-- Powinam go była zajebać gołymi rękami.

Była niska, pewnie nieco ponad pięć stóp, atrakcyjna w surowy sposób, jakby ostatnie lata ostatecznie zniszczyły w niej dawną Dee. Ona kontra Darke, nie było większego dysonansu.

-- Pomogę ci znaleźć...

-- Pierdol się, Walk.

-- Darke ma rację? To wypada dziś?

-- Dziś, ale nie ma racji. Wynajmowałam od niego dom od trzech lat, kiedy przejął hipotekę... dogadał się z bankiem. Potem dom Fairlawnów spadł, zrobił się widok na morze, mam to w poczcie.

Przejrzała pakiet dokumentów i podała mu list.

Przeczytał go uważnie.

-- Naprawdę bardzo mi przykro. Rozmawiałś z kimś?

-- Rozmawiam z tobą.

-- No nie wiem, od strony prawnej...

-- Mówił mi, że mogę tu zostać.

Walk przeczytał list jeszcze raz, potem obejrzał zawiadomienia.

-- Jeśli chcesz, pomogę przy pakowaniu. Dziewczynki już wiedzą?

Dee przymknęła oczy, po czym otworzyła je, uwalniając kilka łez, i potrząsnęła głową. Olivia i Molly, szesnaście i osiem lat.

-- Darke powiedział, że możesz zostać jeszcze tydzień.

Dee głęboko odetchnęła.

-- Wiesz, że się kiedyś spotykaliśmy... po Jacku.

Walk wiedział.

-- Myślałam... że no, Darke dobrze wygląda, ale to jebany świr, Walk. Czegoś mu brakuje. Nawet nie jestem pewna, o co chodzi, jest zbyt oziębły na człowieka. Jak robot. I nawet mnie nie dotknął.

Walk zmarszczył brwi.

-- Wiesz, co to oznacza.

Poczuł, że się czerwieni.

-- Nie to, że jestem jakąś desperatką, nie, ale jeśli spotykasz się z kimś pięć czy sześć razy, to naturalne. Ale nie z nim. W Dickim Darke'u jest coś nienaturalnego.

Zobaczył pudła przed domem; chciał je przenieść, ale Dee powiedziała, żeby zostawił.

-- To wszystko śmieci. Dziś rano zaczęłam pakować swoje życie. I wiesz, co sobie uświadomiłam? -- Płakała, bez żadnego dźwięku czy łkania, tylko nieprzerwany strumień łez. -- Zawiodłam je, Walk.

Zaczął coś mówić, ale wzięła go za rękę; stała tak blisko, że przewał.

-- Zawiodłam moje dziewczynki. Nie mam teraz dla nich domu. Nie mam nic.

Tego wieczora, gdy Robin i matka zasnęli, wyszła przez okno pokoju i ruszyła na rowerze.

Zmierzch, odchodzący błękitny dzień, wystawione pojemniki ze śmieciami, zapach grilla. Duchess była głodna, nigdy nie jadła tyle, żeby się najeść. Robiła wszystko, by Robin jadł, ile się da.

Skreśliła w Mayer, opadając łagodnie ze wzniesienia, rower jechał sam siłą rozpędu, ze wstążkami po jednej stronie. Była w szortach, ale bez kasku, na górze top, na nogach sandały.

Zwolniła i skreśliła w Sunset Road.

Dom Kinga zawsze był jej ulubionym, sposób, w jaki stał, częściowo zrujnowany, cholernie niepasujący do otoczenia.

Zobaczyła go od razu.

Brama garażu była otwarta, mężczyzna stał na drabinie i delikatnie zdejmował dachówki. Rozebrał już połowę, obok rolki papy leżały narzędzia, młotki i kilofy, stała też taczka pełna suchych, brudnych kamieni. Włączył lampę, która dawała dość światła.

Widziała zdjęcia Sissy -- miały ten sam typ urody, jasne włosy i oczy, piegi na małych nosach.

Podjechała powoli, szurając stopami po ziemi, na niewygodnym siodełku, balansowała i odpychała się jedną nogą.

-- Byłeś w moim domu.

Odwrócił się.

-- Jestem Vincent.

-- Wiem.

-- Kiedyś znałem twoją mamę.

-- To też wiem.

Wtedy się uśmiechnął, nie tak naprawdę, może jakby to był dopiero wstęp, jakby uczył się czegoś od nowa. Nie odpowiedziała uśmiechem.

-- Z twoją mamą wszystko dobrze?

-- Z mamą zawsze jest wszystko dobrze.

-- A co z tobą?

-- Nie musisz o to pytać. Jestem banitką.

-- Mam się martwić? Banici są źli, prawda?

-- Dziki Bill Hickok zabił dwóch ludzi, zanim został szeryfem. Może kiedyś wyjdę na prostą, a może nie.

Podjechała trochę bliżej. Był spocony, T-shirt miał ciemny na piersi i pod pachami. Nad garażem wisiała stara obręcz do kosza, bez siatki; zastanawiała się, czy mężczyzna pamięta, jak kiedyś grał, czy w ogóle coś pamięta.

-- Wolność -- powiedziała. -- Czy jest gorsza rzecz do odebrania? Gorsza niż wszystko inne. Może i jest.

Zszedł z drabiny.

-- Masz bliznę na ramieniu.

Spojrzał w dół na swoją rękę, blizna biegła przez całą jej długość, nie zaczerwieniona, taka po prostu.

-- Masz blizny na całym ciele. Bili cię tam?

-- Jesteś bardzo podobna do matki.

-- Niech cię to nie zmyli.

Cofnęła się odrobinę, pokiwała małą kokardą we włosach, kiedy jej się przyglądał.

-- Taka ściema. Ludzie widzą dziewczynkę, i tyle.

Popychała rower w przód i w tył.

Podniósł śrubokręt i podszedł do niej powoli.

-- Hamulec trze o koło, dlatego ciężko się pedałuje.

Nie spuszczała z niego oka.

Przyklęknął przy jej nodze, ostrożnie, żeby jej nie dotknąć, pomajstrował przy hamulcu, potem wstał i się odsunął.

Poruszyła znów rowerem, poczuła, że koło sunie łatwiej, odwróciła się, gdy wyrzał księżyc, rozjaśniając niebo za nim i stary dom.

-- Nie przychodź już do nas więcej. Nie potrzebujemy nikogo.

-- Dobra.

-- Nie chcę, żeby coś ci się stało.

-- Też tego nie chcę.

-- Ten chłopak, który ci wybił okno, nazywa się Nate Dorman.

-- Dobrze wiedzieć.

Odwróciła się i powoli odjechała, dalej od niego, bliżej domu.

Kiedy dotarła na swoją ulicę, zobaczyła samochód, tak długi, że wystawał poza ich podjazd. Darke wrócił.

Nacisnęła mocniej pedały, rzuciła rower na trawę, wściekła, nie powinna była wychodzić z domu. Przeszła za róg do drzwi kuchennych, cicho, pot ciekł jej po kręgosłupie. Zdjęła telefon z uchwyty na ścianie. I wtedy to usłyszała: śmiech, śmiech matki.

Patrzyła z mroku, oni jej nie widzieli. Butelka na stoliku opróżniona do połowy, bukiet czerwonych kwiatów, takich, jakie sprzedają na stacji benzynowej przy Pensacola.

Potem wyszła przed dom, wróciła do pokoju przez okno i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Zdjęła szorty, cmoknęła Robina w głowę, po czym rozsunała zasłony i położyła się w nogach łóżka brata. Nie zaśnie, póki ten ogromny facet sobie nie pójdzie.

Opowiedz mi o dziewczynce -- powiedział Vincent.

Siedzieli na tyłach starego kościoła. Za oknem był cmentarz, a jeszcze dalej ocean, jedno i drugie w przybrudzonych kolorach. Wcześniej zatrzymali się przy grobie Sissy, Walk zostawił przyjaciela samego. Vincent przyniósł kwiaty, przyklęknął i odczytał napis na nagrobku. Spędził tak godzinę, aż w końcu Walk podszedł i delikatnie położył mu dłoń na ramieniu.

-- Duchess jest starsza, niż powinna, rozumiesz. -- Walk odgadywał, że Vincent rozumie lepiej od innych.

-- A Robin?

-- Bardzo o niego dba. Duchess robi to, co powinna robić jej matka.

-- Co z ojcem?

Walk spojrział na stare ławki pomalowane na biało, krople farby skapnęły na kamienne podłoże. Sklepienie było wysokie, łukowate, z misternymi splotami, zachwycające tym rodzajem piękna, które zmusza urlopowiczów do robienia zdjęć i przychodzenia tu co niedzielę.

-- Nic nie wiadomo, w przypadku obu. Spotykała się wtedy z paroma chłopakami, dużo jeździła. Widywałem ją, jak wracała rano.

-- Podglądacz, wstyd.

-- Nie mam się czego wstydzić. Znasz Star, czy kiedyś się czymś przejmowała?

-- Nie jestem pewny, czy ją znam, czy kiedykolwiek ją znałem.

-- Znałeś. To ta sama dziewczyna, którą zabrałeś na bal w podstawówce.

-- Pisałem do Hala. Jej ojca.

-- Odpisał?

-- Odpisał.

Minęło dziesięć minut, Walk zastanowił się i jednak nie chciał wiedzieć. Ojciec Star był twardy. Miał ziemię w Montanie, Cape wywoływało w nim zbyt bolesne wspomnienia, żeby tu przyjeżdżać. Nigdy nie poznał wnuków.

-- Najpierw kazał mi się zabić.

Walk popatrzył na ścianę z wizerunkami świętych, przedstawieniami sądu i scenami wybaczenia.

-- Mogłem to zrobić. Potem zmienił zdanie. Śmierć była za dobra. Przesłał mi jej zdjęcie. -- Vincent przełknął ślinę. -- Sissy.

Walk zamknął oczy, gdy przedarło się słońce i padło na ambonę.

-- Byłeś już w mieście?

-- To miejsce jest już dla mnie obce.

-- Poznasz je na nowo.

-- Musiałem iść do Jenningsa po farbę. Widziałem, że teraz sklep należy do Erniego.

-- Zaczepiał cię? Mam z nim pogadać?

Ernie szedł z nimi tyralierą tamtej nocy. To on pierwszy dostrzegł podniesioną rękę Walka, pierwszy podbiegł, a potem zamarł, gdy zobaczył, zgiął się i zwymiotował na widok dziewczynki.

Wstali razem i odeszli, przez zieloną trawę, między pochylonymi nagrobkami. Na skraju klifu popatrzyli na wodę rozbijającą się o skały sto stóp niżej.

Walkowi zakręciło się w głowie.

-- Często o tym myślałem. Jacy byliśmy. Widzę dzieciaki z Cape Haven, na przykład Duchess, i myślę o mnie, o tobie, Star i Marcie. Star powiedziała mi kiedyś, że czuje się jak piętnastolatka. Możemy wszyst-

ko naprawić, między nami trojgiem. Z czasem znów będzie tak samo. Tak było prościej, racja. Było...

-- Posłuchaj, Walk. Wydaje ci się, że wiesz, czy tam mógłbyś wiedzieć, co działo się przez te wszystkie lata. Kimkolwiek byłem, teraz już nim nie jestem.

-- Dlatego odmówiłeś mi wizyty po śmierci twojej matki?

Vincent wbił wzrok w panoramę, jakby nie usłyszał.

-- On pisał do mnie, Hal. Rok w rok. W urodziny Sissy.

-- Nie trzeba było...

-- Czasem tylko parę słów, żeby mi przypomnieć, jakbym tego potrzebował. A czasem rozpędzał się na dziesięć stron. Nie wszystko było w złości, czasem pisał o zmianie, co powinienem zrobić, że powinienem pozwolić innym żyć własnym życiem i ich nie niszczyć.

Walk wtedy załapał; to nie była samoobrona, w każdym razie nie w takim sensie, w jakim ją rozumiał.

-- Jeśli nie możesz naprawić zła, nawet się do tego nie zabieraj...

Patrzyli razem na trawler, "The Sun Drift". Walk znał go, niebieska farba i rdza, zakrzywione linie stali i drutu. Nie słyszeli silnika w miejscu, w którym stali, sunął w ciszy, żadnych fal, tylko linia wyrzeźbiona jego kadłubem.

-- Pewne rzeczy po prostu się dzieją, fakt. Zawsze jest jakiś powód, ale gadanie niczego nie zmieni.

Było tyle spraw z tych ostatnich trzydziestu lat, o które chciał spytać przyjaciela, ale blizny na nadgarstkach Vincenta mówiły mu, że mogło być gorzej, niż umiał sobie wyobrazić. W milczeniu ruszyli w stronę miasta, Vincent trzymał się pobocza, szedł z opuszczoną jak zwykle głową.

-- A Star -- powiedział -- spotykała się wtedy z wieloma facetami?

Walk wzruszył ramionami i przez chwilę myślał, że słyszy w głosie Vincenta nutę zazdrości.

Patrzył na przyjaciela idącego w stronę Sunset, by łątać stary, pusty dom.

Po lunchu Walk pojechał do szpitala Vancour Hill. Wjechał windą na czwarte piętro, zajął miejsce w poczekalni i zaczął przeglądać czasopisma, błyszczące strony o surowych, minimalistycznych jak ich właściciele domach, z odbijającymi światło higienicznymi tynkami. Głowę trzymał nisko opuszczoną, chociaż oprócz niego była tam tylko młoda kobieta, równie bezsilna jak on, oboje zdradzeni przez ciało, z nieobecnym umysłem. Wywołano jego nazwisko; poszedł szybko, bez widocznych objawów, nie bacząc na ból i dolegliwości, przez które jeszcze parę godzin temu ledwo stał na nogach.

-- Leki nie działają -- powiedział, gdy usiadł. Gabinet niczym się nie wyróżniał, jedynym osobistym akcentem było zdjęcie w ramce, odwrócone tyłem. Lekarka nazywała się Kendrick.

-- Znowu ręka? -- spytała.

-- Wszystko. Pół godziny zajmuje mi codziennie wstanie z łóżka.

-- Ale nie odpuściłeś w innych sprawach? Spacerów? Uśmiechanie się?

Uśmiechnął się wbrew sobie. Odwzajemniła.

-- Tylko ręce, ramiona, są sztywne. Nic więcej, wiem, kiedy to wraca.

-- I nikomu nie powiedziałaś? Nadal?

-- Biorą mnie za mordercę.

-- I nie masz z tym problemu?

-- W mojej pracy to pasuje, nie?

-- Wiesz, że musisz komuś powiedzieć.

-- A potem co? Nie będę siedzieć za biurkiem.

-- Możesz spróbować robić coś innego.

-- Powtarzam, że jeśli zobaczysz, że marnotrawię czas na jakiejś rybackiej łódce, możesz podejść i z miejsca mnie zastrzelić. Policja to... moje miejsce. Lubię takie życie. Chcę zachować jedno i drugie.

Kendrick smutno się uśmiechnęła.

-- Coś jeszcze?

Gapił się bardziej na okno niż na widok; sposób, żeby się na chwilę odciąć i wypunktować to, co należało. Mały problem przy sikaniu, mały problem ze sranie. I trochę większy problem ze snem. Kendrick powiedziała, że to normalne, zasugerowała, żeby trochę schudł, przeszedł na dietę, chodził na terapię, zmienił dawkę lewodopy. Nic, czego by sam nie wiedział. Nie należał do osób, które ślepo idą w farmaceutyki. Wolny czas spędzał w bibliotece, czytał: sześć stadiów, hipoteza Braka, wracał nawet do Jamesa Parkinsona.

-- Kurwa mać -- powiedział, po czym podniósł rękę. -- Przepraszam. Zwykle nie przeklinam.

-- Kurwa mać -- zgodziła się Kendrick.

-- Nie mogę stracić pracy. Po prostu nie mogę. Ludzie mnie potrzebują. -- Zastanowił się, czy to na pewno prawda. -- To tylko prawa strona -- skłamał.

-- Mamy tu grupę.

Zmusił się do wstania.

-- Proszę -- powiedziała.

Wziął od niej broszurkę.

Duchess siedziała na piasku. Objęła się za kolana i obserwowała Robina, który brodził w wodzie po kostki i polował na muszle. Miał już całą kolekcję, głównie fragmentów, w wypchanych kieszeniach.

Trochę dalej, na lewo od nich, znajdowała się grupa nastolatków ze szkoły: dziewczyny w kostiumach, chłopcy biegający za piłką. Hałas niósł się z daleka, prosto w jej stronę. Miała tę zdolność, że potrafiła czuć się całkiem sama na plaży pełnej ludzi, w klasie pełnej dzieci. Nauczyła się od matki, ale walczyła z tym na wszelkie sposoby. Robin potrzebował stabilności, nie nadętej nastoletniej siostry, która dzięki wredocie przebija się przez swoje zasrane życie.

-- Jeszcze jedna! -- zawołał.

Wstała i podeszła; woda w pierwszej chwili wydawała się zimna, poszarpany brzeg ciągnął się w obu kierunkach. Poprawiła Robinowi czapkę i dotknęła ramion, rozgrzane, nie stać ich było na krem.

-- Nie spal się.

-- Wiem.

Pomogła mu szukać, wyłowila idealnego jeżowca i zobaczyła szeroki uśmiech brata.

Robin dostrzegł Ricky'ego Tallowa i podbiegł do niego. Przywitani się uściskami, co skłoniło ją do uśmiechu.

-- Cześć, Duchess.

Leah Tallow. Była zwyczajna; Duchess czasem żałowała, że jej matka nie może taka być. Zwykła mama, nie barowa śpiewaczka z tyłkiem i cyckami, nie kobieta, za którą faceci oglądają się na plaży.

-- Musimy niedługo iść.

Twarz Robina posmutniała, ale nic nie powiedział.

-- Możemy go potem odwiedzić, jeśli się śpieszysz. Gdzie mieszkacie?

-- Ivy Ranch Road.

Ojciec Ricky'ego, posiwiały o wiele za wcześnie, z workami pod oczami, które Duchess zdawały się większe za każdym razem, kiedy go widziała.

Leah rzuciła mężowi spojrzenie.

Odwrócił wzrok, wysypał plażowe zabawki z torby. Robin patrzył na nie, trzymając usta mocno zaciśnięte. Nie poprosi jej; nienawidziła tego, kochała go za to, ale dalej tego nienawidziła.

Przez chwilę się zastanawiała.

-- Na pewno możecie?

-- Oczywiście. Później dojedzie do nas brat Ricky'ego. Pokaże chłopakom, jak się rzuca piłką.

Robin patrzył w górę na Duchess ogromnymi oczami.

-- Odwieziemy go przed kolacją.

Duchess wzięła Robina na bok, przyklękła na piasku i chwyciła jego twarz w dłonie.

-- Wiesz, że masz się zachowywać.

-- Tak. -- Zerknął ukradkiem przez ramię, tam gdzie Ricky już zaczynał kopać tunel. -- Będę grzeczny, przysięgam.

-- Nie oddalaj się, nie uciekaj, bądź miły. Nic nie mów o mamie.

Robin kiwnął głową z poważną twarzą. Pocałowała go w głowę, pomachała do Leah Tallow i poszła po rozgrzanym piasku w stronę roweru.

Była już mocno spocona, kiedy dojechała do Sunset Road, zsiadła i pchała rower ostatni kawałek. Zatrzymała się pod domem Kinga.

Na werandzie Vincent szlifował deski, zgięty w pół, pot kapał mu z podbródka. Patrzyła przez chwilę. Miał mięśnie, płaskie i naprężone na ramionach, nie wypukłe i zaokrąglone, jakie widziała na plaży u tych

napakowanych chłopaków. Przeszła przez ulicę i stanęła na końcu podjazdu.

-- Chcesz pomóc? -- Vincent przerwał, siedział teraz z kawałkiem drewna i papierem ściernym w ręce, drugą wyciągnął w jej stronę.

-- Dlaczego, do cholery, miałabym chcieć to robić?

Wrócił do pracy. Oparła rower o ogrodzenie i podeszła bliżej.

-- Chcesz się czegoś napić?

-- Jesteś obcy.

Zauważyła tatuaż, który ukazał się, gdy mężczyzna rozprostował ramiona, a rękaw T-shirtu lekko się zsunął. Szlifował przez kolejne dziesięć minut.

Stopniowo przybliżała się do niego.

Przerwał, znów usiadł.

-- Tamten facet... wtedy, w nocy. Znasz go? Patrzył na mnie, jakby wiedział, kim jestem. Często przychodzi?

-- Ostatnio coraz częściej.

Otarła przedramieniem pot z czoła.

-- Chcesz, żebym powiedział Walkowi?

-- Niczego od ciebie nie chcę.

-- Masz kogoś innego, do kogo możesz zadzwonić?

-- Jestem banitką, tak mam zapisane w aktach.

-- Chcesz zadzwonić do mnie, jeśli to się powtórzy?

-- Dallas Stoudenmire zabił trzech ludzi w pięć sekund. Myślę, że dam radę jednemu.

Przeniosła ciężar ciała na jedną nogę, potem zrobiła kolejny ruch w jego stronę i usiadła na dolnym schodku, o pięć niżej od niego.

Odwrócił się, schylił i znów zaczął szlifować, przesuwając rękę równomiernie i z dużą siłą. Sięgnęła po inny kawałek drewna i zaczęła

trzeć na swoim schodku.

-- Czemu nie sprzedasz tego chujowego domu?

Ukląkł, jakby się modlił do starego budynku.

-- Ludzie mówią... to znaczy słyszałam w Rosie's, mówili, że mógłbyś zgarnąć milion dolców, czy coś równie głupiego. A ty chcesz tu zostać.

Spojrzał za siebie, na dom, i patrzył tak długo, jakby widział coś, czego ona nie mogła zobaczyć.

-- Ten dom zbudował mój dziadek. To miasto, Cape Haven, kiedy Walk mnie przywiózł, cieszyłem się, że znam chociaż fragmenty. Nie tylko urlopowicze je zmienili, ale... -- Przerwał, szukając odpowiednich słów. -- Nie sądzę, żebym był na wskroś zły, wtedy. Kiedy do tego wracam, kiedy patrzę wstecz, na tamte czasy, widzę kogoś, kto nie był tak do końca zły.

-- A teraz?

-- Więzienie ma sposób na zgaszenie światła. A ten dom to... może mały płomyk, ale nadal płonie. Jeśli go stracę, jeśli pozwolę, by ostatecznie światło zgasło, wtedy zostanie już tylko ciemność i nie będę w stanie już tego zobaczyć.

-- Zobaczyć czego?

-- Nie masz tak, że ludzie na ciebie patrzą, ale tak naprawdę cię nie widzą?

Nie odpowiedziała. Kiwając kokardą, zawiązała sznurówkę trampka.

-- Co się stało Sissy?

Znów przestał szlifować; tym razem usiadł, jedną ręką osłonił oczy od słońca.

-- Mama ci nie powiedziała?

-- Ty mi powiedz.

-- Wziąłem samochód brata.

-- Gdzie on był?

-- Pojechał na wojnę. Wiesz o Wietnamie?

-- Tak.

-- Chciałem się popisać przed dziewczyną, więc zabrałem ją do samochodu.

Wiedziała, kim była ta dziewczyna.

-- Gdy odwoziłem ją do domu, pojechałem Cabrillo... Znasz ten zakręt za tabliczką z nazwą miasta?

-- Tak.

-- Nie wiedziałem, że ją potrąciłem -- mówił cicho. -- Nawet nie zwolniłem.

-- Co tam robiła?

-- Szukała siostry. Twój dziadek pracował czasem na noc w fabryce, Tallow Construction. Jeszcze istnieje?

Wzruszyła ramionami.

-- Tak jakby.

-- Wtedy w dzień odsypiał. Star się nią zajmowała.

-- Ale Star nie było.

-- Zadzwoiłem po nią. Wypiliśmy parę piw. My i Walk z Martha May. Znasz ją?

-- Nie.

-- Straciłem poczucie czasu. Zostawiła Sissy przed telewizorem. -- Jego głos nie miał głębi. Jakby recytował z pamięci, aż się zastanawiała, co z niego zostało.

-- Jak cię znaleźli?

-- Myślę, że Walk był gliną już wtedy. Przyszedł do mnie wieczorem, zobaczył samochód, uszkodzenia.

Pracowali w milczeniu. Zacisnęła zęby i wygładzała drewno tak mocno, że bolało ją ramię.

-- Musisz na siebie uważać -- powiedział. -- Znam takich. Darke. Widywałem już tego typu gości, mają coś w oczach, nic dobrego.

-- Nie boję się. Jestem twarda.

-- Wiem.

-- Nie wiesz.

-- Masz brata, o którego musisz się troszczyć. To wielka odpowiedzialność.

-- Zamykam nasz pokój na klucz, żeby nic nie widział. Jak coś usłyszy, uważa, że mu się przyśniło coś złego.

-- Zamykasz go w środku? To bezpieczne?

-- Bezpieczniejsze, niż gdyby wyszedł.

Popatrzyła na niego; odpłynął myślami, jakby rozwiązywał w głowie jakieś skomplikowane zadanie.

Minęła chwila, zanim w końcu dostrzegł jej spojrzenie.

-- Jesteś banitką?

-- Jestem.

-- To zaczekaj. Mam coś dla ciebie.

Obserwowała, jak wchodzi do domu, i zastanawiała się nad przebaczeniem. Wiedziała, że to ułaskawienie jest tymczasowe, tak ulotne, że kiedy zobaczyła go wracającego, pomyślała, że patrzy na skazańca.

Czasem myślę, że mnie nienawidzi.

Walk podniósł wzrok na Star, ale ona nie odwzajemniła spojrzenia. Dziś rano była spokojna, wiedział, że to nie potrwa długo.

-- Jest nastolatką.

-- Serio tak myślisz, Walk? Nie potrzebuję takiego pierdolenia, nie od ciebie.

Kiedy mijali dom Brandona Rocka, Walk zobaczył, że zasłona się porusza, a potem pokazał się Brandon. Z zaciśniętymi wargami, mocno kuśtykał, gdy szedł przez podjazd. Walk zwolnił, a Star westchnęła.

-- Dobry. -- Brandon uśmiechnął się do Star.

-- Znów obudziłeś pół ulicy, Brandon. Lepiej napraw ten silnik, albo przyjdzie Duchess i załatwi to za ciebie.

-- Jest z sześćdziesiątego siódmego...

-- Wiem, co to za samochód. Należał do twojego ojca, ten sam, którym jeździłeś przez ostatnie dwadzieścia lat. Widziałam, że nawet opowiadałeś o tym pieprzonym gracie w lokalnej gazecie.

Układ gazety był prymitywny, wiadomości z życia mieszkańców znajdowały się gdzieś przy ogłoszeniach drobnych. Brandon przez pół strony mówił o tłokach, a potem zdjęcie pokazywało go leżącego na masce, z nastroszonymi włosami i spierzchniętymi ustami. Duchess przemałowała mu twarz flamastrem i przyczepiła dzieło na bramie wjazdowej.

-- Będzie zrobiony na czwartego lipca. Tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś pojechać do Clearwater Cove. Mógłbym urządzić piknik. Biskopki z kremem. Lubisz biskopki z kremem. Kurczak z anansem. Mam nawet rondel do fondue.

Trzymał hantle, żyły na prawym ramieniu mocno mu pulsowały.

-- Nie umówię się z tobą, Brandon. Pytasz mnie od liceum i jestem już tym zmęczona.

-- Wiesz, że pewnego dnia po prostu ci odpuszczę, Star.

-- Dasz mi to na piśmie?

Wzięła Walka pod ramię i odeszli.

-- Myśli, że ciągle jeszcze jesteśmy w szkole -- powiedziała.

-- I ciągle jest urażony, że Vincent mu cię sprzątnął.

Kiedy doszli do końca Ivy Ranch Road, spojrzął za siebie i zobaczył, że Brandon dalej stoi w tym samym miejscu i śledzi ich wzrokiem.

Spacerowali; cotygodniowy rytuał, który odprawiali już prawie dziesięć lat. Walk wpadał w poniedziałek rano i wyciągał Star z domu, chodzili i rozmawiali. Nie za długo, ale czasem myślał, że rutyna dobrze jej robi. Skoro nie chce rozmawiać z terapeutą, może mówić do niego.

-- No i co z nim?

-- W porządku.

Rzuciła na niego okiem.

-- Co to, kurwa, znaczy, Walk? W porządku. Powiedz mi coś o nim.

-- Opowiedział mi. O tym, co się wydarzyło tamtej nocy.

-- Mój bohater, niech cię. Miałam wszystko pod kontrolą. Nie potrzebuję, żeby pieprzony Vincent King przychodził i mnie bronił.

-- Zawsze nas bronił. Pamiętasz, jak syn Johnsonów myślał, że ukradłem mu rower?

Star się zaśmiała.

-- Jakbyś był w stanie ukraść cokolwiek.

-- Był duży.

-- Nie na tyle, by odstraszyć Vincenta. To w nim lubiłam. Był twardy, ale tylko my wiedzieliśmy, co ma w środku. Sissy go uwielbiała. Siedzieliśmy na kanapie, a ona przychodziła i wciskała się między nas. Poświęcał jej czas, no wiesz, zabierał jej rysunki do domu i nie wyrzucał.

-- Pamiętam.

-- Ty wszystko pamiętasz, Walk.

-- Po co się z nim zadajesz? Z Darkiem. On nie jest w porządku.

-- To nie tak, jak myślisz. Wkurzyłam się na niego. Ja wszystko zaczęłam. Zapomnij o tym. Dziś pracuję w klubie na nocną zmianę.

Na rogu Sunset przystanął na chwilę, wzrok Star powędrował za jego plecami do domu Kinga. Pozwolił, żeby to ona prowadziła, i poszli w drugą stronę, w dół, do plaży. Samochody przejeżdżały, pojawił się SUV.

Zobaczył, że to Ed Tallow, podniósł rękę, ale tamten minął ich, nie odrywając spojrzenia od Star.

Walk poluzował krawat, a Star zrzuciła sandały i weszła na rozgrzany piasek. Podążył za nią, piasek wsypał mu się do butów, gdy biegła do wody, zarzucając piętami, jakby się paliły. Zatrzymała się, po kostki w oceanie, i zaśmiała, gdy on brnął w jej stronę.

Szli brzegiem.

-- Wiem, że nawalam, Walk.

-- Wcale nie...

-- Wiem, że wszystko mi się pieprzy w tej jednej rzeczy, w której powinnam być dobra.

-- Duchess cię kocha. Jest łobuziarą, ale widzę, jak na ciebie patrzy. A Robin...

-- Robin jest łatwy. Jest cały... wziął ze mnie wszystko, co najlepsze. To mój królewicz.

Usiedli na piasku.

-- Trzydzieści lat, Walk. A potem bum, wracasz do miasta, które opuściłeś. Myślałam o nim, za dużo myślałam o nim przez te wszystkie lata. I wiem, że to ci się podobało, lubiłeś o nim mówić, jakbyśmy dalej byli tymi samymi ludźmi.

Poczuł wtedy uderzenie gorąca, pot spłynął mu po plecach.

-- To ty to robisz, pijesz albo ćpasz prawie na śmierć, a potem idziemy i gadamy, jakby nic się nie stało.

-- Ta twoja przekłeta patologiczna uczciwość, Walk. Dźwigasz ciężar, którego nawet nie widzisz. To nie na mnie Duchess patrzy, patrzy na ciebie.

-- Nie, to nie...

-- Przypominasz jej wszystko, co dobre. Jesteś prawdziwym mężczyzną w jej życiu, kimś, kto nie kłamie, nie próbuje rolować, robić ludzi w chuja. Nie mówi tego, ale cię potrzebuje. Nie możesz jej zawieść, bo to byłoby jak zgaszenie światła.

-- Wyjdiesz na prostą. To ty będziesz dla niej tą osobą.

Przesiewała piasek ręką, nabierała i przepuszczała go między palcami.

-- Co mam robić? Jak mam powstrzymać siebie?

-- Spotkaj się z nim.

-- Mam mu wybaczyć?

-- Tego nie powiedziałem.

-- Za każdym razem, gdy zasypiam, myślę o nim. Nie mam dość sił, żeby sobie z tym poradzić. Co to wszystko oznacza, co będzie oznaczało wpuszczenie go z powrotem do mojego życia. To nie jest już tylko moje życie.

-- Jest lepszy niż Dickie Darke.

-- Kurwa, Walk. Jesteś jak dziecko. Lepszy i gorszy. Zły i dobry. Nikt z nas nie jest taki albo taki. Jesteśmy zbiorem najlepszych i najgorszych rzeczy, jakie zrobiliśmy. Vincent King jest mordercą. Zabił moją siostrę. -- Głos jej zadrżał. -- Powinnam była się wyprowadzić. Trzeba było stąd wyjechać, jak Martha. Zostawić Cape.

-- Pilnowałem was, ciebie i dzieci.

Wzięła go za rękę.

-- I kocham cię za to. Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałam. To jest wielki plan, Walk. To kosmiczne siły, przyczyny i skutki.

-- Naprawdę w to wierzysz?

-- Wszechświat znajduje równowagę między dobrem i złem. -- Wstała i otrzepała się z piasku. -- Gdyby pytał, powiedz mu, że skończyłam z nim dawno temu. I więcej o nim nie wspominaj. A jeśli chodzi o Duchess i Robina, tylko oni się liczą. I zrobię wszystko, żeby im to udowodnić.

Patrzył, jak się oddala, a potem znów spojrzał na ocean. Były to słowa, które słyszał wcześniej wiele razy, i modlił się, żeby tym razem mówiła na poważnie.

Północ i cichy pomruk, światła przesuwające się po ścianie, szafie bez drzwi, komodzie z zepsutą szufladą.

Zero własnych plakatów, rysunków, śladów jej trzynastoletniego życia. Wytarty dywan, cienkie nylonowe nitki rozciągnięte na gołych deskach i małe łóżko obok łóżka brata, w którym przespała wiele pełnych udręki godzin.

Zajrzała do Robina; wyglądało na to, że śpi, rozkopana kołdra, powietrze tak ciepłe, że posklejało mu włosy. Starannie zamknęła pokój,

po czym poszła do frontowych drzwi i otworzyła je na szerokość zapiętego łańcucha.

Star leżała na podwiedłej trawie.

Duchess podeszła ostrożnie.

Na ulicy błysnęły światła stopu, escalade odjeżdżał.

Duchess przetoczyła bezwładne ciało matki z nieprzyzwoicie zadartą spódnicą.

-- Star.

Siniec pod okiem, usta nabrzmiałe, skóra ledwo powstrzymująca krew.

-- Star, wstawaj.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegła ruch zasłon, sylwetkę rzeźnika; zawsze patrzył. I zaraz na domu obok rozbłysnął reflektor zewnętrzny, czujnie oświetlający okrytego mustanga.

-- No, dawaj. -- Poklepała matkę po policzku.

Dziesięć długich minut zajęło cucenie, potem kolejne dziesięć zaprowadzenie do domu. Star zwymiotowała w korytarzu, rzygała, jakby chciała wyrzygać z siebie czarną jak węgiel duszę.

Duchess położyła ją do łóżka i ułożyła na brzuchu, tak jak się nauczyła, ściągnęła jej szpilki, uchyliła okno, żeby wywietrzyć dym papierosowy, słodką woń alkoholu i perfum. Czasem matka budziła ją w nocy, kiedy zataczając się, wracała ze zmiany w barze Darke'a. Ale to był pierwszy raz, kiedy została pobita.

Poszła do kuchni i naląła wody do wiadra. Posprzątała wymiociny, żeby brat nie zobaczył, potem umyła się i włożyła dżinsy oraz trampki.

Robin siedział na łóżku w ich pokoju, miał nieobecne spojrzenie, kiedy kładła go z powrotem spać. Wcisnęła wyłącznik, zamknęła drzwi od środka, podniosła okno i wygramoliła się na zewnątrz.

Cape Haven pogrążone było we śnie, gdy Duchess jechała ulicami, omijając Main i Sunset, gdzie czasem czuwał Walk. Myślała o nim i jej matce, o sile przyciągania alkoholu i narkotyków, które osłabiały świat.

Kolejna mila wzdłuż Cabrillo, po półgodzinie uda ją paliły.

Już widziała klub, The Eight, Duchess знаła go, jak wszystkie dzieciaki. Co parę lat nasilała się presja, żeby go zamknąć, przed prawyborami i gdy burmistrz elekt walczył o głosy.

Poniedziałkowy wieczór, na tyle późno, że cały parking był już wolny, miejsce pogrążone w ciemności, z martwym neonem i opustoszałym zwirowym placem.

Po drugiej stronie Cabrillo Duchess widziała urwisko, bezkształtne skały, kępy drzew machające do niej i chwytające wiatr w gałęzie. Woda nocą, tak odległa i ciemna, że mogłaby oznaczać kraniec jej świata. Żadnego statku ani przejeżdżającego samochodu, tylko ona; odstawiła rower i przeszła przez parking, sprawdziła wielkie drewniane drzwi, chociaż wiedziała, że są zamknięte. Okna były przyciemnione, ze szparą na jednym końcu. Napis obwieszczający *happy hours* od drugiej do siódmej. Duchess zastanawiała się, jaki typ ludzi tu przychodzi, gdy słońce oświetla grzech.

U góry neon z zarysem tyłka i nóg, teraz ciemny. Znalazła kamień i rzuciła nim w szybę; zobaczyła pęknięcie, więc spróbowała jeszcze raz. Wstrzymała oddech, kiedy rozległ się brzęk, przez moment ogłuszający, potem znów cisza. Niedługo miał się uruchomić alarm, dlatego zaczęła się śpieszyć. W torbie miała pudełko zapalek; przelazła przez poszarpany otwór, nie wydając żadnego dźwięku, kiedy zahaczyła o szkło ramieniem. Poruszała się pewnie, stanęła w ciemnym pomieszczeniu na zapleczu; oświetlane lustra, stolki i toaletki do robienia makijażu

oraz jakieś kostiumy, których nie znała. Zapach potu, zduszony płynem do dezynfekcji.

Szafki, zbyt dużo szafek, każda ze zdjęciem. Patrzyła na twarze i usta w dzióbki, zaczesane do tyłu włosy. Za nimi kryły się imiona, które obiecywały niewinność i czystość. Szła wzdłuż pomieszczenia i przeciągała ręką po piórach i gorsetach.

W barze szklanki stały rzędem przed ścianą z lustrem. Wzięła butelkę courvoisiera i wylała jej zawartość na skórzane siedzenia. Wyjęła zapalki z torby, zapaliła jedną i obserwowała pełną płomienie, niebieskie i hipnotyzujące.

Stała i patrzyła tak długo, że nie zauważyła, kiedy gorąco zaczerwieniło jej policzki, ścisnęło ją w piersi i zaczęła kaszleć. Wycofała się, gdy ogień zaczął się rozłazić i rozpędzać. Złapała się za ramię, krew została na palcach, a płomienie strzelały wyżej i wędrowały do lamp i stolików.

Była już prawie na zewnątrz, kiedy sobie przypomniała.

Pobiegła przez gęsty dym, z koszulką naciągniętą na nos, i otwierała wszystkie drzwi po kolei, aż znalazła gabinet. Mahoniowe biurko obite zieloną skórą, drugi barek, mniejszy, kryształowe szklanki i pudełko cygar. Zlokalizowała zestaw monitorów i otworzyła szafkę pod nimi. Wyjęła taśmę z nagraniem i wrzuciła do torby.

Poruszała się szybko, z opuszczoną głową, a płomienie wokół szalały.

Dysząc na nocnym powietrzu, biegła po rower. Na koszulce miała gwiazdy i półksiężyc z uśmiechniętą twarzą. Za sobą słyszała skwierczącą rzeź. I wtedy, wreszcie, rozległ się alarm.

Pedałowała z całą mocą, przemknęła w dół Cabrillo, a potem parła pod górę. Minął ją samochód, głowę trzymała nisko, skręciła w zadrzewioną drogę do Cape Haven. Popędziła Sunset do Fortuna, gdzie za-

trzymała się przy stercie złomu, stara szafka nocna, pudła i worki na odpady, gotowe do wywiezienia. Położyła rower, podbiegła i wepchnęła taśmę do torby ze śmieciami.

Zatarła ślady. Była dostatecznie inteligentna.

Jej ulica i jej ogródek, poruszała się najciszej, jak to możliwe, oparła rower i weszła z powrotem przez okno. Dom nadal spał. W łazience rozebrała się, lekceważąc skaleczenie, naga zakradła się do pralki i nastawiła pranie.

Kiedy skończyła, weszła do wanny, odkręciła prysznic, namydliła się i spłukała. A potem, stojąc przed lustrem, wyciągnęła kawał szkła z ramienia i obserwowała, jak z rany płynie krew.

Patrzyła na czerwień, na zawartą w niej historię, na to, jak jej przestępcze pochodzenie dochodzi do głosu.

Nie byli rodziną, która ma w domu apteczkę albo chociaż zestaw pierwszej pomocy, ale znalazła opakowanie dzieciennych plasterków, które kupiła rok temu, wybrała największy, mocno docisnęła do rany i przyglądała się, jak zmienia kolor.

Położyła się w nogach łóżka brata, zwinęła w kłębek jak kot i czekała na sen, który nie przychodził.

Nastał świt, minęła gorąca noc. Zastanawiała się, co ją czeka.

Będzie źle.

Teraz była całkowicie wyklęta.

Walk znalazł go na skraju klifu.

Tylne ogrodzenie rozebrane, Vincent stał na palcach na skale, gdzie najlżejszy powiew wiatru mógł go posłać kilkadziesiąt stóp w dół, albo i więcej. Miał na sobie džinsy i stary T-shirt, oczy zasnuwane zmęczeniem. Walk wiedział, jak się czuł. Obudzili go o pierwszej w nocy, wezwanie w sprawie klubu Darke'a. Włożył mundur i jechał milę, niebo pałało czerwienią. Kolejny czwarty lipca. Kierował się na płomienie, hałas i światła, zaparkował radiowóz na dwóch pasach; ruch już się wzmagił, ale większość kierowców miała dość rozsądku, żeby zawrócić.

Darke stał daleko od gapiów, gdy dym się unosił i spowijał niebo. Zero emocji.

-- Może cofnąłbyś się krok od krawędzi, Vin? Tak to mnie tylko denerwujesz.

Wrócili razem w cień domu.

-- Modliłeś się tam czy co? Martwiłem się, że zamierzasz skoczyć.

-- Jest różnica między modlitwą a pragnieniem?

Walk zdjął czapkę.

-- Pragniesz tego, czego chcesz, modlisz się o to, czego potrzebujesz.

-- U mnie pewnie to jedno i to samo.

Usiedli na schodkach tarasu z tyłu domu. Nowe panele leżały obok, jeszcze niepomalowane. Przywrócenie budynku do stanu świetności mogło zająć całe życie.

-- Znasz tego gościa, Dickiego Darke'a?

-- W sumie to ja nikogo już nie znam, Walk.

Walk czekał, nie naciskał.

-- Dziewczyna Radleyów i Star. Przypierdalał się do nich, no to wkroczyłem. Najwyraźniej nikt nie zamierza nic z tym zrobić.

Walk załapał.

-- Star mówi, że są tylko przyjaciółmi. Nie wniesie zarzutów.

-- Przyjaciółmi.

Walk znów to wychwyił, ledwo dostrzegalną nutę zazdrości. Vincentowi nadal zależało.

-- Jego lokal spalił się w nocy.

Vincent nic nie powiedział.

-- Ma klub przy Cabrillo, żyła złota. Darke o tobie wspomniał, więc musiałem...

-- W porządku, wyluzuj.

Walk przejechał ręką po przekrzywionej barierce.

-- Mówisz, że wczoraj w nocy byłeś w domu.

-- Sporo ludzi może coś mieć do takiego gościa.

-- Chyba wiem, z kim powinienem pogadać.

Spojrzenie Vincenta.

-- Mieliśmy telefon od jakiegoś kierowcy, widział dziewczynkę na rowerze.

-- Możesz po prostu... To znaczy... nie mógłbyś sobie tego odpuścić? Wiem, co mówię, nie mam prawa się wtrącać, ale to dzieciak. Dzieciak Star.

-- Tak jest. W każdym razie, ktokolwiek to zrobił, miał dość rozumu, by zabrać taśmę z monitoringu, więc dopóki będą cicho...

-- Właśnie.

I to było tyle, Vincent nic już nie powiedział, a Walk to tak zostawił. Zanotował rozmowę, zrobił, co do niego należało, zawsze robił to, co do niego należy.

Wyszedł od Vincenta, potem odnalazł dziewczynkę i chłopca na Sayer, długiej, bocznej odnodze Main. Szli, Robin trochę z przodu, przechodził przez kolejne podjazdy, co jakiś czas rzucał spojrzenie przez ramię i sprawdzał, czy nie jest sam. I Duchess, w ten ostrożny, charakterystyczny dla siebie sposób, jakby ciągle nasłuchiwała, spodziewając się kłopotów w każdej chwili. Odwróciła się, kiedy nadjechał, i przyjęła go z takim samym spokojem, jaki dostrzegł u Vincenta.

Walk zgasił silnik, wysiadł i stanął. Słońce pełzało nad domem obłożonym sidingiem. Tego ranka ręce mu się nie trzęsły -- dopamina w nowej dawce. Chwilowa ulga, która nie potrwa długo.

-- Cześć, Duchess.

Też miała te zmęczone oczy. Niosła oba plecaki, swój i brata. Miała na sobie dzinsy i stare trampki, i koszulkę z dziurką na ramieniu. Włosy potargane jak u matki, kokarda na miejscu. Była ładna na tyle, że chłopcy ustawialiby się w kolejce, gdyby nie wiedzieli, gdyby wszyscy nie wiedzieli.

-- Znasz lokal Darke'a?

Szukał znaków, ona z niczym się nie zdradziła. Był z tego zadowolony. Chciał, żeby dobrze to rozegrała, żeby dała mu odpowiedzi, których potrzebował.

-- Spalił się dziś w nocy. Ktoś widział dziewczynkę na rowerze, właśnie w tym czasie. Wiesz coś na ten temat?

-- Nic nie wiem.

-- To nie byłaś ty?

-- Byłam w domu całą noc. Spytaj mamę.

Położył sobie ręce na brzuchu, aby stłumić burczenie.

-- Przez ostatnie lata wiele rzeczy zatuszowałem. Za każdym razem miałem to sobie za złe. Kiedy cię przyłapywali na kradzieży...

-- Jedzenia -- przerwała mu smutno. -- To było tylko jedzenie.

-- Teraz jest inaczej. Chodzi o kupę pieniędzy, a gdyby ktoś był w środku, zginąłby. Są rzeczy, przed którymi nie mogę cię obronić.

Stali tak razem, kiedy przejechał samochód; sąsiad, starszy pan, popatrzył, szybki rzut oka i odwrócony wzrok. Dziewczyna Star, zero zakroczenia.

-- Wiem trochę o Darke'u i jaki jest.

Ośloniła oczy ręką, zbyt zmęczone, cała się spięła.

-- Chuj wiesz, Walk -- powiedziała cicho, ale twardo. -- Może pójdziesz na Main i pomożesz turystom z ich psami?

Szukał w głowie odpowiedzi, ale w końcu spuścił wzrok na trawę i przejechał kciukiem po odznace, zwlekanie leżało na nim jak druga skóra.

Odwróciła się i poszła, nie oglądając się za siebie. Wiedział, że gdyby nie musiała dbać o Robina, miałby ręce pełne roboty.

Pod bramą szkoły zobaczyła auto, czarny escalade, z oknami zaciemniającymi świat. Stało beczynn timer, mijane przez nieświadomych ludzi. Żółte autobusy wyrastały rzędem jak kwiaty.

Wiedziała, że to nastąpi; Star zawsze mówiła o równowadze, przyczynie i skutku. Pomachała bratu i śledziła go wzrokiem do czerwonych drzwi.

Powietrze wciąż pachniało ogniem, roznosiło drobiny żaru, które zostawiały osmalone ślady na jej ramionach i przyklejały się do nosa. Zastanawiała się, kto mógł ją wtedy zobaczyć, w środku nocy, kiedy zwykli członkowie społeczeństwa nie wychodzą z domów, tylko odsypiają idealnie spędzony dzień. Wielki pech, i tyle. Trochę się nawet ucieszyła z powodu tego skurwiela Dickiego Darke'a.

Przeszła przez ulicę i stanęła przy oknie samochodu. Była bezpieczna pod szkołą, gdzie nauczyciele i przechodnie mają obcych na oku.

Szyba opadła. Oczy Darke'a, podpuchnięte, nabrzmiące, jakby dopiero wyciągnięto go z wody, tyle że zamiast wód oceanu wypełniały go pieniądze i chciwość.

Stanęła spokojnie, kolana drżały jej pod dzinsami, ale spojrzenie, które w niego wbiła, było nieugięte.

-- Wsiadaj. -- Bez złości, nie za głośno.

-- Pierdol się.

Grupa dzieciaków z jej klasy przeszła obok, nikt jej nie zauważył, wszyscy podekscytowani ostatnim tygodniem szkoły. Czasem się zastanawiała, jak by to było być jak oni, trochę bardziej zwyczajną, trochę więcej niż nic.

-- Zgaś silnik i wyjmij kluczyki.

Posłuchał.

Przeszła dookoła.

-- Zostawiam otwarte drzwi.

Ścisnął kierownicę grubymi palcami, ogromnymi kciukami.

-- Oboje wiemy.

Spojrzała w niebo.

-- Wiemy.

-- Wiesz, co to zasada przyczynowości?

Wyglądał tak smutno, był taki cholernie duży, twardy i smutny. Istota nie z tego świata.

-- Powiedz mi.

-- Nawet nie wiesz, co zrobiłaś.

Na wycieraczkę leżał samotny niedopałek, wypalony prawie do końca. Marka, którą lubiła Star.

-- Nie jesteś taka jak twoja matka -- powiedział.

Duchess obserwowała szybującego ptaka, spokojnego i doskonalego.

Darke przeciągnął ręką po kierownicy.

-- Była na wylocie. Zalegała z czynszem. Ja potrzebuję przysługi.

-- Nie jest dziwką.

-- Czy ja według ciebie wyglądam na alfonsa?

-- Według mnie wyglądasz na pizdę.

Słowo przez chwilę wisiało między nimi.

-- W porządku. Dopóki nie wyglądam jak człowiek, którym naprawdę jestem.

Mówił beznamiętnie, przerażało ją to.

-- W nocy coś zabrałaś.

-- Masz dosyć rzeczy.

-- Kto decyduje, ile to dosyć rzeczy?

Patrzyła.

-- Twoja matka może pomóc to załatwić. Musisz tylko ją poprosić.

To by trochę załagodziło sytuację.

-- Pierdol się, Darke.

-- Taśma, Duchess. Potrzebna mi taśma z monitoringu.

-- Po co?

-- Trenton Seven. Wiesz, co to?

-- Goście od ubezpieczeń. Widziałam billboardy.

-- Nie wypłacą mi pieniędzy, bo taśma zniknęła i sądzą, że mam coś wspólnego z tym pożarem.

-- Bo masz.

Wziął długi, głęboki oddech.

Zacisnęła zęby.

-- Nie zapomnę ci tego.

Spojrzała mu w oczy.

-- Nie powinieneś.

-- Naprawdę nie chcę zrobić ci krzywdy.

Coś w jego głosie kazało jej uwierzyć.

-- Ale zrobisz to.

-- Zrobię.

Sięgnął ręką w jej stronę, do schowka, wyjął okulary przeciwsłoneczne, a ona to zobaczyła -- wylot lufy.

-- Daję ci jeden dzień. Powiesz matce, co zrobiłaś. Ona może to naprawić, w przeciwnym razie ja będę musiał. I odzyskasz taśmę.

-- Dasz ją Walkowi.

-- Nie.

-- Goście z ubezpieczalni wezwą gliny.

-- Może. Ale musisz zadać sobie pytanie, Duchess.

-- A jakież to, Dick? -- Może nie zauważył, że głos jej zadrżał.

-- Wolisz, żeby przyszły do ciebie gliny czy ja?

-- Słyszałam, że zatłukłeś faceta na śmierć.

-- Nie umarł.

-- Dlaczego to zrobiłeś?

-- Interesy.

-- Taśma. Może tego będę się trzymać.

Wpatrywał się w nią oczami, które przenikały do głębi.

-- Zostaw moją matkę w spokoju, a może oddam ci taśmę.

Wysiadła z samochodu, potem się odwróciła. Patrzył na nią, szacował wzrokiem, notował każdy szczegół w pamięci.

Zastanawiała się, czy nadal ją obserwuje, kiedy wchodziła do szkoły z innymi dziećmi; miały życie tak lekkie, że przyprawiało ją to o za-

wrót głowy. Dzień się włókł. Często zerkała na zegar, spoglądała za okno, słowa nauczyciela nie docierały do jej uszu. Zjadła samotnie lunch, popatrzyła na Robina zza ogrodzenia i poczuła, że resztką kontroli, jaką jeszcze nad wszystkim miała, właśnie wymyka jej się z rąk. Darke jest w stanie wyrządzić niewyobrażalne szkody. Musiała odzyskać taśmę. Uwierzyła, że nie odda jej Walkowi. Myślała o tym, że na świecie istnieją dwa typy ludzi: typ, który wzywa gliny, i typ, który ich nie wzywa.

Kiedy rozległ się dzwonek, patrzyła, jak dzieciaki wychodzą jeden za drugim, jak grają w piłkę, chwytając ostatnie chwile wspólnej zabawy. Cassidy Evans szefowała swojej grupie. Duchess wyslizgnęła się ukradkiem, przemknęła koło bocznej ściany głównego budynku, potem przebiegła na parking i już wolniej oddaliła się między fordami, volvami i nissanami. Wszystko się wyda, bez wątpienia, ale powie mamie, że się źle poczuła, comiesięczne dolegliwości, coś, czego szkoła nie podważy.

Na ulicy znów przyśpieszyła, czuła na sobie wzrok wszystkich przechodniów. Ominęła Main, na wypadek gdyby Walk obserwował ulicę z komisariatu. Było gorąco, tak kurewsko gorąco, że ledwo dawało się oddychać. Spływała potem, miała mokrą koszulkę.

Kiedy dotarła na Fortuna Avenue, znalazła stary dom, chociaż raz zadowolona, że spieprzyła sprawę i nie miała czasu, żeby zniszczyć nagranie.

Ale wtedy spojrzała na podjazd -- rupiecie zniknęły, najwyraźniej śmieciarka już tu była.

Taśma przepadła.

Rozglądała się po ulicy, w górę i w dół, oddychała ciężko, jakby opuściła ją ostatnia nadzieja.

Popołudnie spędziła na plaży; siedziała na piasku i patrzyła na wodę. Trzymała się za brzuch, ból był silny i nieustępliwy, towarzyszył jej, gdy szła odebrać Robina.

Gadał przez całą drogę do domu: o swoich urodzinach, o tym, że będzie miał sześć lat, i o tym, co się z tym wiąże. Poprosił o klucz; uśmiechnęła się i potargała mu włosy, myślami wędrowała po miejscach, w które, miała nadzieję, on nigdy nie trafi. W pustym domu zrobili sobie jajecznicę i zjedli razem przed telewizorem. A kiedy słońce zaczęło zachodzić, położyła go do łóżka i czytała mu *Kto zje zielone jajko sadzone* Dr. Seussa.

-- Możemy kiedyś zjeść zielone jajko sadzone?

-- Jasne.

-- A zieloną szynkę?

Pocałowała go w głowę i zgasiła światło, zamknęła na chwilę oczy, potem wstała po ciemku. Przeszła przez korytarz, włączyła lampę i usłyszała melodię dobiegającą z dworu.

Duchess znalazła Star na tarasie; stara ławka wymagała odmalowania. Księżyc oświetlał matkę grającą na wysłużonej gitarze. Ich piosenka. Zamknęła oczy, słowa cięły ją boleśnie.

Musiała powiedzieć, co zrobiła, że wzięła zapalki i podpaliła jedyny most, który prowadził ich nad wzburzoną wodą. Teraz byli na płyciźnie, ale czekała ich głębina, taka, do której nie przedrze się nawet światło księżyca.

Podeszła kilka kroków, boso, nie zważając na drzazgi.

Łagodne dźwięki akordu.

-- Zaśpiewaj ze mną.

-- Nie.

Duchess przysunęła się do niej i oparła głowę na jej ramieniu. Bez względu na to, co zrobiła, bez względu na to, że była twarda i wyjęta spod prawa, potrzebowała matki.

-- Dlaczego płaczesz, kiedy śpiewasz? -- spytała Duchess.

-- Ze smutku.

-- Nie bądź smutna.

-- Dzwoniłam do tego faceta od wizytówki w barze. Chciał mnie zaprosić na drinka.

-- Poszłaś?

Kiwnęła powoli głową.

-- Mężczyźni.

-- Co się stało wczoraj wieczorem? -- Nieczęsto pytała, ale tym razem potrzebowała jasnej sytuacji.

-- Niektórzy ludzie mają za słabą głowę do alkoholu. -- Star rzuciła okiem na sąsiedni dom.

-- Brandon Rock. Uderzył cię?

-- To był wypadek.

-- On nie rozumie, że nie to nie.

Star potrząsnęła głową.

Duchess patrzyła, jak wysokie drzewa słaniają się na nocnym niebie.

-- A więc tym razem to nie Darke.

-- Ostatnie, co pamiętam, to to, że pomógł mi wejść do samochodu.

Poznanie prawdy zmroziło ją i przez chwilę nie mogła mówić. A potem pomyślała o Darke'u, o jego rękach na niej. Zacisnęła zęby, zebrała się w sobie. Złe rzeczy przytrafiają się złym ludziom.

-- Wiesz, że jutro są urodziny Robina.

Wtedy Star spojrzała ze smutkiem, nie załamana, lecz bliska tego, wargę wciąż miała jeszcze trochę spuchniętą, oko z ciemną obwódką. Był to ten rodzaj spojrzenia, który bolał jeszcze bardziej. Nie ma prezentu dla brata. Matka zapomniała.

-- Mamo, zrobiłam coś złego.

-- Wszyscy robimy złe rzeczy.

-- Nie sądzę, żebym potrafiła to naprawić.

Star przymknęła oczy; wciąż grała, a gdy córka lekko się na niej oparła, zaśpiewała.

Duchess rozpaczliwie chciała do niej dołączyć, ale głos uwiązł jej w gardle.

-- Będę cię chronić. Tak postępują matki.

Duchess nie płakała, ale walczyła ze łzami z całych sił.

Walk doświadczył upokorzenia upadku w samotności.

Chwała i za to. W jednej chwili stał, w drugiej leżał i gapił się w niebo. Lewą nogę miał zgiętą pod sobą.

Siedział w radiowozie na parkingu w Vancour Hill. Nie wszedł do środka. Kendrick mówiła, że może mieć problemy z równowagą, ale jednak ta utrata kontroli była przerażająca.

Radio mruczało po cichu, zakłócenia i gadanie, dwa-jedenaście w Bronson, jedenaście-pięćdziesiąt cztery w San Luis. Kawa w Rosie's Diner, papier po burgerze na wycieracze. Brzuch wypychał mu koszulę, położył na nim ręce. Wlokąca się jak żółw zmiana. Przejechał koło Vincenta, w domu widać było postępy, zdemontowane i oszlifowane okiennice czekały na malowanie.

Poszukał Gwiazdy Polarnej, rozmyślał o chorobie, o tym, że czuł ją w kościach, w krwi, w mózgu. Synapsy wypalały się powoli, łączność nie utracona, lecz opóźniona.

Chwilę przed północą radio wyrwało go z lekkiej drzemki.

Ivy Ranch Road.

Obliział suche wargi.

Rozległo się drugie wezwanie.

Sięgnął po radio, odpalił silnik, włączył światła i ruszył z powrotem w kierunku Cape Haven. Osoba dzwoniąca nie podała szczegółów, tylko tyle, że potrzebna jest pomoc. Modlił się, żeby to nie było nic poważnego, może Star znów się upiła.

Przez Addison. Cicha strona Main, w oknach ciemno.

Zwolnił przy Ivy Ranch Road, zobaczył tylko uśpione budynki i znów zaczął oddychać.

Podjechał pod krawężnik przy domu. Był spokojny, dopóki nie zobaczył otwartych drzwi, a potem przyszło przecucie, szarpnęło nim w środku, zabrało powietrze z płuc. Wsiadł i wyjął broń, czego nie robił, odkąd pamiętał.

Rzut oka na dom Brandona, potem Milтона -- żadnych oznak życia. Pohukiwanie sowy, łomot upadającego pojemnika na śmieci; pewnie szopy. Wskoczył na werandę jednym susem i pchnął drzwi.

Korytarz, stolik z książką telefoniczną. Rozrzucone trampki. Obrazki na ścianie, rysunki, które wykonał Robin, przypięte pinezkami przez Duchess.

Na lustrze pęknięcie, Walk spojrział we własne oczy, szeroko otwarte, wystraszone. Mocniej zacisnął rękę na broni, odbezpieczył ją, przez chwilę rozważał, czy nie zawołać, ale milczał.

Przeszedł korytarzem, minął obie sypialnie, jedne drzwi otwarte, ubrania w nieładzie, przewrócona toaleta.

Łazienka. Z kranu ciekło, umywalka była już pełna, woda zaczynała przelewać się górą. Przekręcił kurek, przechodząc przez kałużę.

W kuchni nic, tylko wskazówka zegara przerywająca ciszę. Rozglądał się powoli, normalny bałagan, nóż od masła, naczynia w zlewie; Duchess by się nimi zajęła, zawsze się zajmowała.

W pierwszej chwili nie zauważył mężczyzny. Siedział przy stoliku, ręce trzymał w górze, otwarte, jakby chciał pokazać, że nikomu nie zrobi krzywdy.

-- Lepiej idź do salonu -- powiedział Vincent.

Walk zauważył pot na jego czole i uświadomił sobie, że celuje z pistoletu do przyjaciela z dzieciństwa, lecz nie opuścił broni. Kierowała nim adrenalina.

-- Coś ty zrobił?

-- Przyjechałeś za późno, żeby coś zmienić, Walk. Ale musisz iść i wykonać swoje telefony. Ja tu będę. Nigdzie się nie ruszę.

Pistolet zadrżał.

-- Powinieneś mnie skuć. To twój obowiązek. Po prostu musisz. Jak mi podasz kajdanki, sam to zrobię.

Walk miał tak sucho w ustach, że prawie nie mógł wydobyć z siebie głosu.

-- Nie zamierzam...

-- Podaj mi kajdanki, komendancie Walker.

Komendancie. Był gliną. Walk sięgnął po kajdanki przy pasie i rzucał je na stół.

Ruszył do salonu. Pot zalewał mu oczy.

Widok go poraził.

-- Kurwa, Star. -- Podeszedł szybko i przyklęknął. -- O Jezu, Star.

Leżała na plecach. Przez chwilę myślał, że znowu dorwała się do czegoś niedobrego, jak już wcześniej bywało. Ale wtedy to zauważył. Cofnęło go i ponownie zaklął.

Krew. Była wszędzie, tak dużo, że kiedy szukał radia, palce miał śliskie.

-- Jezu. -- Grzebał przy jej ubraniu, próbował znaleźć w tym wszystkim sens, a potem odkrył ranę, dziurę, wydarte mięśnie, nad sercem.

Odgarnął jej włosy z twarzy, bladej i nieobecnej. Sprawdził puls -- nie znalazł, ale zaczął reanimację. Rozejrzał się w trakcie: lampa na podłodze, obraz na dywanie, przewrócony regalik na książki.

Plamki krwi wspinały się po ścianie.

-- Duchess! -- zawołał.

Pracował, spocony, mięśnie go paliły.

Nadjechali policjanci z ratownikami, delikatnie go odsunęli. Było jasne, że Star nie żyje.

Usłyszał krzyki z kuchni, powalili Vincenta na podłogę, potem go wyprowadzili.

Walk stał oszołomiony, świat obracał się w złą stronę; kiedy wychodził na ulicę, sąsiedzi już się zbierali. Usiadł na werandzie i łapczywie chwycił powietrze, widział wszystko na czerwono i niebiesko. Potarł głowę, oczy, kilka razy uderzył się w pierś, żeby sprawdzić, czy to dzieje się naprawdę.

Zabrali Vincenta, zanim dotarł do samochodu; podbiegł trochę, ale się zadyszał i padł na kolana, każdy rok życia stawał mu przed oczami.

Ekipa przejęła kontrolę, ominęli go, otoczyli teren taśmą i kazali gapiom się oddalić. Wozy transmisyjne, reflektory i dziennikarze. Furgonetka techników podjechała z rozmachem pod krawężnik. To było miejsce zbrodni i dobrze nad nim panowali, dopóki Walk nie usłyszał hałasu ze środka.

Wstał, nadal oszołomiony, potem ruszył, zanurkował pod taśmą i zobaczył Boyda ze stanowej oraz dwóch policjantów z hrabstwa Sutler.

-- Co się dzieje?

Policjant odwrócił się z gniewnym spojrzeniem.

-- Dzieciak... chłopiec.

Walk wszedł do środka, uderzył w ścianę i poczuł, że nogi mu miękną, kiedy przygotowywał się na to, co miał za chwilę zobaczyć.

Boyd machnął, żeby się odsunęli.

Wtedy Walk go zobaczył, ze zmrużonymi oczami, z kocem na ramionach.

-- Nic mu nie jest? -- spytał.

Boyd sprawdził go uważnie.

-- Pokój był zamknięty od środka. Myślę, że spał.

Walk przyklęknął przed chłopcem, który patrzył wszędzie, tylko nie na niego.

-- Robin, gdzie jest twoja siostra?

Przez trzy mile Duchess z całej siły naciskała na pedały, pruć ciemnymi drogami, które wyprowadziły ją z miasta. Wstrzymywała oddech na widok zbliżających się samochodów, oślepiały ją światłami, mrugały na nią lub trąbiły. Mogła pojechać lepszą trasą, nadłożyłaby milę, ale była już wystarczająco zmęczona.

Chevron, stacja benzynowa przy Pensacola, niebiesko-czerwony znak na szarych słupkach. Oparła rower o pojemnik na śmieci i przeszła przez parking. Stary sedan, źle zaparkowany, właściciel tankował.

Robin wstanie i będzie miał sześć lat, nie obudzi go z pustymi rękami.

Jedenaście dolarów, tyle wyjęła z torebki Star. Duchess głównie jej nienawidziła, od czasu do czasu ją kochała, totalnie i ciągle jej potrzebowała.

Na stacji policjant stał przy automacie z kawą, w ciemnym krawacie i takich samych spodniach, z wypielegnowanym wąsem i odznaką na piersi. Popatrzył na nią, zignorował go, a potem zatrzeszczało radio, więc rzucił kilka dolarów na ladę i wyszedł.

Chodziła między regałami, minęła wysokie lodówki z etykietami: piwo, napoje gazowane, energetyki.

Nie mieli tortów, tylko babeczki Entenmann's w pudełkach, te z różowym kremem. Robin się wkurzy, przynajmniej w duchu, ale nic nie powie, żeby nie wyjść na niewdzięcznika. Wzięła paczkę i znalazła świece. Zostało sześć dolarów.

Za ladą stał młodziak, może dziewiętnaście lat, pryszczaty, przesadził z liczbą kolczyków.

-- Macie tu jakieś zabawki?

Wskazał na stojak, na którym znajdowała się najżałośniejsza kolekcja plastiku, jaką Duchess widziała w życiu. Uważnie przestudiowała magiczne zestawy, pluszowego królika, paczkę kolorowych opasek na włosy i figurkę, która nosiła oszczercze podobieństwo do Kapitana Ameryki. Złapała ją mocno, to było znalezisko. I kosztowało siedem dolarów.

Zabrała ją, wróciła do półki z ciastkami, zrozumiała, że ma jedyną rzecz, która może uchodzić za coś specjalnego, i znów przeklęła swoją matkę. Stała pod żółtą jarzeniówką, tak słabą, że wysysała z niej energię. Pomyślała, że zwędzi świeczki, ale zobaczyła, że chłopak za ladą ją obserwuje, jakby dokładnie czytał w jej udręczonych myślach. Ścisnęła pudełko z ciastkami tak, że je wgniotła.

Przy ladzie zaczęła się spierać, pokazała uszkodzone opakowanie i poprosiła, żeby jej odjął dolara. Najpierw odmówił, potem kolejka zaczęła się wydłużać, więc wziął od niej pieniądze z grymasem niezadowolenia. Przewiesiła torbę przez kierownicę i ruszyła z powrotem do domu, pedałowala wolniej, gdy mijał ją kolejny samochód migający światłami i wyjący syrenami pośród ciepłej nocy.

Później, kiedy już wiedziała, prześledziła myślami tamtą jazdę i żałowała, że nic nie wyczuła, że to była ostatnia noc wszystkiego. Żałowała, że nie pojechała dłuższą trasą, wzdłuż wybrzeża, aby popatrzeć na bezkresną wodę, słuchać pieśni nocy i podziwiać idealny blask każdej jednej latarni na Main. Żałowała, że nie odetchnęła głęboko i nie przytrzymała na dłużej tej ostatniej chwili normalności. Bo o ile wcześniej było źle, i to przez większość czasu, o tyle teraz było zupełnie inaczej,

kiedy wróciła na swoją ulicę i patrzyła, jak sąsiedzi rozstępują się przed jej rowerem, jakby na jej rozkaz, jakby była wszechpotężna.

Kiedy zobaczyła wozy policyjne, w pierwszym odruchu chciała zawrócić. Godzinę temu, gdy wzięła rower i przeprowadziła go wzdłuż ściany domu, zatrzymała się na chwilę przy podjeździe Brandona Rocka. Znalazła kamień, dość ostry, podeszła do okrytego mustanga i przeciągnęła po drzwiach i błotniku tak mocno, że spod lakieru wylazło srebro. Uderzył jej matkę. Niech go chuj strzeli.

Ale to było za dużo pojazdów, za dużo hałasu, a spojrzenie, które posłał jej Walk, było zbyt ciężkie.

Rzuciła rower, rzuciła torbę, kopnęła policjanta, który próbował jej zastawić drogę. Cofnął się; wiedziała, że to nie jest normalne.

Pobiegła do domu, ominęła taśmę i kolejnego policjanta, przeklęła ich wszystkich. Wszystkimi brzydkimi słowami, jakie знаła.

Znalazła brata i się uspokoiła. Walk ciągle patrzył, nie otworzył nawet ust, ale jego wzrok powiedział wszystko. Nie wpuścili jej do salonu, mimo że wymachiwała rękami na Walka, mimo spojrzeń, jakie rzucała, słów, których używała, zwierzęcego wycia brata.

Walk niemal wyniósł ją na podwórze, tam gdzie ludzie nie mogli jej widzieć. Posadził ją na ziemi, a ona wyzwiała go od skurwysynów, a za nimi Robin płakał tak, jakby jutro miało nie nastąpić.

Dookoła obcy, faceci w mundurach, faceci w garniturach.

Kiedy pomyśleli, że już się uspokoiła, wyrwała się i przedarła między nimi. Była dość szybka, więc jej się udało. Przez drzwi, do środka, do domu, który ograniczał się do jednego jedyne miejsca.

Zobaczyła ją.

Zobaczyła matkę.

Nie walczyła, kiedy ktoś ją zamknął w ramionach, nie kopała już i nie przeklinała, pozwoliła, by Walk wyniósł ją jak dziecko, którym była.

-- Pojedziecie z Robinem na noc do mnie.

Do radiowozu Walka, z Robinem mocno ściskającym ją za rękę. Sądzi się gapili, lampa kamery świeciła prosto na nich. Duchess nie miała nawet siły rzucać gniewnych spojrzeń.

Dostrzegła Milтона w oknie, przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym rzeźnik się odwrócił i wycofał w cień.

Podniosła torbę z ziemi, zobaczyła w środku ciastka, figurkę i świeczki.

Siedzieli tam długo, tak długo, że ciężar godzin przygniótł Robina, który zasnął niespokojnie przytulony do jej boku, pojękiwał i krzyczał przez sen, kiedy głaskała go po włosach.

Walk jechał powoli, a Duchess patrzyła na jasne światła oblewające jej dom, niknące w mroku miejsce, które było całym jej życiem.

Część druga. Big Sky

Walk prowadził z ręką wystawioną przez okno, na słońce, a nie-skończone równiny wznosiły się i opadały, od prerii do stepu i jeszcze dalej, w stronę łąk. Na wschodzie płynęła rzeka, pełzła przez cztery stany, po czym wlewała się do Pacyfiku.

Wyłączył radio. Wiele mil niczego, tylko śpiewające świerszcze, czasem dudnienie przejeżdżającej ciężarówki z kierowcą bez koszuli. Niektórzy pochylali głowy, inni trzymali je prosto, jakby mieli wiele do ukrycia. Walk nie jechał szybko, nie spał od dawna. Spędzili noc w motelu, ich pokoje łączyły drzwi, które zostawił uchylone. zaproponował, że polecą z nimi samolotem, ale chłopiec się bał. Walk się ucieszył, bo nie lubił latać.

Siedzieli z tyłu, każde ze wzrokiem wbitym w okno, udając, że oglądają obcy krajobraz. Robin nie odezwał się przez całą noc ani do Walka, ani do siostry, ani do policjantów ze specjalnej, którzy do nich przyjechali. Uzbrojeni we współczucie, posadzili go w pokoju o pastelowych ścianach z wymalowanymi uśmiechniętymi zwierzątkami. Dali mu kredki i kartki, rozmawiali nad nim, z minami niepozostawiającymi złudzeń, jakby był zbiorem kruchych fragmentów, których nie sposób już zlepić w jedną całość. Siostra patrzyła na niego, nieporuszona, z założonymi na piersi rękoma, zmarszczonym nosem, pozornie obojętna na bzdury, o których gędzili.

-- Wszystko w porządku tam z tyłu?

Odpowiedziało mu milczenie.

Mijali miasta, wieże ciśnień, zardzewiałe rusztowania. Przez pięćdziesiąt mil towarzyszyły im tory kolejowe, porośnięte brązowymi

chwastami między podkładami, jakby ostatni pociąg odjechał z dworca lata temu.

Zwolnił przy kaplicy metodystów, białe deski i jasnozielone dachówki, wieża jak strzała wskazywała w górę, na ludzkie dążenia.

-- Jesteście głodni?

Wiedział, że nie odpowiedzą. To była długa podróż, tysiące mil. Wypalony fragment Nevady, droga numer osiemdziesiąt, bez końca, ziemia sucha, tak samo jak powietrze. Wieki trwało, zanim świat się zmienił, pomarańcz przeszedł w zielen, stulecie wystarczyło do zmiany świata, nad nimi Idaho, tuż za nimi Yellowstone i Wyoming. Przez chwilę Duchess wyraziła zainteresowanie.

W Twin River Mills zatrzymali się na obiad. W odrapanej budzie Walk zamówił hamburgery oraz koktajle mleczne i obserwowali stację benzynową po drugiej stronie ulicy. Młoda rodzina, dostawczak z wypożyczalni U-Haul, przeprowadzka, między nowym a starym, mała dziewczynka usmarowana czekoladą i uśmiechnięta matka biegająca za nią z mokrą chusteczką.

Robin przerwał jedzenie i tylko patrzył. Walk położył mu rękę na ramieniu, a chłopiec znów zwiesił głowę nad koktajlem.

-- Wszystko będzie dobrze.

-- Skąd taki wniosek? -- wypaliła Duchess, jakby się czegoś spodziewała.

-- Pamiętam waszego dziadka z czasów, gdy jeszcze byłem mały. To dobry człowiek. Słyszałem, że ma setki akrów ziemi, może wam się spodoba. Czyste powietrze i takie tam.

Nie wiedział, co mówi, żałował tylko, że nie może przestać.

-- Żyzna gleba -- pogrążył się dalej.

Duchess przewróciła oczami.

-- Rozmawiałeś z Vincentem Kingiem? -- Nie podniosła wzroku.
Walk otarł usta serwetką.

-- Jakby... asystowałem policji stanowej.

Odsunęli Walka od sprawy następnego dnia rano, zostawili mu tylko zorganizowanie ochrony miejsca zbrodni, dopóki nie skończą. Dwa dni, wozy techników i zapracowane ekipy, Walk kontaktował się z miejscowymi, zamknął pół drogi. Potem przenieśli się do domu Kinga. Walk znów zajmował się zabezpieczeniem terenu. Uznali, że Cape Haven to nieduże miasto, a tutejsza policja ma zbyt mało ludzi, żeby sobie z tym poradzić. Nie oponował.

-- Skażą go na śmierć.

Robin podniósł wzrok na siostrę; oczy miał zmęczone, ale spojrzenie intensywne, ostatnie błyski gasnącego ognia.

-- Duchess... POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

-- Właśnie tak zrobią. Dla takiego człowieka nie ma odwrotu. Zastrzelenie nieuzbrojonej kobiety. Wierzysz w oko za oko, Walk?

-- Nie wiem.

Duchess zanurzyła frytkę w keczupie i potrząsnęła głową, jakby się nim rozczarowała. Często wspominała o Vincencie, człowieku, który zastrzelił jej matkę i zrujnował jej małą rodzinę.

-- Dojedz burgera -- powiedziała do Robina, a on dojadł. -- Zielone też.

-- Ale...

Wbiła w niego wzrok.

Wziął listek sałaty i skubnął go kącikiem ust.

Po kolejnej godzinie Walk zobaczył drogowskaz na Dearman. Drut kolczasty ciągnął się przez ćwierć mili i trzymał ludzi w środku, z daleka od kłopotliwego życia.

Strażnik na wieży, oczy ukryte pod szerokim rondem kapelusza, z karabinem w ręku. W lusterku Walk widział unoszący się za nimi ogon kurzu; wydawało się, że zmaćcił spokój.

Robin spał na tylnym siedzeniu, z twarzą napiętą, jakby sny dotrzymywały kroku ostatnim dniom.

-- To więzienie -- powiedziała Duchess.

-- Zgadza się.

-- Jak to, w którym siedział Vincent King.

-- Tak.

-- Będą go bić?

-- Wiezienie to nie jest miłe miejsce.

-- Może go tam zgwałcą?

-- Nie powinnaś tak mówić.

-- Pierdol się, Walk.

Doskonale rozumiał nienawiść, ale martwił się, jak na nią wpłynie, na popioły, które najlżejszy powiew wiatru może na nowo rozpalić.

-- Mam nadzieję, że mu solidnie wtłuką. Widzę to, wiesz, jak kładę się spać. Widzę jego twarz. Mam nadzieję, że będą go bić dotąd, aż zostanie z niego mokra plama.

Odchylił się na siedzeniu, bolały go kości, ręce drżały. Rano czuł taką niemoc, że miał wątpliwości, czy w ogóle uda mu się wstać, czy może dziewczynka będzie musiała mu pomóc. Wrócił myślami do samego początku, do bólu ramienia, zwykłego bólu ramienia.

-- Boję się, że zapomnę o Cape Haven -- mówiła do krajobrazu za oknem.

-- Mogę do ciebie pisać. Wysyłać zdjęcia.

-- To już nie jest mój dom. Tam, dokąd jedziemy, też nie. Odebrał nam wszystko.

-- Będzie... -- Przerwał, szukał właściwych słów.

Odwróciła się i patrzyła na Dearman, dopóki nie rozmyło się w nicłość, potem zamknęła oczy, żeby nie widzieć Walka i zmieniającego się świata.

Godzina po najgorętszym punkcie dnia, upał uderzał dojmującymi falami, a dzieci spały. Duchess o zapadniętych oczach, podpuchniętych z przemęczenia i wysiłku, ponieważ w ogóle nie płakała. Miała na sobie szorty. Widział jej obtarte kolana i blade uda.

Przez sto mil teren wznosił się i opadał, jałowość przeszła w bujność, pragnienie gasiły antypasaty, niosące ulgę od wody. Montana przyjęła ich małymi fanfarami, zaledwie w formie niebiesko-czerwono-żółtej tabliczki powitalnej. Walk pomasował sobie kark i ziewnął, potem poskrobał się po kilkudniowym zarostzie na policzkach. Od tamtej nocy niewiele jadł. Schudł pięć funtów.

Kolejna godzina i skręcił nad Missouri. Helena została w tyle, niebo jak ogromne płótno, ale tego popołudnia nawet boskie dzieło nie mogło odwrócić jego uwagi od smutku. Drogi i ścieżki, farma pojawiła się, jakby przynależała do tego miejsca, była wmalowana w pejzaż delikatnymi pociągnięciami pędzla, brudnoczerwone obory z białymi dachami, w sumie trzy, i dwa silosy zagnieżdżone wśród cedrów. Dom był rozłożysty, wokół weranda z ławkami, huśtawką i drewnianymi belkami, sękatymi i pięknymi. Walk zobaczył, że Duchess przygląda się z uwagą, chce o coś zapytać, ale usta ma mocno zaciśnięte.

-- To tutaj. -- Wyręczył ją.

-- Są tu gdzieś jacyś ludzie?

-- Copper Falls, parę mil stąd. Mają tam kino.

Wszystko sprawdził wczoraj wieczorem.

Eukaliptusy splatały się po obu stronach i rzucały na nich cień, białe sztachety wymagały odmalowania. Pokonał zakręt i zobaczył Hala: stał i patrzył, nie uśmiechał się, nie pomachał, nic.

Duchess wyciągnęła szyję nad ramieniem Walka, kiedy odpinała pas.

Zatrzymali się, Walk wysiadł, a Duchess nie.

-- Hal -- powiedział, podszedł i podał mu rękę.

Hal uścisnął ją mocno, dłoń miał twardą, o zrogowaciałej skórze. Niebieskie oczy błyszczały nad wiek, ale nie było w nich uśmiechu, aż do chwili, gdy wnuczka wysiadła z radiowozu i stanęła, nieruchomo, jak wizja matki.

Walk obserwował tę dwójkę, jak się mierzą wzrokiem, wzajemnie oceniają. Chciał zachęcić dziewczynkę gestem, ale Hal prawie niedostrzegalnie potrząsnął głową. Ruszy, jak będzie gotowa.

-- To była długa podróż. Robin śpi, nie wiem, czy go budzić.

-- Jutro wstanie wcześniej. Farma rządzi się swoim czasem.

Walk wszedł za Halem do domu.

Starszy mężczyzna był wysoki, umięśniony, każdy jego krok zdradzał zawziętość. Chodził z głową uniesioną wysoko, lekko wysuniętym podbródkiem; to moja ziemia. Z tyłu Duchess snuła się, oglądając długi skrawek świata, nowe życie już się starzało. Pochyliła się i dotknęła trawy, podeszła do obory i zajrzała do ciemnego wnętrza. Woń była silna, zwierzęta i nawóz, ale się nie cofnęła.

Hal przyniósł piwo, tak zimne, że Walk musiał je odstawić. Był w mundurze, usiedli w wysokich drewnianych fotelach.

-- Szmata czasu -- powiedział Walk.

-- W rzeczy samej.

Montana, krajobraz rozciągnięty w poziomie, ten rodzaj otwartej przestrzeni, która jest niemal zbyt rozległa, by pozwalać swobodnie oddychać.

-- Co za bałagan -- stwierdził Hal. Ubrany był w koszulę w szkocką kratę, z rękawami zawiniętymi do umięśnionych przedramion.

Bałagan nie był dobrym słowem, ale równie dobrze podsumowywał sytuację.

-- Widziała to?

Walk spojrział na Hala, ale starszy mężczyzna wpatrywał się w swoje akry.

-- Tak myślę. Potem. Wyrwała się policjantom i wbiegła do salonu.

Hal strzelił palcami, ręce miał pokiereszowane, głos burkliwy.

-- A chłopak?

-- Nie. Może coś słyszał, krzyki, huk wystrzału, ale nic o tym nie mówi. Był zamknięty w swoim pokoju. Rozmawiał parę razy z lekarzem. Tutaj też ktoś będzie musiał się nim zająć, załatwię wam kogoś, on tego potrzebuje. Może sobie przypomni, a może będzie lepiej, jeśli nie.

Hal się napił, pociągnął pół butelki jednym haustem. Miał zwykły zegarek na grubym nadgarstku, opalonym przez lata pracy pod gołym niebem.

-- Nie widziałem ich, Duchess... była niemowlęciem, kiedy ostatnio spotkałem się z córką. A potem Robin... -- Zamilkł.

-- To dobre dzieciaki, oboje.

Słowa zabrzmiały banalnie, pusto, choć wcale takie nie były, jakby na świecie istniał inny rodzaj dziecka.

-- Chciałem przyjechać, na pogrzeb. Ale coś komuś obiecałem. -- Hal nie rozwinął wyjaśnienia.

-- Wszystko poszło szybko. Kiedy tylko wydali... kiedy tylko wydali Star. Krótka msza w Little Brook. Leży obok siostry.

Duchess trzymała brata za rękę. Nie płakała, po prostu patrzyła na trumnę, jakby ta sprawiała, że wszyscy są równi, co przecież było prawdą.

Obserwowali, jak Duchess wychodzi z obory, w ślad za nią szedł kurczak. Rzuciła za siebie spojrzenie, jakby ją śledził.

-- Wygląda jak matka.

-- Tak.

-- Przygotowałem pokój. Będą mieli wspólny. Chłopak lubi bejsbol? Walk uśmiechnął się, ale nie wiedział.

-- Kupiłem piłkę i rękawicę.

Zobaczyli, że Duchess zagląda do radiowozu, sprawdza, czy Robin śpi, a potem znów idzie w stronę obory, nadal tropiona przez kurczaka.

Hal odchrząknął.

-- Vincent King. Nie wymawiałem tego nazwiska od dawna. Miałem nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał.

-- Dotąd nic nie powiedział. Zostałem go tam w kuchni, to on wezwał policję. Mam pewne wątpliwości. -- Walk wyrzucił to z siebie z takim przekonaniem, że aż się zastanawiał, czy Hal go nie przejrzał, czy nie odgadł, że stracił grunt pod nogami do tego stopnia, by stanowi przestali go na bieżąco informować.

-- Siedzi w areszcie.

-- Jeszcze mu oficjalnie nie postawiono zarzutów. Wyszedł warunkowo. Ale złamał warunki zwolnienia.

-- Ale to przecież Vincent King.

-- Nie wiem, co Vincent zrobił, o co poszło.

-- Chodzę do kościoła, ale nie wierzę w Boga. Facet idzie do więzienia, ale nie jest przestępcą.

Twarz Hala, pocięta zmarszczkami tak głębokimi, że opowiadały historię sięgającą trzydziestu lat wstecz.

Znów strzelił palcami.

-- Pastor powiedział: "Koniec jest początkiem". Byłoby łatwiej, gdybym mógł myśleć, że Sissy znajduje się w jakimś lepszym miejscu niż mała drewniana skrzynka. Próbuję tak myśleć, co niedzielę próbuję.

-- Przykro mi.

-- To nie twoja...

-- Chodzi nie tylko o Sissy. Twoja żona. Nie miałem możliwości wtedy z tobą porozmawiać.

Lokalne wiadomości. Wtedy, w pierwszym dniu procesu, zobaczyli wreszcie matkę Star. Maggie Day dotarła na salę sądową. Jej włosy, oczy, miała wszystko, co mogło przyciągać spojrzenia, ale jej urok przeminał, pozbawiając ją wszelkiej urody.

-- Była smutna z powodu Vincenta. To znaczy dziecka, które zostało ukarane jak dorosły, to złamało ją kolejny raz. -- Hal dopił piwo. -- Kiedy Star ją znalazła, wtedy, w nocy. Mieliśmy obraz, sztych, *Temeraire*. Znasz go?

-- Z łodzią.

-- Siedziała pod nim, z głową odchyłoną do tyłu. Wpatrzona w udęczone niebo, jakby do niego należała.

-- Przykro mi.

-- Chciała być z Sissy. -- Powiedział to tak po prostu, jakby mogło być coś prostego w samobójstwie żony i matki. -- Vincent King to rak na mojej rodzinie.

Walk przyłożył sobie zimną butelkę do czoła.

-- Słuchaj, Hal. Jest taki facet. Dickie Darke. Był... on i Star. Był brutalny wobec niej. -- Obserwował starszego mężczyznę, jego zaciśnięte usta. -- I nie wiem, co się przytrafiło Duchess, ale ktoś spalił mu lokal. Klub ze striptizem.

Hal popatrzył na wnuczkę, wydawała się taka mała na tle nieskończoności pól.

-- Nie sądzę, że będzie próbował cię znaleźć, nie po tym wszystkim, co się stało.

-- Mógłby tu przyjechać?

-- Nie wydaje mi się, ale Duchess uważa, że to zrobi.

-- Powiedziała tak?

-- Właściwie to nic nie mówi. Pytała tylko, czy Darke może ich tu znaleźć. Nie powie dokładnie dlaczego. Nie mogę całkowicie wykluczyć, że nie miał czegoś wspólnego ze Star.

-- A jeśli miał?

Walk nabrał powietrza, patrzył na samochód, w którym spał chłopiec. Być może jedyny świadek.

-- Tu nas nie znajdzie. Nie ma mnie w rejestrze, a ziemia... jest zastawiona. Miałem parę ciężkich lat. Będzie u mnie bezpieczna. Chłopiec też. To jedno na pewno mogę zrobić.

Walk przeszedł się za dom, potem do ogrodu. Była tam jakaś woda, za duża na staw, za mała na jezioro. Zobaczył w niej odbicia, nieba i drzew, i własnej pomarszczonej twarzy.

-- Nie chcę tu zostać.

Odwrócił się do Duchess.

-- Ten facet jest stary. Nawet nie wiem, kim on, kurwa, jest.

-- Nie ma innego wyjścia. To albo opieka społeczna... Zrobisz to dla Robina?

Chciał wziąć ją za rękę i powiedzieć parę miłych kłamstw.

-- Nie dzwoń tu, Walk. Możesz pisać. Chyba. Ten psycholog powiedział, że Robin musi o wszystkim zapomnieć. Może na jakiś czas. Za dużo na niego spadło. Za dużo dla małego dziecka.

Chciał powiedzieć, że ona też jest dzieckiem.

Potem przyklęknął na ziemi, potargał Robinowi włosy i spojrzał w przerażone oczy. Robin patrzył obok, na Hala i stary dom. Walk wstał więc i podszedł do Duchess, szukał właściwych słów.

-- Jestem banitką -- powiedziała.

Nabrał powietrza, ogarnął go nagły smutek.

-- A ty jesteś stróżem prawa.

-- Jestem. -- Kiwnął głową.

-- Więc spieprzaj stąd.

Wsiadł do radiowozu i spojrzał na nich.

Słońce zamierało, zwolnił przy wodzie, pod eukaliptusami, i patrzył na nią, na dziewczynkę z ręką na ramieniu brata, jak idzie z nim w stronę starszego mężczyzny, powoli, ostrożnie.

Pierwszego wieczora na farmie Duchess nic nie zjadła.

Obserwowała tylko Robina i dopilnowała, by opróżnił miskę. To był jakiś rodzaj potrawy, a chłopiec patrzył na Duchess wzrokiem, który mówił, że chce mu się płakać. Ostatnie łyżki włożyła mu do ust sama.

Hal stał niezręcznie i przyglądał się przez chwilę, potem podszedł do zlewu i wyrztał na pola. Był za duży dla Duchess, szeroki w ramionach, potężny i imponujący. Robinowi musiał się wydawać olbrzymem.

Duchess odstawiła ich miski.

-- Musisz jeść -- powiedział.

-- Nie wiesz, co muszę.

Wyrzuciła swoją porcję do śmieci, potem wyprowadziła brata z kuchni na werandę.

Zachód słońca. Siwa mgła spowijała falujące pola i unosiła się nad wodą. W oddali zgromadziły się zwierzęta, stado łosi zwrócone w stronę gasnącego światła.

-- Idź pobiegać. -- Popchnęła go lekko.

Robin zostawił ją i zszedł ze wzgórza, znalazł patyk i zaczął grzebać nim w ziemi. W drugiej ręce ścisnął Kapitana Amerykę.

Nie tracił jej z oczu od tamtego poranka, gdy się obudził w domu Walka.

Zdażyła go już przepyttać -- było wtedy późno i Walk spał -- pytała o to, co się stało w nocy, i zapewniała, że będzie w porządku, jeśli jej powie, czy coś słyszał. Nie powiedział jej nic, miejsce, gdzie mogłyby się ukrywać jakieś wspomnienia, pograżyło się w totalnej ciemności.

Musiała jeszcze przepracować śmierć matki, pogrzeb, nowy grób obok Sissy na urwisku Little Brook. Chciała płakać, chociaż wiedziała,

że jeśli smutek zostanie jej w piersi, nie pozwoli jej oddychać, a teraz potrzebowała siły najbardziej ze wszystkiego. Musiała ją znaleźć dla brata. Teraz zostali tylko we dwoje. Banitka i jej brat.

-- Mam dla niego piłkę.

Nie odwróciła się i nie dała po sobie znać, że zauważyła Hala. Nie dopuszczała do siebie myśli, że są rodziną, że płynie w nich ta sama krew. Nie było go, kiedy potrzebowali jego obecności, i zdarzało się to zbyt często. Splunęła na ziemię.

-- Wiem, że było ciężko.

-- Gównu wiesz.

Słowa zawisły w powietrzu spowijanym mrokiem, ciemność pędziła ku nim tak prędko, jakby jednym ruchem chciała zdmuchnąć wszystkie kolory.

-- Nie podoba mi się przeklinanie w moim domu.

-- W moim domu. Walk powiedział, że to jest teraz nasz dom.

Chyba go zabolalo. Duchess była z tego zadowolona.

-- Od jutra będzie inaczej, pod każdym względem. Część pewnie wam się spodoba, a część nie.

-- Nie wiesz, co mi się podoba, a co nie. Tak samo mojemu bratu.

Hal przysiadł na huśtawce, wskazał jej miejsce obok siebie, ale nie skorzystała. Łańcuch tarł o cedr, dźwięk przypominający wyrywanie duszy ze starego domu. Mama opowiadała jej o duszach, prymitywnych i racjonalnych. Zastanawiała się, co może być racjonalnego w najbardziej podstawowej formie życia.

Zapalił cygaro; dym doleciał do niej, chciała się ruszyć, ale nie mogła, sandały wrosły jej w ziemię. Instynkt kazał pytać o matkę, ciotkę i o Vincenta Kinga. O to, gdzie, do kurwy nędzy, właśnie się znaleźli, co to za ziemia tak inna, pod tak rozległym niebem. Pomyślała, że spodo-

bałaby mu się rozmowa z wnuczką, tak jakby nawiązywała się między nimi więź. Znów splunęła na ziemię.

Godzinę przed porą snania Hal wysłał ich na górę. Duchess sama zawlekła walizkę. Nie pozwoliła mu pomóc.

Przebrała Robina w piżamę, potem umyli zęby w małej łazience, która przylegała do oszczędnie urządzonego pokoju.

-- Chcę do domu -- powiedział Robin.

-- Wiem.

-- Boję się.

-- Jesteś królewiczem.

Duchess przeciągnęła nocną szafkę po podrapanej podłodze, a potem przepchnęła łóżka tak, żeby się stykały.

-- Zmówcie pacierz -- powiedział głos od drzwi.

-- Takiego chuja -- odpaliła.

Patrzyła, jak zareaguje, miała nadzieję, że się wzdrygnie, ale nie. Stał tam, usta zaciśnięte w linię. Wpatrywała się w jego twarz, szukała w niej siebie, brata, matki. Może dostrzegła wszystkich po trochu, a może był tylko obcym starcem.

Parę minut później Robin leżał już w łóżku. Ułożył na sobie jej ramię i tak zasnął.

Wydawało się, że już po chwili uporczywe buczenie wdarło się do jej snów. Wyciągnęła rękę i wyłączyła budzik, potem usiadła szybko i przez kilka okrutnych sekund myślała, żeby zawołać matkę.

Robin spał obok, sięgnęła i przykryła go, wtedy usłyszała na dole Hala, gwizdek czajnika i ciężkie kroki.

Położyła się i próbowała jeszcze zasnąć, ale światło z korytarza wpadło do pokoju, kiedy Hal wszedł po schodach i otworzył drzwi.

-- Robin. -- Chłopiec poruszył się na dźwięk głosu starszego mężczyzny. -- Zwierzęta są głodne, chcesz mi pomóc?

Duchess patrzyła na brata, schemat myślowy łatwy do rozgryzienia. Widziała, z jaką ciekawością zerkał na obory i kurczaki, wielkie krowy i konie. Wygramolił się z łóżka i odwrócił do niej w milczeniu, aż wstała i podała mu szczoteczkę do zębów.

Na dole czekały miski z owsianką. Duchess opróżniła swoją do kosza. Znalazła cukier i wsypała łyżeczkę do miski Robina. Zjadł w milczeniu.

Hal stanął w drzwiach, za nim unosiła się zwiewna mgła, jakby pod ziemią palił się ogień.

-- Gotowy do pracy.

To nie było pytanie.

Robin dopił sok i zeskoczył z krzesła. Hal wyciągnął rękę, a Robin podał mu swoją. Duchess patrzyła przez okno, jak idą do obory, starszy mężczyzna coś mówił, ale słowa do niej nie dolatywały, a Robin patrzył w górę, jakby ostatnie sześć lat w ogóle się nie liczyło.

Narzuciła płaszcz, zawiązała trampki i wyszła na poranne powietrze.

Za plecami miała słońce wynurzające się zza gór, obietnica czegoś nowego ciążyła jej na piersi.

Walk jechał przez całą noc, stany i widoki wyglądały w ciemnościach tak samo, tylko drogowskazy odliczające mile mówiły mu, żeby zrobić przerwę, bo zmęczenie zabija. Kiedy dotarł do domu, wyjął wtyczkę od telefonu z gniazdka, zaciągnął zasłony i się położył; leżał, nie spał, myślał o Star, Duchess i Robinie.

Na śniadanie dwa ibupromy i szklanka wody. Pryszyć, ale bez golenia.

O ósmej dotarł na parking, gdzie czekał już dziennikarz, Kip Daniels z "Sutler County Tribune". Za Kipem stała para turystów i kilkoro miejscowych. Podczas krótkiej jazdy Walk usłyszał, że stan Kalifornia przygotowuje się do oskarżenia Vincenta Kinga o zamordowanie Star Radley. Nie kupował tego, ale stacje informacyjne już tak.

-- Obawiam się, że nie mam nic do powiedzenia.

-- Coś o broni?

-- Nic.

-- Zarzuty?

-- Nie wierzcie we wszystko, co mówią.

Vincent wrócił do Fairmont. To, że ciągle milczał i że był na miejscu zbrodni, ułatwiło rozwiązanie zagadki. Nikt inny nie pojawił się w kadrze. Policja stanowa, Boyd i jego ludzie, zainstalowała się w pokoju na tyłach; ściągali miejscowych i robili dużo hałasu. Jednak wszystko już się uspokajało.

Na posterunku, w recepcji zastał Leah Tallow, lampki na telefonie błyskały jak szalone.

-- Zwariowany poranek. Słyszałeś wiadomości?

Walk patrzył, jak odbiera kolejne połączenie, nie skomentował sytuacji.

Wezwali Valerię Reyes, dziesięć lat starszą od Walka. Siedziała za biurkiem i jadła orzechy, przy telefonie zgromadziła już słuszny stos lupin, głucha na panującą wrzawę.

-- Cześć, Walk. Dzieje się tu dziś. Mają rzeźnika.

Walk zatrzymał się i poskrobał po szczecinie na policzku.

-- Gdzie?

-- W pokoju przesłuchań.

-- Po co go trzymają?

-- Myślą, że wszystko im powie? -- Valeria zjadła kolejnego orzecha, beknęła cicho i popiła kawą.

-- Musisz się przespać, Walk. I chyba ogolić.

Rozejrzył się, wszystko sprawiało wrażenie normalności. Siostra Leah miała kwaciarnię przy Main i co tydzień podrzucała bukiet. Niebieskie hortensje, alstremerie i eukaliptus. Czasem myślał, że posterunek przypomina plan filmowy, jakiś telewizyjny program o policji, a oni odgrywają swoje role na tle zmyślnych dekoracji, i tyle.

-- Gdzie jest Boyd?

Wzruszyła ramionami.

-- Powiedział, żeby nie gadać z rzeźnikiem, dopóki nie wróci.

Znalazł Milтона w małym pokoju na tyłach budynku, w pomieszczeniu, które wykorzystywali do spotkań z prasą, kiedy musieli wydać oświadczenie. Milton trzymał ręce na piersi, masował się, jakby potrzebował pobudzić na nowo serce do działania. Chociaż zdjął fartuch przed przyjściem, Walk i tak wyczuwał zapach krwi, jakby przyłgął do każdego włosa wyrastającego z ciała mężczyzny.

Walk wsadził ręce głęboko w kieszenie. Przyłapał się na tym, że robi to coraz częściej, zwłaszcza teraz, znów na lekach, które nic nie pomagają.

Milton wstał.

-- Nie wiem, po co kazali mi tu siedzieć. Mam robotę. A sam do nich przyszedłem.

-- W celu?

Milton zerknął na buty, poluzował sobie kołnierzyk i obciągnął mankiety. Wystroił się na tę okoliczność.

-- Coś sobie przypomniałem.

-- Tak?

-- Lubię sobie powyglądać. Patrzyć na wodę, na niebo, mam teleskop, teraz skomputeryzowany. Musisz kiedyś wpaść i razem...

Walk podniósł rękę, był na to zbyt zmęczony.

-- Wtedy, w nocy, przed strzałem. Wydawało mi się, że usłyszałem krzyk. Miałem otwarte okno, opiekalem małego królika, no wiesz, żeby zmiękczyć kości.

-- Wydawało ci się?

Milton popatrzył w żarówki przy suficie.

-- Słyszałem krzyk. Jakby kłótnię.

-- I dopiero teraz to do ciebie dotarło?

-- Mogłem być jeszcze w szoku. Musiało mi wylecieć z głowy.

Walk intensywnie się w niego wpatrywał.

-- Widziałeś Darke'a tamtej nocy?

Moment zawahania, zanim pokręcił głową. Może jakieś ułamki sekund, ale Walk to wychwycił. Nazwisko Dickiego Darke'a padło w związku ze sprawą, ale przywołał je sam Walk. Duchess nie wspomniała o nim ani słowem. Walk zastanawiał się, czy to ze strachu.

-- Brandon Rock. -- Milton wypuścił powietrze z piersi. -- Samochód... dziś rano. Wstaję bardzo wcześnie, a ten typ wraca do domu o przeróżnych godzinach. Ja potrzebuję się wyspać, Walk.

-- Pogadam z nim.

-- Do tego znów kolejna osoba odpadła nam ze straży. Jakby już nikogo nie obchodziło osiedle.

-- Ile was teraz zostało?

Milton prychnął.

-- Tylko ja i Etta Constance. Ale ona nie widzi dobrze jednym okiem. Tylko peryferyjnie.

Machnął ręką dla podkreślenia efektu.

-- Śpię spokojniej, wiedząc, że wasza dwójka ma baczenie na miasto.

-- Wszystko dokumentuję. Mam pod łóżkiem całą walizkę.

Walk mógł sobie tylko wyobrazić, jakiego rodzaju notatki sporządza ten facet.

-- Oglądałem taki program, że gliniarz zabrał cywila na przejażdżkę. Myślałeś kiedyś o tym, Walk? Wziąłbym cotechino... pachniałoby w całym aucie. A potem moglibyśmy...

Walk usłyszał hałas na zewnątrz i odwrócił się dokładnie w chwili, kiedy sylwetka Boyda wypełniła drzwi. Dobrze zbudowany, obcięty na jeża, żołnierz przerobiony na policjanta.

Walk wyszedł za nim z pokoju.

Boyd poprowadził go do jego własnego gabinetu, po czym opadł ciężko na fotel Walka.

-- Powiesz mi, co się dzieje? -- spytał Walk.

Boyd odchylił się, przeciągnął, ramiona wyglądały na ogromne, kiedy splótł dłonie na karku.

-- Właśnie wracam z biura prokuratorki okręgowej. Zamierzamy oskarżyć Vincenta Kinga o zamordowanie Star Radley.

Walk wiedział, że tak będzie, jednak słowa Boyda mocno nim wstrząsnęły.

-- Rzeźnik powiedział nam, że parę dni temu widział, jak Vincent King natknął się w nocy na Dickiego Darke'a. Mówi, że wyglądało to tak, jakby Vincent mu groził. Z zazdrości. Tuż pod domem Radleyów.

-- Co mówi na ten temat Darke?

-- Potwierdza. Przyszedł z adwokatem. Kawał skurwysyna, faktycznie. Wygląda na to, że spotykał się z ofiarą, chociaż twierdzi, że byli tylko przyjaciółmi.

-- Milton, rzeźnik. Mnóstwo zgłoszeń przez ostatnie lata, lubi obserwować miasto, no wiesz. Bardzo się tym... ekscytuje. Widzi rzeczy, których może wcale nie być.

Boyd przeciągnął językiem po zębach i wydał wargi. Był stale w ruchu, jakby choćby chwilowe zatrzymanie się miało sprawić, że wyskoczy mu brzuch, a linia włosów się cofnie. Silny zapach wody kolońskiej. Walk spojrział na okno, miał wielką chęć otworzyć je na oścież.

-- Złapaliśmy Vincenta na miejscu zbrodni, są odciski palców. Jego DNA na zwłokach. Miała złamane trzy żebra, on spuchniętą lewą rękę. Nie zaprzeczył, nic nie powiedział. Łatwa sprawa, Walker.

-- Zero śladów prochu -- powiedział Walk. -- I broni. Nie ma prochu i broni.

Boyd potarł policzek.

-- Mówiłeś, że łało się z kranu. Umył ręce. A co do broni. Rozpuściliśmy ludzi, wszędzie, znajdziemy broń. Zabija ją, pozbywa się broni, wraca i wzywa pomoc.

-- To nie ma sensu.

-- Mamy raport balistyczny. Pocisk, który wyciągnęli, to trzy pięć siedem Magnum, kopie jak diabli. Sprawdziliśmy adres, okazuje się, że ojciec Vincenta Kinga miał w połowie lat siedemdziesiątych zarejestrowany rewolwer.

Walk obserwował mężczyznę, nie podobał mu się kierunek, w którym to wszystko zmierzało. Pamiętał, że było kilka gróźb wobec Kingów, na tyle poważnych, iż ojciec Vincenta postarał się o broń.

-- Spróbuj zgadnąć kaliber, Walker.

Walk zachował spokój, chociaż w brzuchu go ścisnęło.

-- Prokuratorka chciała więcej dowodów. Teraz mamy motyw i dostęp do broni. Wystąpimy o kaes.

Kara śmierci. Walk potrząsnął głową.

-- Jeszcze trzeba pogadać z paroma osobami. Chcę sprawdzić ponownie alibi Dickiego Darke'a, no i ten Milton, nie jestem pewny...

-- Zostaw to, Walker. Sprawa jest oczywista. Chcę ją przekazać prokuratorce do końca tygodnia. Mamy wszystko, co trzeba. Będziesz miał z głowy.

-- Ale naprawdę myślę, że...

-- Posłuchaj. To, co musisz tutaj robić, jest w porządku. Mam kuzyna, który pracuje w Alson Cove i to uwielbia, tempo jest wolne, praca łatwa. Nic w tym złego. Ale kiedy ostatnio pracowałeś nad prawdziwą sprawą, to znaczy czymś większym niż wykroczenie?

Walk nie zajmował się niczym poważniejszym niż wykroczenie.

Boyd wyciągnął rękę i mocno ścisnął go za ramię.

-- Nie spierdol nam tego.

Walk z trudem przełknął ślinę, czas płynął jak szalony.

-- Jeśli będzie się bronił? Jeśli załatwię mu obronę?

Boyd spojrział mu w oczy. Nic nie powiedział, ale nie musiał.

Vincent King umrze.

Chmury spływały kaskadą z gór, otaczając farmę ramką, jakby znajdowała się na obrazku.

Pracowała, nogi jej ciążyły, skórę dłoni pod rękawicami miała otartą.

Bez względu na to, co jej przydzielili do roboty -- sypanie nawozu, cięcie długich łodyg winorośli za domem, zbieranie gałęzi z wietrznego podjazdu -- robiła to z nienawiścią. Hal odgrywał dziadka, teraz, kiedy mama leżała pod ziemią.

Pogrzeb był niestosownie krótki. Walk wygrzebał stary krawat dla Robina, ten sam, który nosił, kiedy umarła jego matka. Robin trzymał ją przez cały czas za rękę, pastor próbował odciągnąć ich od zrujnowanego życia gadką o tym, że Bóg potrzebował kolejnego anioła, jakby nic nie wiedział na temat udreżonej duszy, która została zabrana.

-- Zrobimy przerwę na lunch. -- Starszy mężczyzna wyrwał ją z zamyślenia.

-- Nie jestem głodna.

-- Musisz jeść.

Odwróciła się do niego plecami, sięgnęła po miotłę i silnymi pociągnięciami zaczęła sprzątać ziemię z popękanego podjazdu.

Dziesięć minut później rzuciła miotłę i powoli zwróciła się ku domowi. Weszła na werandę i zajrzała przez okno. Hal stał tyłem do niej, brat jadł kanapkę, nad stół wystawała mu tylko głowa. Miał kubek z mlekiem.

Z płonącymi policzkami weszła tylnymi drzwiami do kuchni. Zabrała ze stołu kubek Robina, wylała mleko do zlewu, wypłukała naczynie i wyjęła karton soku z lodówki.

-- Mogę wypić mleko do lunchu, nie przeszkadza mi to -- powiedział Robin.

-- Nie, nie możesz, pijesz sok, tak jak przez całe...

-- Duchess -- zareagował Hal.

-- Ty się zamknij. -- Odwróciła się do dziadka. -- I nie wymawiaj mojego imienia, nawet go, kurwa, nie wymawiaj. Nic nie wiesz o moim bracie.

Robin zaczął płakać.

-- Wiem wystarczająco -- powiedział Hal łagodnie.

-- Nie mów mi "wystarczająco". -- Zabrakło jej tchu, trzęsła się, złość buchała z niej z taką siłą, że ledwo mogła nad nią zapanować.

-- Powiedziałem...

-- Pierdol się.

Wtedy wstał, podniósł rękę i opuścił ją z mocą na stół, przez co talerz spadł na podłogę. Rozbił się, a Duchess się wzdrygnęła, potem zrobiła w tył zwrot i wybiegła. Minęła wodę i podjazd, mocno pracując ramionami, przez wysokie trawy, ugór, w stronę drzew.

Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy musiała, gdy padła na kolano i łapczywie chwyciła otwartymi ustami ciepłe, ciężkie powietrze. Przeklinała mężczyznę, kopnęła w gruby dąb i przeszył ją ból. Krzyknęła wśród drzew tak głośno, że ptaki poderwały się i rozsypały czarnymi punktami wśród chmur.

Pomyślała o domu. Dzień po pogrzebie Walk spakował ich mizerny dobytek. Na koncie bankowym zionęło pustką, w torebce matki trzydzieści dolarów, nic do przekazania.

Pokonała milę, aż daglezie się przerzedziły. Była brudna i spocona, włosy miała wilgotne i potargane. Zwolniła trochę, po czym ruszyła wzdłuż środkowej linii drogi, licząc przerywane kreski.

Obok drogi były trawa i las, rzeka w oddali; szła przed siebie, pod sklepieniem błękitnego wybaczenia. Czasem czekała na coś więcej, jakiś znak, coś więdącego, siwiejącego lub nietrwałego, coś, co powiedziałoby jej, że świat stał się innym miejscem, odkąd jej matka nie żyje.

Drogowskaz informował o mieście. Copper Falls, Montana. Szereg sklepów, pomarańczowa cegła, zbyt nowa na tle okolicy, płaskie dachy i wyblakłe markizy, smętnie zwisające flagi. Zatarte, dawno zapomniane napisy, Bush i Kerry, gwiazdy i paski. Tania restauracja, "Witamy myśliwych", toaleta publiczna, apteka, pralnia samoobsługowa. Piekarnia, przy której ślinka napłynęła jej do ust. Stała i patrzyła, zobaczyła pary starszych ludzi przy każdym stoliku, jedli ciasto i pili kawę. Na zewnątrz siedział mężczyzna i czytał gazetę. Minęła fryzjera, staroświecki lokal z charakterystycznym szklanym walcem w trzech kolorach i ofertą golenia. Dalej był salon urody, kobiety w fotelach, gorące powietrze wypływało przez otwarte drzwi.

Na końcu ulicy wznosiła się góra, która zasłaniała horyzont, jak wyzwanie albo przypomnienie, że dokoła jest mnóstwo innych, większych gór.

Minęła chudego czarnoskórego chłopca. Stał na chodniku w płaszczu na ramionach, chociaż było z osiemdziesiąt stopni³, i intensywnie się w nią wpatrywał. Miał na sobie luźne spodnie i muszkę, a szelki podciągały mu nogawki tak wysoko, że odsłaniały białe skarpetki.

Nie odwrócił wzroku, mimo jej zniechęcającego spojrzenia.

-- Na co się, kurwa, gapisz?

-- Chyba na anioła.

Skomentowała muszkę potrząśnięciem głowy.

-- Nazywam się Thomas Noble.

Ciągle się w nią wpatrywał z otwartą buzią.

-- Przestań się gapić, świrze.

Popchnęła go i upadł na tyłek.

Spojrzał na nią zza grubych szkieł okularów.

-- I tak warto było poczuć twoje dotknięcie.

-- Uch. Czy wszyscy w tym mieście są pojebani?

Czuła jego wzrok na sobie całą drogę, aż do końca ulicy.

Usiadła na ławce i obserwowała ruch, tak wolny, że jej powieki stały się ciężkie.

Obok zatrzymała się jakaś pani, może koło sześćdziesiątki, na tyle elegancka, by przyciągnąć uwagę Duchess. Wysokie obcasy, szminka i mocne perfumy, włosy spływały jej falami, jakby właśnie wyszła od fryzjera.

Odstawiła torbę, od Chanel, i przysiadła obok.

-- Co za lato.

Akcent, którego Duchess nie znała.

-- Powtarzam ciągle mojemu Billowi, żeby naprawił klimatyzator, ale jak sądzisz, czy posłuchał?

-- Sądzę, że chuj mnie to obchodzi. I może Billa też.

Roześmiała się na to, włożyła papierosa do lufki i zapaliła.

-- Jakbyś go znała, albo może twój tata jest taki sam. Zaczyna coś robić i natychmiast traci zainteresowanie. Oni już tacy są, ci faceci, skarbie.

Duchess westchnęła; miała nadzieję, że ją odstraszy samą postawą.

Kobieta sięgnęła do siatki z zakupami i wyjęła papierową torebkę. Wyciągnęła z niej paczka, a potem podała drugiego Duchess.

Duchess próbowała ją ignorować, ale kobieta potrząsnęła opakowaniem, jakby wabiła nieufne zwierzę.

-- Jadłaś kiedyś pączka od Cherry'ego? -- Nie odpuściła i szeleściła papierem dotąd, aż Duchess wzięła pączka, a kiedy go ostrożnie ugryzła, cukier opadł jej na dzinsy.

-- Najlepszy pączek, jakiego w życiu jadłaś?

-- Przeciętny.

Kobieta zaśmiała się jak z najlepszego żartu.

-- Mogłabym zjeść z tuzin. Próbowalaś zjeść jednego, nie oblizując ust?

-- Dlaczego, kurwa, miałabym to robić?

-- Spróbuj, mówię ci. To trudniejsze, niż się zdaje.

-- Może dla starszej pani.

-- Starość to nie wiek, tylko stan umysłu.

-- Ile lat ma Bill?

-- Siedemdziesiąt pięć. -- Głośny śmiech.

Duchess jadła, czuła cukier na wargach, ale się nie oblizwała. Obserwowała panią, która też próbowała, walczyła przez chwilę, jakby ją swędziało, a potem oblizwała usta. Duchess wycelowwała w nią palec, a kobieta roześmiała się tak rubasznie, że dziewczynka z całych sił musiała powstrzymać uśmiech.

-- Jestem Dolly, tak w ogóle. Jak Parton, tylko bez biustu.

Duchess przez chwilę milczała, cisza wisiała między nimi, czuła, że Dolly patrzy, a potem odwraca wzrok.

-- Jestem banitką. Raczej nie powinna pani ze mną rozmawiać.

-- Przechwałki. Nie zrobiłaś dość na tym świecie.

-- Na nagrobku Claya Allisona napisali: "Nigdy nie zabił człowieka, który nie wymagał zabicia". To jest przechwałka.

-- Czy banitka jakoś się nazywa?

-- Duchess Day Radley.

Spojrzenie, nie litościwe, ale uważne.

-- Znam twojego dziadka. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu mamy.

Duchess poczuła to wtedy w piersi, ucisk, jakby nie mogła oddychać. Spojrzała na ulicę, potem na własne trampki, oczy miała zbyt piekące.

Dolly zgasiła papierosa, nie zaciągnęła się ani razu.

-- Nie wypaliła pani.

Uśmiechnęła się, niez mieszana, błyskając białymi zębami.

-- Palenie szkodzi. Spytaj mojego Billa.

-- To po co pani pali?

-- Kiedyś tata przyłapał mnie na papierosie. Okropnie mi wtłukł. Ale i tak popalałam ukradkiem. Nawet nie lubię ich smaku. Pewnie sobie myślisz, że jestem świrniętą starą babą.

-- No.

Duchess poczuła rękę na ramieniu. Stał szeroko uśmiechnięty, z lokami matowymi od potu, z brudem za paznokciami.

-- Jestem Robin.

-- Miło cię poznać, Robinie. Mam na imię Dolly.

-- Jak Parton?

-- Ale bez cycków -- dodała Duchess.

-- Mamusia lubiła Dolly Parton. Śpiewała jej piosenkę, tę o pracy od dziewiątej do piątej.

-- Ironiczne, jeśli wziąć pod uwagę, że nigdy nie udało jej się utrzymać w pracy.

Dolly zamachała ręką i powiedziała mu, że jest najprzystojniejszym młodym człowiekiem, jakiego widziała.

Duchess zobaczyła Hala po drugiej stronie ulicy, opierał się o maskę starej półciężarówki.

-- Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję. -- Dolly podała Robinowi pączka, zostawiła ich i poszła ulicą. Przechodząc, skinęła głową Halowi.

-- Dziadek się wystraszył. Proszę, nie rób problemów.

-- Jestem banitką, mały. Problemy same mnie znajdują.

Popatrzył w górę smutnymi oczami.

-- Spróbuj zjeść pączka, nie oblizując ust.

Rzucił okiem na pączka.

-- Łatwizna.

-- To spróbuj.

Ugryzł i od razu się oblizwał.

-- Oblizaleś się.

-- Wcale nie.

Ruszyli chodnikiem, niebo nad nimi przykryło się tymi płynącymi chmurami, które tak szybko przepędzają dzień.

-- Tęsknię za nią.

Ścisnęła go za rękę. Ciągle nie potrafiła się zdecydować, czy czuje to samo.

Trzydzieści lat w tym samym pomieszczeniu, z blaszanym sedesem i taką samą umywalką, z porytymi, pokrytymi bazgrołami ścianami. Drzwi, które się rozsuwają i zasuwają o tych samych porach każdego dnia.

Walk stał pod zakładem karnym Fairmont w słońcu, palącym z wysoka i bezlitośnie bez względu na miesiąc. Zerknął w górę na kamerę, popatrzył na mężczyzn na dziedzińcu, ogniwa łańcucha zmieniały ich w elementy puzzli, które już nigdzie nie pasowały.

-- Nigdy nie przywyknę do tych kolorów. Wszystko wygląda jak sprane.

Cuddy się roześmiał.

-- Brakuje twojego niebieskiego, Walk.

Cuddy zapalił papierosa, poczęstował Walka, ale ten odmówił machnięciem.

-- Palłeś kiedyś?

-- Nawet nigdy nie spróbowałem.

Patrzyli na rzucających piłkę do kosza mężczyzn, z gołymi klatkami, spoconych.

Jeden upadł, wstał i ustawił się do bójki, ale zobaczył Cuddy'ego i szybko się opanował. Gra potoczyła się dalej, agresja, na śmierć i życie, i nic pomiędzy.

-- Właśnie to do mnie dotarło -- powiedział Cuddy.

Walk odwrócił się, ale Cuddy patrzył na grających.

-- Ale wtedy myślałem, że niektórzy ludzie nie nadają się do tego miejsca. Kiedy zaczynałem pracę od najniższego szczebla, widziałem, jak ich przywożą, w białych kołnierzykach, prawników, bankierów, czy jak im tam, a ja uważałem, że tu nie pasują. Ale potem dotarło do mnie, że nie ma kolejnych stopni zła. Może nie ma znaczenia, jak bardzo przekroczysz granicę.

-- Większość ludzi się do niej mocno zbliża. Przynajmniej raz w życiu.

-- Nie ty, Walk.

-- Jeszcze wszystko przede mną.

-- Vincent przekroczył ją, kiedy miał piętnaście lat. Mój ojciec pracował tamtej nocy, kiedy go przywieźli. Ekipy telewizyjne już tu były. Pamiętam, że na procesie powiedzieli, że było późno.

Walk też to pamiętał.

-- Ojciec powiedział, że to najgorsza noc w jego życiu. I możesz sobie wyobrazić, co widział. Zamykanie dzieciaka. Widok wrzeszczących facetów z rękami wystawionymi między kratami. Paru zachowało się w porządku, nawet go wspierali. Ale większość, sam wiesz. Hałas, tak go powitali.

Walk przytrzymał się ogrodzenia, palce zacisnął na drutach siatki, nagle ciężko mu było oddychać.

-- Miałem dziewiętnaście lat mojego pierwszego dnia tutaj. -- Cud-dy zgasił papierosa i trzymał dalej niedopałek. -- Cztery lata więcej od Vincenta. Pracowałem na jego oddziale, na trójce. Kurwa, zawsze, jak na niego patrzyłem, widziałem dzieciaka, jak wszyscy inni. Może chłopaka z mojej szkoły, może młodszego brata, nieważne. Od razu go polubiłem.

Walk się uśmiechnął.

-- Myślałem o nim w domu, kiedy byłem na urlopie, kiedy oglądałem z dziewczyną film.

-- Serio?

-- Jego życie i moje. Nie są aż tak różne, z wyjątkiem jednego błędu. I to było to. Życie dziecka... Jezu. Dwóch dzieciaków, w tym Vincent. Jeśli tu wróci, jeśli nic z tego nie wyjdzie, tym bardziej to będzie tragiczne. Tym większa strata.

Walk miał dokładnie te same myśli.

-- Cieszyłem się, jak przyjechałeś i go stąd zabrałeś. Koniec jednego rozdziału, zbyt długiego, początek nowego. Miał jeszcze czas, Walk. Nie jesteśmy jeszcze aż tak starzy.

-- Wiem. -- Walk pomyślał o chorobie, jak bardzo zmieniała jego życie w coś, na co jeszcze nie był gotowy.

-- Czasem ludzie się skarżyli, że go faworyzowałem, mówili, że daję mu więcej czasu na wybiegu i na sranie. I tak było. Robiłem, ile mogłem, żeby mu dać trochę więcej. Życia... chociaż takiego na pół gwizdka. Nie powinniśmy rozważać kwestii winy, mamy robić swoje, prawda?

-- Robimy.

-- Nie spytałem go o to. Nigdy go o to nie spytałem, przez całe trzydzieści lat.

-- On tego nie zrobił, Cuddy.

Cuddy ciężko odetchnął, jakby powstrzymywał się przed tym pytaniem od długiego czasu. Potem się odwrócił i otworzył bramę.

-- Załatwiłem ci pokój.

-- Dzięki.

Walk nienawidził rozmów przez telefon, łatwiej mu będzie zachować dystans za płytą z pleksiglasu.

Cuddy zaprowadził go do biura, w pomieszczeniu nie było nic oprócz metalowego stołu i dwóch krzeseł. Miejsce dla prawnika i klienta, spisywanie formułek, odwołanie i nadzieja, plany, którą ścieżkę proceduralną wybrać w następnej kolejności.

Wprowadzili Vincenta. Cuddy rozkuł go, spojrzał przez ramię na Walka i zostawił ich samych.

-- Co ty wyprawiasz, do cholery? -- spytał Walk.

Vincent zajął krzesło naprzeciwko i skrzyżował nogi.

-- Schudłeś, Walk.

Kolejne dwa funty. Jadł śniadanie i nic więcej, tylko pił kawę. Bolał go brzuch, nie był to ostry ból, raczej tępy i nieustanny, jakby organizm znów zwrócił się przeciwko niemu. Nowe leki zadziałały, pomagały mu

zachować stabilność, pomagały mu stać i chodzić, i brać obie te rzeczy prawie za oczywistość.

-- Chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

-- Wysłałem ci list.

-- Dostałem go. "Przykro mi".

-- To miałem na myśli.

-- I ciąg dalszy też.

-- To też właśnie miałem na myśli.

-- Nie wystawię domu. Może po procesie, gdy już się dowiemy, na czym stoimy.

Vincent wyglądał, jakby go to zabolalo, jakby poprosił o przysługę i odkrył, że Walk się wykręcił. Wyraził się w liście jasno, tak elegancko, że Walk musiał przeczytać dwa razy. Sprzedaj dom. Przyjmij ofertę Dickiego Darke'a, milion dolarów.

-- Dostałem już czek. Musisz tylko dopilnować formalności.

Walk potrząsnął głową.

-- Poczekamy, a potem...

-- Paskudnie wyglądasz.

-- Nic mi nie jest.

Siedzieli w milczeniu.

-- Duchess i Ro... i chłopiec. Mały chłopiec.

Wymówił imiona cicho, jakby nie był godzien wypowiedzieć ich na głos.

-- Musisz zrobić jedno, Vincent. Pogadamy o tym, możemy znaleźć jakieś wyjście, ale myślę, że musisz poświęcić na to trochę czasu.

-- Trochę go mam.

Walk wyjął z kieszeni opakowanie gum do żucia i podał mu jedną.

-- Kontrabanda -- powiedział Vincent.

-- Tak jest.

Walk go obserwował, szukał czegoś, czego nie mógł zobaczyć. Zero poczucia winy, zero wyrzutów sumienia. Rozważał pomysł, że Vincent zatracił je, przyzwyczyił się do tego miejsca. Nie kupował tego, nic tu do siebie nie pasowało. Vincent cały czas odwracał wzrok, nie spojrzął mu w oczy ani na sekundę.

-- Ja wiem, Vin.

-- Co takiego?

-- Że tego nie zrobiłeś.

-- Decyzja o winie zapada na długo przed samym czynem. Ludzie nie są tego świadomi. Myślą, że mają wybór. Patrzą wstecz, rozgrywają sytuację inaczej, zamykają drzwi, ale tak naprawdę niczego nie mogą zmienić.

-- Nie chcesz mówić, bo wiesz, że ci nie odpuszczę. Nie możesz ciągle kłamać.

-- To nie jest...

-- Gdzie jest broń, skoro to zrobiłeś?

Vincent nerwowo przełknął ślinę.

-- Chciałbym, żebyś wziął dla mnie adwokata.

Walk wypuścił powietrze z płuc, uśmiechnął się i zaczął klepać w stół otwartą dłonią.

-- Tak, bardzo dobrze, znam paru dobrych prawników procesowych.

-- Chcę Marthę May.

Walk przestał klepać.

-- Słucham?

-- Chcę Marthę May i nikogo innego.

-- Martha zajmuje się prawem rodzinnym.

-- To jedyny prawnik, którego potrzebuję.

Walk rozważał to przez chwilę.

-- Jaki masz w tym interes?

Vincent ciągle patrzył w dół.

-- Do diabła, co się z tobą dzieje? Czekałem na ciebie trzydzieści lat.

-- Walk uderzył ręką w stół. -- Daj spokój, Vincent, nie byłeś... nie tylko twoje życie trwało w zawieszeniu.

-- Uważasz, że nasze historie są do siebie zbliżone?

-- Nie o to mi chodziło. Wszystkim nam było ciężko. Star też.

Vincent wstał.

-- Zaczekaj.

-- O co chodzi, Walk? Co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

-- Boyd i prokuratorka okręgowa. Chcą wystąpić o karę śmierci.

Słowo zawisło między nimi.

-- Powiedz Marcie, żeby przyjechała się ze mną spotkać. Podpiszę dokumenty.

-- Grozi ci stryczek. Jezu, Vincent. Pomyśl, co robisz.

Vincent zapukał w drzwi, dał znak strażnikowi.

-- Na razie, Walk.

I znów ten półuśmiech, ten sam, który cofnął go o trzydzieści lat i sprawił, że Walk nigdy nie zwątpił w przyjaciela.

W tamtą pierwszą niedzielę spali do ósmej.

Najpierw obudziła się Duchess, brat przyciskał się do niej mocno, twarz muśnięta słońcem. Szybko się opalał.

Poszła do łazienki i uchwyciła kształt własnej twarzy w lustrze. Schudła, zawsze była bardzo szczupła, ale teraz policzki miała zapadnięte, a kości policzkowe ostro zarysowane. Z dnia na dzień coraz bardziej upodabniała się do matki, do tego stopnia, że aż Robin powiedział jej, żeby zaczęła jeść.

Zobaczyła ją, kiedy weszła do holu. Sukienka. W kwiatki, chyba stokrotki. Obok był wieszak, a na nim elegancka bawełniana koszula i ciemne spodnie, jeszcze z metkami, rozmiar cztery--pięć.

Zeszła powoli po schodach, wciąż uczyła się odgłosów starego domu. Stała w drzwiach kuchni i wtedy zobaczyła jego. Wypastowane buty, krawat, sztywny kołnierzyk. Chociaż była pewna, że podeszła bezgłośnie, odwrócił się.

-- Przygotowałem ci sukienkę. W niedzielę chodzimy do kościoła. W Canyon View, co tydzień.

-- Nie mów "my" w odniesieniu do mnie i mojego brata.

-- Dzieciaki lubią kościół. Potem mamy ciasto. Już powiedziałem Robinowi i się zgodził.

Robin, Judasz, dla ciasta zrobi wszystko.

-- Ty idziesz do kościoła. My zostajemy tutaj.

-- Nie mogę zostawić was samych.

-- Przywykłeś przez trzynaście lat.

Nie zareagował na przytyk.

-- Nawet rozmiar kupiłeś niewłaściwy. Robin nosi szóstkę. Robin ma sześć lat. Kupiłeś na cztery--pięć lat; nawet nie wiesz, ile lat ma twój wnuk.

Hal z trudem przełknął ślinę.

-- Przepraszam.

Minęła go i naląła sobie kawy.

-- Dlaczego uważasz, że gdzieś jest jakiś Bóg?

Wskazał za okno. Odwróciła się i wyjrzała.

-- Nic nie widzę.

-- Widzisz, Duchess. Widzisz to wszystko. Wiem, że tak.

-- Wiem, co widzę.

Spojrzał, lekko spięty, jakby był gotowy na to, co go czeka.

-- Widzę wrak człowieka, który nieźle skopał sobie życie, który nie ma przyjaciół ani rodziny, a kiedy wykituje, nikogo to nie obejdzie. -- Uśmiechnęła się niewinnie. -- Pewnie stanie się to w polu, na tej szczególnej, jebanej ziemi, pomalowanej boskimi kolorami. Będzie tam leżał, aż jego skóra zzielenieje, aż przyjedzie cysterna z olejem i dostawcy zobaczą wrony, setki wron nad pszenicą. Do tej pory rozszarpia go już zwierzęta. Ale to bez znaczenia, bo po prostu zakopią go w ziemi. Nikt nie przyjdzie na pogrzeb.

Zauważyła, że lekko zadrżały mu ręce, kiedy sięgnął po kawę. Chciała mówić dalej, może coś o cioci, swojej kochanej, pięknej cioci, której grób pozostawał zaniedbany, bo matka nie dawała rady, a Hal zostawił ją tak totalnie samą. Gdyby nie ona, która przyjeżdżała na górę i zrywała bukiety dzikich kwiatów, Sissy gniłaby zupełnie samotnie. Ale potem spojrzała i zobaczyła brata w drzwiach.

Robin wspiął się na krzesło naprzeciwko Hala.

-- Śniło mi się ciasto.

Hal patrzył na Duchess.

-- Pójdziesz do kościoła, prawda? -- Robin wpatrywał się w nią, a ona mogła wyczytać w tych oczach, jak bardzo jej potrzebuje. -- Proszę, Duchess. Nie dla Boga, tylko dla ciasta.

Weszła po schodach i złapała w przelocie sukienkę z wieszaka na drzwiach do sypialni. W łazience otworzyła szafkę, wygrzebała nożyczki spomiędzy plastrów, mydła i szamponu i zabrała się do pracy.

Skróciła ją, stokrotki kończyły się teraz wysoko na jej bladych udach. Parę przypadkowych cięć odsłoniło plecy i brzuch. Nie rozczesała włosów, potargała je tylko, żeby sterczały na wszystkie strony. Wygrzebała spod łóżka stare trampki i kopnęła w kąt nowe sandały. Miała ranę na kolanie, była od góry do dołu podrapana przez zboże, które dorównywało jej wzrostem, a na ramieniu dorobiła się blizny, która już nie zniknie. Gdyby miała biust, wycięłaby większy dekolt. Stali przed domem, kiedy zeszła. Hal dzień wcześniej umył auto, Robin mu pomagał, pokryli je pianą w zachodzącym słońcu, soplukali i wypolerowali irchowymi szmatkami.

-- O Jezu -- powiedział Robin na jej widok.

Hal zamarł, spojrzał, przyjął do wiadomości i usiadł za kierownicą.

Minęli sąsiednią farmę, szereg słupów wysokiego napięcia, białych z brązowymi plamami rdzy, ich nieustanne bzyczenie zostało tym razem zagłuszone pomrukiem silnika. Na wschodzie z ziemi wystawała rura, jak robak, który wyczuł stukot pierwszych kropli deszczu, ciągnęła się przez pięćset jardów, po czym zanurkowała pod powierzchnię.

Niecały kwadrans później przejeżdżali obok samotnego znaku wbitego w piach, "Stan pełen skarbów".

-- Czy tam było napisane "skarbow"?

Poklepała Robina po kolanie. Czytała z nim wieczorami, po dziesięć minut. Był bystry, już to dostrzegła, za bystry dla niej i Star. Martwiła się, że brat zostanie w tyle, że stare życie nie pozwoli mu ruszyć do przodu, jak winorośl zaplątana wokół stóp.

-- Minerale. -- Hal trzymał rękę na kierownicy, ale odwrócił się i spojrzał na chłopca z uniesionymi brwiami. -- *Oro y plata*. Złoto i srebro.

Robin próbował zagwizdać, ale jak zwykle nie wydał z siebie dźwięku.

Na zachodzie było hrabstwo Flathead, gdzie wciąż żyły jeszcze bizony, ale na razie Duchess nie wypatrzyła ani jednego. Widziała prerie, setki czegoś, może krów.

-- Oraz górne biegi rzek. Rzeki, które płyną przez cały kraj, zaczynają się tutaj.

Robin na to nie zagwizdał.

Skręcili. Drogowskaz poinformował ich, że to kościół baptystów w Canyon View. Widziała jednak tylko więcej brązów.

Budynek charakterystyczny dla regionu, drewniany i biały, szczyt od frontu zniszczony, a dzwonnica tak niska, że można było rzucać w dzwon kamieniami.

-- Bardziej głównianego kościoła nie znalazłeś?

Na małym parkingu stały osobówki i furgonetki. Duchess wyszła na słońce i rozejrzała się dookoła. Kilkanaście mil dalej wirowały turbiny wiatrowe.

Podeszła starsza kobieta, szeroko uśmiechnięta, z plamami wątrobowymi i obwisłą skórą, jakby ziemia wzywała to ciało do siebie, ale mózg był zbyt uparty, żeby się poddać.

-- Witaj, Agnes -- powiedział Hal. -- To Duchess i Robin.

Agnes wyciągnęła kościstą rękę. Robin uściśnął ją z wielką ostrożnością, jakby się bał, że może się oderwać od reszty ciała, a on będzie musiał to naprawić.

-- O rety, jaka śliczna sukienka -- westchnęła Agnes.

-- To stary łań. Pomyślałam, że jest trochę krótka, ale Hal stwierdził, że pastor będzie zachwycony.

Agnes nie przestała się uśmiechać, chociaż wyraźnie się zmieszała.

Duchess poprowadziła Robina w stronę kościoła. Grupka dzieci stała pod oknem z boku; starannie uczesane, wszystkie uśmiechnięte.

-- Wyczuwam atmosferę kultu -- stwierdziła Duchess.

-- Możemy się z nimi bawić?

-- Nie. Będą chcieli ukraść twoją duszę.

Robin popatrzył na nią, szukając potwierdzenia żartu. Trzymała się twardo.

-- Jak ją ukradną?

-- Będą cię mamić nierealistycznymi wizjami.

Potargała mu włosy i popchnęła w stronę dzieci, kiwnęła do niego głową, kiedy się obejrzał.

-- Sukienka twojej siostry jest okropna -- powiedziała mała dziewczynka.

Duchess podeszła, dzieci nie spuszczały z niej oka. Dziewczynka spojrzała gdzieś za jej plecy i pomachała do dużej kobiety z fioletowymi cieniami pod oczami.

-- To twoja mama? -- Przytyk wisiał w powietrzu.

Dziewczynka kiwnęła.

Robin podniósł głowę z błaganiem w oczach.

-- Musimy wejść do środka. -- Duchess zachowała uwagę dla siebie.

Robin znów zaczął oddychać.

Usiedli w ławce na końcu.

W obłoku perfum wparowała Dolly na wysokich obcasach. Mrugnęła do Duchess.

Robin siedział między nimi i zadawał Halowi pytania o Boga, na które zwykły śmiertelnik nie potrafił udzielić odpowiedzi.

Pastor poprowadził nabożeństwo, mówił o odległych miejscach, o wojnie, głodzie i lekceważeniu dobrych uczynków. Duchess puszczała wszystko mimo uszu, dopóki nie wspomniał o śmierci i nowym początku, punkcie kulminacyjnym planu tak niebosiężnego, że nawet nie powinniśmy próbować go zrozumieć czy kwestionować. Spojrzała na Robina; był nieobecny i bez pudła zgadła, gdzie teraz jest myślami.

Kiedy pochylili głowy w modlitwie, zobaczyła przed oczami twarz Star, wyraźną i spokojną, aż zachciało jej się płakać. Łzy napierały, więc zacisnęła powieki. A kiedy stary pastor znów się odezwał, została z pochyloną głową, z zamkniętymi oczami, ze strachu, że straci ten ostatni obraz, na co jeszcze nie była gotowa.

Poczuła rękę na swojej dłoni, dużą rękę, która sięgnęła nad bratem i próbowała przynieść pocieszenie, kiedy tego najmniej potrzebowała.

-- Odpierdol się -- szepnęła. -- Wszyscy się odpierdolicie.

Wstała i wybiegła z kościoła, tak szybko i tak daleko, żeby nie dosięgnęły jej słowa potępienia, które wbiłyby ją w ziemię.

Siedziała w wysokiej trawie i głęboko oddychała, aby odzyskać spokój. Zauważyła Dolly dopiero, kiedy kobieta usiadła obok.

-- Fajna sukienka.

Duchess wyrwała garść trawy i rzuciła ją w górę na lekki wiatr.

-- Nie spytam, czy wszystko w porządku.

-- I dobrze.

Duchess zerknęła ukradkiem; jaskrawe usta i mocno umalowane oczy, włosy zakręcone. Miała na sobie kremową spódnicę, mocno wydekoltowaną granatową bluzkę i jedwabną apaszkę. Tyle kobiecości, że Duchess jeszcze bardziej poczuła się dziewczynką.

-- Za dużo cycków jak na kościół.

-- Gdybym zdjęła stanik, to potoczyłyby się nawą.

Duchess się nie zaśmiała.

-- Jedna wielka bzdura. Tam, w środku.

Dolly zapaliła papierosa, dym prawie przyćmił perfumy.

-- Ja wszystko rozumiem, Duchess.

-- Znaczy co?

-- Też tak nienawidziłam. Czasem rozpalałam się za mocno, o tak.

Papieros rozżarzył się na wietrze.

Duchess wróciła do rwania trawy.

-- Gównu pani o mnie wie.

-- Wiem, że jesteś jeszcze za młoda. Rozpracowałam to dopiero na starość.

-- To znaczy?

-- Że nie byłam na tym świecie zupełnie sama.

Duchess zerwała się na nogi.

-- Wiem, że nie jestem sama. Mam brata. I nie potrzebuję nikogo innego. Ani Hala, ani pani, ani Boga.

Bitterwater było skupiskiem betonu i stali. Witryny obwieszane reklamami barów, kapel i tanich alkoholi. Dwadzieścia mil w głąb lądu od Cape, miejsce z rodzaju tych, w których jakiś kluczowy czynnik zawiódł podczas planowania.

Walk minął ciąg zakładów przemysłowych ze stertami kontenerów transportowych, magazyny samoobsługowe i hurtownie, zanim trafił we właściwe miejsce.

Kancelaria prawna Marthy May w małym centrum handlowym na peryferiach miasta, wciśnięta między pralnię chemiczną a meksykańską knajpkę oferującą tacos za osiemdziesiąt dziewięć centów.

Walk zaparkował radiowóz i przeszedł przez parking.

Bitterwater Dental, Spirit Electronics, Red Diary. Azjatka w maseczce malowała paznokcie zmęczonej matce, która stopą bujała wózek.

W górze niebo poszarzało, obok zamigał neon. Tacos. Pchnął drzwi i znalazł się w pomieszczeniu napakowanym ludźmi. Mnóstwo kobiet, mnóstwo dzieci, wszyscy o oczach opowiadających te same smutne historie. Było tam biurko, przy nim -- sekretarka pod siedemdziesiątkę, z niebieskimi włosami, w okularach z różowymi oprawkami. Żuła gumę i klepała w klawiaturę, trzymając telefon między uchem a ramieniem i mrugając do małej dziewczynki, która wrzeszczała na całe biuro.

Walk wyszedł.

Siedział w samochodzie do szóstej, liczył wychodzących i obserwował, jak sekretarka wsiada do pordzewiałego bronco i dobrą minutę odpala silnik. Kiedy odjechała, ponownie przemierzył parking. Meksykańską knajpkę ożywiali zmęczeni pracownicy biur, którzy sączyli piwo przy oknie.

Spróbował otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte na klucz, więc zapukał. Słyszał ją po drugiej stronie mlecznej szyby.

-- Już nieczynne. Proszę przyjść jutro, przepraszam.

-- Martho, to ja, Walk.

Chwilę później usłyszał zgrzyt zamka. A potem pojawiła się ona.

Przez moment patrzyli na siebie. Martha May, brązowe włosy wokół delikatnej twarzy. Miała na sobie szary garnitur. Walk prawie się uśmiechnął, kiedy zobaczył, że założyła do niego wysokie trampki od Chucka Taylora.

Pomyślał o powitalnym uścisku, ale Martha odwróciła się bez uśmiechu. Zaprowadziła go do swojego gabinetu, który był przytulniejszy, niż się spodziewał. Dębowe biurko, kwiatki w doniczkach, półki z książkami na całą długość ściany. Usiadła i gestem poprosiła go o to samo.

-- Szmata czasu, Walk.

-- Zgadza się.

-- Zaproponowałabym ci kawę, ale jestem zbyt padnięta.

-- Miło cię widzieć, Martho.

Wreszcie się uśmiechnęła i poczuł się tak jak dawniej.

-- Przykro mi z powodu Star. Chciałam przyjechać, ale miałam rozprawę w sądzie i nie mogłam jej przelożyć.

-- Odebrałam kwiaty.

-- Te dzieci, Jezu.

Na biurku leżały teczki, ułożone starannie, ale w wysokich stosach. Chwilę rozmawiali o Star, o szoku i o tym, jak Boyd zajął się sprawą. Walk prowadził rozmowę tak, by sprawić wrażenie, że też we wszystkim uczestniczy. Atmosfera była lekko napięta, jak to w sytuacji, kiedy spotyka się dwoje ludzi, którzy kiedyś widzieli się nago.

-- A Vincent?

-- Nie zrobił tego.

Podeszła do okna i wyjrzała na pobliską autostradę. Słyszał przejeżdżające pojazdy, czasem klakson, ryk silnika motocykla.

-- Ładnie ci tu wyszło to wszystko, Martho.

Przechyliła odrobinę głowę.

-- No dzięki, Walk. Twoja aprobata wiele dla mnie znaczy.

-- Nie chciałem...

-- Jestem zbyt zmęczona na pogaduchy. Powiesz mi, z czym przyszedłeś?

Zaschło mu w ustach. Nie chciał tu być, prosić o przysługę, za którą nie będzie miał jak się odwdzięczyć.

-- Vincent chce, żebyś to była ty.

Odwróciła się.

-- Ja, w jakim sensie?

-- Chce, żebyś go reprezentowała. Wiem, jak to brzmi.

Roześmiała się.

-- Serio, Walk? Bo to, co usłyszałam, cholernie na to nie wskazuje.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Na ścianie była plakietka, Southwestern, obok wisiała tablica korkowa z pocztówkami i zdjęciami uśmiechniętych matek z dziećmi.

-- Nie zajmuję się prawem karnym.

-- Wiem. Mówiłem mu.

-- Nie. To moja odpowiedź.

-- W porządku. Tylko spytałem.

Uśmiechnęła się.

-- Nadal licytujesz w imieniu Vincenta Kinga.

-- Zrobię wszystko, żeby nie dopuścić do skazania niewinnego człowieka na śmierć.

-- To kaes?

-- Tak.

Opadła na krzesło, stopy w trampkach oparła na biurku.

-- Mogę kogoś polecić.

-- Już próbowałem.

Wyłowiała z miski orzechowego m&m'sa.

-- Dlaczego, do cholery, chce właśnie mnie?

-- Trzydzieści lat w zamknięciu, łatwo zapomnieć, ty i ja to wszystko, co mu zostało.

-- Nawet go nie znam. I ciebie właściwie też już nie, Walk.

-- Nie zmieniłem się zbyt.

-- Tego właśnie się obawiam.

Głośno się zaśmiał.

-- Chcesz zjeść coś na szybko, z podwózką? -- zapytał spokojnie. Policzki robiły mu się czerwone. -- Jeśli masz osiemdziesiąt dziewięć centów, wiem, gdzie można zjeść tacos.

-- Mogę być szczerą, Walk?

-- Jasne.

-- Minęło wiele czasu, odkąd skończyłam z Cape Haven. Nie chcę tam wracać.

Wstał, uśmiechnął się i podszedł do drzwi.

Walk obserwował, jak Main powoli się budzi.

Milton stał zbryzgany krwią, wykonując cięcia godne artysty: szybkie, krótkie, pewne. Walk kupił u niego stek w cenie, o jakiej turyści mogą pomarzyć.

Właśnie rozmawiał przez telefon z Halem. Dzwonił co tydzień, pytał o Robina, być może jedyną osobę, która tamtej nocy mogła coś usłyszeć. Hal powiedział, że znaleźli lekarza, psychiatrę, kobietę, która pracowała w domu dwadzieścia mil od farmy Radleya. Nie wymieniali nazwisk, miast. Walk był przesadnie ostrożny.

-- Chcesz kawę?

Walk potrząsnął głową.

-- Dobrze się czujesz, Leah?

-- Jestem tylko zmęczona.

Czasem po czerwonych, opuchniętych powiekach widać było, że płakała. Walk domyślał się, że chodzi o Eda, zawsze miał na niego oko. Uważał, że faceci to po prostu inaczej skonstruowani, wadliwie zaprojektowani, pieprzeni idioci.

-- Muszę w miarę szybko dostać te akta. Stanowe, z pokoju przesłuchań.

Męczyła go o to od lat, o zmianę systemu, zastosowanie nowych rozwiązań. Nie było tajemnicą, że Walk lubił, jak wszystko jest po staremu. Za każdym razem, gdy składano wnioski o rozbiórkę jakiegoś domu, żeby zbudować w tym miejscu nowy, zgłaszał zastrzeżenia.

Stanowi wyjechali, zostawili po sobie ślad w postaci opakowań po hamburgerach i kubków po kawie, a Boyd dołożył obietnicę, że będzie go informował na bieżąco.

-- Myślałeś o tym, żebym mogła brać dodatkowe zmiany? Znaczący, wiem, pracuję za dnia, ale zastanawiałam się, czy nie byłoby potrzeby, żebym zostawała dłużej.

-- Wszystko w porządku, Leah?

-- Wiesz, jak jest. Jeden idzie do college'u, a Ricky chce jakąś grę wideo.

-- Jasne. Pomyślę, jak to urządzić.

Mieli ograniczony budżet, ale dla niej mógł go trochę naciągnąć. Ed był właścicielem Tallow Construction i Leah kiedyś prowadziła tam sprawy biurowe, ale potem rynek zwrócił się przeciwko nim. Nadal jednak zastanawiał się, czy tylko o to chodziło. Wyglądało na to, że woli być na posterunku, na plaży, gdziekolwiek, byle nie w domu z mężem.

Otworzył akta, wyrzucił z nich Star. Miał już raporty.

Poza tym miał akta Vincenta. Poprzednią noc spędził na roztrząsaniu ostatnich trzydziestu lat. Najpierw przeczytał zapisy dotyczące śmierci Sissy Radley. A potem przeszedł do drugiej teczki -- awantura w więzieniu, która wymknęła się spod kontroli. Ten, który zginął, nazywał się Baxter Logan i z tego, co Walk zdążył wywnioskować, był tym typem człowieka, bez którego świat mógłby się obejść. Odsiadywał dożywocie za porwanie i zamordowanie młodej pośredniczki nieruchomości, Annie Clavers. Walk czytał zeznania i w głowie wyraźnie słyszał głos Vincenta.

"Ja to zrobiłem. Doszło do bójki, uderzyłem go, upadł i już się nie podniósł. Nic więcej nie pamiętam. Nie wiem, co mogę ci więcej powiedzieć, Cuddy. Daj mi coś do pisania i podpiszę, co trzeba".

Kolejne trzy strony: Cuddy podsumowuje fakty, próbuje namawiać, prowadzi rozmowy w ten subtelny sposób, który dla Walka jest tak jasny i oczywisty. Zakwalifikujemy to jako samoobronę, bo wszyscy wie-

dzą, że tak było. "To nie była samoobrona. Zwykła bójka. Nie ma znaczenia, kto zaczął". Stanowi znów poszli na całość, dowalili morderstwo drugiego stopnia. Dołożyli Vincentowi dwadzieścia lat.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Cuddy'ego. Pojawił się po pięciu minutach.

-- Przeglądam akta Vincenta Kinga.

Cuddy pociągnął nosem, jakby walczył z przeziębieniem.

-- Myślałem, że Boyd już to skończył.

-- On tak.

-- No dobra.

-- Mam tu raport, Vincent King i Baxter Logan. Mało danych z autopsji.

-- Obawiam się, że to wszystko, co dostaliśmy. Logan zmarł, gdy uderzył o kamienną podłogę. Dwadzieścia cztery lata temu, Walk. Raporty nie były zbyt szczegółowe.

-- Jak się miewa Vincent?

Usłyszał, że wielki mężczyzna odchylił się na krześle, skóra zaskrzypiała.

-- Z nikim nie rozmawia, nawet ze mną.

-- Widział, co mówią o nim w wiadomościach? -- Miejscowi wywierali ogromną presję na prokuraturę, żeby wreszcie postawiono zarzuty.

-- Nie ma telewizora.

Walk zmarszczył brwi.

-- Ale myślałem, że...

-- Och, mógłby go mieć. Proponowałem wiele razy.

-- No to co on tam robi?

Cisza, przeciągające się milczenie.

-- Cuddy?

-- Ma zdjęcie dziewczynki. Sissy Radley. Powiesił je na ścianie. To jedyna rzecz, jaką ma w celi.

Walk przymknął oczy, gdy Cuddy mówił, że pozostaną w kontakcie. Sprawdził raport. Autopsję przeprowadził David Yuto z Maryland. Podali adres i numer telefonu. Zadzwoił, zgłosiła się automatyczna sekretarka, zostawił wiadomość. Dwadzieścia cztery lata, wątpił, żeby ten człowiek jeszcze tam był. A gdyby nawet, Walk nie wiedział, o co, do cholery, miałby go zapytać. Próbował być gliną, pracować nad sprawą najlepiej, jak potrafił. Pomimo ostrzeżeń Boyda ciągnął to dalej. Po prostu nie wiedział, w którą stronę ruszyć.

Weszła Valeria Reyes, usiadła naprzeciwko. Nic nie mówiła, tylko spoglądała w okno, jak zawsze.

Walk przełożył stronę i wpatrywał się teraz w zdjęcia Star, z włosami zarzuconymi do tyłu, z ręką zgiętą pod takim kątem, jakby wyciągała ją do kogoś po pomoc.

-- Musisz zrobić tu porządek. -- Valeria wskazała wzrokiem na porzucane wszędzie papiery.

-- Chcę porozmawiać z Darkiem.

-- Bo zrobisz to lepiej od stanowych? Takiś twardziel?

-- Znam Darke'a od...

-- Walk. To nie znaczy zupełnie nic. Nic. Patrzysz na Vincenta Kinga, jakbyś się spodziewał, że dalej będzie tym samym dzieciakiem co trzydzieści lat temu. Ale jego już nie ma, bez względu na to, co o nim wiesz, to wszystko przepadło z chwilą, kiedy przekroczył bramę Fairmont.

-- Mylisz się.

-- Poważnie, Walk. Wiem, że ty się nie zmieniłeś. Ale wszyscy inni tak.

Za oknem Walk zobaczył prześwietlone kolory, błękity i biel, wypolerowane szyby i wyblakłe flagi.

-- Co tam jeszcze masz? -- spytała.

-- Włamanie. Na miejscu totalna demolka.

-- Ale nic nie zginęło. Wygląda bardziej na bójkę, która wymknęła się spod kontroli.

-- Milton kłamie.

-- Przecież nie ma powodu.

-- Niech będzie, że to włamanie. Może Star ich nakryła -- powiedział, ale uznał, że znów zapędził się za daleko, i aż się zająknął.

-- Mówisz o tym wszystkim, ale ciągle pomijasz jeden fakt, to, że na miejscu znajdował się facet, siedział w domu, miał jej krew na koszuli, wszędzie były jego ślady, i możliwe, że miał motyw.

-- W żadnym razie -- odbił piłeczkę.

-- No i masz... Znowu ta twoja intuicja.

-- Vincent nie powie ani słowa. Nie powie dlaczego, nie powie, jak wszedł do środka, o której to się stało. Kurwa, sam zadzwonił. Z ich telefonu.

-- Był agresywny. Star... ile żeber jej złamał? Masz przed sobą zdjęcia.

Obejrzał je ponownie, czerwone ślady na piersi, sine i fioletowe, pręgi w miejscach złamanych kości. Widać tu było emocje, nienawiść tak gorącą, że Walk czuł, jak parzy.

-- I opuchlizna pod okiem.

-- Jest w środku, ale po prostu wchodzi, bez śladów włamania. Zaprasza go, coś tam się wydarza. Bije ją. Strzela. Wybiega, ukrywa broń, wraca, siada w kuchni, dzwoni. I czeka na nas. Dzieciak, Robin, jest zamknięty w pokoju, szczęśliwie, ale jest szansa, że coś usłyszał.

Walk wstał i otworzył okno, by wpuścić kolejny idealny poranek. Godzina czy dwie przy biurku, góra tyle wytrzymał.

-- Muszę porozmawiać z Darkiem -- powtórzył. -- Coś tam było między nim i Star. Był agresywny.

-- Alibi ma mocne.

-- Dlatego ją wezwałem.

-- Boyd powiedział, żebyś to zostawił. Nie wpierdalaj się w sprawę stanowych.

Walk wziął głęboki oddech. Nic tu się nie zgadzało, wszystko było niejasne poza tym, że znał Vincenta. Bez względu na to, co mówiła Valeria. Znał Vincenta Kinga. Jebane trzydzieści lat, znał swojego przyjaciela.

-- Musisz się ogolić, Walk.

-- Ty też.

Zaśmiała się. Wtedy Leah powiadomiła go, że przyszła Dee Lane.

Przywitał się z nią przy recepcji i zaprowadził do małego pokoiku z tyłu. Stolik, cztery krzesła i wielki wazon pełen róż Vendela. Widok na Main, bardziej jak w domku gościnnym u babci niż w pokoju przesłuchań.

Dee wyglądała lepiej niż poprzednim razem, kiedy ją widział. Miała prostą żółtą sukienkę i ułożone włosy. Lekki makijaż, dość, by wyeksponować gładkość, a przykryć niedoskonałości. Przyniosła papierową torbę, podała mu.

-- Ciastka brzoskwiowe -- powiedziała zamiast powitania. -- Wiem, że bardzo je lubisz.

-- Dzięki.

Nie miał dyktafonu ani notesu i długopisu.

-- Już rozmawiałam z ludźmi ze stanowej.

-- Tylko porządkuję pewne rzeczy. Chcesz kawę?

Opuściła nieco ramiona.

-- Jasne, Walk.

Zostawił ją, znalazł Leah i poprosił, żeby nastawiła czajnik. Kiedy wrócił, Dee stała przy oknie.

-- Zmieniło się tu -- powiedziała. -- Na Main. Nowe sklepy, nowe twarze. Znaczą to się działo stopniowo. Wiesz, co z pozwoleniami na budowę kolejnych domów?

-- Nie przeszły.

Odwróciła się, znów usiadła i skrzyżowała nogi.

-- Myślisz sobie, że jestem słaba... wobec Darke'a.

-- Po prostu próbuję to zrozumieć.

-- Przyszedł, kupił mi kwiaty i powiedział, że jest mu przykro.

-- Opowiedz od początku.

-- Przyszedł do banku, otworzył rachunek. Pomyślałam, że jest... uroczy, to nie jest właściwe określenie dla faceta. Był spokojny, ale stanowczy. Kurwa, Walk, nie wiem, co powiedzieć. Przyszedł jeszcze parę razy, zawsze stawał w kolejce do mnie. Spytałam, czy gdzieś pójdziemy. Powiedział, że tak. Tak to działa, prawda?

-- Wcześniej mówiłaś, że jest w nim coś nienaturalnego.

-- Byłam wkurwiona o dom. Odbiło mi. Coś ci o nim powiem.

-- Co takiego?

-- Był dobry dla moich dziewczynek. Uważny. Pilnował ich, bujał na huśtawce i w ogóle. Po prostu przy nich był. Raz wyszłam do ogródka i zastałam go z Molly na kolanach. Oglądali film Disneya. Nie każdy facet zajmie się dziećmi innego.

Leah przyniosła kawę i zostawiła ich samych. Ręka mu się zatrzęsła, kiedy sięgał po swoją, tak bardzo, że odstawił kubek.

-- Dobrze się czujesz, Walk? Wyglądasz na przemęczonego. I chyba powinieneś się ogolić. To znaczy nie obraź się czy coś.

-- Więc Darke został wtedy na całą noc?

-- Wywaliłam go wcześniej rano, zanim dziewczynki się obudziły.

Odchylił się na krzesło, zmęczenie dawało mu się we znaki, oczy miał wysuszone, bolały go mięśnie.

-- Wiem, że wypierasz to wszystko, Walk. Vincenta i Star, całą tę sytuację. Ale Darke może i jest dupkiem, jednak nie jest taki, jak myślisz. Albo taki, jak byś chciał, żeby był.

-- A chciałbym, żeby był jaki?

-- Żeby uniewinnił Vincenta Kinga.

Kiedy skończyła w zagrodzie, przeszła do stajni, smród nawozu nie był już taki okropny. Dwa konie, większy czarny i mniejszy siwy. Nie miały imion -- tak powiedział Hal, kiedy Robin zapytał. Był zdumiony: "Każdy powinien mieć imię".

Sprzątnąć gnój, zgarnąć wilgotną słomę i odchody, wywieźć. Przynieść ze składziku świeżą belę i rozrzucić widłami. Wiedziała, że wilgotne miejsca trzeba pominąć, poczekać, aż wyschną, zanim się tam narzuci słomy. Uzupełniała wodę, dwa razy dziennie sypała owies, o tej samej porze, żeby zapobiec kolce. Wyprowadzała konie na ich wybieg, zamykała bramę, czasem patrzyła, jak dziko galopują, a potem kopią i uderzają kopytami, jakby zaraz miały zostać spętane. Duchess lubiła konie, jak każda prawdziwa banitka.

Huk wystrzału.

Spokój Duchess runął nagle z taką mocą, że upadła na kolana. Łoś zamarł z uniesioną nogą i przechyloną głową. A potem całe stado się rozproszyło i pobiegło tak szybko, że zniknęło, zanim się podniosła.

Popędziła do domu, serce waliło jej jak młotem, a myśli od razu pobiegły do Darke'a.

Opanowała się trochę, gdy zobaczyła Hala na werandzie, ale dostrzegła niepokój na jego twarzy.

-- Jest na górze, w szafie.

Wbiegła po schodach do ich pokoju i zobaczyła go na podłodze z kocem na głowie.

-- Robin.

Nie dotknęła go od razu, tylko przysunęła się zupełnie blisko.

-- Robin -- powiedziała łagodnie. -- Nic złego się nie dzieje.

-- Słyszałem to. -- Tak cicho, że musiała się nachylić.

-- Co słyszałeś?

-- Strzał. Słyszałem go. Znow go słyszałem.

Po południu Hal zaprowadził ich do czerwonej obory i powiedział, żeby poczekali na słońcu. Duchess podeszła do wrót, zajrzała przez szparę i zobaczyła, że Hal zwija matę.

-- Dziadek kazał zaczekać.

Uciszyła brata.

Hal otworzył klapę w podłodze i zszedł w dół. Wrócił z pistoletem. Trzymał go luźno w jednej ręce, w drugiej miał małe metalowe pudełko.

Duchess stanęła przy bracie.

-- To springfield tysiąc dziewięćset jedenaście. Pistolet, lekki i precyzyjny. Każdy farmer musi mieć broń. Wcześniej słyszeliście myśliwych, to ważne, aby przyzwycząić się do tego dźwięku. Nie chcę, żebyście się bali.

Przykląkł i podał im broń. Robin cofnął się o krok, schował za nogę Duchess.

-- Jest nienaładowany i niegroźny.

Po chwili Duchess wyciągnęła rękę i wzięła pistolet. Był chłodniejszy, niż myślała, ciężki, chociaż dziadek mówił, że jest lekki.

Obejrzała go uważnie, potem zbliżył się Robin i też popatrzył. Dotknął palcem rękojeści.

-- Chcesz się nauczyć strzelać, Duchess?

Spojrzała na broń i zobaczyła matkę. Dziurę w jej piersi. Pomyślała o Vincencie Kingu.

-- Tak.

Przeszli na zieloną część pola, zboże sięgało Duchess do kostek. Dotarli do pierwszych cedrów, wysokich jak drabiny do nieba.

Na pniu szerszym niż oni oboje razem widniały ślady, dziurki, kształtne, regularne. Liście dawno uschły i opadły, zielony mech pokrywał patyki i kałuże, które połyskiwały pod baldachimem gałęzi.

Hal odmierzył pięćdziesiąt kroków, wyjął cztery pociski, pokazał im komorę i załadował. Zademonstrował, jak się odbezpiecza, celuje, poprawnie układa ręce i jak trzeba oddychać, głęboko i równo. A potem dał obojgu ochraniacze na uszy.

Za pierwszym razem, gdy Hal strzelił, Robin odskoczył i Duchess musiała go przytrzymać. Za drugim razem to samo. Za trzecim i czwartym trochę mniej.

Potem Duchess załadowała broń, słuchając instrukcji Hala. Wkładała pociski ostrożnie, tak jak mówił, ale serce biło jej szybko, wspomnienia napływały, zabierały ją w przeszłość. Walk i inni policjanci, jej brat. Taśma i furgonetki telewizji, hałas.

Spudłowała sześć razy z rzędu, za każdym razem odrzut szarpał ramieniem, bo nie zapierała się nogami. Robin stawał się coraz śmielszy, ciągle mocno trzymał Hala za rękę, ale już nie odwracał głowy.

Załadowała broń ponownie, towarzyszył jej przy tym już tylko szum lasu; Hal patrzył uważnie, ale pozwolił jej kombinować samej.

Pierwszy raz trafiła w pień, oderwała kawałek drewna z brzegu.

Potem dwukrotnie trafiła w środek, a Robin krzyknął radośnie i zaklaskał.

-- Umiesz strzelać -- ocenił Hal.

Odwróciła się, zanim zdążyła ukryć słaby uśmiech.

Wystrzelała całe pudełko, aż w końcu trafiła w sam środek cedru, trochę wyżej i niżej. Wtedy Hal cofnął ją o dwadzieścia kroków i uczyła się od nowa. Poprawiała kąt, strzelała z przykłęku i z brzucha. Bez emocji, adrenaliny, ludzkich cech, które rujną precyzję.

Kiedy wracali na farmę, Robin pobiegł przodem, żeby zajrzeć do swoich ptaków. Kurczaki. Co rano zbierał jajka, był to jego jedyny obowiązek i czekał na niego z niecierpliwością.

Duchess wpatrywała się w krajobraz, gdy słońce zaczynało opadać; nie rozszczepiło jeszcze kolorów, ale czuła, że upał zamiera. Lato wydało ostatecznie tchnienie, Hal powiedział, że jesień jest tu malownicza.

Podeszła do niej siwa klacz, Duchess delikatnie ją pogłaskała.

-- Do mnie nie przychodzi -- powiedział Hal. -- Lubi cię, a ona zwykle nie lubi ludzi.

Nie odpowiedziała. Nie chciała nawiązywać rozmowy, nie chciała stracić tego ognia, który pozwalał jej przetrwać kolejny dzień.

Tego wieczora zjadła kolację sama, na werandzie, ścisnęło ją w żołądku, kiedy Hal zaśmiał się z czegoś, co powiedział Robin. W takich chwilach jakaś siła ciągnęła ją z powrotem do Cape. Śmiejący się star-

szy mężczyzna, pogodny, po tym, co przeszły jego wnuki. Budująca się więź.

Wróciła do kuchni, otworzyła kredens i z górnej półki wzięła butelkę jima beama.

Zabrała ją nad jezioro, odkręciła i pociągnęła łyk. Nie wzdrygnęła się, gdy ją zapiekło w środku. Pomyślała o Vincencie Kingu, napiła się jeszcze, potem o Darke'u i napiła się więcej. Piła i piła, aż ból zelżał, mięśnie się rozluźniły, a świat zaczął wirować. Problemy się rozplynęły, krawędzie rozmazały. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami i czuła obecność matki.

Po godzinie zwymiotowała.

Po drugiej godzinie znalazł ją Hal.

Widziała jego oczy przez mgłę, wodniste niebieskie oczy, gdy delikatnie ją podnosił.

-- Nienawidzę cię -- szepnęła.

Pocałował ją w głowę, kiedy opadała na jego pierś i zanurzała się w ciemność.

Gdyby domy miały dusze, dusza tego należącego do Star byłaby czarna jak grudniowa noc.

Walk pomyślał, że Darke wkroczy od razu po wyjściu policji, może odświeży go dla nowego najemcy albo rozbierze i zbuduje nowy. Ale budynek stał nietknięty, frontowe drzwi zastąpiła płyta pilśniowa, okna się wypaczyły i zostały zabite deskami. Trawa urosła wysoko i pozółkła.

-- Wiem, że za nią tęsknisz, Walk, ja też. I za dzieciakami. -- Walk nie musiał się odwracać, od razu wyczuł krew. -- Jakież wieści o Vincencie Kingu? Myślałem, że do tej pory postawią mu już zarzuty. Gazety piszą, że zostanie skazany na śmierć, jeśli uznają go za winnego.

Walk lekko zeszywniał. Ostatnie, co słyszał, to to, że prokuratorka okręgowa poprosiła Boyda, żeby jeszcze raz poszukał narzędzia zbrodni. Po naruszeniu zwolnienia warunkowego Vincent nigdzie się nie wybierał, mieli więc czas.

-- Przy okazji, podoba mi się broda. Dobrze wygląda, naprawdę dobrze. I robi się coraz gęstsza. Może ja też sobie zapuszczę. Obaj mielibyśmy brody. Byłoby zabawnie, co nie, Walk?

-- Jasne, Milton.

Milton miał na sobie luźny dres i podkoszulek, gęste włosy wiły mu się od ramion aż po wierzch dłoni.

-- Ten dom, to, co się tam zdarzyło. Przeróżające. Krew i w ogóle. Gdy chodzi o zwierzę, to nie przeszkadza. Znaczący pewnie weganie myślą inaczej, ale potem jedzą białe mięso, jeśli się je odpowiednio cienko pokroi.

Walk podrapał się po głowie.

-- Ale Star, kiedy myślę, jak tam leżała. -- Milton złapał się za brzuch. -- Nie martw się, mam oko na dom. Jak zobaczę dzieciaki albo cokolwiek, będę dzwonił. Dziesięć-pięćdziesiąt cztery.

-- Bydło na autostradzie.

Milton odwrócił się i przeszedł z powrotem przez ulicę, szurając stopami, za sobą włókł metaliczny odór.

Walk skierował się na ścieżkę i zabębnił w drzwi garażu Brandona Rocka.

Otworzyły się, wypuszczając snop światła, głośno grało Van Halen, pachniało intensywnie potem i wodą kolońską. Brandon miał na sobie spodnie z lycry i obcisły top ucięty tuż pod piersiami.

-- Walk. Czyżbyś właśnie gadał z Wielką Stopą?

-- Naprawiłeś już silnik?

-- Znów się przypierdalał? Wiesz, że wystąpiłem o zgodę na przebudowę domu. Chciałem wywalić ścianę z tyłu i dobudować salkę gimnastyczną nad garażem. Zgadnij, kto zgłosił sprzeciw? -- Odkręcił butelkę z wodą i wylał sobie połowę zawartości na głowę. -- Dla ochłody, należy mi się.

-- Napraw samochód, Brandon.

-- Pamiętasz go ze szkoły, Walk? Chodziłem wtedy z Julią Martin, mówiła mi, że śledził ją, jak wracała do domu. Była w chuj przerażona.

-- To było trzydzieści lat temu.

Brandon wyszedł na zewnątrz i wbił wzrok w stary dom Radleyów.

-- Żałuję, że mnie wtedy nie było. Może mogłem coś zrobić, nie wiem.

Walk czytał krótkie zeznanie. Chodzili od drzwi do drzwi.

-- Więc tamtej nocy wyjechałeś.

-- Tak jak powiedziałem babie ze stanowej. Ed Tallow wysłał mnie do klientów, żebym pilnował budowy na drugim końcu miasta. Słyszałeś? Japończycy, ci to lubią poimprezować.

-- Tak.

Brandon ćwiczył prawą rękę.

-- Muszę ją wzmocnić. Kiedy przejdę operację kolana, wrócę do gry. Walk nie pociągnął tematu.

Brandon lekko stuknął go w ramię, potem ruszył do garażu. Zamknął bramę, odcinając światło i muzykę.

Walk przeszedł na podjazd domu Star i zebrał się w sobie, jakby się szykował na powrót tamtej nocy. Poczuł, że drży, złożył to na karb złych wspomnień i ruszył na tyły budynku.

Otworzył boczną furtkę, nigdy niezamykaną, nie w Cape, po czym znieruchomiał, bo ze środka dobiegł go hałas. Ostrożnie podszedł bliżej, zajrzał przez okno i zobaczył światło latarki.

Przystanął na werandzie, wyjął broń i przygotował się do wejścia.

Nagle cofnął się o krok, kiedy jak spod ziemi wyrósł przed nim mężczyzna.

-- Darke.

Spojrzenie, cisza.

-- Przestraszyłeś mnie.

Walk schował broń, a Darke usiadł na ławce. Walk dołączył do niego, nie czekając na zaproszenie.

-- Co tu robisz?

-- To mój dom.

-- Racja.

Walk przywykł już do upałów, ale i tak wciąż ocierał pot z twarzy.

-- Słyszałem, że stanowi cię przepytali. Czytałem raport, ale chciałem z tobą porozmawiać osobiście. Miałem zadzwonić, więc oszczędziłeś mi trudu.

-- Dzieciaki, jak się czują?

-- Są... -- Szukał właściwych słów.

-- Chciałem porozmawiać z dziewczyną.

Walk wpatrywał się w niego, cały zeszywniały.

-- Po co?

-- Powiedzieć jej, że mi przykro.

-- A dokładnie z jakiego powodu?

-- Straciła matkę. Jest silna, prawda? -- mówił powoli, jakby każde słowo dobierał z największą starannością.

-- To dziecko.

Księżyc znalazł ich zza drzew.

-- Dokąd wyjechali?

-- Daleko stąd.

Olbrzymie ręce spoczęły na olbrzymich udach. Walk pomyślał, jak to jest iść w takiej postaci przez życie, rozgarniając tłumy, wśród gapiących się ludzi.

-- Opowiedz mi o niej.

-- O Duchess?

Darke kiwnął głową.

-- Ma trzynaście lat, tak?

Walk odchrząknął.

-- Mieliśmy w ostatnich latach parę telefonów, z Hilltop Middle. Ludzie zgłaszali auto stojące przy ogrodzeniu szkoły. Czarne auto. Nikt nigdy nie spisał numerów.

-- Ja mam czarne auto, komendancie Walker.

-- Wiem. Myślisz czasem o rzeczach, które zrobiłeś?

-- Pewnie.

-- A o rzeczach, które wiesz, że zrobisz?

-- Nie jestem pewny, czy dobrze cię rozumiem.

Darke spojrział na księżyc.

-- Wiesz, że krążą o tobie plotki, Dickie.

-- Tak.

-- Ludzie mówią, że bywasz agresywny.

-- Jestem agresywny. Powiedz im to.

Walk poczuł suchość w gardle, gdy ten potężnie zbudowany mężczyzna wbijał wzrok w niebo.

-- Widziałem cię w kościele -- powiedział Darke.

-- Ja ciebie nie widziałem.

-- Nie wchodzę do środka. O co się modlisz?

Walk położył rękę na pistolecie.

-- O godny i sprawiedliwy koniec.

-- Nadzieja jest świecka. A życie kruche. Czasem ściskamy coś za mocno, chociaż wiemy, że pęknie.

Darke wstał i Walk pograżył się w jego cieniu.

-- Jeśli będziesz rozmawiał z dziewczyną, powiedz jej, że o niej myślałem.

-- Mam jeszcze parę pytań.

-- Wszystko powiedziałem stanowym. Jeśli chcesz czegoś więcej, zadzwoń do mojego adwokata.

-- A Vincent? Wiesz o domu? Myśli o sprzedaży. Jakiś pomysł, dla czego zmienił zdanie?

-- Może znalazł swoją cenę. Tragedia rozjaśnia myśli. Rozmawiałem z bankiem, zdobędę pieniądze.

Odwrócił się i odszedł. Walk wstał, zbliżył się do szyby i wyjął latarkę.

Kuchnia, wszystkie szafki otwarte. Oderwane panele sufitowe, karton-gips tu i ówdzie podziurawiony. Cokolwiek Darke tu robił, jedno było pewne. Czegoś szukał.

Lato odpuściło Montanie wcześniej niż Cape, najpierw małymi kroplami, potem zalewem ponurych poranków i złowrogich zmierzchów.

Duchess dostała pocztówkę od Walka ze zdjęciem zrobionym z autostrady Cabrillo. Na odwrocie tekst nabazgrany niebieskim piórem, pismo tak rozchwiane, że ledwo przeczytała:

Myślę o was dwojgu

Walk

Przyczepiła ją do ściany nad łóżkiem.

Nadal nie rozmawiała z dziadkiem, zamiast tego mamrotała do swojej klaczy. Zrobiła sobie z tego pewnego rodzaju ćwiczenie, mówiła o rzeczach, o których nie chciała: o Darke'u i Vincencie, o czasie, kiedy oczyszczała usta matki z wymiocin palcami, kiedy ćwiczyła z Robinem pozycję boczną ustaloną pod wiśnią w Little Brook.

Czasem wieczorem siadała na schodach i podsłuchiwała, jak Hal rozmawia przez telefon z Walkiem.

"Robin robi postępy, uwielbia zwierzęta. Dobrze śpi. Ma apetyt. Ta lekarka, psychiatra, mówi, że coraz lepiej sobie radzi. Pół godziny co tydzień, nie skarży się".

A potem zmiana, wahadło osiągało punkt szczytowy i wracało w dół, niwelując osiągnięcia. "Ona... no, ciągle tu jest, Walk. Robi swoje i nie narzeka. Są dni, kiedy tracę ją z oczu, przechodzi przez jęczmień i znika. Za pierwszym razem spanikowałem, biegałem po okolicy, po po-

lach, jeździłem wkoło samochodem. Znalazłem ją na kolanach, jest takie miejsce w pszenicy, daleko od wody, ukryte. Takie zagłębienie, miałem tam zbudować stodołę, ale okazało się, że nie była potrzebna. I ona tam była, na kolanach, nie widziałem jej twarzy, ale myślę, że się modliła".

Już nigdy więcej nie poszła w tamto miejsce. Znalazła sobie nowe, polanę w lesie tak gęstym, żeby Hal na pewno jej nie odkrył.

Spoglądała wstecz, na noc, kiedy zginęła matka, i pomyślała, że chyba od tamtej pory była w nieustannym szoku. Ale teraz przyszedł żal, powoli, z godziny na godzinę, po trochu osaczał ją, teraz, kiedy właśnie powinna pozostać silna.

Zdarzały się takie dni, kiedy po prostu krzyczała.

Odchodziła daleko, pół godziny drogi od farmy, od brata i jego zarumienionych policzków, gdy pomagał kopać ziemię, odchyłała głowę do tyłu i krzyczała do chmur. Takim głosem, na który siwa klacz prostowała się na pastwisku i podnosiła łeb na długiej, zgrabnej szyi. Kiedy miała dość, wyciągała do konia rękę i mówiła, żeby wracał do jedzenia trawy.

Nocami rozmawiali w ciemnościach.

-- Tamci policjanci -- powiedział Robin.

-- No.

-- Oni myślą, że skłamałem.

-- Gliny już tak mają.

-- Walk tak nie ma.

Nie zaprzeczyła. Ale bez względu na to, kim był facet, który przychodził zapełniać im lodówkę i zabierał ich do kina, nadal był gliną.

-- Jak było dzisiaj? -- pytała co tydzień.

-- Fajnie. Powiedziała, żebym mówił do niej "Claro". Ma cztery koty i dwa psy, pomyśl tylko.

-- Nie znalazła odpowiedniego faceta. Rozmawialiście o tamtej nocy?

-- Nie mogłem. To jest tak... że próbuję, ale nic tam nie ma. Pamiętam tylko, że mi czytałaś, potem zasnąłem, a potem myślę, że chyba obudził mnie samochód Walka.

Podniosła się i oparła na łokciu, a on przetoczył się i ułożył płasko na plecach.

-- Jeśli cokolwiek sobie przypomnisz, że jednak coś słyszałeś, najpierw powiedz o tym mnie. Ja zdecyduję, co z tym zrobimy. Nie możesz teraz ufać glinom. Ani Halowi. Mamy tylko siebie nawzajem.

Codziennie po południu strzelali. Hal zabierał ją do szerokiego drzewa, Robin szedł teraz na czele, bez strachu. Nadal odzywała się tylko wtedy, kiedy musiała i kiedy chciała coś dowalić, o Bogu albo o porzuceniu, ale Hal podchodził już do tego inaczej, przytyki go nie ruszały, szpile ześlizgiwały mu się po skórze, nie czyniąc krzywdy. Nie dawała mu zapomnieć o tym, że go nie kocha i nigdy nie pokocha, nazywała dziadka zawsze pełnym imieniem i powtarzała, że zabierze Robina i zostawią go, żeby umarł w samotności, jak tylko ona dorośnie.

W odpowiedzi nauczył ją prowadzić.

Stara półciężarówka mocno podskakiwała na wybojach, na bardziej płaskich fragmentach pola trochę się rozpędzała, a Hal zaciskał ręce na siedzeniu. Z tyłu Robin siedział w foteliku i ich obserwował, ubrany w kask rowerowy i ochraniacze na łokcie, ponieważ Hal bał się, że Duchess wpadnie w poślizg. Nie zarzynała aż tak bardzo silnika, trzymała dźwignię z wyczuciem, tak jak jej powiedział. Niekiedy dochodziła do sześćdziesiątki⁴, zanim ją skarcił, bo oczy miał wbite w niebo, jak teraz

przez większość czasu, w oczekiwaniu na pierwszy deszcz. Po tygodniu potrafiła zatrzymać pojazd tak, że Hal nie leciał na deskę rozdzielczą, przeklinając, że zapomniał zapiąć pas.

Potem szli do domu, Duchess trzymała Robina za lewą rękę, Hal za prawą. Hal mówił jej, co robiła dobrze, a ona mówiła mu, że jest kiepskim instruktorem. On mówił, że płynnie zmieniała biegi, ona -- że jego półciężarówka to gówniany złom. On jej obiecywał, że jutro znów pojeżdżą, ona nie odpowiadała nic, bo lubiła prowadzić.

Czasem rano przyłapywała go, jak obserwuje Robina, kiedy ten je albo zajmuje się kurczakami, albo wspina na bronę, a jego oczy wyrażały po części miłość, a po części żal. W tych chwilach walczyła, by go nienawidzić, toczyła bitwę, którą na początku, po przyjeździe, zawsze z łatwością wygrywała, a teraz musiała w to wkładać coraz więcej wysiłku.

Nadal trzymała swoje rzeczy w walizce, porządnie poukładane. Czasem nastawiał pranie, a ona krzyczała, żeby trzymał łapy z daleka od ich własności. Potem znajdowała ubrania powieszzone w szafie, zdejmowała je i z powrotem układała w walizce. Kupił niewłaściwą pastę do zębów dla Robina -- wrzeszczała na niego -- nie taki szampon, nie takie płatki. Krzyczała tak dużo, że bolało ją gardło. Podczas tych akcji Robin tylko patrzył. Czasem prosił, żeby była ciszej, a ona go słuchała. Wychodziła na pola i przeklinała zniżające się słońce, jak cholerna mała wariatka.

Mniej myślała o Vincencie Kingu, o Dickiem Darke'u, zostali na odwróconych kartkach ponurych rozdziałów jej życia. Wiedziała, że znów się pojawią w jej opowieści, kolejne nieoczekiwane zwroty akcji, kolejne zasadzki losu.

A najbardziej ze wszystkiego dokuczało jej zmęczenie. Nie pracą czy brakiem snu, tylko rozpaczliwą nienawiścią, która żyła głęboko w niej.

Muszę mieć pistolet, jak idę do szkoły.

-- Nie. -- Hal był niespokojny pierwszego dnia rano.

Robin czuł się podobnie, miał wiele pytań dotyczących szkoły: gdzie ma się spotkać z siostrą i co zrobić, gdyby nie przychodziła. Do farmy nie dojeżdżał autobus, więc Hal miał ich zawozić i odbierać. Narzekał, że mu to zburzy porządek dnia, aż Duchess powiedziała, że pójda złapać okazję i trafi im się kierowca gwałciciel albo może sprzeda swoje ciało za kasę na taksówkę.

-- Czy inne dzieci będą mnie lubić?

-- Jesteś królewiczem.

-- Oczywiście -- powiedział Hal. -- A jeśli nie, będą miały do czynienia z twoją siostrą.

-- A ty nawet nie pozwalasz mi się spakować.

Duchess dojadła swoje płatki, a potem sprawdziła plecak Robina, czy zabrał piórnik i butelkę wody.

Hal zgodził się, żeby prowadziła, ale tylko do miejsca, gdzie eukaliptusy wychylały się w niebo. Zostawiła auto na jałowym biegu, wysiadła ze swojej strony, a Hal z drugiej. Spotkali się przy bagażniku, Hal kiwnął głową, Duchess odpowiedziała kiwnięciem.

-- Uważajcie na siebie -- powiedział, wpatrzony w drogę.

-- Żeby starsze dzieciaki nie zabrały nam pieniędzy na lunch? -- Robin wyjrzał z szeroko otwartymi oczami.

-- Mogą spróbować. Jestem banitką, Duchess Day Radley, i wpakuję im kulkę między oczy.

-- Musisz się nauczyć jeździć na siwej, jeśli chcesz być banitką -- odparował Hal.

-- Nic nie wiesz. Umiem jeździć, mam to we krwi.

-- Kiedyś czytałem coś o Billym Blue Radleyu.

Duchess spojrzała, gniew w oczach zastąpiła ciekawość.

-- Jeśli chcesz, mogę ci o nim opowiedzieć.

-- Dobra.

Nie było to zawieszenie broni ani nawet wyciągnięcie ręki.

Robin zrobił się spięty, kiedy skręcali -- autobus i rodzice, hałas i SUV-y. Duchess zobaczyła forda z bardzo ubłoconymi kołami i przesadnie błyszczącego mercedesa. Pomyślała o Darke'u, jego escaladzie, błędnej groźbie.

-- Wejść z wami? -- Hal podjechał pod krawężnik.

-- Nie. Jeszcze ktoś pomyśli, że jesteś naszym ojcem. Dręczyliby nas bezlitośnie.

Wzięła plecak Robina w rękę i wysiedli.

-- Będę tu o trzeciej -- rzucił Hal przez okno.

-- Kończymy dopiero piętnaście po -- zauważył Robin.

-- Zaczekam.

Szli między grupami dzieci, opalonych po wakacjach, opowiadających głośne, przesadzone historie. Wpadały jej w ucho urywki, które układały się w podobną całość: wakacje, plaże, parki rozrywki. Tamci posyłali jej spojrzenia, ona odpowiadała tym samym.

Zaprowadziła Robina do klasy, gdzie stłoczone matki przyklękały, cmokały i roztkliwiały się nad swoimi dziećmi. Jakiś chłopiec płakał.

-- Dupa wołowa, nie koleguj się z nim -- powiedziała Duchess.

Nauczycielka była młoda, uśmiechnięta, chodziła po sali, przykucała i ścisnęła małe ręce. Duchess podprowadziła Robina do wieszaków i znaleźli jego imię, z obrazkiem zwierzątka wyżej.

-- Co to za zwierzątko?

Duchess spojrzała.

-- Szczur.

-- To myszka -- sprostowała nauczycielka, która zjawiała się przy nich.

Duchess wzruszyła ramionami.

-- Gryzoń to gryzoń.

Nauczycielka przyklękła obok i delikatnie ujęła dłoń Robina.

-- Jestem panna Child, a ty pewnie jesteś Robin. Nie mogłam się doczekać, żeby cię poznać.

Duchess szturchnęła brata.

-- Serdecznie dziękuję -- powiedział.

-- A ty musisz być Duchess.

-- Jestem banitką Duchess Day Radley. -- Ścisnęła rękę nauczycielki tak mocno, że zostały jej białe plamy.

-- Hm, mam nadzieję, że będziesz miała dobry dzień, panno Duchess -- odparła panna Child, sztucznie przeciągając samogłoski. -- My z twoim bratem zamierzamy się dziś świetnie bawić, prawda, Robin?

-- Tak.

Panna Child zostawiła ich i wróciła do płaczącego chłopca.

Duchess pochyliła się, spojrzała bratu w oczy i wzięła jego twarz w dłonie, żeby patrzył prosto na nią.

-- Jak będzie do dupy, masz mnie znaleźć. Po prostu wyjdź na korytarz i głośno mnie zawołaj. Będę w pobliżu.

-- Okej.

-- Okej?

-- Tak -- powiedział trochę bardziej stanowczo. -- Okej.

Wstała.

-- Duchess.

Odwróciła się do niego.

-- Szkoda, że nie ma tu mamy.

Na korytarzu rzedły grupki spóźnialskich, chłopcy z piłką, o czerwonych i spoconych twarzach. Znalazła swoją salę i usiadła przy oknie, na tyle daleko, by uniknąć wywołania.

-- Siedzisz na moim miejscu.

Był wysoki, dziwnie wygięty, miał na sobie przymałą koszulę i zbyt krótkie spodenki.

-- Pożyczyłeś szorty od siostry? Zabieraj się stąd, pierdolony złama-sie.

Zaczerwienił się, odwrócił i zajął miejsce na drugim końcu klasy.

Obok niej siedział czarnoskóry chłopak, tak chudy, że musiał mieć glisty albo inne pasożyty. Zauważyła jego dłoń, zniekształconą, w ogóle nieprzypominającą dłoni. Uchwycił jej spojrzenie i wcisnął rękę do kieszeni.

Uśmiechnął się.

Odwróciła wzrok.

-- Nazywam się Thomas Noble. Pamiętasz mnie?

Do sali wszedł nauczyciel.

-- Jak masz na imię?

-- Cicho. Chcę się uczyć.

-- Zabawne imię.

W cichości serca życzyła mu śmierci w płomieniach.

-- Widziałem cię wtedy, w mieście. Jesteś aniołem o złocistych włosach.

-- Gdybyś miał jakiekolwiek informacje, wiedziałbyś, że do anioła tak mi daleko, jak tylko się da. A teraz stul, kurwa, mordę i patrz na tablicę.

Walk siedział na parkingu, przez otwarte okno wpadał zapach meksykańskiego żarcia.

Było późno, odblaski świateł i księżyc zastąpiły słońce, gdy niebo nad zabudowaniami Bitterwater nabrało fioletowego odcienia.

Spotkał się ponownie z Vincentem, trzy godziny w dusznej poczekalni w towarzystwie CNN i zepsutego wentylatora. A potem spędził z nim czternaście minut. I każdą z nich poświęcił na prośby i błagania, żeby wziął adwokata, prawnika od spraw kryminalnych, który przynajmniej będzie miał szansę odkryć prawdę. Vincent powiedział, że ma to być Martha May, nikt inny. I chociaż Walk powtórzył mu, że Martha nie chce mieć do czynienia z żadnym z nich ani z Cape Haven i wspomnieniami związanymi z tym miejscem, Vincent więcej się nie odezwał. A potem wezwał strażnika i Walk patrzył, jak wychodzi.

W gabinecie Marthy paliło się światło, chociaż było już późno, a sekretarka wyszła parę godzin temu. Walk próbował wysiąść z samochodu, ale kręciło mu się w głowie tak bardzo, że zrezygnował i pozostał chwilę z zamkniętymi oczami. Zadzwoił do Kendrick, zostawił wiadomość, a potem obejrzał ulotkę, którą dołączono do jego leku. Skutki uboczne wypełniały dwie strony.

Kiedy zobaczył, że wychodzi z biura, wygramolił się i ruszył powoli przez parking. Było pustawo, ostatnie samochody warczały silnikami przed odjazdem, zostało parę starych, zdezelowanych sedanów pod meksykańską knajpą, i jeszcze auto Marthy, szara toyota prius z naklejką WWF. Walk przypomniał sobie, że lubiła zwierzęta. Na jej piętnaste urodziny urwali się ze szkoły z Vincentem i Star i pojechali do zoo w Clearwater Cove. Było tam pełno małych dzieci, ale Martha chodziła uśmiechnięta przez cały dzień.

-- Martho! -- zawołał.

Zobaczyła go, wrzuciła teczkę do bagażnika, a potem stała i czekała, aż podejdzie, z ręką na biodrze, jakby była bardziej niż gotowa.

-- Najpierw nie widzę cię latami, a potem drugi raz w ciągu miesiąca.

-- Chciałbym postawić ci kolację -- powiedział to z pewnością siebie, która zaskoczyła jego samego, i ją chyba też, bo lekko się uśmiechnęła.

Żółte ściany i zielone łuki, małe stoliki, kraciaste obrusy. Wentylator obracał się leniwie, roznosząc zapach chili znad wyblakłego baru. Usiedli w rogu, przy oknie z widokiem na parking. Martha zamówiła dla nich tacos i piwo. Nie straciła swojego uśmiechu dziewczyny z sąsiedztwa, a kiedy go wykorzystała, kelner wyraźnie się pośpieszył.

Walk sączył zimne piwo i czuł, jak mięśnie mu się rozluźniają, a sztywność ramion nieco ustępuje, więc umościł się wygodnie na krześle. Cicho grała muzyka, łagodne latynoskie rytmy.

Pili w milczeniu. Martha wypiła swoje piwo i gestem poprosiła o jeszcze jedno.

-- Wrócę do domu taksówką.

-- Przecież nic nie mówię.

-- Jessu, piję z gliną.

Zaśmiał się. Kelner przyniósł ich porcje, zaczęli jeść. Jedzenie smakowało lepiej, niż Walk się spodziewał, ale mimo to bardziej gmerał w talerzu, niż jadł.

Martha wylała pół butelki sosu na swoje danie.

-- Lubię ostro, skarbie. Chcesz trochę, komendancie?

-- Nie, chyba że chcesz kontynuować tę rozmowę w toalecie.

-- Hmm. Widziałeś tę toaletę?

-- Z pewnością za jakiś czas zobaczę.

-- Podoba mi się ta broda.

Przewrócił oczami.

-- Przepraszam -- powiedziała. -- Poprzednia noc, długi dzień. I nie spodziewałam się ciebie.

-- Powinienem cię przeprosić.

-- Zdecydowanie powinieneś.

Roześmiał się.

-- To jak, chcesz od razu przejść do rzeczy czy poczekasz na kolejne piwo?

-- Poczekam.

Tym razem to ona się zaśmiała i był to najprzyjemniejszy dźwięk, jaki Walk słyszał od dawna.

Wziął głęboki wdech i opowiedział. Wszystko, od wyjścia Vincenta na wolność, o Star, o Dickiem Darke'u, o Duchess i Robinie. Opowiedział jej o policji stanowej, o tym, że go odcięli. I o wszystkich szczegółach sprawy, których nie ujawniono. Złamane żebra, podbite oko, brak narzędzia zbrodni, milczenie Vincenta. Otarła łzy i sięgnęła nad stołem po dłoń Walka, kiedy doszedł do pogrzebu.

-- Kurwa -- powiedziała, gdy skończył. -- Co za bagno. Że też u Star tak się namieszało. Kiedyś myślałam, że będziemy przyjaciółkami na zawsze.

-- Nie winię cię, że nie chciałaś patrzeć w przeszłość.

-- Tak właśnie myślisz?

-- Przepraszam. Nie to miałem...

-- Często myślę o przeszłości. Po prostu nie mogę wrócić.

-- Racja.

-- A Vincent nadal się upiera, żebym to była ja?

-- Ufa ci. Jedynym prawnikiem, z którym miał do czynienia, był Felix Coke. I sama zobacz, jak to się skończyło.

-- Wiesz, jakimi sprawami się zajmuję, Walk? Maltretowane żony. Adopcje. Czasem rozwody. Biorę, co mogę, żeby opłacić co miesiąc rachunki, a potem wybieram tych, którzy potrzebują mnie najbardziej. Mam kolejkę kobiet, których jedynym celem w życiu jest odzyskanie dzieci.

-- Vincent cię potrzebuje.

-- Vincent potrzebuje specjalisty od prawa karnego.

Sięgnął po piwo, ręka zadrżała mu tak mocno, że musiał je odstawić.

-- W porządku, Walk?

-- Jestem zmęczony. Słabo spałem.

-- Masz sporo na głowie.

-- Proszę cię, Martho, zrób to. Wiem, jak to wygląda. Widzę to: zjawiam się z nienacka i proszę o przysługę. Wierz mi, to boli.

-- Wierzę.

-- Nie mogę z niego zrezygnować. Po prostu przyjść na przedstawienie zarzutów, stać i słuchać. A jeśli znajdziemy jakiś punkt zaczepienia, on też dostrzeże w tym wszystkim sens. Chcę tylko... wiem, że tego nie zrobił. I wiem, jak to brzmi, jak gadka desperata, ale nie mam z tym problemu. Po prostu muszę to rozgryźć. Potrzebuję czasu, żeby się temu lepiej przyjrzeć. Myślałem o tobie przez te lata. Codziennie myślałem o tobie, o nas i o tym wszystkim, co się wtedy wydarzyło. Wiem, że nie mogę już nic naprawić ani cofnąć czasu, ale mogę pomóc teraz Vincentowi. Tylko że bez ciebie nie dam rady.

Opadł na krzesło, ledwo żywy, wyczerpany.

-- Kiedy jest przedstawienie zarzutów?

-- Jutro.

-- Jezu, Walk.

Sala sądowa w Las Lomas była bardziej zatłoczona niż zwykle.

Wrześniowy wtorek, szumiąca klimatyzacja. Sędzia Rhodes wachlował się teczką i poluzował kołnierzyk.

Walk siedział z przodu, tak samo jak trzydzieści lat wcześniej.

-- Nie ma szans na kaucję, nie przy kaesie -- powiedziała Martha.

Spotkali się wcześniej przed budynkiem, po drugiej stronie ulicy kupili sobie kawę. Była elegancka, kostium i szpilki, z lekkim makijażem, dość, by Walk pomyślał, że był głupi, jeśli kiedykolwiek sądził, że ma jakieś szanse, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Rozejrzał się -- prawnicy z klientami, granatowe garnitury przeciwko pomarańczowym uniformom, zarzuty i ugody, nieprzekonujące obietnice. Sędzia Rhodes stłumił ziewnięcie.

Przez salę sądową przebiegł szmer, kiedy go wprowadzili. Ludzie wypatrywali Śmierci, sprawy, o której będzie się pamiętać.

Sędzia Rhodes trochę się poprawił, zapiął kołnierzyk. Z tyłu tłoczyli się dziennikarze; bez kamer, tylko notesy i długopisy. Martha zostawiła Walka i przeniosła się do ławki Vincenta.

Prokuratorka okręgowa Elise Deschamps, wyprostowana, surowa, wstała i przedstawiła zarzuty. Walk próbował odczytać myśli przyjaciela, ale siedział za daleko i nie widział dobrze jego twarzy.

Kiedy Deschamps skończyła, wstał Vincent. Walk odchylił się na krawędzi siedzenia, wszystkie oczy zwrócone były na człowieka, który zabił dziecko, a trzydzieści lat później wrócił po jego siostrę.

Powiedział, jak się nazywa.

Sędzia Rhodes jeszcze raz wyliczył zarzuty, a potem dodał, że stan proponuje dożywocie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia, pod

warunkiem przyznania się do winy.

Walk znów zaczął oddychać. Przedstawili propozycję.

Kiedy sędzia Rhodes zapytał o stanowisko, Vincent odwrócił się i spojrzał Walkowi w oczy.

-- Niewinny.

Rozległy się szepty, rozmowy, aż Rhodes wszystkich uciszył. Martha spojrzała na sędziego, rozpaczliwy wyraz jej oczu kazał mu poprosić, by podeszła.

-- Panie King, pańska adwokatka martwi się, czy zrozumiał pan postawione zarzuty i propozycję -- powiedział Rhodes.

-- Zrozumiałem.

Vincent nie obejrzał się, gdy strażnik wyprowadził go z sali.

Walk wyszedł na poranne słońce. Las Lomas, ładny plac z wysokim pomnikiem, klęcząca kobieta z głową pochyloną przed uświęconym sądem.

Datę procesu wyznaczono na wiosnę.

W drodze powrotnej ciało Walka zalał zimny pot, drżał tak mocno, że poczuł się wyczerpany. W lusterku wstecznym zobaczył swoje przekrwione oczy, ale w żaden sposób nie dałby rady zetrzeć z nich tego zaczerwienienia. Brodę miał długą, musiał zrobić sobie nową dziurkę w pasku. Mundur był teraz za duży, materiał zwisał na ramionach.

Zajechał przed sklep monopolowy i kupił sześciopak piwa.

Martha mieszkała w małym domu przy Billington Road, dość daleko za miastem. Biała furtka prowadziła na ścieżkę obsadzoną równymi rzędami kwiatów, za nimi zieleniła się gęsta trawa, z ozdobnych haków zwisały kosze. Był to taki dom, który w innej sytuacji wywołałby na jego twarzy uśmiech.

Wnętrze zarzucone dokumentami, każdy cal przestrzeni mówił o ciężkiej pracy w obronie słabszych.

Przeszedł na osłoniętą werandę i zdążył otworzyć drugie piwo, zanim Martha wyszła z miską chipsów kukurydzianych. Zjadł jednego, a ona roześmiała się, gdy smak podrażnił jego kubki smakowe.

-- Jesteś bestią.

-- Niektórzy bardzo to lubią.

Usiedli blisko siebie, ramię przy ramieniu, i pili.

Dopiero gdy dzień chylił się ku końcowi, Walk się uspokoił. Dwa piwa, tylko na tyle mógł sobie pozwolić. Chciał się upić, krzyczeć, przeklinać i wbić Vincentowi Kingowi do głowy trochę rozsądku.

Martha sączyła wino.

-- Musisz go skłonić, żeby się przyznał.

Walk pomasaował sobie kark, ostatnio stale napięty.

-- Sprawa Vincenta jest nie do wygrania, wiesz o tym -- powiedziała.

-- Wiem.

-- Co oznacza tylko jedno.

Walk podniósł wzrok.

-- Vincent King chce umrzeć.

-- Więc co mam robić?

-- Siedzieć tu ze mną i pić, oplakując sytuację najżałośniejszą z żalosnych.

-- Kuszące. Albo?

-- Pracować nad sprawą.

-- Pracuję.

Martha westchnęła.

-- Pukanie do wszystkich drzwi i modlenie się, by ktoś coś widział, nie rozwiąże sprawy. Musisz odejść dalej i znaleźć własną perspektywę. A jeśli jej nie znajdziesz, musisz ją sobie sam stworzyć. Jaja, komin-dancie. Teraz trzeba mieć jaja.

Wiatr wiał na autostradzie i podrywał tumany pyłu z pól. Wczesny wieczór, tylko kilka pick-upów, ale Walk usłyszał muzykę, zanim dotarł do drzwi. Zatrzymał się na chwilę, spojrzął na panoramę San Luis i pomyślał o Star, która tu przyjeżdżała, ciągnąc ze sobą dzieci.

W środku światło było przyćmione, unosił się mocny zapach tytoniu i skwaśniałego piwa. Boksy puste, tylko paru typów przy barze i mała grupka wokół sceny zbudowanej z pomalowanych na biało skrzynek. Wykonawca był stary, śpiewał bluegrassowe standardy, daleko od domu, ale mężczyźni uderzali dłońmi rytmicznie w uda i pili.

Miał od Duchess rysopis gościa, z czasu kiedy z nią siadał i powoli przebijali się przez miesiące i lata, od czego głowa robiła mu się ciężka. Dziewczynka mówiła z obojętnością, która raniła jego duszę, jakby nie wiedziała w ogóle nic o dzieciństwie. Znalazł go zaraz na wprost, przed sobą; przycięte krótko włosy i gęsta broda, silne ramiona, które świadczyły o tym, że pracował w polu. Bud Morris. Walk podszedł, a Bud wyrócił oczami, jakby problemy z wymiarem sprawiedliwości były prostą konsekwencją jego stylu życia.

-- Możemy porozmawiać?

Bud zmierzył go wzrokiem, a potem wybuchnął śmiechem.

Walk napił się wody sodowej. Nie należał do ludzi, którzy lubią konfrontacje, mimo przeszkolenia, odznaki i tego, co znaczyła. W uszach rozbrzmiały mu słowa: "Zostaw to stanowym". Mocno ścisnął szklanekę. Słowa Marthy rozbrzmiały głośniejsze.

Bud poszedł do łazienki. Walk wstał i wszedł za nim, odetchnął głęboko i wyjął broń, kiedy facet sikał.

Przycisnął lufę do tyłu głowy Buda.

Wyrzut adrenaliny, ręce mu zadrżały, zatrzęsły się nogi w kolanach.

-- Kurwa. -- Bud zasikał sobie dzinsy.

Walk przycisnął mocniej. Pot spływał mu po nosie.

-- Jezu, dobra. Co z tobą, do chuja?

Walk opuścił pistolet.

-- Mogłem to zrobić przy barze, przed twoimi kumplami, zsikałbyś się w gacie przy wszystkich.

Bud gapił się, potem spuścił wzrok; szybko zrozumiał porażkę. Z zewnątrz dobiegł do nich ryk, kiedy starszy facet przeszedł do *Man of Constant Sorrow*.

-- Star Radley -- powiedział Walk.

Bud zmieszał się, potem do niego dotarło i z miejsca wytrzeźwiał.

-- Słyszałem, że się poznaliście, z jej córką też. Ona występowała, ty nie umiałeś utrzymać łap przy sobie.

Bud potrząsnął głową.

-- Nic z tych rzeczy.

Walk poczuł złość. Pomyślał o swojej sytuacji, o tym, że groził bronią facetowi w kiblu. Szukał własnej perspektywy.

-- Wyszliśmy razem parę razy.

-- No i?

-- Nie pykło, to wszystko.

Walk znów sięgnął po broń, a Bud zrobił krok w tył.

-- Przysięgam. Do niczego nie doszło.

-- Nie nastawałeś na nią?

-- Nie. Nigdy. Nic z tych rzeczy. Byłem dla niej miły. Kurwa. Zabrałem ją nawet do knajpy przy Bleaker. Stek za dwadzieścia dolców. Zarezerwowałem motel... porządny.

-- Powiedziała "nie".

Bud spojrział na swoje stopy, na zasikane spodnie, na pistolet.

-- Nie, to nie było zwykłe "nie". Nie należę do takich, co nie rozumieją słowa "nie". Kurwa, jest tyle babek, popytaj. Zachowywałem się w porządku. Ale Star, ona robiła nadzieje. Że się mną interesuje. Ale to nie było po prostu "nie, nie tym razem". To było "nigdy". To właśnie powiedziała. Nigdy. Jakby próbowała za wszelką cenę być kimś innym, niż była. Może grała. Może to wszystko była gra.

-- Gra?

-- Wiem, że robiła to samo z innymi facetami. Ten sąsiad. Raz ją odwoziłem, podszedł do mnie i powiedział, żebym nie tracił czasu.

-- Który sąsiad?

-- Ten obok. Facet, który wygląda na siedemdziesiątkę.

-- Gdzie byłeś czternastego czerwca?

Bud uśmiechnął się, kiedy ogarnął.

-- Wiem, kiedy to było. Grał Elvis Cudmore. Byłem tutaj, spytaj, kogo chcesz.

Walk zostawił go, przebił się przez tłumek i wyszedł na nocne powietrze. Serce waliło mu jak młotem.

Przeciął parking, przykucnął za kontenerem na śmieci i zwymiotował.

Zjadła lunch pod dębem, nie spuszczać oka z brata.

Pierwszy tydzień minął spokojnie, z nikim nie rozmawiała. Thomas Noble robił podchody, odprawiła go szorstko.

Robin był w podstawówce, mieli własny wydzielony placyk za niskim ogrodzeniem. Codziennie bawił się z tą samą dziewczynką i tym samym chłopcem. Teraz stali w błotnej kuchni, Robin z dziewczynką na szybko lepili ciastka, a chłopiec je zabierał i wciskał niezainteresowanym dzieciom.

Zauważyła, że nie jest sama, dopiero kiedy coś przysłoniło światło, a na nią padł cień, gdy podnosiła głowę.

-- Pomyślałem, że zaszczycę obecnością twoje drzewo.

Thomas Noble trzymał w zdrowej ręce lunch w wypchanej torebce. Westchnęła.

Usiadł i odchrząknął.

-- Obserwowałem cię.

-- Cóż, to wcale nie jest odrażające. -- Odsunęła się od niego.

-- Tak sobie pomyślałem. Może byś chciała...

-- Nigdy.

-- Tata mówi, że mama mu odmówiła za pierwszym razem. Ale jej oczy mówiły "tak", więc nie odpuścił.

-- Mówisz jak prawdziwy gwałciciel.

Rozłożył obok niej dużą serwetę z grubego materiału. Potem wyłożył torbę chipsów, biszkopty z kremem, czekoladki z masłem orzechowym, paczkę pianek i puszkę z napojem.

-- Dziwne, że nikt więcej nie zna tego miejsca.

-- Dziwne, że nie dostałeś jeszcze cukrzycy.

Jadł spokojnie, żucie ustawało, gdy poprawiał na nosie grube oprawki. Chorą dłoń trzymał w kieszeni. Widok Thomasa otwierającego zębami torbę pianek był bolesny.

-- Możesz używać tej słabszej ręki -- powiedziała w końcu. -- Nie musisz jej chować z mojego powodu.

-- Symbrachydaktylia. Tak się robi, gdy...

-- Nie obchodzi mnie.

Zjadł piankę.

Robin podbiegł do ogrodzenia i pokazał jej fioletową tackę z grudą błota. Powiedział bezgłośnie "hot dog", a ona się uśmiechnęła.

-- Ale słodziak -- stwierdził Thomas Noble.

-- Jesteś zboczeńcem?

-- Nie... oczywiście, że nie. Ja tylko...

Nie dokończył.

Za plecami mieli las objęty zakazem wstępu, ułożone jedna na drugiej belki tworzyły ogrodzenie, całkowicie pobielale.

-- Słyszałem, że pochodzisz ze złotego stanu. Pięknie tam jest o tej porze roku. Chyba mam kuzyna w Sequoi.

-- To park narodowy.

Wrócił do jedzenia.

-- Powiedz, lubisz filmy?

-- Nie.

-- A jeździsz na łyżwach? Jestem całkiem dobry w...

-- Nie.

Zrzucił z siebie kurtkę.

-- Podoba mi się twoja kokarda. Mam takie zdjęcie z kokardą we włosach, jak byłem malutki.

-- Wygłaszasz monolog wewnętrzny?

-- Moja mama lubiła udawać, że jestem córką, którą zawsze chciała mieć.

-- Ale potem wystrzelił ten cały testosteron i marzenia się zesrały.

Podał jej czekoladkę z masłem orzechowym.

Udała, że nie widzi.

Obserwowali grupę przechodzących chłopców. Jeden z nich coś powiedział i wszyscy się zaśmiali. Thomas Noble wbił rękę głębiej w kieszeń.

Duchess nieco się wyprostowała, kiedy zobaczyła, że chłopak wyrwa Robinowi tackę. Robin chciał ją odzyskać, ale drugi chłopak, wyższy, trzymał ją poza jego zasięgiem, a potem rzucił na ziemię. Kiedy Robin schylił się, żeby ją podnieść, tamten go popchnął.

Duchess już szła w ich stronę, wbiła wzrok w chłopaka, kiedy Robin się rozplakał. Zobaczyła, że dziewczynki się śmieją, gadają w grupkach i kręcą sobie włosy na palcach, jakby były zupełnie innym gatunkiem. Przeskoczyła przez płotek. Nie było nauczycielki, nie było dyżurnej pani, która pilnowała porządku. Pomogła wstać Robinowi, otrzepała mu spodnie i otarła łzy.

-- W porządku?

-- Chcę do domu. -- Pociągnął nosem.

Przysunęła się bliżej i przytulała go, aż się uspokoił.

-- Zabiorę nas do domu. Obiecuję. Wszystko obmyślę, kiedy skończę szkołę, znajdę pracę, odpowiednie miejsce i będziemy mieli dom, dobra?

-- Chodziło mi o dom dziadka.

Jego przyjaciele stali obok, dziewczynka i chłopiec. Dziewczynka podeszła, miała włosy splecione w warkocze i kombinezon z kwiatkiem na kieszonce. Poklepała Robina po plecach.

-- Nie przejmuj się Tylerem, jest niedobry dla wszystkich -- powiedziała.

-- No -- potwierdził chłopiec.

-- Chcesz, zrobimy więcej hot dogów na obiad.

Duchess uśmiechnęła się, a brat ją puścił. Patrzyła, jak wraca do zabawy, nic tu po niej, wszystko poszło w zapomnienie.

Odwróciła się i zobaczyła Tylera przy ogrodzeniu, w które walił kijem.

-- Te.

Zareagował, znała to spojrzenie.

-- Czego?

Przyklękła na ziemi, szorstkiej pod kolanem, ze słońcem za plecami. Złapała go za koszulkę i przyciągnęła do siebie.

-- "Jeszcze raz tkniesz mojego brata, a urwę ci łeb, wulgaryzm" -- powiedział dyrektor Duke z palcami splecionymi na brzuchu i twarzą napiętą z niepokoju.

Duchess się wyprostowała.

-- Nie powiedziałam "wulgaryzm".

Hal się uśmiechnął.

-- To już coś. A co powiedziałaś?

-- Chuju jebany.

Dyrektor Duke wzdrygnął się, jakby te słowa głęboko go zraniły.

-- I tu właśnie mamy nasz problem.

Duchess wyczuwała kawę w jego oddechu, wodę kolońską na krawacie z poliestru, tyle, żeby zamaskować odór ciała.

-- Nie rozumiem jaki. -- Hal, o czerwonych rękach i spękanej skórze. Pachniał ziemią, świeżym powietrzem i lasem. Ziemią Radleyów.

-- Chodzi o charakter groźby. Mam na myśli dekapitację.

-- Dziewczyna jest banitką.

Duchess prawie się uśmiechnęła.

-- Nie sędzę, żeby traktował pan tę sprawę tak poważnie, jak powinien.

Hal wstał.

-- Zabiorę ją teraz, zwolnię z reszty lekcji. Pogadam z nią. To się nie powtórzy. W porządku?

Mogła zacząć się z nimi kłócić, narobić problemów, bo fundament już położyła. Pomyślała o Robinie, o tym, że zdążył zdobyć tu przyjaciół.

-- Jeśli dotknie Robina jeszcze raz, nie mogę obiecać...

Hal głośno chrząknął.

-- Nie będę więcej używać takich słów.

Dyrektor Duke wyglądał, jakby nie miał już nic więcej do powiedzenia, więc wstała i wyszła za Halem z gabinetu.

Jechali w milczeniu, Duchess siedziała z przodu. Zamiast skręcić w lewo, Hal pojechał na wschód, trasa biegła w górę, pod niebem, które lśniło srebrem, gdy słońce chowało się za chmury. Farma mleczna, stalowe obory w kolorze mięty, potem miasteczko wielkości Main, z bocznymi uliczkami. Podrzednymi drogami, aż do sosen przypominających drapacze chmur. Rzeka nawadniająca wąwóz błyszczała jak mika, nad nimi wylaniała się mroźna biel szczytów, leniwe szlaki wiły się wysoko po stokach. Podjechali pod górę, Duchess wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć do tyłu, kiedy minęli drzewa, a rzeka popłynęła dalej w swoją stronę. Zwolnili, aby minąć się z ciężarówką jadącą z naprzeciwka, kowboj dotknął ronda kapelusza.

Zaparkowali przy ostrej skale, pokrytej piaskiem i pyłem, sosny pojawiły się ponownie, strzeliste i rozsypane szeroko po zboczu.

Hal wysiadł, poszła w jego ślady.

Wszedł między drzewa. Dotrzymywała mu kroku, przejścia były ledwo widoczne, ale Hal prowadził, jakby znał drogę i wiedział, dokąd biegnie każda z jej odnóg.

Przed nimi rozciągała się Montana, tysiące mil naturalnego cienia, wody i ziemi. Wyczuła zapach sosen, milę dalej zobaczyła mężczyzn w woderach, łowili ryby w najczystszej wodzie. Za nią Hal zapalił cygaro.

-- Strumienie pstrągów. -- Wskazał prześwit. Wędkarze wyglądali jak kropki na wielkich płótnach. -- Mówią, że jest taki kanion, pięćdziesiąt mil stąd, tak głęboki, że sięga dnem czerwonych skał. Wybierz jakikolwiek szlak na tym odludziu, a nie spotkasz nikogo. Milion akrów wolności.

-- Dlatego tu uciekasz? Żeby się ukryć przed światem?

Kopnęła kamień i patrzyła, jak spada.

-- Chcesz zawrzeć rozejm?

-- Ani trochę.

Przyjął tę odpowiedź z uśmiechem.

-- Twój brat mówił mi, że lubisz kasać.

-- Ja niczego nie lubię.

Popiół spadł na ziemię.

-- Miejscowi nazywają to miejsce kręgosłupem świata. Woda ma tu odcień niebieskiego niespotykany nigdzie indziej. Jest bardzo zimna... topniejący lodowiec i łąki, niżej nic nie urośnie. Przez długi czas pozostaje czysta, nie ma cienia, nie ma miejsca do ukrycia. Jest w tym coś wyjątkowego, nie sądzisz?

Milczała.

-- I to odbicie, jakby świat był tylko niebem postawionym na głowie. Zabiorę Robina, kiedy będzie trochę starszy, na Jammer, może na

łódź rybacką, gdyby chciał połowić. Chciałbym, żebyś też pojechała.

-- Nie rób tego.

-- To znaczy czego?

-- Nie mów o jutrze, jakby było realne, jakbyś miał tu być i my mielibyśmy tu być. -- Nie chciała znów krzyczeć, burzyć spokoju.

Z boku rosły płaskie krzaczki, owoce o najciemniejszym odcieniu fioletu. Zerwał jeden i zjadł.

-- Borówki.

Podał jej. Nie wzięła, ale zerwała jedną sama. Była dobra, słodsza, niż się spodziewała. Zjadła całą garść, a potem nazbierała w kieszenie dla Robina.

-- Niedźwiedzie też je lubią.

Hal schylił się i zbierał dalej, i wtedy zauważyła, że ma broń, tę samą, z której uczyła się strzelać.

Odetchnęła głęboko.

-- Nie wróciłeś.

Zamarł, wyprostował się i odwrócił do niej.

-- Nie wróciłeś. Znałeś moją matkę. Wiedziałeś, jaka jest i jak może wyglądać nasze życie. Wiedziałeś, że z ledwością potrafiła zadbać o siebie. Jesteś ode mnie większy. Jesteś wysoki i silny, a my potrzebowaliśmy... -- Przerwała, pogmerała przy kokardzie, zapanowała nad głosem, bo nie chciała mu pokazać, jak głęboko tkwił w niej ból. -- Kiedy więc mi pokazujesz całe to piękno, wszystko, co widzisz i uważasz, że ja też powinnam... Musisz wiedzieć, że ogranicza je to, co widywałam wcześniej. Ten fiolet... -- Machnęła ręką w stronę borówek. -- Ten fiolet przypomina mi jej zebra, tak właśnie posiniaczone. Błękitna woda, jak jej oczy, jasne na tyle, by dostrzec, że już nie kryje się za nimi żadna dusza. Wdychasz powietrze i myślisz, że jest świeże, a ja nie mogę na-

wet odetchnąć bez klucia tutaj. -- Uderzyła się w pierś. -- Jestem sama. Zajmę się bratem, a ty nas opuścisz, bo tak naprawdę wcale cię nie obchodzimy. I możesz sobie mówić, co chcesz, coś, co twoim zdaniem sprawi, że poczuję się lepiej. Ale pierdol się, Hal. Pierdolić Montanę, ziemię i zwierzęta, i...

Głos tak jej drżał, że musiała przerwać.

Chwila napięła się między nimi i wystrzeliła ponad sosnami. Przeknęła przez niebo i chmury, całkowicie pogrzebała szansę na nowe. Zredukowała ich do nicości, byli tak mali na tle nieskończonego piękna. Trzymał cygaro, ale nie palił, trzymał borówki, ale ich nie jadł. Na Boga, miała nadzieję, że zniszczyła wizję przyszłości, jaką dla nich przewidywał.

Odwróciła się i mocno zamknęła oczy, by łzy się cofnęły. Nie będzie płakać.

Gdy lato ostatecznie zaczęło dobiegać końca, Walk poczuł, że Cape Haven traci swój urok.

Pierwsze symptomy pojawiły się rankiem po śmierci Star, kiedy dziennikarze zablokowali Ivy Ranch Road, a policyjne taśmy spowiły dom Radleyów aurą obcości. Wtedy to ulice wyraźnie schłodziły się o stopień, a widokom zabrakło wczorajszej jasności. Matki eskortujące dzieci, zamykające bramy, duszące się z upału we wnętrzach. Znosił to najlepiej, jak potrafił, akceptował odmowy. Glina, który był przyjacielem mordercy. Leniwe letnie wieczory spędzał, spacerując po wszystkich ulicach Cape, od kolumnowych rezydencji w Calen Place do małych drewnianych domków przy najwyżej położonych drogach. Pukał do drzwi z czapką w ręce, z przyciętą teraz brodą i wymuszonym uśmiechem, emanując desperacją. Pytał, prosił, naciskał, sondował, próbował namierzyć wspomnienia, których nie było. Nikt nic nie widział tamtej nocy. Żadnych samochodów, ciężarówek, niczego, co by wykaczało poza idealną normalność lata.

Obejrzał taśmy monitoringu ze wszystkich sklepów przy Main. Jakość była chujowa, więc nie mógł przyspieszać odtwarzania, siedział przy każdym filmie w czasie rzeczywistym, po dziesięć godzin, od zachodu do wschodu słońca, z oczami szeroko otwartymi tylko z powodu udręki, która rosła, kiedy je zamykał.

Obserwował Darke'a, niepewnie, nie mógł go przepytwać bez wzbudzania zainteresowania prawnika i, siłą rzeczy, Boyda oraz stanowych. Wykonał parę telefonów, pogadał z policjantem z Sutler i obszedł budki poboru opłat za autostrady, w nadziei, że przyłapie kogoś na zwykłym kłamstwie. Nie znalazł nic.

Martha dotąd nie zgodziła się formalnie reprezentować Vincenta, chociaż Walk prawie co wieczór brał telefon i przekazywał jej, co mu się udało zdziałać, czyli głównie nic. Którejś niedzieli zawiózł ją rano do Fairmont, usiedli z Vincentem i powspominali stare czasy. Kiedy rozmowa zeszała na linię obrony, Vincent wstał i wezwał strażnika.

Powrotne sto mil pokonali w milczeniu. Zaprosiła go do siebie i znów siedzieli na werandzie, sącząc piwo. Ugotowała danie tak ostre, że paliły go policzki, śmiała się, gdy musiał moczyć język w piwie.

Rozmawiali trochę o ostatnich latach, jak organizowała pomoc tam, gdzie była najbardziej potrzebna. Bitterwater miało niski średni dochód i wysoki wskaźnik przestępczości. Opowiadała o pracy z taką dumą, że wywoływała u Walka uśmiech. Pokazała mu zdjęcia rodzin, które udało jej się połączyć, i listy od dzieci uratowanych z rąk przemocowych rodziców.

Nie wracali do tamtego czasu w przeszłości, kiedy los ich rozdzielił. Temat tabu, nie wiedział już, co zaszło między nimi, między nią a jej rodzicami, co się stało z ich wiarą. Tak było dobrze, mieli zadanie do wykonania i Walk nie pozwalał sobie o tym zapomnieć. Nawet wtedy, gdy się schylił, by pocałować ją w policzek, ani kiedy ona musnęła jego nogę swoją. Czasem zwracała uwagę na to, że drżą mu ręce, albo na sposób, w jaki odchyłał głowę, żeby sobie coś przypomnieć; wtedy patrzyła na niego, jakby wiedziała. A kiedy to robiła, mówił jej "dobranoc" i wracał do Cape, swojego azylu, swojego miasta.

O zmierzchu podjechał na Ivy Ranch Road, miejsca kluczowego dla uchwycenia szerszego obrazu.

Brandon wyszedł do niego przed drzwi w samych spodniach od dresu. Za nim na wieszaku wisiała stara koszulka futbolowa. Obok znajdowały się stół bilardowy i automat do gier, nieodłączni towarzy-

sze kawalera, który poczuł się pewnie po dziesięciu latach niewoli, jak to postrzegał.

-- Znowu ten świr z naprzeciwka? -- Brandon spojrział nad Walkiem na dom Milтона. -- Wiesz, co znalazłem na podjeździe, Walk? Jebany łeb.

-- Łeb?

-- Jebanej owcy czy czegoś. Jelenia, nieważne. Wydrążony, jakby ostrzeżenie.

-- Pogadam z nim. Ale wiesz, Brandon, słyszę odpalenie twojego silnika u siebie.

Walk zauważył, że facet stoi na palcach, żeby zyskać dodatkowy cal wzrostu.

-- Coś ci powiem -- odezwał się Brandon. -- Jest ciszej bez Star wracającej po nocach. Znaczący to tragiczne i tak dalej, ale może Milton będzie teraz lepiej spał, kiedy przestanie wyczekiwać na jej powrót.

-- Co masz na myśli?

Brandon oparł się o framugę. Na piersi miał tatuaż, jakiś banalny japoński symbol.

-- Czasem, jak wracałem późno, widziałem go w oknie.

-- Obserwuje gwiazdy.

Śmiech.

-- Noo, szczególnie jedną. Zapytaj go o to, Walk.

-- Powiedział, że mu nasikałeś do ogródka.

-- Gówna prawda.

-- Nieważne. Naprawdę chuj mnie to obchodzi. Po prostu mam już dosyć was obu.

-- Wyglądasz na zmęczonego, Walk. Dobrze się nawadniasz?

-- Słuchaj, Brandon. Pójdę i powiem to samo Miltonowi, ale myślisz, że możesz załagodzić sytuację? Mam sporo na głowie bez przychodzenia tu i rozstrzygnięcia waszych bzdurnych sporów.

-- Musisz ćwiczyć, gościu. Odstresować się. Wpadnij kiedyś wieczorem, zrobimy parę rundek. Megawycisk. Wiesz, próbowałem opatentować tę nazwę dla moich treningów...

Walk nie słuchał go dalej, odwrócił się i przeszedł przez ulicę. Zapukał do drzwi.

-- Walk. -- Milton uśmiechał się tak szeroko, że Walkowi prawie zrobiło się go szkoda.

-- Mogę wejść?

-- Do środka?

Walk próbował stłumić westchnięcie.

-- Tak. Znaczą jasne, tak. Proszę.

Milton odsunął się na bok i Walk wszedł do domu.

-- Zjesz coś?

-- Nie, dzięki.

-- Jesteś na diecie, Walk? Schudłeś. To może piwo?

-- Pewnie, Milton.

Milton uśmiechnął się, trochę zbyt gorliwie, a potem zniknął w kuchni, podczas gdy Walk rozgościł się w salonie. Pokój był zaśmiecony; Milton należał do zbieraczy, takich, co to nie wyrzucają starych programów telewizyjnych. Dał krok nad stosem podkładek pod szklanki z nazwami stanów, których Milton nigdy nie odwiedził. Zamawiał je, gdzie się dało; był to ten rodzaj badziewia, które miało świadczyć o wspaniałym życiu, podróżach i przyjaciołach. Nad telewizorem wisiał obrazek z jeleniem o martwych oczach.

-- Mam go z Cottrell. Fajny, co nie?

-- Tak, Milton.

-- Nie mam piwa, tylko likier kawowy. Nie mogę znaleźć na nim daty przydatności, stoi tu już od jakiegoś czasu. Ale likier przecież nie może się zepsuć, co nie, Walk?

Walk wziął kieliszek, odstawił, zrobił sobie miejsce do siedzenia i gestem poprosił Milтона, by usiadł obok.

-- Chciałem pogadać o tamtej nocy.

Milton zeszywniał, próbował założyć nogę na nogę, ale ciężko mu to szło. Walk łyknął likieru i zmusił się, żeby nie wypluć.

-- Z tego, co mówią, gadałeś o tamtej nocy z każdym mieszkańcem miasta. Ale ja już wszystko powiedziałem prawdziwym glinom.

Walk puścił to mimo uszu, pewnie Milton nie zamierzał go urazić.

-- Czyli słyszałeś odgłosy kłótni?

-- Tak jest.

-- Widziałeś też tam Vincenta i Darke'a parę nocy przed zamordowaniem Star.

Milton wzdrygnął się na dźwięk imienia. Star opowiadała zawsze, że wystawiał jej pojemniki na śmieci, jeśli sama o tym zapomniała. Drobne przysługi, których potrzebowała.

-- O co im poszło?

-- Myślę, że Vincent King mógł być zazdrosny. Pamiętam ich, Walk. Jeszcze ze szkoły. Zachowywali się, jakby chcieli wziąć ślub, mieć dzieci. Może Vincent ciągle o tym rozmyślał, marzył o przyszłości opartej na przeszłości.

Popatrzył na ściany wyłożone boazerią, na chodnik pod stopami. Kamienie wokół paleniska jak na podmiejskim ranczu pamiętającym lata siedemdziesiąte. W powietrzu unosił się słodkawy zapach odświe-

żacza, pojemniki rozstawione były wszędzie, ale i tak pod spodem dawało się wyczuć krew.

Milton odchrząknął.

-- Nie możesz robić tego, co nie jest właściwe. Nie możesz po prostu pominąć fragmentu przeszłości, wyeksponować tylko tych dobrych chwil. Wiesz o tym?

-- Dzwoniłeś do nas wcześniej, wiele razy, właściwie za każdym razem, kiedy do Star przychodził jakiś mężczyzna. Nawet kiedy to był Darke, prawda? Mówiłeś, że się martwisz.

Milton zagryzł dolną wargę.

-- To należy do zadań straży. Ale może wtedy się myliłem. Darke to dobry człowiek. Chodzi o to, w jaki sposób patrzy, to dlatego ludzie gadają. Wiem. Wiem, jakie to uczucie. Myślisz, że nie słyszę dzieciaków? Świniarz. Małpolud. Yeti. Pakowacz ścierwa. Żarty się ich trzymają, bo ja nawet nie pakuję mięsa.

Zegar w kształcie słońca wybił godzinę, spóźniał się o dziesięć minut. Milton odwrócił głowę, Walk dostrzegł plamy potu pod jego pachami.

-- Hej, Walk. Chcesz jechać jeszcze raz do Mendocino?

Walk się uśmiechnął.

-- Podobało mi się, ale lepszy ze mnie wędkarz niż myśliwy. Wyciągnij mnie nad wodę, a poczuję szczęście.

-- To nie ze mną. Nigdy nie nauczyłem się pływać. Brałem lekcje, ale przez cały czas miałem otwarte usta i łykałem wodę. Lubię chlor.

Walk nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

-- Nieważne. Zabiorę innego kumpla. -- Milton wyglądał, jakby rozpaczliwie chciał się czymś podzielić.

-- Serio? -- Walk złapał przynętę.

-- Polowałem z nim.

-- Z kim?

Milton uśmiechnął się szeroko.

-- Z Darkiem. Wiózł mnie swoim escalade'em. Wyobrażasz sobie? Powiem ci, facet ma oko. Położył dwa jelenie.

-- To dobrze?

-- Źle go oceniasz, Walk. Jest...

-- Inny?

-- Jest dobrym kumplem. -- Głos miał stanowczy, wzrok wbity w Walka. -- Powiedział, że przyjedzie na następną wyprawę. To dopiero w lutym, ale jednak. Myślę, że naprawdę się pojawi.

To był przytyk, ale Walk nie miał siły wzbudzać w sobie poczucia winy.

-- Poprosiłem go, żeby ze mną pojechał wiosną. Tydzień polowania. Kupiłem mu moskitierę, getry ochronne, woskowane.

Walk patrzył na przepelnione półki przed sobą; tyle książek, większość dotycząca polowań.

-- Nie znasz go. Powinieneś być ostrożny, Milton.

-- Ty też, Walk. Nie wyglądasz zdrowo.

-- Jeszcze chciałem ci powiedzieć, że rozmawiałem z Brandonem, kolejny raz. Leah mówiła, że dzwoniłeś.

Milton zeszywniał.

-- Nic to nie dało. Robi tak, bo wie, że muszę wcześniej wstać. Wczoraj w nocy podszedłem do okna i zobaczyłem, że po prostu siedzi i bawi się w przegazowywanie silnika na jałowym. A kiedy mnie zobaczył, to się uśmiechnął. Nie jestem już dzieckiem, Walk. Nie jesteśmy w szkole. Wiesz, że kiedyś lubił mnie dręczyć. Wkładał mi głowę do kibla. Nie muszę tego znosić. Powinienem...

-- Podrzucić mu łeb owcy na podjazd?

Milton rzucił dzikie spojrzenie, włosy wystawały mu z rozpięcia koszuli.

-- Nic o tym nie wiem.

-- Powiedziałaś, że nasikał ci do ogródka.

-- Tak jest, sir.

-- Skąd wiesz, że to on?

-- Przyłapałem go na gorącym uczynku. Odsunąłem zasłonę i mój wzrok padł prosto na niego.

-- Jezu.

-- Napisałem raport. Dziesięć-dziewięćdziesiąt osiem.

-- Ucieczka z więzienia.

-- I wiesz, on ma łódź, pięknie ją sobie wyremontował. Trzyma ją w Harbor Bay. Tak sobie pomyślałem, że mógłby sprzedać samochód i spędzać więcej czasu na wodzie.

-- Powiedział, że spróbuje, jeśli ty też. Powiedział, że jesteś przyzwoitym sąsiadem i źle się z tą sytuacją czuje.

-- Tak powiedział?

Walk był świadomy, że Milton nie jest w stanie go przejrzeć.

-- Musicie więc zakończyć ten pierdolnik.

-- To nie ja zacząłem, Walk.

Walk patrzył z prośbą w oczach.

-- Może któregoś dnia prześlę mu sztukę mięsa albo coś. Nic specjalnego, nie na pierwszy raz. Łopatkę. Co powiesz?

-- Dzięki, Milton.

Milton odprowadził go do drzwi.

Na werandzie Walk zatrzymał się i rozejrzał po ulicy.

-- Brakuje mi jej -- powiedział Milton. -- Naprawdę mi przykro, że ja...

-- Co?

-- Po prostu mi przykro, że już jej nie ma.

-- Jesteśmy jej to winni, i dzieciom. Aresztować człowieka, który się tego dopuścił.

-- Już to zrobiliście, Walk.

Milton unikał jego spojrzenia, wbił wzrok w niebo. I tak stał, z rękami głęboko w kieszeniach, obojętny na Walka, miasto i na przelaną krew.

Siedzieli przed domem, grzejąc się w ciepłe Santa Ana.

Walk próbował zasnąć, chociaż było wcześnie, ale zamiast tego gapił się w sufit, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

-- Nie mogę uwierzyć, że ciągle mieszkasz w tym domu, Walk. Jest taki obciachowy -- powiedziała Martha.

Przyniosła kolację, chili, i odgrzała w starym piecyku, którego Walk używał do przechowywania ulotek z jedzeniem na wynos.

-- Przeczuwam, że powinienem sobie zawoskować usta, zanim tego spróbuję.

-- Wyluzuj, Walk. Zrobiłam łagodne. Ledwo kropla w skali Scoville'a. Chili dla mięczaków.

Dotknął językiem widelca i poczuł ogień.

-- Serio? To jest chore. Jesteś naprawdę chora.

Zaśmiała się.

-- Po prostu zagryź chlebem kukurydzianym. Wyglądasz, jakbyś go potrzebował. Mam nadzieję, że o siebie dbasz, Walk.

Uśmiechnął się.

-- Tęsknisz czasem za Cape?

-- Codziennie.

-- Powiedziałem Leah, że znów zaczęliśmy się spotykać.

-- Spotykać?

-- Nie to miałem...

Roześmiała się. Poczł rumieniec.

-- Leah Tallow. Ciągle żona Eda?

-- Tak.

-- Ho, ho, pewnie wiele musiała znieść przez te lata. Pamiętam go ze szkoły, jak latał za Star.

-- Wszyscy latali.

-- Tallow Construction. Widziałam gdzieś reklamy. Kiedyś miałam klientkę, której męża Tallow wylał z pracy, i facet zaczął pić.

-- Rynek jest trudny. To się zmieni.

-- Szczególnie gdy zaczną budować te wszystkie nowe domy.

Wstał i nalał jej wina.

-- Byłem znów u Milтона.

-- Rzeźnika. Jego też pamiętam. Dalej śmierdzi krwią?

-- Owszem. Jest pewny, że słyszał kłótnię, i zezna, że widział Vincenta i Darke'a pod domem Star. Spekuluje, że chodziło o nią.

Zawarli porozumienie, niełatwe na początku, ale Martha się dostosowała. Walk pracował nad sprawą Kinga i informował ją o wszystkim, co ustalił, a ona próbowała to rozwikłać, rozkładała na czynniki pierwsze i mówiła, czy będzie to miało jakąkolwiek wartość przed sądem. Jednak dość jasno stawiała sprawę: za cholere nie pojawi się na sali rozpraw. Przygotują całą linię obrony najlepiej, jak potrafią, i przekażą obrońcy. A jeśli Vincent nie zatrudni żadnego prawnika, wtedy przynajmniej będzie miała czyste sumienie, że spróbowała.

-- Miałaś chwilę, żeby chociaż spojrzeć na papiery?

-- Jasne, co innego mam do roboty? Przecież nie będę spać albo coś.

Uśmiechnął się. Martha wyszła za bramę do samochodu i wróciła z teczką. Walk sprzątnął brudne naczynia, a ona rozłożyła dokumenty na stole. Paliła się citronella przeciwko owadom, a pięć innych świeczek walczyło z nocnym niebem, by dać im dość światła.

Zwroty podatkowe, oświadczenia, firmowe formularze do dwudziestu lat wstecz. Wszystko, co łączyło się z Dickiem Darkiem.

-- Dokumentacja jest czysta i uporządkowana, Walk. Darke zarabia przyzwoite pieniądze. Może dwieście pięćdziesiąt rocznie. Nic nie wzbudza podejrzeń. Cofnął się daleko, do czasu, kiedy kupił mały dom przy Lavenham Avenue w Portland.

-- Oregon -- powiedział Walk do siebie.

-- Domyślałam się, że to stamtąd pochodzi. Przebudował go i sprzedał z zyskiem trzydziestu tysięcy dolarów, z czego się w pełni rozliczył. Skromne wydatki. Potem ulicę dalej, tak samo, zarobił czterdzieści pięć. A potem nic.

-- Nic?

-- Musiał znaleźć inne źródło dochodu. Przez cztery lata nic. Po czym ruszył na skalę masową, jakby przemieszczał się z miasta do miasta, przez całą długość wybrzeża, gdziekolwiek mógł zrobić forszę. Tak po prostu.

-- Zawsze nieruchomości?

-- Prawie. Dom w Eugene, następnie w Gold Beach. Latem dziewięćdziesiątego piątego przyjechał do Cape, kupił stary bar przy Cabrillo i przez rok starał się o licencję.

Walk pamiętał wieczór, kiedy klub się otworzył: znów tak samo, bez zamieszania czy hucznej imprezy, po prostu w ciemności zapaliły się światła.

-- Przez pierwszy rok lokal przyniósł pół miliona dolarów. -- Martha napiła się wina. -- W drugim roku dwa razy tyle. To była żyła złota, Walk. I właśnie to zadeklarował, takie miejsce, żywa gotówka, prawda? To mogło być wszystko, co miał, ale też było to wszystko, czego potrzebował.

-- Więc wykorzystuje to, by kupić dom Kinga. A przynajmniej mógłby.

-- Były jednak przelewy, ogromne przelewy.

-- Dla kogo?

-- Zgaduję, że spłacał kogoś, kto z nim inwestował. Nie bank.

-- Lichwiarza?

-- Być może. Jego historia kredytowa jest niejasna, dużo się przemieszczał, trudno byłoby mu korzystać z usług normalnego banku. I wtedy kupił dom przy Fortuna Avenue.

-- Dom Dee Lane.

-- I przy Ivy Ranch Road.

-- Dom Radleyów.

-- Małe posiadłości, na wynajem. I inwestycja w projekt nazywany Cedar Heights.

Walk widział ogłoszenia w miejscowej gazecie.

-- Przykro mi, Walk. Nie ma w tym nic niezwykłego.

Walk westchnął.

-- Ten jego klub nazywa się The Eight, tak? -- spytała Martha.

-- Mhm.

-- Przychodziła do mnie dziewczyna, która tam pracowała. Miała problemy z chłopakiem. Myślę, że kiedyś wspomniała o Darke'u.

-- Mogę z nią porozmawiać?

-- Może ja ją spytam.

-- Musimy wiedzieć wszystko o tych przelewach.

-- Mam tylko numer rachunku.

-- To już coś.

-- Albo nic. Zapoznałam się z dokumentacją. To, czym dysponujesz, to dokładnie wielkie nic. A potrzebujesz dymiącego pistoletu. Co naj-

mniej.

Wstał, gdy zadzwoniła jego komórka. Milton. Słysząc było, że ledwo łapie oddech, jakby wyszedł na wieczorny spacer albo przypalił mięso. Gadał coś przez minutę.

Martha zebrała papiery.

-- Wszystko w porządku?

-- Milton szefuje straży sąsiedzkiej.

Martha uniosła brew.

-- Został jedynym członkiem, kiedy zmarła Etta. Mówi, że na Sunset mamy dziesięć-dziewięćdziesiąt jeden. Muszę tam pojechać.

-- Dziesięć-dziewięćdziesiąt jeden?

Walk ciężko westchnął.

-- Zabłąkany koń.

Pojechał na Sunset, nawet nie pomyślał o odpaleniu kogutów.

Pod domem Kinga stał sedan, tak nijaki, że Walk od razu pomyślał o glinach.

Zatrzymał radiowóz tuż za nim, mignął światłami, wysiadł i podszedł do okna.

Dwaj mężczyźni, żaden nawet nie drgnął, żeby opuścić szybę. Walk popatrzył na pustą ulicę, wolne miejsca parkingowe, mieniące się w świetle księżycy wody Cape. Dziwny samochód rzucał się w oczy. Zastukał lekko. Kierowca powoli obrócił głowę, miał koło pięćdziesiątki, ciemne włosy, przystojny.

-- Mogę w czymś pomóc? -- Walk się uśmiechnął.

Mężczyzna spojrzał na kolegę, starszego, jakieś sześćdziesiąt pięć lat, z brodą i w okularach.

-- Zrobiliśmy coś złego?

-- Nic, o czym bym wiedział.

-- Więc spierdalaj.

Walk z trudem przełknął ślinę, poczuł napływ adrenaliny.

-- A jeśli nie?

Uśmiech wrócił, bardzo lekki, jakby Walk jednak wiedział coś, o czym tamten nie wie, i wciąż mógł go za to ukarać.

-- Szukamy Richarda Darke'a.

-- Darke tu nie mieszka.

Walk nie wyjął broni, ale trzymał rękę tak, by jego intencje były jasne.

-- Gdzie możemy go znaleźć?

Walk pomyślał o Darke'u, przelewach, ludziach, z jakimi zapewne musiał prowadzić interesy.

-- Nie wiem, gdzie mieszka.

-- Jak go pan zobaczy, niech mu pan powie, że nie odpuścimy -- powiedział starszy mężczyzna, nie patrząc na Walka.

Kierowca uruchomił silnik.

-- Proszę wysiąść z pojazdu.

Kierowca podniósł wzrok na Walka, potem przeniósł go na dom Kinga z tyłu.

-- Darke jest dobry w żonglowaniu wieloma talerzami, dopóki jeden z nich nie spadnie.

-- Powiedziałem, żebyście...

Kierowca zamknął okno i ruszył ulicą.

Walk rozważał, czy wszczać pościg, włączyć syreny, ale zamiast tego obserwował, jak odjeżdżają Sunset wzdłuż wybrzeża, z ręką wciąż wspartą na broni.

Wzięła Robina za rękę, otworzyli bramę i podeszli do dwóch koni, które pasły się jeden obok drugiego.

-- Możesz kiedyś zjeść razem z nami?

Nałożyła delikatnie wędzidło karemu, poklepała go po grzbiecie nosa ułożoną na płasko dłonią.

-- Nie.

Potem nałożyła wędzidło siwce, też próbowała ją poklepać, ale klacz odrzuciła łeb. Duchess ją lubiła.

Przypięła linki do wędzideł i łagodnie poprowadziła konie. Robin trzymał się z boku. Ostatni odcinek przebiegł, a potem zamknął za nimi bramę, tak jak mu pokazała siostra.

Kiedy skończyła, powiedziała koniom "dobranoc" i odszukała Robina -- siedział na spłachetku trawy nad wodą. Wiedział, że ma nie podchodzić zbyt blisko, chociaż dobrze pływał; przez prawie rok jeździła z nim co sobotę trzema autobusami na kąpielisko w Oakmont, bo tam uczyli dzieciaki pływać za darmo.

Kiedy podeszła, odsunął się.

-- Jesteś na mnie wkurzony.

-- Tak.

Zacisnął dłoń w pięść i trzymał ją na kolanach. Miał na sobie krótkie spodenki, spod których wystawały chude, podrapane kolana.

-- Nie powinnaś tak mówić do Tylera.

-- Nie powinien cię popychać.

Pustka nocy przychodziła wraz ze zmierzchem, ciepło się ulatniało i zostawał tylko chłód.

-- W porządku.

-- Nie, nie w porządku. -- Uderzył pięścią w trawę. -- Podoba mi się tu. Lubię dziadka i lubię zwierzęta. Lubię pannę Child i nową szkołę.

Nie potrzebuję...

-- No, czego? -- spytała cicho, ale w jej głosie brzmiało wyzwanie. Miesiąc temu by milczał.

-- Ciebie. Mam dziadka, on jest dorosły. Troszczy się o nas. Nie chcę, żebyś szykowała mi jedzenie.

Płakał cicho. Patrzyła, jak się skulił, podbródek na piersi, kolana otoczone ramionami. Wiedziała o rzeczach, które kształtują ludzi, wspomnieniach i wydarzeniach, które odciskają się na duszy. Potrzebowała Robina, żeby być w porządku, potrzebowała bardziej niż cokolwiek innego. Co tydzień chodził do psychiatry, chociaż już przestał jej opowiadać, o czym rozmawiali. "Nie muszę ci mówić. To prywatne sprawy".

-- Wiem, że jesteś banitką, ale ja nie. Ja chcę być po prostu dzieckiem.

Przysunęła się bliżej, szurając dzinsami po ziemi.

-- Jesteś królewiczem, pamiętaj. Mama tak mówiła i miała rację.

-- Po prostu daj mi spokój.

Chciała mu potargać włosy, ale uchylił się, wstał i pobiegł do domu. Przez chwilę myślała, że sama też się rozplacze, niech te ostatnie miesiące i lata wypłyną z niej i wsiąkną w ziemię, niech łzy spleć jej skórę z kości, a krew zmienią w wodę.

Usłyszała grzechot nadjeżdżającej terenówki, zamarła na moment, a potem zobaczyła, że to Dolly. Zostawiła samochód na długich światłach, które przecinały teraz wodę dwoma snopami.

-- Mogę się przysiąc na chwilę?

Wpadała od czasu do czasu. Miała na sobie kremową sukienkę i szpilki z czerwonymi podeszwami; należała do kobiet, dla których ubranie robocze nie istnieje.

-- Nie widziałam cię w kościele w zeszłym tygodniu -- powiedziała Duchess.

-- Bill był chory. -- Papieros rozzarzył się mocniej, kiedy ruszyła ręką.

-- Och.

-- Choruje od dawna. Czasem jest trochę lepiej, a czasem gorzej.

-- No tak.

-- Żałuję, że nie widziałam sukienki.

Duchess wycięła jeszcze jeden pas, żeby było widać pępek.

-- Możesz czasem do mnie przychodzić. Gdybyś potrzebowała bab-
skiego towarzystwa. Nie mam rodzeństwa, matki, od zawsze musiałam
się bronić sama.

-- I masz się dobrze.

-- Mam się dobrze pozornie, Duchess. Jestem jebanym mistrzem.
W każdym razie Hal wie, gdzie mnie znaleźć, gdybyś chciała wpaść.

-- Staram się nie rozmawiać za dużo z Halem.

-- A to dlaczego?

-- Nie poznałabym go, gdyby... znaczy, gdyby mama...

Woda cicho chlupała.

-- Jeździł tam.

Duchess gwałtownie się odwróciła.

-- Do Cape Haven -- ciągnęła Dolly szeptem, jakby zdradzała se-
kret. -- Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

-- Kiedy?

-- Co roku. Tego samego dnia. Drugiego czerwca.

-- W moje urodziny.

Uśmiech, delikatny, ale na pewno uśmiech.

-- Zabierał prezent. Zawsze prosił mnie o pomoc, żebym wybrała coś, co ci się spodoba. A potem, kiedy urodził się Robin, jeździł dwa razy w roku. I to człowiek, który nigdy nie robił sobie wolnego dnia, nie stać go było na to.

Duchess obejrzała się na stary dom.

-- Skąd wiedział? Przecież Star z nim nie rozmawiała.

-- No nie. Uparciuch był z tej twojej matki. Zupełnie jak ktoś, kogo znam.

-- Daruj sobie.

-- Miał tam znajomego. Dzwonił do niego od czasu do czasu. To policjant.

Duchess zamknęła oczy. Walk.

-- Nigdy niczego nie dostałam.

-- Och, wiem. Zawsze z nimi wracał. Za każdym razem to samo. Ale nie przestał próbować. Nie chciał się z tobą spotkać bez błogosławieństwa twojej matki.

-- Obwiniła go. O to wszystko.

Dolly położyła jej rękę na ramieniu.

Duchess wiedziała o babci, duchu tak wolnym, że dziewczynka nadal dodawała jej nazwisko, Day, przed swoje Radley. Star miała siedemnaście lat. Zaczęła college, wróciła wcześniej do domu i znalazła wiadomość.

"Kocham cię. Przepraszam. Zadzwoń do ojca i nie wchodź do kuchni".

Star nigdy nie trzymała się zasad.

Dolly wstała.

-- Przyniosłam ciasto dla Robina. Kopiec kreta. Pewnie będzie rozczarowany, że to nie prawdziwy kopiec kreta.

Duchess poszła za nią do samochodu i wzięła ciasto.

-- Twój dziadek jest stary.

-- Wiem.

-- Nigdy nie popełniłaś błędu, Duchess?

Duchess wróciła myślami do Cape, pożaru, bójek, rysy na mustangu Brandona.

-- Nigdy.

Dolly chwyciła ją i mocno przytuliła. Pachniała słodkimi perfumami. Duchess próbowała się wyrwać, ale Dolly trzymała mocno.

-- Nie pogub się, Duchess.

Po chwili obserwowała, jak terenówka znika.

Pierwsze krople deszczu spadły jej na ramiona.

Szybko rozpadało się tak bardzo, że woda uderzająca w ziemię podbijała błoto, które pryskało jej na nogi. Trwała tak z głową odchyloną, patrząc w niebo, które otworzyło się nadal niedostatecznie, żeby ją oczyścić. Zastała Hala na werandzie. Czekał z ręcznikiem. Pozwoliła się otulić i posadzić, bez protestu wzięła od niego parujący kubek kakao. Deszcz okazał się na tyle głośny, by stłumić krzyk, który kazał jej kopać i kopać.

-- Robin śpi. Nie myśli tak, jak powiedział. -- Hal usiadł na ławce w odpowiedniej odległości.

-- Myśli.

-- Widziałem cię na polu. Big Sky jest piękne nawet w deszcz.

-- Dolly przyniosła ciasto. -- Duchess przesunęła talerz nogą w jego stronę.

W domu dzwonił telefon. Nie odzywał się zbyt często. Patrzyła, jak starszy mężczyzna wchodzi do środka, mówi parę słów, których nie usłyszała.

-- Kto to był?

-- Walker.

-- Mówił coś o Darke'u?

-- Tylko pytał, czy wszystko w porządku.

-- Darke przyjedzie.

-- Tego nie wiemy.

-- Nie rozumiesz.

-- Wy tłumacz mi.

-- Zapowiedział, że mnie znajdzie.

-- Dlaczego?

Siedzieli, pili, wdychali zapach ziemi po deszczu.

-- Ciągle mi się tu coś śni. Nie chcę tego.

Odwrócił się do niej.

-- I te sny są chujowe.

Nie wzdrygnął się na przekleństwo.

-- Opowiedz mi o nich.

-- Nie.

-- Opowiedz siwce. Usłyszysz cię stąd. Po prostu opowiedz, to wszystko, Duchess.

-- To wszystko -- powiedziała cicho.

Zamknął oczy i chłonał deszcz. Wtedy go naprawdę zobaczyła: płacenie za błąd całym życiem, pokusa drugiej szansy, żalosne błaganie o odkupienie.

-- Wychowałem się na farmie i widzę łupki i zielen, rynną pełną liści, która przypomina mi o jesieni i porach roku zmieniających się bez względu na to, kto umarł. Jestem wysoko na niebie, a Montana jest ledwie skrawkiem wypełnionym ludźmi, którzy miotają się, jakby tonęli w zwyczajności. Ocean jest nieskończony, ale widzę jego kraniec. Wi-

dzę ziemię, za jej krzywizną jest jutro, ale ono nie nadejdzie. Widzę chmury, które podpierają niebo, zachód słońca na pustyni i wschód nad światem z metalu. Wkrótce jestem ciemnością, gwiazdami i ich księżycami. Świat jest niczym, jest tak mały, że zakrywam go jednym palcem. Jestem Bogiem, w którego nie wierzę. Jestem dostatecznie duży, by powstrzymać złych ludzi.

Nie będzie płakała.

Hal obserwował ją uważnie.

-- Jeśli przyjdzie, powstrzymam go.

-- Dlaczego?

-- Żeby chronić ciebie i Robina.

-- Ja nas obronię.

-- Jesteś jeszcze dzieckiem.

-- Nie jestem dzieckiem, jestem banitką.

Otoczył ją ramieniem, a ona zatopiła się w ciepłe, nienawidząc samej siebie za to, co robi.

Mieszkanie znajdowało się nad sklepem z tanim badziewiem; jedno okno wybite, zamiast szyby wstawiono płytę, drugie tak brudne, że Walk nie był w stanie wyobrazić sobie wpadającego przez nie światła. Przy drzwiach umieszczono wylot wentylacji, przez który mimo wczesnej pory przedostawała się woń chińszczyzny.

Dziewczyna nazywała się Julieta Fuentes i pracowała w różnych klubach jako tancerka. Martha wysłała jej kilka wiadomości na telefon, ale w końcu dała Walkowi adres, kiedy dziewczyna nie odpisała. To nie był jego pomysł, nie naciskał, ale Julieta miała problemy z byłym i Martha się o nią martwiła.

Zastał otwarte drzwi i wszedł po wąskich schodach. Na cętkowanym suficie wypełzła pleśń.

Zapukał do mieszkania, poczekał chwilę i nacisnął klamkę.

Julieta była drobna, z ciemnymi włosami, szerokimi biodrami, o urodzie tak oszałamiającej, że prawie cofnął się o krok.

Spojrzała na niego gniewnie. Machnął odznaką, na co ona rzuciła mu jeszcze bardziej piorunujące spojrzenie.

-- Mój syn śpi.

-- Przepraszam, dostałem adres od Marthy May.

Julieta od razu się rozluźniła, na tyle, że wyszła do wąskiego korytarza i zamknęła za sobą drzwi.

Znalazła się blisko Walka. Próbował się cofnąć, zszedł o stopień w dół, ale wtedy jego oczy znalazły się na wysokości biustu kobiety. Kaszlnął, zaczerwienił się, przez co znów spojrzała na niego ze złością.

-- Miejmy to już za sobą, cokolwiek chce pan wiedzieć.

-- Pracowała pani w The Eight.

-- Rozbierałam się za pieniądze. To zbrodnia?

Walk chciał poluzować kołnierzyk, czuł, że ogranicza mu przepływ krwi, której jeszcze więcej płynie wtedy do policzków.

-- Chciałem tylko zadać parę pytań o Dickiego Darke'a.

Żadnej zmiany w spojrzeniu.

Odchrząknął.

-- Martha powiedziała, że miała pani z nim jakieś problemy. Czy jest ojcem...

-- Nie sypiam, z kim popadnie. Nie wszystkie dziewczyny, które tańczą, są dziwkami.

Rozejrzał się z naiwną nadzieją, że skądś nadejdzie wsparcie.

-- Przepraszam, chciałem tylko dowiedzieć się czegoś o Dickiem Darke'u.

-- Nie zrobił tego.

-- Czego?

-- O cokolwiek go pan podejrzewa.

-- Czy to oficjalne stanowisko?

Zacisnęła szlafrok, uchyliła drzwi i nasłuchiwała.

-- Mój syn śpi do późna. Siedzi po nocach.

-- Tak samo jak matka.

Pierwszy cień uśmiechu.

-- Proszę posłuchać, ludzie patrzą na Darke'a i widzą jego posturę, podejrzewają, że jest silny. To znaczy, proszę mnie źle nie zrozumieć, radzi sobie w życiu. Widziałam go. Jakiś facet się do mnie dobierał, a Darke po prostu złapał go za gardło i podniósł. Oderwał od podłogi, jak w filmie.

-- Ale nie bywa agresywny.

Julietta uderzyła go w ramię, dość mocno.

-- Myśli pan jak pieprzony glina.

-- A jak mam myśleć?

Zastanowiła się.

-- Może jak ojciec, który pilnuje córki.

-- Tak się zachowywał Darke?

Westchnęła, jakby nie chciało jej się użerać z pieprzonym gliną.

-- Nie oglądał nas. Jak tańczymy. Nigdy nas nie oglądał, nie próbował się z nami umawiać. Nigdy nie kazał sobie robić laski. I proszę mi wierzyć, to nie jest norma. Jak miałyśmy kłopoty, brakowało nam do wypłaty, pomagał nam. Proszę pogadać z którąkolwiek dziewczyną z The Eight, nie usłyszysz pan złego słowa o tym człowieku.

-- A ojciec pani syna, jego Darke też ustawił do pionu?

Nie odpowiedziała, ale jej oczy przekazały wszystko, co chciał wiedzieć.

-- Powie mi pani o nim coś jeszcze? Może mieć kłopoty.

-- Jakiego rodzaju kłopoty?

-- Szukają go. Dwóch gości, jeden z brodą, w okularach.

Wyraz twarzy kobiety zdradzał, że wie, o kogo chodzi.

-- Próbuję tylko znaleźć odpowiedzi. Proszę.

-- Znam ich, przyjeżdżali co miesiąc, w każdy drugi piątek miesiąca, i wychodzili z grubą kopertą. Nic nadzwyczajnego w klubach, w których pracowałam. Zawsze byli faceci zbierający koperty.

-- Zawsze płacił.

Roześmiała się.

-- W przypadku takich facetów jak tamci nie ma się większego wyboru. Płacisz albo cię zmuszą do płacenia. Darke to wiedział.

-- A to, że go teraz szukają...

-- Myśli pan, że ich to obchodzi, że The Eight spłonęło? To nie ich problem. Oni chcą tylko swoje pieniądze.

-- Nie sądzę, żeby je miał.

Błysk niepokoju.

-- To powinien uciekać.

-- Jestem pewny, że Darke potrafi o siebie zadbać.

-- Nie rozumie go pan. Po tym wszystkim...

-- Proszę opowiedzieć.

-- Była taka tancerka, Amber, akurat ta się kurwiła. Pomyślała, że Darke ma kasę, więc się na niego zasadziła. Powiedział jej, że nie jest zainteresowany.

-- Wyjaśnił dlaczego?

-- Powiedział, że nie patrzy na nią w ten sposób. Że ma dziewczynę. To wszystko. Nigdy jej nie widziałyśmy.

-- Czyli z kimś się spotykał. Proszę mówić dalej, nawet jeśli uważa pani, że coś jest bez znaczenia.

-- Jezu. Wy, gliny, potraficie cisnąć.

-- Proszę, to ważne. Cokolwiek.

-- Chce pan przymknąć człowieka, ale wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że troszczył się o nas, o mnie. O mnie i jeszcze jedną dziewczynę, faworyzował nas.

-- Dlaczego?

-- Miałyśmy dzieci. Był opiekuńczy, wręcz delikatny. Kiedyś wieczorem nie pokazałam się w pracy. Przyszedł tu. Zobaczył mnie, moją twarz tamtej nocy. Martwił się.

-- A ta druga dziewczyna?

-- Layla. Z nią było to samo. Raz zabrał ją z dzieckiem do Six Flags, znaczy parku rozrywki, nawet byłam o to trochę zazdrosna. To przy-

zwoity facet.

-- Mogę porozmawiać z Laylą?

-- Nie mieszka już na Zachodzie. Wyjechała razem z córeczką.

-- Miała córkę.

-- Tak, trzymała jej zdjęcie na szafce. Śliczna dziewczynka.

Walk usłyszał hałas dobiegający z mieszkania. Wołanie dziecka.

-- To wszystko?

-- Jasne.

-- Udanych łowów, panie władzo.

Godzina jazdy do domu Darke'a. Po drodze zadzwonił do Marthy. Były chłopak Juliety nazywał się Max Cortinez i dwa miesiące wcześniej został pobity prawie na śmierć w barze w Bitterwater. Walk poprosił Marthę o przeczytanie raportu.

Max został skopany, tak mocno i tyle razy, że stracił wszystkie zęby oprócz jednego. Wielkimi buciorami. Max, typ gościa, na którego policja w Bitterwater nie zamierzała nawet tracić czasu. Walk próbował do niego zadzwonić bezpośrednio, ale usłyszał, że ma spierdalać, kiedy tylko facet wreszcie odebrał telefon.

W lusterku wstecznym Walk dostrzegł własne spojrzenie, trochę dłuższą brodę, szczuplejszą twarz, powolne osuwanie się w ciemność. Nie tylko ciało go zdradziło; nie kwestionował już łamania zasad, na których opierało się całe jego dotychczasowe życie. Albo skończy się to dla niego źle, albo nie.

Cedar Heights, na wpół zbudowane osiedle, z rozległymi parkingami, ogromne i bezduszne. Brama wjazdowa, zbyt nowa cegła, nawet las dookoła wyglądał jak wyprodukowany w fabryce. Darke włożył w to miejsce konkretne pieniądze.

Podjechał do szlabanu. Pojawił się mężczyzna ze skołtunioną brodą, w schludnej koszulce polo, mocno woniejący ziołem. Jego oczy mówiły Walkowi, że trwa w stanie permanentnego otępienia.

-- Dzień dobry, panie władzo.

-- Chciałem się spotkać z Dickiem Darkiem.

Mężczyzna spojrział w niebo, poskrobał się po brodzie i przechylił głowę, jakby pracował nad odpowiedzią.

-- Chyba nie ma go w domu. Nie widziałem go.

-- Czeka na mnie.

Minęła minuta, facet sięgnął po telefon.

-- Nie odbiera.

-- Pójdę zapukać.

Znów drapanie w brodę.

Walk rozprostował rękę, podczas gdy mężczyzna rozważał możliwości.

-- Jak się pan nazywa?

-- Moses Dupris. -- Odsunął się w milczeniu. Za nim była fontanna, sucha i zielona, miejscami brakowało płytek mozaiki.

-- Powiem, że pana zmusiłem, Moses. To jak? Zagroziłem, że urządzę awanturę, że będę pukał do drzwi sąsiadów.

-- Cóż, szczerze, to nie ma za wielu sąsiadów.

-- Który to dom?

Moses wskazał.

-- Darke... pan Darke mieszka w tej chwili w domu modelowym. Może pan wjechać na podjazd.

Za szlabanem ciągnęła się wąska droga, która obiegała kilkanaście domów. Kilka było skończonych, większość z otworami zabitymi deskami, obstawiona rusztowaniami, pomalowana do połowy, otoczona

stosami gruzu. Dom modelowy stał bliżej lasu, dość ładny, białe stiuki, kolumny, duże okna ze szprosami. Walk nienawidził tego miejsca, wrażenia sterylności. Pomyślał o Cape Haven i dążeniu niektórych, żeby uczynić z miasta coś takiego jak to. Ludzie kupowali działki na wybrzeżu z nadzieją, że pewnego dnia dostaną zgodę na budowę. Walk żył nadzieją, że nie doczeka czasów, gdy zapali się dla nich zielone światło.

Z bliska okazało się, że dom ma już swoje lata, głęboka szczelina wymykała się spod pękniętej rynny, która zwisała luźno. Trawa wyrosła wysoko, a chwasty kolonizowały rabatki.

Drzwi były ogromne. Walk nie mógł znaleźć dzwonka, więc załomotał tak, jak policjanci w telewizji. Silne, szybkie łupnięcia. Czekał chwilę, wokół niego śpiewały ptaki.

Przeszedł wzdłuż ściany frontowej, zasłony szczelnie zasunięto, nie została nawet najmniejsza szpara. Z boku znalazł furtkę z kutego żelaza, czarną i ciężką, ale otworzyła się, gdy ją pchnął.

Basen, wyszykowane miejsce na grilla, ekran telewizora przy fotelach. Walk zatrzymał się, gdy zobaczył otwarte tylne drzwi.

-- Darke! -- zawołał.

Wszedł do środka. Serce biło mu szybko. Pomyślał, żeby wyjąć broń, ale odkrył, że ręce z nim nie współpracują. Teraz tak już miało być.

W górze pracował wentylator. Walk ujrzał schludne, uporządkowane pomieszczenie; otworzył szafkę z jedzeniem, puszki ustawione etykietami do przodu, idealnie równo.

Szedł dalej, powoli, cały już spocony. Minął jadalnię, gabinet, salon z włączonym telewizorem i wyciszonym dźwiękiem na kanale sportowym, Karl Ravech na tle półki z książkami opowiadający o baseballu, Bautiście i Atlanta Braves.

Wnętrze było dopracowane, każdy detal dobrany starannie, by stworzyć projekt idealny. Plastikowe owoce w misie, plastikowe kwiaty na stoliku, a w ramach zdjęcia modelowej rodziny z plastikowymi uśmiechami.

Wyobraził sobie Darke'a mieszkającego tu samotnie, wielkiego, niezdarne, próbującego niczego nie potrafić.

Walk wszedł po drewnianych schodach wyłożonych chodnikiem, kremowym i grubym. Minął lustro i zobaczył swoje odbicie, z ręką na kaburze, jak dzieciak, który bawi się w kowbojów, czai na Vincenta z plastikowym tomahawkiem.

Zajrzał do trzech pokoi gościnnych, zanim trafił do głównej sypialni. Wszystko nieskazitelne.

-- Co ty tu robisz?

Odwrócił się, serce waliło mu jak oszałałe.

Darke stał u szczytu schodów, w szortach, kamizelce i słuchawkach. Spojrzenie miał zimne i twarde.

-- Przyszedłem sprawdzić, co u ciebie.

Po prostu patrzył, nic więcej.

-- Pytają o ciebie różni tacy. Nie chciałbyś, żeby wpadli tu z wizytą.

Walk poszedł za nim schodami do przytulnego pokoju.

-- Nie wolisz mieć tego już za sobą?

Usiadł na wygodnej skórzanej sofie. Darke dalej stał, co powiększało przepaść między nimi.

-- Julieta Fuentes -- powiedział Walk i spojrzał.

Pot oblał Darke'a, spłynął po muskularnych ramionach i nogach.

-- Pamiętasz Julieta?

-- Pamiętam każdego, kto dla mnie pracował.

-- A jej chłopaka, Maxa Cortineza, pamiętasz?

Cisza.

Walk wstał i podszedł do okna. Ogródek był mały, ale malowniczy, drzewa i klomby, rzeźba z drewnianej kłody.

-- Nie winię cię za to, co zrobiłeś Maxowi. To była jednostronna relacja, on i Julieta, wyrównałeś rachunki.

Darke nadal po prostu patrzył, ale na chwilę coś innego pojawiło się na jego twarzy. Smutek, może żal.

-- To było szlachetne. Oddałeś jej przysługę. Okazałeś serce.

-- Julieta zarabiała więcej niż inne.

Aha. Czyli dbał o swoje interesy. Dickie Darke, człowiek, którego jedynym celem był pościg za pieniędzem.

Walkowi zaschło w gardle, drażył jednak dalej.

-- Ale przeszarżowałeś. Pobiliś go za mocno. Mógł umrzeć. Czy właśnie to się stało ze Star?

Na twarzy Darke'a odmalowało się wyraźne rozczarowanie.

-- Zadajesz złe pytania niewłaściwej osobie.

Walk podszedł bliżej, adrenalina znów uderzyła.

-- Nie sądzę.

-- Vincent King. Nie chcesz zobaczyć w nim mężczyzny, którym teraz jest, widzisz tylko chłopca, którym był.

Walk zrobił jeszcze krok do przodu.

Darke się wyprostował.

-- Nic nie rozumiesz. Pogubiłeś się. Wiem, jak to jest.

-- Jak to jest?

-- Czasem po prostu chcemy iść dalej. Ludzie działają w ten sposób.

-- W jaki sposób działała Star?

-- Co słyhać u małej? Przekazałeś jej, że o niej myślę?

Walk spał się, zacisnął zęby. Innego dnia może rzuciłby się na face-
ta większego od siebie, innego dnia albo w innym życiu. Oddychał tak
ciężko, że pokój zaczął mu się zamazywać.

-- Lepiej już pójdę.

Wyszedł i skierował się do kuchni. Darke ruszył za nim.

Walk zwolnił, poczuł, że krew odpływa mu z głowy. Musiał się przy-
trzymać, żeby złapać równowagę. Leki, ta jebana choroba bardzo go
osłabiała.

Przy frontowych drzwiach coś wypatrzył, małą walizkę w rogu.

-- Wybierasz się gdzieś, Darke?

-- Interesy.

-- Jakieś miłe miejsce? -- Walk odwrócił się i stanął z nim twarzą w
twarz.

-- Tam, gdzie nikt nie wpadnie do mnie z wizytą.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, potem Walk wyszedł, wsiadł do
radiowozu i odjechał z powrotem do Cape. Jeszcze nie dotarł do granic
miasta, kiedy wyciągnął rękę i wybrał numer do Montany.

Padło tak długo, że Duchess usiadła przy oknie i wpatrywała się w niebo, zupełnie jak starszy mężczyzna. Zauważyła, że przygląda jej się uważnie i raz po raz patrzy na podjazd, jakby czekał na gościa.

Robin był chory, grypa położyła go do łóżka na tydzień. Duchess nosiła mu ciepłe napoje i martwiła się, chociaż to siedziało między nimi, jak ciężar na piersi, coś, co ich dzieliło i co musiała przełamać.

Trzeciej nocy gorączka mu podskoczyła i wołał matkę, leżał w łóżku z mokrymi włosami i nieprzytomnymi oczami. Krzyczał i wydawał z siebie rozdzierające dźwięki, wyrzucał z siebie ból, który doskonale znała. Hal panikował, pytał Duchess, czy ma wezwać lekarza albo karetkę. Ignorowała go, moczyła prześcieradło i owijała nim nagiego Robina.

Siedziała przy nim całą noc, Hal przy drzwiach. Nie rozmawiali, po prostu tak siedzieli.

Następnego dnia rano nastąpiło przesilenie i Robin zjadł trochę zupy. Hal zniósł go na dół i usadził na werandzie, na huśtawce, żeby mógł popatrzeć na deszcz i pooddychać mgłą.

-- Lubię, jak bębni o jezioro -- powiedział Robin.

-- Tak.

-- Przepraszam. Za to, co wtedy powiedziałem.

Odwróciła się i przyklękła na szorstkim drewnie, spodnie miała rozdarte na kolanie.

-- Nie musisz mi tego mówić.

Hal miał magnetowid. Pewnej leniwej niedzieli oglądali Ritę Hayworth. Duchess nie wiedziała, że kobieta może być tak wytworna. A potem na strychu znalazła torbę pełną westernów, siedzieli razem ze star-

szym mężczyzną i oglądali do późnej nocy, dopóki Robinowi nie zrobiło się lepiej. Za dnia zatracala się i ściagała bandę Meksykanów przez podeschniętą pszenicę, Hal obserwował ją z werandy i potrząsał głową, jakby mu odbiło. Nazwała go Tuco, powiedziała mu, że jest brzydki i że ona jest czarnym charakterem. Dobry charakter klaskał w dłonie, jego loki oklapły od deszczu, żółty płaszcz przeciwdeszczowy ociekał wodą.

W dni, kiedy Duchess ćwiczyła, odchodziła na sto jardów, waliła w środek drzewa i mówiła o sobie Sundance.

Za pierwszym razem, kiedy dosiadła siwej, poczuła się bardziej jak Butch niż kiedykolwiek. Bliska swojemu dziedzictwu, nieco mniej obca, jak korzeń wrastający w ziemię Montany. Położyła rękę na klaczy i czuła bijące od niej ciepło, klepała delikatnie i mówiła, że nigdy by jej nie kopnęła, więc w zamian może się zgodzi nie zrzucić kowbojki na ziemię. Mocno ścisnęła lęk siodła i strząsała deszcz z włosów, kiedy Hal oprowadzał ją po padoku, tylko lekkim klusem, po którym musiała z całych sił tłumić najszerszy uśmiech, jaki kiedykolwiek zagościł na jej twarzy. Minał tydzień i zauważyła, że czarne po horyzont niebo zaczyna pękać, deszcz słabnie, na skrajach pojawił się błękit, a słońce po raz pierwszy od miesiąca pobłogosławiło ziemię.

Gdy spojrzała w stronę zagrody, zobaczyła Hala przy bronie i Robina przy kurniku, obu wpatrzonych w niebo i uśmiechniętych. Hal podniósł rękę, Robin też. A potem, powoli, z wielkim wysiłkiem Duchess podniosła swoją. Uczyła się na matematyce, że trójkąt to najsilniejsza figura.

Dni w Montanie zmieniały się, przechodziły jeden w drugi, jesień rozsypała wokół nich liście w tysiącach odcieni brązu.

Pewnej soboty Hal zabrał ich do Glacier. Wspięli się do wodospadu Running Eagle, widok strzelistych osik łapiących światło słoneczne za-

pierał dech w piersi. Szli po dywanie z liści, niektóre były tak duże, że kiedy Robin je rozprostowywał, sięgały mu do ramienia. Próbował je zbierać, ale w końcu miał ich tyle, że prawie niczego zza nich nie widział. Hal zaprowadził ich na polankę, gdzie falowały topole, jaskrawo-żółte jak złoto głupców.

-- Pięknie -- powiedział Hal.

-- Pięknie -- powtórzył jak echo Robin.

Duchess tylko się przyglądała. Zdarzały się takie dni, kiedy trudno się było w niej doszukać złośliwości i twardości.

Zatrzymali się przy skałach, woda hałaśliwie spływała kaskadami. Stali przy czteroosobowej rodzinie, tak symetrycznej, że Duchess odwróciła wzrok od matki i ojca, jakby dopuścili się współczesnych grzechów. Wymyśliła sobie, że wkrótce się rozwiódą, a przedtem będą torturować swoje aniołki trzaskaniem drzwiami i łzami złości. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Duchess nadal, co niedziela, ubierała się w swoją sukienkę, kiedy jechali do kościoła w Canyon View. Za każdym razem Hal marszczył brwi, a dzieciaki ciągle się gapiły, ale starsi ludzie, para, która się zatrzymywała i kiwała głową, wdowy, które same prowadziły się przyzwoicie, wszyscy się do niej przekonali. Nikt bardziej niż Dolly, która w prawie każdy weekend wypatrywała jej i zajmowała miejsce obok.

Jesienny półmrok, potrzebne były świece i latarnie. Robin siadał z trzema kolegami, braćmi, wszyscy byli starsi, ale pozwalali mu sobie towarzyszyć. Matka co chwilę ich uciszała. Robin patrzył na nich z milczącym podziwem: więksi chłopcy, nic nie mogło się z tym równać.

-- Przyjdzie tu.

-- Kto? -- spytał Hal.

-- Darke. Musisz wiedzieć, że on tu przyjdzie.

-- Nie przyjdzie.

-- Ja jestem Josey Wales, wyjęty spod prawa, a on to żołnierz Unii. Nagrodą jest moja krew. Przyjdzie.

-- Nadal mi nie powiedziałaś, dlaczego myślisz, że przyjdzie.

-- Myśli, że zrobiłam mu coś złego.

-- A zrobiłaś?

-- Tak.

Stary pastor zaczął udzielać komunii, a ona patrzyła, jak ustawia się kolejka żądnych oczyszczenia. Tak żądnych, że dzielili się tanim winem i śliną.

-- Chcesz iść? -- pytał Hal co tydzień.

-- Pytasz, czy chcę złapać opryszczkę?

Odwracał wzrok i Duchess rozkoszowała się małym zwycięstwem. Robin ustawiał się ze starszymi kolegami. Nosił starą bolę, krawat myśliwski, który znaleźli na strychu, i panamę za dużą na niego o co najmniej siedem rozmiarów.

Kiedy przechodzili obok, Robin odwrócił się do nich.

-- John, Ralph i Danny idą do komunii. Chcę być z nimi, ale nie chcę złapać opryszczki.

Hal spojrział na Duchess ze zmarszczonymi brwiami.

Ustawili się po ciasto. Duchess zjadła kawałek czekoladowego i kawałek cytrynowego, zaczęła się na gruszkowe i daktylowe, ale starsza pani sprzątnęła jej porcję sprzed nosa. Trochę przybrała na wadze, dość, by nie popaść w chorobę.

Kiedy wrócili na farmę, Duchess zobaczyła rower, stary i zdezelowany, leżący na ziemi przed werandą.

-- To Thomas Noble -- powiedział Robin z twarzą przyciśniętą do szyby.

Thomas Noble stał przy najniższym schodku, z chorą ręką w kieszeni zielonych sztruksów. Do tego miał elegancką zieloną koszulę i zieloną marynarkę.

-- Jezu. Wygląda jak jebany glut.

Wysiedli z auta.

Duchess stanęła z ręką na biodrze i zmarszczyła brwi.

-- Co ty tutaj robisz, Thomasie Noble'u?

Chłopak z trudem przełknął ślinę, spojrzał na jej sukienkę i przełknął jeszcze raz.

-- Mam nadzieję, że mnie nie sprawdzasz. Hal cię zastrzeli. Prawda, Hal?

-- Tak -- potwierdził Hal. Potem zagonił Robina do domu; obiecał mu przejażdżkę kosiarką, jeśli szybko się przebierze.

-- Wiesz... No, praca z matmy. Chciałem od kogoś...

-- Nawet nie próbuj wyjeżdżać z tym gównem.

-- Pomyślałem tylko, że moglibyśmy się przejść. Bo ja mieszkam niedaleko, o tam. -- Wskazał kierunek zdrową ręką.

-- Znam dobrze ziemię Radleyów. W pobliżu nie ma żadnych sąsiadów. Ile jechałeś?

Thomas Noble poskrobał się w głowę.

-- Cztery mile. Coś koło tego. Mama powiedziała, że przyda mi się trochę ruchu.

-- Jesteś chudy, na granicy zagłodzenia. Powinna ci raczej zalecić zmianę diety.

Uśmiechnął się, tak zwyczajnie.

-- Nie zaproponuję ci ani lunchu, ani nawet niczego do picia. To już nie są lata pięćdziesiąte.

-- No wiem.

-- Dobra. Idę pielnić przy jeziorze. Nie odłożę roboty tylko dlatego, że nie miałeś dość rozumu, żeby najpierw zadzwonić.

Weszła do domu, przebrała się w stare dzinsy i koszulkę, a potem znalazła go w tym samym miejscu; stał bez słowa i wpatrywał się w swoje trampki.

-- Rozumiem, że chcesz okazać się użyteczny i mi pomóc.

-- Tak -- odparł szybko.

Poszedł za nią nad jezioro, ukląkł obok i wyrywał zielsko, zgodnie z jej wskazówkami. Duchess wyjęła z kieszeni cygaro, które podwędziła Halowi z szuflady.

-- Nie możesz tego palić. Dostaniesz raka.

Zlekceważyła go, odgryzła końcówkę i wypluła ją na ziemię.

-- Jesse John Raymond miał w ustach fajkę, kiedy zarzynał tchórza, Pata Buchanana. -- Zacisnęła zęby na cygarze. -- Masz ogień?

-- Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma ogień?

-- Słuszna uwaga. Będę je po prostu żuć, jak Billy Ross Clanton.

-- Myślę, że to inny gatunek tytoniu.

-- Nic nie wiesz, Thomasie Noble'u. -- Duchess odgryzła spory kawałek cygara, zaczęła żuć i z całych sił walczyła, żeby nie zwymiotować.

Thomas Noble odchrząknął, a potem spojrzał na nią zezem.

-- No... jeśli chodzi o to, po co przyszedłem. Chodzi o bal. Bal zimowy. Jest jeszcze mnóstwo czasu, ale...

-- Mam nadzieję, że nie zbierasz się na odwagę, żeby mnie zaprosić. Akurat teraz. Kiedy mam w gębie kawałek tytoniu.

Potrząsnął szybko głową.

-- Musisz wiedzieć, że nie zamierzam wyjść za mąż. A szczególnie za ciebie... przez tę rękę.

-- To nie jest dziedziczne. To wada rozwojowa. Doktor Ramirez...

-- Możesz mi przesłać wyniki badań, ale do końca roku nie znajdę czasu, żeby je przejrzeć.

Pracował w milczeniu, potem przerwał i znów zerknął na nią ze-
zem.

-- Będę robił za ciebie zadania domowe z matmy przez miesiąc.

-- Zgoda.

-- Zgoda znaczy tak?

-- Nie. Nie pójdę z tobą na bal. Ale zgodzę się, żebyś robił za mnie matmę.

-- To dlatego, że jestem czarny?

-- Nie, to dlatego, że jesteś smętnym dupkiem. Od mężczyzny oczekuję odwagi.

-- Ale...

-- Jestem, kurwa, banitką. Kiedy to do ciebie dotrze? Nie ubieram się ładnie i nie umawiam się z chłopakami. Mam większe problemy.

-- Na przykład jakie?

-- Jest taki facet, chce mnie dopaść -- powiedziała, a on przyglądał się jej uważnie. -- Nazywa się Dickie Darke i jeździ czarnym esca-
de'em. Chce mnie zabić. Więc jak chcesz się przydać, miej oko na nie-
go.

-- Dlaczego chce cię zabić?

-- Myśli, że zrobiłam mu coś złego.

-- Powiedz glinom. Albo dziadkowi.

-- Nie mogę powiedzieć nikomu. Jeśli się dowiedzą, co zrobiłam, będę miała przejebane. Mogą mnie rozdzielić z Robinem.

-- Będę uważać.

-- Zrobiłeś w ogóle w życiu coś odważnego?

Znów podrapał się w głowę.

-- Huśtawkę z opony przy Cally Creek.

-- To nie jest odważne.

-- Spróbuj jedną ręką.

Prawie się uśmiechnęła.

-- Moja mama urodziła mnie bez znieczulenia. Mam odwagę we krwi, rozumiesz?

-- Kurwa, Thomasie Noble'u. Musiałeś ważyć przy urodzeniu najwyżej parę uncji. Pewnie wyskoczyłeś, kiedy kichnęła.

Wrócił do wyrywania zielska, ciągle łypał na nią zezem.

-- Gdzie masz okulary?

-- W sumie ich nie potrzebuję.

-- Wyrywasz dzwonki, do kurwy nędzy. Tak się składa, że lubię dzwonki.

Delikatnie wsadził kępkę dzwonków z powrotem do ziemi.

-- Nie zawsze jest łatwo być odważnym, wiesz? Nie jestem taki jak ty. Widzisz, że inni się ze mnie śmieją. Są w grupie, o głowę wyżsi, więksi, mają mięśnie.

-- Nie chodzi o to, jak duży jesteś. Tylko o sposób, w jaki się sprzedajesz.

Pomyślał chwilę.

-- Więc mam się zachowywać, jakbym umiał walczyć?

-- A potem już nie musisz.

-- Ten facet, który cię szuka. To na niego podziała?

-- Nie. Jak go zobaczysz, musisz mi od razu powiedzieć.

-- Dobra. Ale może powinnaś bardziej się martwić tym dzieciakiem, któremu groziłaś. Tylerem. Ma starszego brata. Powiedział, że cię dopadnie.

Machnęła ręką.

-- Pieprzyć go i jego rodzinę. A teraz wyrwij tego wielkiego chwasta i wracaj do domu. Będzie ciemno, zanim dojedziesz. Walnie cię ciężarówka, a ty nie możesz sobie pozwolić na uszkodzenie drugiej kończyny.

Podniósł się niechętnie.

Patrzyła, jak odchodzi, bierze rower i odjeżdża w stronę bramy. Poczekała, aż zniknie z widoku, wypluła tytoń, wzdrygnęła się i wytarła język palcami.

Parada hrabstwa Iver.

Main cała zatłoczona. Chłopak łapiący słomiane cielaki na linę i przeklinający z powodu porażek. Dziewczynki rzucające woreczkami z fasolą do pętli. Dawne stoisko z hot dogami, kawał dykty oparty na odwróconej donicy służący za rampę dla deskorolkarzy. Hal zabrał Robina na malowanie twarzy. Duchess przysiadła na krawężniku i obserwowała przejazd platform. Ubezpieczenia Mount Call, Trailwest Bank. Małe dziewczynki w diademach machały do kilku kamer.

Zobaczyła Thomasa Noble'a z matką. Pani Noble. Wysoka i efektowna, kiedy szła, wszyscy się za nią odwracali. Towarzyszył jej starszy mężczyzna, niski, chudy i siwy.

Thomas podszedł do Duchess.

-- Twoja matka działa dobroczynnie? Pomaga starcom czy coś?

Podążył za jej wzrokiem.

-- To mój ojciec.

Zmarszczyła brwi.

-- Matko, czym ją skusił? Kasą? A może jest fetyszystką?

Pociągnął ją za rękę.

-- Muszę ci coś powiedzieć. To pilne.

Wstała niechętnie i dała się wyprowadzić z tłumu. Duchess mogła tylko zgadywać, co Thomas Noble uważa za pilne, a jej domysły wahały się od tego, że jego matka zabawia się z listonoszem, po przekonanie, że niesprawna ręka staje się coraz silniejsza i niedługo chłopak będzie w stanie miażdżyć nią puszek. Miał jakąś obsesję na tle miażdżenia puszek.

-- Lepiej, żeby nie chodziło o to, że twoja matka pieprzy się z listonoszem.

Jej relacja z Thomasem Noble'em rozwinęła się w coś w rodzaju jednostronnej przyjaźni, w której on się zwierzał, a ona bezlitośnie wykorzystywała te sekrety przeciwko niemu.

Thomas miał na głowie kapelusz przeciwsłoneczny, zdjął go i powachlował się, kiedy weszli w cień klonu.

-- Ten dzieciak, Tyler. Jego brat jest tutaj i cię szuka.

-- To ma być pilne?

-- Nie rozumiesz. Jest ogromny. Myślę, że powinnaś wrócić do domu.

-- Gdzie on jest?

Thomas Noble z trudem przełknął ślinę.

-- Nie bądź cipą przez całe swoje życie, Thomasie Noble'u. Pokaż mi tego wielkiego chłoptasia, dostanie po dupie.

Poprowadził ją, kręcąc głową, otarł pot drżącą ręką. Poszła plotka, dzieciaki stłoczyły się w uliczce za piekarnią Cherry'ego.

-- To on.

Duchess spojrzała na dzieciaka, Tylera, tego, który popchnął Robina. Potem popatrzyła na chłopaka za nim, wyższego, grubszego, brzydszego. Spodnie do łydek, nogi blade jak pieńki, trampki znoszone i wyblakłe. Ciemne włosy miał obcięte na fajerę, drobny trądzik na policzkach.

Tyler pokazał na nią palcem i większy ruszył w jej stronę.

-- Kim, do chuja pana, jesteś? -- spytała Duchess, poprawiając kokardę we włosach.

-- Gaylon.

-- O kurwa. Musiałeś mieć trudne dzieciństwo.

-- Zadarłaś z moją rodziną. -- Zbliżył się do niej.

Przewróciła oczami.

-- Groziłaś mojemu bratu, że mu zrobisz krzywdę.

-- Właściwie to groziłam chujowi jebanemu, że mu urwę łeb.

Podeszło z tuzin wyrostków, żądnych krwi.

-- Przepróż go.

-- Chyba cię pojebało, grubasie.

Zbiorowe westchnienie. Zgromadzeni wokół się cofnęli. Thomasa Noble'a nie było już obok niej.

Gaylon zbliżył się jeszcze bardziej i zacisnął dłonie w pięści.

I wtedy to usłyszała. Jakby okrzyk wojenny albo dziewczęcy pisk. Tłum rozstał się przed nadbiegającym Thomasem Noble'em. Chłopak wypuścił koszulę ze spodni i z jakiegoś powodu wsunął nogawki w skarpety.

Poruszał się szybko, zadawał ciosy w powietrze i przeskakiwał z nogi na nogę, okrążał Gaylona, gdy ten kiwał głową w przód i w tył. Niezmiennie

Duchess podniosła rękę do twarzy i patrzyła przez palce, jak Gaylon kładzie go jednym ciosem.

I wtedy otworzyły się drzwi. Cherry wyszedł z workiem śmieci. Dzieciaki rozproszyły się w jednej chwili, Tyler z bratem zniknęli.

Duchess podeszła i oszacowała szkody.

-- Wygrałem? -- spytał Thomas Noble.

Pomogła mu wstać.

-- Liczy się sam udział.

Dotknął delikatnie oka.

-- Mam sińca.

-- Na czarnym nie widać.

-- Na czarno to ja widzę.

-- Daj spokój, chodź, trzeba przyłożyć łód.

Wzięła go za zdrową rękę. Pomimo bólu uśmiechał się od ucha do ucha.

-- To było odważne, prawda?

-- Bardziej głupie niż odważne.

Skręcili w Main i wtedy to zobaczyła.

Czarny escalade.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

Darke ich znalazł.

Puściła rękę chłopaka i ruszyła wzdłuż aut. Nalepki na zderzakach: Swan Mountain i Montana Elk, District Nine. Myślała o Darke'u próbującym wtopić się w tło, o bezdusznych oczach, które go zdradzały.

Wypatrzyła samochód Hala, szyby były opuszczone. Szarpnęła drzwi i opadła na fotel pasażera. Thomas Noble obserwował, jak otwiera schowek i wyciąga stamtąd smitha & wessona.

Zatknęła pistolet za pasek dżinsów.

Thomas Noble. Dla niego walka się skończyła, zanim się jeszcze zaczęła.

Wrócili na chodnik. Słońce zalało ulicę, oświetliło dzieci i rodziców, uśmiechniętych i niczego nieświadomych. Przeszli koło Cherry'ego, obok fryzjera. Przystawali przy witrynach, Duchess przepatrywała wnętrza z ręką na pasku.

Broń nie była już zimna, płonęła, czekała na nią.

Po drugiej stronie ulicy stał escalade. Wyobraziła sobie Darke'a w środku przyglądającego się jej tym swoim wzrokiem.

Zeszła na jezdnię, strach krępował jej ruchy, ale ukryła to za uśmiechem. Niech Darke zobaczy, że cieszy się na jego przybycie, bo chce,

żeby już było po wszystkim. Zabiłaby dla Robina, bez wahania.

-- Co robisz? -- Thomas Noble potrząsnął ją za ramię, ale go odsunęła, odwróciła się i patrzyła.

-- Zostań tu.

-- Nie możesz tak po prostu do niego podejść.

Wyglądał, jakby miał się rozplakać, jakby chciał się odwrócić i rzucić do ucieczki, ale wyłaniający się z jego wnętrza mężczyzna walczył o miejsce z przerażonym dzieckiem.

Podeszła do escalade'a od tyłu.

Była już na chodniku za samochodem, przeciągnęła ręką po lakierze, tak błyszczącym, że widziała swoje odbicie.

-- Duchess, proszę! -- zawołał, ale nie zareagowała.

Wyjęła pistolet i trzymając go między sobą a samochodem, sięgnęła do klamki i mocno szarpnęła.

Zamknięte.

Przycisnęła twarz do szyby i zobaczyła, że w środku nie ma nikogo.

Rozejrzała się. Przechodziła parada, grzmiały bębny, powiewały wstęgi. Dzieci maszerowały całą zgrają, dziewczynki obracały się wokół siebie z uśmiechem.

Duchess przepchnęła się przez grupę wyrostków i usłyszała rzucane w jej stronę przekleństwa.

Thomas Noble trzymał się blisko. Widziała Darke'a w każdej osobie, ciepłe uśmiechy i zimne spojrzenia. Wiedziała, co mężczyźni potrafią zrobić, wszyscy mieli duże możliwości.

Już zamierzała się odwrócić, kiedy go zobaczyła.

Ruszyła przed siebie najszybciej, jak mogła. Wytrąciła dziecku colę z ręki, napój ochlapał jakąś damulkę, a ludzie zaczęli krzyczeć. Kiedy do niego dobiegła, odwrócił się, spojrzał na nią i się uśmiechnął.

Przyklękła i przytuliła Robina z całych sił.

-- A to co? -- spytał Hal.

I wtedy damulka zobaczyła, co Duchess trzyma w ręce.

-- Ona ma broń!

Hal przyciągnął ją blisko do siebie, gdy wokół wybuchła panika.

Telefon zadzwonił po kolacji. Po drugiej stronie był Hal. Zanim udało się opanować histerię, escalade odjechał. Duchess nie spojrzała na tablice rejestracyjne. To mógł być każdy. Przypomnienie o istnieniu Darke'a kazało wszystkim zachować czujność.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił znowu.

-- Jesteś rozchwytywany -- powiedziała Martha.

Obiecał, że przyrzędzi dla niej kolację, ale stracił poczucie czasu, więc skończyło się na tym, że musiał wyskoczyć po coś na wynos. Martha zażartowała, że przyjmuje to z ulgą, bo przynajmniej będzie smaczne. Gdy wychodził, zostawił ją w domu nad jakimiś dokumentami.

-- Cuddy -- powiedział do słuchawki. Nie kontaktował się z nim od jakiegoś czasu, więc z ulgą przyjął głos strażnika. -- Jak on się trzyma?

-- Dałem mu jego dawną celę. Musiałem przenieść przemytnika, namieszałem w chuj, ale Vincent jest tam spokojniejszy.

-- Dzięki.

-- Coś nowego w sprawie? Próbowałem podpytywać Vincenta, ale nic nie mówi. Nie jak inni, co zawsze pieją o swojej niewinności i niesprawiedliwości. Przysięgam, czasem mi się wydaje, że zamknęliśmy tu bandę chórzystów.

Walk parsknął śmiechem.

-- Więc mówisz, że z nikim nie rozmawia?

-- Nie. Jest tak, jakby nigdy stąd nie wychodził. Wrócił do dawnej rutyny. Zaczynam myśleć, że tęsknił za więzieniem.

Pogadali jeszcze chwilę o niczym, a potem Walk usłyszał, że Martha go woła.

Wstał, zostawił piwo na biurku i poszedł do salonu.

Martha najpierw nic nie mówiła, tylko lekko się wyprostowała, potem znów pochyliła się nad stosem papierów, założyła okulary i zebrała myśli. To ona dokonała przełomu w sprawie, który połączył Darke'a z firmą zarejestrowaną w Portland.

-- Masz coś.

-- Być może. Przynieś mi coś do pochrupania. Potrzebuję papryczek na poprawę myślenia. Mamy habanero?

Pokręcił głową.

-- Malagueta?

-- Nawet nie wiem, co to jest.

-- Kurwa, Walk. To chociaż pieprzone poblano. Potrzebuję ostrego. Jezu. Ogarnij następnym razem.

Odpowiednio złąjany, poszedł do małej kuchni, zaparzył kawę i wyjrzał na ulicę. Siedzieli tak od czterech godzin, od kolacji do późna, oboje ziewali, mieli czerwone oczy, ale wiedzieli, że wolą pracować niż przewracać się niespokojnie w łóżkach. Teraz to Martha bardziej angażowała się w sprawę, choć raczej z powodu tego, jak wyglądał Walk -- jakby szczegóły go niszczyły.

Podał jej kawę i młynek do pieprzu.

Stłumiła uśmiech, potem pokazała mu środkowy palec.

Krążyła po pokoju, w rękach miała formularze podatkowe firmy i dokumenty rejestracyjne. Powiązania były tak skomplikowane, że po-

prosiła o przysługę znajomego prawnika specjalizującego się w sprawach podatkowych.

-- Fortuna Avenue -- powiedziała.

-- Druga linia domów.

-- Wszystkie, z wyjątkiem kilku, należą do tego samego holdingu. Kiedy przyszedł raport, ten pierwszy? Ten o erodujących klifach. California Wild. -- Martha żuła zatyczkę od długopisu.

Walk przerzucił wielki stos papierów.

-- W maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

Martha uśmiechnęła się i podniosła dokument.

-- Ten sam podmiot stał się właścicielem pierwszego domu we wrześniu dziewięćdziesiątego piątego roku. Od tamtej pory kupowali kolejne, prawie co roku. Osiem domów, każdy zastawiony, żeby zapłacić za następny. Działo w przypadku pierwszych sześciu, potem wzrosły raty.

-- A wtedy?

Martha podeszła do kredensu, dołała whisky do kawy sobie, a potem Walkowi.

-- No i ten holding kupował każdy dom w drugiej linii. California Wild szacowała to na dziesięć lat, tak?

-- Plus minus. Potem zbudowali falochron. Dom Kinga jest bezpieczny.

-- Posiadłości w drugiej linii nie są aż tyle warte. To małe, rodzinne domy. Kupowali je tanio, nie wyglądało na to, żeby ich wartość miała wzrosnąć przez lata.

-- Dopóki?

-- Dopóki pierwsza linia nie zaczęła spadać do morza, a turyści nie zaczęli przyjeżdżać. Domy spadały jeden po drugim. Dlatego jedynym,

co blokowało grupę kapitałową, był...

-- Pięć milionów dolarów. Co najmniej.

-- ...Vincent King i jego rodzinny dom. I ziemia wokół niego. Nie mogła zostać zabudowana. Nikt nie dostałby zezwolenia, dopóki stoi dom Kinga.

-- Ta grupa, jak się nazywa?

-- MAD Trust.

-- Co to za nazwa?

-- Nazwa nie ma znaczenia. Ale zgadnij, kto jest jej jedynym dyrektorem.

Podła Walkowi dokument, a on chwycił go mocno, starając się uspokoić drżenie ręki.

Na górze, pogrubioną czcionką.

Richard Darke.

Tej nocy Duchess obudziła się zrana zimnym potem.

Zobaczyła cienie, szafa przybrała bezduszny kształt Darke'a.

Kiedy się uspokoiła, zajrzała do Robina, potem wymknęła się z pokoju i zeszła po schodach. Miała na sobie miękki szlafrok. Hal go jej podrzucił. Tak się to teraz układało. Duchess nadal nie brała od niego nic bezpośrednio. Ani jedzenia, ani picia, nie przyjmowała pomocy przy koniach, nawet jeśli miała dużo prac domowych, a dzień mijał szybko. Hal natomiast zostawiał dla niej różne rzeczy, a ona je brała, kiedy go nie było obok. Dziwiła ją jego cierpliwość.

Napiła się wody prosto z kranu.

Kiedy już wracała, usłyszała to.

Ruch na werandzie. Może huśtawka się rozkołysała, łańcuchy skrzypiały bez względu na to, jak obficie Hal je oliwił. Przykucnęła, serce waliło jej, jakby miało wyskoczyć z piersi.

Sięgnęła do szuflady, znalazła nóż o słusznej długości i mocno ściśniętą rączkę. Podkraśla się do drzwi i zobaczyła, że są uchylone. Światło księżycy padło na jej białe stopy.

-- Nie możesz spać?

-- Kurwa, prawie cię zabiłam.

-- To nóż do chleba -- stwierdził Hal.

Siedział na huśtawce, widać było tylko ognik cygara, ale kiedy podeszła bliżej, dostrzegła przy jego nogach strzelbę.

-- A jednak mi uwierzyłeś -- powiedziała.

-- Może czekam na niedźwiedzia.

-- Mogłam spojrzeć na tablice. Wzięłam pistolet i wszystko inne wyleciało mi z głowy. Pieprzony żółtodziób -- wypluła słowa przez zaci-

śnięte usta.

-- Chroniłaś rodzinę, niewiele osób miałoby na to dość odwagi.

Potrząsnęła głową.

-- Dolly wie?

Kiedy Hal delikatnie wyjął jej z dłoni pistolet, pojawiła się Dolly i zabrała ją do cichej restauracji.

-- Dolly nigdy nie odpuszcza. Pomyślałem, że w tej sytuacji dobrze jest mieć dodatkową parę oczu. Pyta o ciebie za każdym razem, kiedy ją spotykam. Myślę, że przypominasz jej trochę ją samą z młodości.

-- Dlaczego?

-- Dolly to najtwardsza kobieta, jaką kiedykolwiek poznasz. Miała ciężkie życie, nigdy o tym nie mówi. Ale jej Bill... kiedyś piliśmy razem. Ojciec Dolly był złym człowiekiem. Pewnego razu przyłapał ją z papierosem.

-- I spuścił jej łanie.

-- Nie. Przypalał ją nim. Do dziś ma blizny na rękach. Powiedział jej, że już nigdy więcej nie odważy się zapalić.

Duchess z trudem przełknęła ślinę.

-- Co się z nim stało?

-- Dolly urosła i nie potrafił utrzymać łapsk przy... Poszedł siedzieć.

-- Och.

Hal zakaszłał.

-- Wtedy zaczęła inaczej się ubierać, widziałem zdjęcia. Nosiła chłopięce ciuchy, bezkształtne, workowate, ale i tak ciągle przychodził.

-- Niektórzy ludzie są podli.

-- Są.

-- James Reyes, płatny zabójca i bandyta. Regularnie chodził do kościoła, nie pił i nie palił. Ale plotka głosi, że zabił pięćdziesiąt osób.

Tłum go zlinczował. Wiesz, jakie były jego ostatnie słowa?

-- Powiedz.

-- Idźcie na całość.

-- I tłum tak zrobił. Jeśli dobrzy stoją i patrzą beczynnie, to czy nadal są dobrzy?

Noc była gwiazdzista, zanosilo się na śnieg. Hal powiedział, że to jeszcze nie zima. Ta zacznie się dopiero wtedy, gdy znikną kolory jesieni.

Przesunął się.

Nie usiadła.

Trwali w milczeniu przez dłuższą chwilę. Kiedy skończył palić cygaro, sięgnął po kolejne.

-- Dostaniesz raka.

-- Może tak być.

-- Nie żeby mnie to obchodziło.

-- Oczywiście.

Mrok przysłonił jego oczy. Patrzył przed siebie, na drzewa, wodę i nicość, które powoli zaczynały dla niej coś znaczyć.

Wstał i poszedł do kuchni. Usłyszała gwizdek czajnika.

Usiadła na najdalszym końcu ławki i wbiła wzrok w strzelbę.

Przyniósł kakao i postawił obok niej. W słabym świetle dobiegającym z kuchni dostrzegła, że w kubku pływają pianki.

Napił się whisky, malutką porcją.

-- Kiedyś przyszła burza. Potężna. Siedziałem tu i patrzyłem, jak pioruny biją w ziemię. Pomyślałem o diable, widziałem jego oblicze na niebie, atakujący węzowy jezior. Spaliła się stodoła.

Znała to miejsce, gdzie nic nie rosło. Tylko poczerniały kształt tam, gdzie stał budynek.

-- Matka siwki była w środku.

Duchess spojrzała na niego, wdzięczna, że ciemności ukryły panikę w jej oczach.

-- Nie udało mi się jej wyprowadzić.

Odetchnęła, wiedziała coś na temat dręczących wspomnień.

-- Mieliśmy czasem burze -- powiedziała. -- U nas, w domu.

-- Często myślę o Cape Haven. Modliłem się za waszą matkę, za ciebie i za Robina.

-- Nie wierzysz w Boga.

-- Ty też nie, ale wiem, że chodzisz na polanę i klękasz.

-- To tylko miejsce do przemyśleń.

-- Każdy takiego potrzebuje. Magazynek, ten na broń, ja chodzę tam, jak muszę coś przetrwać. Siadam, odcinam się od świata zewnętrznego i skupiam na sprawie. -- Spojrzał w bok. -- Pisałem do niego.

-- Do kogo?

-- Do Vincenta Kinga. Przez te wszystkie lata pisałem do niego list za listem. A ja nie lubię pisać.

-- Dlaczego?

Wydmuchał dym do księżycyca.

-- Oto jest pytanie.

Potarła oczy.

-- Powinnaś się położyć.

-- Nie twoje zmartwienie, kiedy śpię.

Odstawił szklaneczkę.

-- Na początku nie zamierzałem ich wysłać. Ale po Sissy wydarzyło się to wszystko z twoją mamą i babcią. Chyba szukałem ujścia dla emocji. A potem pomyślałem: "Dlaczego ma nie wiedzieć?". Może myślał,

że zniszczył sobie życie. Chciałem, żeby wiedział, że zniszczył nasze. Może sobie wyobrażał, że spędzam tu emeryturę, siedzę na pięknej ziemi. Napisałem mu o ciężkiej pracy, o długach, rachunkach i o tym, jak się żyje z takim obciążeniem.

-- Odpisał?

-- Tak. Na początku był tylko żal. Ja wiem, że to był wypadek... Wiem to. Ale to właściwie nic nie znaczy.

Wzięła kakao i łyżeczką wyłowiła pianki. Były dla niej za słodkie; zaskoczyło ją to, jak bardzo zapomniała o dobrych rzeczach.

-- Pojechałem na jego przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego. Jeździłem na każde. Mógł odsiedzieć mniej. Wyjść i wciąż mieć przed sobą najlepsze lata życia.

-- No to dlaczego nie wyszedł? Walk mi nie powiedział. Tyle tylko, że wpakował się w jakieś gówno, zrobił coś złego.

-- Nie zrobił. Cuddy, strażnik, za każdym razem występował przed sądem. Ale Vincent rezygnował z prawnika. Walk też przyjeżdżał, zawsze było to samo. Widzieliśmy się, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Bo Walk był jego przyjacielem, byli jak bracia. Pamiętam tamte czasy. Znali się jak łyse konie. Vincent rozrabiał, a Walk zawsze go krył.

Duchess próbowała sobie wyobrazić Walka jako chłopca z jego najlepszym przyjacielem Vincentem Kingiem. Ciągle jednak widziała tylko Walka w mundurze, nigdy w innym ubraniu, odkąd sięgała pamięcią. Był gliną do szpiku kości, a Vincent wcielonym złem.

-- Pod koniec przesłuchania zawsze zadawali to samo pytanie. Czy jeśli wyjdiesz z więzienia, będziesz dalej łamał prawo?

-- Co odpowiadał Vincent?

-- Patrzył mi w oczy i mówił, że tak. Był niebezpieczny dla ludzi.

Może myślał, że to szlachetne odsiedzieć cały wyrok, w ramach pokuty, mała rekompensata, ale liczą się intencje. Ale teraz, gdy sama poznała Vincenta, wiedziała, że mówił prawdę. Vincent był niebezpieczny.

-- Ten ból. Straciłem twoją mamę, straciłem córkę, żonę, wszystkich, którzy byli dla mnie całym dobrem. Znam to. Nie sądziłem, że uda mi się przez to przejść.

-- Więc jak ci się udało?

-- Przyjechałem tutaj. Tu zacząłem znów oddychać. Montana jest do tego dobra. Pewnego dnia się przekonasz.

-- Star mówiła, że istnieje zależność między cierpieniem i grzechem.

Uśmiechnął się, jakby usłyszał te słowa bezpośrednio z ust córki.

-- Jaka była Sissy?

Zgasił cygaro.

-- Śmierć robi świętych ze śmiertelników. Ale w przypadku dzieci... nie ma złych. Była mała, śliczna i idealna. Taka też była twoja matka. Taki jest Robin.

Już wiedział, żeby jej nie wymieniać.

-- Lubiła rysować. Płakała podczas fajerwerków na czwartego lipca. Jadła marchewki, ale nic zielonego. Biła twoją mamę.

-- Jestem do niej podobna. Widziałam zdjęcie. Ja, Star i Sissy.

-- Jesteś. Tak samo piękna.

Głośno przełknęła ślinę.

-- Star mówiła, że byłeś trudny. Mówiła, że po tamtym nie miałeś w sobie nic z delikatności. Mówiła, że piłeś. Mówiła, że nie przyszedłeś na pogrzeb babci.

-- Koniec jest początkiem, Duchess.

-- Gdyby cię to obchodziło, zachowałbyś się inaczej. Nie jak ostatni gnojek -- powiedziała spokojnie, bez złości. -- Czy to, co mi mówiła, to prawda?

-- Jestem stale rozczarowany sobą.

-- Wiem, że jest tego więcej. Dlaczego nie wróciłeś, dlaczego nie pozwalala nam się z tobą spotkać? Co takiego zrobiłeś?

Z trudem przełknął ślinę.

-- Parę lat potem, znaczy... Dowiedziałem się o możliwości zwolnienia warunkowego po pięciu latach. Po tym, co zrobił. Mojej Sissy.

Słyszała cierpienie, tyle lat później nadal było obecne.

-- Może za dużo wypilem. Ktoś przyszedł. Miał tam brata, w Fairmont, siedział z Vincentem. Złożył mi propozycję. Powiedział, że może to załatwić, naprawić zło. Nawet nie chciał dużo pieniędzy. I... gdybym mógł cofnąć czas, może byłbym silniejszy i powiedział "nie"?

-- Ten człowiek, którego Vincent zabił w Fairmont. To była samoobrona.

-- Tak było.

Głęboko odetchnęła, jego słowa miały taką wagę, że nie potrafiła sformułować odpowiedzi.

-- Twoja mama się dowiedziała. To o to chodziło. Wszystko w temacie. Jedna głupota, dawno temu, i dlatego było jak było.

Piła kakao i myślała o matce. Szukała wspomnienia, które ociepliby tę noc, ale nie znalazła nic, tylko białka oczu Star.

-- To dlatego chodzisz do kościoła?

-- Próbuję zrozumieć, co zrobiliśmy i co można z tym zrobić.

Kiedy skończyła, wstała. Czowała się bardzo zmęczona: myślami o Darke'u, patrzeniem na starszego człowieka i strzelbę.

Odwróciła się w drzwiach.

-- A Vincent, na tych przesłuchaniach. Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

Hal spojrział na nią i zobaczyła w jego oczach Robina.

-- Wyprowadzili go, a Walk i Cuddy patrzyli na siebie, jakby nie mogli znaleźć w tym żadnego sensu. Ale napisał do mnie. Próbował mi powiedzieć.

Patrzyła na niego.

-- Po tamtej nocy, po tym, co zrobił, wiedział, że żaden z nas już nigdy nie będzie wolny.

Stali przy dawnym domu Radleyów. W świetle księżyca Walk ledwo widział Marthę, kształt jej twarzy, mały nos, włosy tuż za ramiona. Czuł jej perfumy, jakieś lekkie. Mieli latarki, oboje migotali świecidełkami.

Walk znał godzinę, o której Vincent zadzwonił, i szacowany przez koronera czas zgonu. Wszystko się zgadzało. Duchess pojechała rowem na stację benzynową przy Pensacola. Walk wiedział, że mimo ryzyka trzymała się głównych dróg, więc zajęło jej to czterdzieści pięć minut. To dawało Vincentowi mniej więcej kwadrans na pozbycie się broni. Musieli pracować z założeniem, że był mordercą, i przez to założenie Walk nie spał poprzedniej nocy.

-- Sprawdzimy każde miejsce, w które mógł dojść.

Martha miała stoper. Dopuszczali możliwość, że biegł w obie strony, chociaż Walk nie zauważył, żeby tamtej nocy był zdyszany albo spocny, ale nie pamiętał wielu szczegółów z tamtej nocy, oprócz widoku twarzy Star, który -- wiedział to -- zostanie z nim do końca życia. Utrata pamięci czaiła się w zakamarkach jego umysłu. Zaczął robić notatki, udawał, że coś tam pisze, a tak naprawdę odhaczał pozycje na liście. Porządek dnia, pory brania leków, wszystko teraz notował.

Zaczęli od ogródka Star z tyłu domu, przeszli przez dziurę w ogrodzeniu, która była tam, odkąd pamiętał. Do małego lasu, właściwie zagajnika, który oddzielał Ivy Ranch Road od Newton Avenue. Postępowali metodycznie: każda dróżka, każde drzewo, wszystkie krzaki i kępy kwiatów. Sprawdzali odpływy; Walk wiedział, że Boyd i jego ludzie z psami podążali tym samym tropem, ale miał nadzieję, że coś przeoczyli, coś, co może wypatrzeć tylko miejscowy. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że jest na miejscu Vincenta.

Zrobili siedem tras, każdą lekko przesuniętą w stosunku do poprzedniej. Niczego nie znaleźli.

-- Nie miał go. Gdyby miał, znaleźlibyśmy, albo prędzej Boyd by znalazł.

-- To luka w całej sprawie, duża luka -- powiedziała Martha. -- Prokuratorka będzie wkurwiona.

Wrócili do domu Radleyów i stanęli na chodniku. Wzięła go za rękę. Walk był na granicy załamania. Gdziekolwiek spojrzał, trafiał na zagadkę. Stracił z oczu Darke'a, próbował dzwonić do niego na komórkę, zostawił mu tyle wiadomości, że zapchał skrzynkę.

Czuł to. Darke zabił Star i przerzucił winę na Vincenta Kinga, żeby położyć łapy na domu, który uratuje jego imperium i pozwoli mu zbić fortunę. Teoria miała wady, ale to wszystko, czym dysponował. Jeśli chodzi o dziewczynkę, pocieszał się, że Hal był jak duch, jego ziemia pozostawała dobrze ukryta, a dzieciaki -- bezpieczne.

Na końcu Newton Martha poprowadziła go przez czyjś podjazd, a potem przeskoczyli niski płotek, ukryty za gęstymi berberysami.

-- Nadal znasz wszystkie skróty -- stwierdził Walk.

-- Ten pokazała mi Star.

Dwadzieścia minut później byli już przy starym drzewie życzeń, gwiazdy świeciły nad oceanem, a wieża w Little Brook wyglądała jak porzucona latarnia morska.

-- Trudno mi uwierzyć, że nadal tu jest. Pamiętasz, przychodziliśmy się tu migdalić.

Roześmiał się.

-- Pamiętam wszystko.

-- Nigdy nie potrafiłeś rozpiąć mi stanika.

-- Raz mi się udało.

-- Nie. Rozpięłam go wcześniej, żeby ci ułatwić zadanie.

Usiadła, potem pociągnęła go w swoją stronę. Oparli się o szeroki pień dębu i spojrzeli w gwiazdy.

-- Nigdy nie powiedziałam, jak bardzo mi przykro.

-- Z powodu czego?

-- Że cię zostawiłam.

-- To było dawno temu. Byliśmy dziećmi.

-- Nie byliśmy, Walk. Nie w oczach sędziego. Myślałeś o tym?

-- O czym?

-- O mnie. O ciąży. O dziecku.

-- Codziennie.

-- Nie poradził sobie z tym, w sensie mój ojciec. Nie był tak do końca zły. Tylko... myślał, że robi dla mnie dobrze.

-- Ale źle dla Boga.

Milczała przez chwilę. Łodzie migotały światłami, poruszane przez fale.

-- Nie ożeniłeś się -- powiedziała.

-- Oczywiście, że nie.

Zaśmiała się cicho.

-- Mieliśmy po piętnaście lat.

-- Ale ja wiedziałem.

-- To właśnie w tobie kochałam. Tę czystą wiarę, w dobro i zło, i miłość. Nigdy nic nie powiedziałaś o moim ojcu, o tym, co zrobił. Nigdy nikomu nie powiedziałaś. Nawet wtedy, kiedy cię opuściłam, a Star poszła do innej szkoły, zostałeś tylko ty i ta sprawa. Ta gigantyczna, jebana chora rzecz, którą zrobił Vincent.

Walk przełknął ślinę.

-- Chciałem, żebyście wszyscy byli szczęśliwi.

Znów śmiech, nie było w nim rozżalenia.

-- Widziałem cię -- powiedział. -- Jakiś rok później. W galerii w Clewwater Cove. Byłem z matką, a ty stałaś w kolejce do kina.

Milczała chwilę, potem zrozumiała.

-- David Rowen. Po prostu chłopak. Nic poważnego.

-- Och, wiem. Nie miałem na myśli nic złego, tylko... wyglądałaś na szczęśliwą, Martho. Pomyślałem, że tamten chłopak nic nie wiedział. Nie wiedział, przez co przeszliśmy, i wydawało mi się, że tak jest dobrze. Mogłaś tak postąpić, żeby tego nie było między wami. Nie musiałaś się dzielić przeżyciami. Mogłaś tak po prostu... być.

Rozplakała się.

Wziął ją za rękę.

Przyszła zima, ziemia Radleyów zamarzła, a niebo jaśniało od światła odbitego od śniegu.

Robin leżał na plecach i patrzył tak długo, że Duchess musiała go podnieść, bo pobielały mu palce. Prace na polu ustały, ale zwierzętami nadal trzeba było się zajmować. Konie nosiły derki, gdy się pasły. Duchess zaczęła co rano zabierać samą siwkę, siodłała ją o brzasku i jechała szlakami, które poznawała coraz lepiej. Cieszyła się spokojem Montany, tak gęstym, jakby Bóg przykrył płachtą tę leśną krainę i wyciszył wszystko oprócz najgłośniejszych sikorek.

Wypatrywali Darke'a, Hal co wieczór siedział do późna, w czapce, kocu i ze strzelbą przy nodze. Niekiedy Duchess budziła się w nocy, wyglądała przez okno, widziała go tam i szybko znów zapadała w głęboki sen. Zdarzało się, że schodziła do niego i pili razem kakao. Siedzieli, głównie milcząc, ale czasem pozwalała mu opowiadać historie o Billym Blue, tak barwne i szczegółowe, że zastanawiała się, czy starszy mężczyzna ich nie wymyślił. Pewnej nocy zasnęła na jego ramieniu, obudziła się potem w łóżku, ciasno owinięta kołdrą.

Weekendy spędzała z Thomasem Noble'em i Robinem, włączyli się po lesie zasypanym śniegiem: puszczała ich przodem, a potem szła po ich śladach. Mróz był przejrzysty i świeży, przynosił jasność myśli jej zbłąkanemu umysłowi. Myślała mniej o Cape Haven, o niezmiennych tam porach roku, a więcej o Montanie, od czasu do czasu też o przyszłości. Starannie dobierała wspomnienia o matce i wyszukiwała same diamenty w hałdzie węgla.

Poprawiła stopnie, siadała z tyłu i ogarniała szkolne sprawy, rysowała Indian i osadników, ożywiała ich w swoich tekstach. Wysłała Wal-

kowi zdjęcie ziemi Radleyów zrobione z okna jej pokoju, kiedy obudzili się i zobaczyli świat cały w śniegu. Co tydzień w sobotę rano jechali z Halem do miasta, robili zakupy w spożywczym, a potem szli do Cherry'ego na kakao i pączki. Zazwyczaj spotykali tam Dolly, więc siadali z nią i gadali. Stan zdrowia Billy'ego stale się pogarszał i na nieskazitelną twarz Dolly dziewczynka dostrzegała rysy, które wiły się w proroczwie żałoby i napawały ją niepokojem. Jeździli nad jezioro Hamby, głębokie jak ocean. Hal wynajmował łódkę, wypływali na krystaliczną wodę i łowili ryby, słońce przygrzewało całe popołudnie i było tak idealnie, jak tylko Duchess mogła sobie wyobrazić. Robin złowił sporego pstrąga tęczowego, a potem płakał, dopóki Hal nie wypuścił go z powrotem do wody.

Thomas Noble często wspominał o balu. Czasem po prostu kazała mu spierdalać, czasem oskarżała go o spisek, że planuje upić ją ponczem, a potem zrobić niecne rzeczy, kiedy ona straci przytomność. Nazywała go seksualnym zwyrolem, a on drapał się po głowie i poprawiał okulary na nosie.

Pierwszego dnia grudnia przywiózł jej bukietik dzwonek, które dla niej przechował. Zerwane już dawno, przywiędłe, ale pełne uczucia. Przejechał cztery mile oblodzonymi drogami i przebrnął przez zaśnieżony podjazd. Kiedy dotarł, miał lekkie odmrożenia i mroczki przed oczami. Hal posadził go przed kominkiem, żeby odtajał.

-- Nie będę z tobą tańczyć -- oznajmiła, gdy patrzyli razem w płomień. -- Nie będę się z tobą całować ani ścisnąć. Nie będę cię trzymać za zdrową rękę. Nie ubiorę się ładnie i prawie nie będę z tobą rozmawiać.

-- Dobra -- odpowiedział, lekko dzwoniąc zębami.

W drzwiach zobaczyła uśmiechniętych Hala i Robina, więc pokazała im środkowy palec.

W następną niedzielę po mszy Hal zawiózł ich do niedużej galerii handlowej w Briarstown. Dziesięć sklepików w równym rzędzie, od Subwaya do Cash Advance. Znalazła babskie ciuchy w butikku nazwanym Cally's. Przetrasnęła całe wieszaki poliestru, podniosła pod światło suknię z cekinami i zobaczyła, że jest łysa co najmniej w pięciu miejscach.

-- Jakbym była w Paryżu.

Hal pokazał jej żółtą sukienkę; spytała go, co, do chuja, wie o modzie. Wskazała mu jego buty i wyblakłe dzinsy, kraciastą koszulę i kapelusz z szerokim rondem, i powiedziała, że wygląda jak strach na wróble. Obeszła sklep dookoła trzy razy. Robin przynosił jej swoje jaskrawe propozycje, a ona pytała go, czy chce ubrać siostrę jak ulicznicę z lat osiemdziesiątych.

Przyszła sama Cally, zorientowała się w sytuacji i wycofała za ladę. Miała natapirowane włosy, buty na koturnach i ukrywała nadmiarowe dwadzieścia funtów pod szerokim pasem. Hal uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem sympatii.

Duchess znalazła go w głębi sklepu, zatrzymała się i patrzyła. Potem powoli po niego sięgnęła. Włożyła kapelusz na głowę i poczuła, jak przewraca jej się w brzuchu, jak myśli biegną do Billy'ego Blue, do jej korzeni. Jej miejsca.

Był piękny, ze skórzanymi wstawkami, idealnym rondem -- kapelusz, za który banita mógłby zabić.

Hal pojawił się obok.

-- Pasuje ci.

Zdjęła kapelusz i sprawdziła metkę.

-- Jezu.

-- To stetson -- powiedział Hal, jakby to wyjaśniało zabójczą cenę.

Nie poprosiła o niego. Był zbyt wyszukany, ale patrzyła na niego tęsknie, kiedy wracała do sukienek.

-- Niech będzie to gówno. -- Zdjęła z wieszaka żółtą.

Hal zaczął mówić, że jest to dokładnie ta sama sukienka, którą pokazał jej godzinę temu. Spojrzała na niego gniewnie, więc wołał zamilknąć.

Cuddy umówił spotkanie. W Bill's, barze z hamburgerami, na południe od Bitterwater, pomalowanym wyblakłą czerwoną farbą i tchnącym bankructwem, z ręcznie wypisaną informacją o specjalach za trzy dolce. Było pusto -- Walk zajrzał przez witrynę, kiedy mijał okienko dla zmotoryzowanych.

Facet był leciwym Latynosem, w siatce na włosach i fartuchu, z krzaczastymi brwiami, typ starszego człowieka, który daje sobą pomiatać różnym gnojkom, a ich śmieci zbiera jako napiwek. Walk spojrział na plakietkę z imieniem. "Luis".

Luis zauważył Walka, wskazał na parking.

Walk podjechał, zgasił silnik, wygramolił się i usiadł na masce. Minęło dziesięć minut, zanim tamten podszedł, powoli, ciągnąc za sobą jedną stopę.

-- Mam tylko pięć minut przerwy -- powiedział Luis.

-- Dzięki za spotkanie.

-- Z przyjacielem Cuddy'ego zawsze.

Luis przez osiem lat zajmował celę obok Vincenta. Rozbój z bronią w rękę to ostatnie z długiej listy jego przestępstw. Tatuaze na ramieniu

mówiły o przynależności do gangu; Walk zgadywał, że teraz była to dla niego odległa przeszłość.

-- Pytasz, a ja odpowiadam. Ale zaraz spadam. Szef nie lubi psów koło swojego baru.

-- Uczciwe postawienie sprawy. Opowiedz mi o Vincencie Kingu.

Luis zapalił papierosa, oparł się plecami o szybę i machnięciem rozwiął dym po wydmuchaniu.

-- To jedyny facet, jakiego spotkałem, który nie powiedział, że go wrobili.

Walk parsknął śmiechem.

-- Poważnie. W ogóle mówił niewiele.

-- Nie miał tam przyjaciół.

-- Nie. Nie Vincent. Człowieku, on nawet nie wykorzystywał całego czasu na spacer. I porcji puddingu.

-- Słucham?

-- Puddingu. Żarcie było podłe, ale pudding nie. Widziałem, jak jeden typ zadźgał drugiego za jego pudding. Vincent oddawał mi swój codziennie.

Walk zastanawiał się, co ma z tym zrobić.

-- Nie łapiesz, glino. Jadł tyle, ile trzeba. Mówił, że tyle mu wystarczy. Kurwa, on oddychał tyle, ile trzeba.

-- Trzeba do czego?

-- Żeby przeżyć. Nic ponad podstawowe potrzeby. Utrzymywał się przy życiu, żeby odsiedzieć wyrok. I robił wszystko, żeby sobie maksymalnie dopierdolić. Zero telewizji, radia. Nic. Siedziałby ciągle sam, gdyby mu Cuddy pozwolił.

Luis głęboko się zaciągnął.

-- Miał problemy -- powiedział Walk.

-- Każdy w końcu ma. Miał dziewczynę, co nie? Na zewnątrz. Inni o niej mówili, że to może jego słaby punkt. Myśl, że ona teraz jest z kimś innym. Zazdrość. Coś ci powiem, w zamknięciu to doprowadza ludzi do szaleństwa. On to znosił dość dobrze, robił tak, żeby inni dali mu spokój.

-- Ale oni i tak przychodzili. Widziałem blizny.

-- Jedyńm wrogiem, jakiego miał ten facet, był on sam.

-- Co masz na myśli?

-- Poprosił, żebym mu pomógł skombinować kosę. Normalka. Myślałem, że ma coś z kimś do załatwienia.

-- Nie miał?

-- Tego samego dnia, kiedy ją dostał, usłyszałem wrzaski strażników. Nic niezwykłego, ale to było w celi Vincenta, no to poszedłem zobaczyć.

-- No i?

Walk patrzył, jak Luisowi krew odpływa z twarzy.

-- Stary, jaki burdel. Pociął się do żeber. Głęboko i dokładnie. Nie przeciął żadnych tętnic. Nie chciał umrzeć, tylko żeby bolało.

Walk siedział przez chwilę, nie był w stanie wykrztusić słowa, gardło miał zaciśnięte tak, że ledwo oddychał.

-- Skończyliśmy?

-- Potrzebuję opinii o nim.

-- Niczego się nie dowiesz. Właściwie to nikt nie zna Vincenta.

Luis rzucił papierosa, przydeptał go, potem się schylił i podniósł niedopałek. Mrugnął do Walka, wyciągnął rękę i cmoknął z niezadowoleniem, kiedy Walk chciał ją uścisnąć.

W końcu Walk wyciągnął dwudziestkę, a tamten ją wziął.

Dolly stanęła w drzwiach z dużym kuferkiem. Przyjechała zabrać Robina; miał u niej przenocować, aby Hal był dostępny, gdyby pani Noble nie mogła odwiedzić ich po balu. Zawsze czujny, troskliwy.

Zaprowadziła Duchess na górę, do pokoju, otworzyła kuferek i ukazała jego wnętrze, pełne kosmetyków i perfum.

-- Tylko żebym nie wyglądała jak dziwka.

-- Nie mogę ci nic obiecać, skarbie.

Duchess tylko się uśmiechnęła.

Godzinę później zeszła ze schodów z fachowo zakręconymi lokami i ustami pomalowanymi na błyszczący róż. Miała nową kokardę i buty, które pomogła jej dobrać Cally. Przybrała trochę na wadze, żebra już jej nie sterczały, a mięśnie stwardniały od pracy na farmie.

Na twarzy Hala dostrzegła coś w rodzaju dumy, więc od razu powiedziała, żeby się nie ważył odezwać.

-- Piękna -- zachwycił się Robin. -- Wyglądasz jak mama.

Jechali za Dolly i Robinem aż do skrzyżowania w Avoca. Padał lekki śnieg, ale drogi zostały posypane solą. Dom Dolly był duży i elegancki. Ciepłe światło sączyło się z okien. Przed wyjazdem Duchess spytała o Billa. Dolly powiedziała, że nie ma za grosz przyzwoitości, żeby się poddać.

Minęli migający napis: "Zwolnij".

-- Denerwujesz się?

-- Że zajdę dziś w ciążę? Nieee. Co będzie, to będzie.

Skręcili w Carlton.

-- Martwię się o Robina -- powiedziała.

Spojrzał na nią.

-- O to, co wie o tamtej nocy. On... niby nie pamięta, ale nie wiem. Śni mu się to. Myślę, że mógł wszystko słyszeć.

-- Jeśli tak, to sobie z tym poradzimy.

-- Tak po prostu?

-- Tak. W porządku?

Kiwnęła głową.

Skręcili w Highwood Drive.

-- Ożeż kurwa.

-- Co?

I wtedy to zobaczył. Próbował stłumić uśmiech, ale ostatecznie przegrał tę walkę.

Podjazd do domu Noble'ów był w śniegu, ale cały wysypany płatkami róż.

-- Ożesz kurwa, ja pierdolę.

Dostrzegła go w oknie, z twarzą przyciśniętą do szyby; wyglądał jak Robin czekający na pierwszą gwiazdkę.

-- Ma jebaną muszkę. Wygląda jak magik.

Hal zatrzymał półciężarówkę. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Noble, z kamerą w ręce. Za nią czał się pan Noble, też z kamerą -- była tak wielka, że musiał oprzeć ją sobie na ramieniu, a jej światło wręcz oślepiało.

-- Zawróć. Za cholerę nie wezmę udziału w tym cyrku.

-- Rozumiem. Może zrób to dla nich, tylko raz.

-- W akcie bezinteresowności.

-- Będę czekał. Zadzwoń po mnie, gdyby były jakieś problemy.

Wzięła głęboki wdech, potem sięgnęła po lusterko i poprawiła karkę.

-- Baw się dobrze.

-- Nie będę.

Otworzyła drzwi i uderzyło ją zimno.

-- Mam zupełnie zwyczajną sukienkę, nie jak inne dziewczyny.

-- Od kiedy to chcesz być taka jak inne? Jesteś banitką.

-- Jestem banitką. -- Wyskoczyła na śnieg.

Odpalił silnik, ale kiedy miała już zamknąć drzwi, zawołała:

-- Hal!

-- Co tam, Duchess?

Spojrzała mu w oczy. Wyglądał staro, był w formie, wiedziała jednak, że wiele przeszedł i ile go to kosztowało. Pomyślała o matce, o Sissy.

-- Przepraszam za to wszystko, co ci mówiłam. -- Przełknęła ślinę. -
- Ja tylko...

-- W porządku.

-- Wcale nie. Ale myślę, że pewnego dnia będzie.

-- Teraz już idź. Spróbuj się dobrze bawić. I uśmiechnij się do kamery. Do obu.

Pokazała mu środkowy palec, ale z uśmiechem.

Błyszcząca kula obracała się w górze, a Duchess patrzyła, jak światła omiatają tłum. Tematem przewodnim balu była Kraina Czarów, więc wszędzie widziała śnieg z waty i zamarznięte pąki kwiatów. Nad nimi wisiały białe i niebieskie balony, a parkiet, który wyglądał jak tafla lodu, otaczały wymalowane gwiazdy i drzewa z kartonu.

Pogmerała przy bukietu przypiętym do sukienki.

-- Uwiera. Wygrzebaliście go ze śmietnika?

-- To mama wybierała.

Trzymali się na uboczu. Obserwowała dziewczyny w eleganckich sukniach, chwiejące się na szpilkach. W duchu życzyła im, żeby się wy-

waliły.

Thomas Noble włożył smoking, o rozmiar za duży, żeby ukryć w rękawie zniekształconą dłoń. Na ramionach miał jedwabną pelerynę, tak fikuśną, że Duchess nie mogła oderwać oczu.

-- Tata mówi, że dżentelmen zawsze zakłada pelerynę na oficjalne wydarzenia.

-- Twój tata ma sto pięćdziesiąt lat.

-- Jest ciągle na chodzie. Muszę się usuwać do ogródka, jak się kochają, bo odgłosy bywają ogłuszające.

Gapiała się na niego w przerażeniu.

Muzyka rozbrzmiała i Duchess przeniosła wzrok na grupę dziewczyn biegnących na parkiet.

Thomas Noble przyniósł sok, więc zajęli miejsce przy stole, tuż obok fotografa i sceny w kształcie serca.

-- Dzięki, że ze mną przyszłaś.

-- Powiedziałeś to już osiemnaście razy.

-- Chcesz ciasto?

-- Nie.

-- To może chipsy?

-- Nie.

Piosenka była dynamiczna. Jacob Liston zrobił dookoła siebie miejsce i wykonywał swoje najlepsze układy, podczas gdy dziewczyna, z którą przyszedł, niezgrabnie dreptała obok.

Duchess zmarszczyła brwi.

-- Powinien się do niej dostosować.

Piosenka przeszła w wolniejszy utwór, parkiet opustoszał.

-- Czy chciałabyś...

-- Nie każ mi się znowu powtarzać.

-- Gustowny garniak, Thomasie Noble'u. -- Billy Ryle i Chuck Sullivan. -- Przynajmniej możesz schować kaleką rączkę.

Śmiech.

Thomas Noble napił się soku i wbił wzrok w podłogę.

Wzięła go za chorą dłoń.

-- Zatańcz ze mną.

Kiedy przechodzili, nachyliła się i powiedziała coś do Billy'ego.

Zmył się od razu.

-- Trzymaj łapy z daleka od mojego tyłka -- powiedziała, gdy znaleźli się na parkiecie.

-- Co powiedziałaś Billy'emu?

-- Że twój fiut ma dziesięć cali.

Wzruszył ramionami.

-- To tylko ćwierć prawdy.

Parsknęła gwałtownym i głośnym śmiechem, już zapomniała, jakie to może być przyjemne.

Objęła go.

-- Kurwa, Thomasie Noble'u. Czuję każde twoje żebro.

-- I to przez ubranie. Nie chciałabyś zobaczyć mnie topless.

-- Wyobrażam sobie. Oglądałam kiedyś film o głodzie.

-- Cieszę się, że jesteś.

-- Zmęczyłeś mnie nieustanną presją. Twój tata może być dumny.

Wpadli na Jacoba Listona i jego dziewczynę. Jacob wił się, jakby mu się chciało sikać. Duchess posłała dziewczynie współczujący uśmiech.

-- Nie tutaj. W ogóle, w Montanie. Cieszę się, że teraz tu mieszkasz.

-- Dlaczego?

-- Bo... -- Zamarł i przez jedną straszną chwilę myślała, że ją pocałuje. -- Nigdy wcześniej nie spotkałem banitki.

Przysunęła się trochę bliżej i zaczęli się kołysać.

Walk siedział w swoim gabinecie; zasłonił okno, ale światła miasta przebijały się przez ciemność. Przyciskał słuchawkę do ucha i robił notatki, rozmawiając z Halem. Oparł nogę na stosie papierów i zobaczył, że tacka na dokumenty zaraz pęknie. Przywykł do tego, bałagan przeskadzał wszystkim, tylko nie jemu.

Sprawdzał, co słyhać, co tydzień, zawsze o tej samej porze, w piątek wieczorem. Zwykle rozmowa była krótka, parę słów o tym, że chłopiec ma się dobrze, ciągle chodzi do psychiatrii. A potem o dziewczynce. Czasem rozmawiali pięć minut, dość, by Hal zdążył opowiedzieć o tym, co zmalowała, i jak musiał powstrzymać śmiech do czasu, aż skończył się wściekać. Walk doskonale to znał.

-- Powoli -- powiedział Hal. -- Z Duchess idzie powoli, ale jest lepiej. Coraz lepiej.

-- To dobrze.

-- Dziś jest na tańcach w szkole.

-- Zaraz. Duchess poszła na tańce?

-- Na zimowy bal. Wszyscy poszli. Całe Evergreen Middle jest tak rozświetlone, że światła widać z Cold Creek.

Walk nie zapanował nad uśmiechem. Dziewczynka ma się dobrze. Wbrew tym wszystkim przeciwnościom, mimo że wciąż się piętrzyły, zaczęła normalnie żyć.

-- A Robin, myślę, że zaczyna coś sobie przypominać.

Walk opuścił nogę i przycisnął słuchawkę do ucha tak mocno, że słyszał oddech mężczyzny.

-- Nic konkretnego.

-- Wymienia jakieś nazwiska? Darke?

Hal musiał wyczuć desperację w jego głosie, bo zaczął mówić bardzo łagodnie.

-- Nic konkretnego, Walk. Myślę, że powoli otwiera się na fakt, że mógł tam być wtedy, kiedy ktoś zamordował jego matkę. Psychiatra jest dobra, nie pyta, nie naciska, niczego mu nie sugeruje.

-- Część mnie ma nadzieję, że on jednak nic nie pamięta.

-- To samo jej powiedziałem. Ona mówi, że jest spora szansa, że nigdy sobie nie przypomni.

-- Ciągle o was myślę.

-- Uważam na niego. Na tego Darke'a. Kiedy Duchess zobaczyła auto, pomyślałem, że może naprawdę przyjechał, tak jak zawsze powtarzała.

-- A teraz?

-- Ciągle czekam. Najpierw strzełę, potem będę zadawać pytania.

Na twarzy Walka pojawił się zmęczony uśmiech. Bezsenne noce zbierały swoje żniwo, obezwładniały jego myśli i wyrzucały je z głowy. Bywały dni, kiedy nagle odkrywał, że jest na autostradzie i zupełnie nie pamięta, dokąd jedzie.

-- Dobranoc, Hal. Dbajcie o siebie.

Odłożył słuchawkę i ziewnął. Zwykle był tak wykończony, że wracał prosto do domu, wypijał piwo i oglądał sport, dopóki nie zmorzył go sen. Ale teraz poczuł neodpartą potrzebę spotkania się z Marthą, niekoniecznie po to, żeby pogadać, tylko żeby nie siedzieć tej nocy samotnie.

Sięgnął po telefon, zaczął wybierać numer -- i przerwał. Miał pełną świadomość tego, co właśnie robi, że stopniowo wślizguje się w życie,

którego nie ma prawa zakłócać. To było wyrachowane, bez względu na to, co czuł, wyrachowane i okrutne. Kiedy go zobaczyła, przypomniała sobie najgorsze chwile swojego życia, i zawsze tak będzie.

Poszedł powoli korytarzem, posterunek tonął w ciemnościach.

-- Nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś, Leah.

Spojrzała na niego zmęczona, bez cienia uśmiechu.

-- Nadgodziny. Ktoś musi uporządkować akta. Zajmie mi to z miesiąc, nawet jak będę siedzieć po nocach.

-- Potrzebujesz pomocy?

-- Nie, idź już. Nie ma znaczenia, czy zostanę tu do rana, Ed i tak nie zauważy.

Chciał coś powiedzieć, nie był pewny co, ale Leah odwróciła się do niego plecami i wróciła do pracy.

Pomyślał o Duchess Day Radley na szkolnym balu i uśmiechnął się, wychodząc w ciepło wieczoru.

Śnieg sypał, droga była ciężka, podobnie jak atmosfera w aucie. Rozmowa się nie kleiła. Pani Noble spytała Thomasa o bal. Chłopak powiedział, że to najwspanialsza noc w jego życiu.

Duchess patrzyła na śnieg pokrywający pola, zwykle o tej porze porażone w ciemnościach, za którymi o milę dalej wznosiły się góry.

Kiedy dotarli do farmy Radleyów, pani Noble zaczęła skręcać, ale podjazd był zasypany. Hal nie dawał rady odśnieżyć całego, droga była za długa, a śniegu przybywało zbyt szybko.

-- Dalej pójde pieszko.

-- Na pewno, kochanie? Mogę spróbować wjechać, ale boję się, że utkniemy tu na całą noc.

-- Hal będzie na werandzie. Zobaczy światła samochodu i wyjdzie mi naprzeciw. Jedźcie.

Wysiadła szybko i ruszyła w stronę domu, zanim pani Noble czy Thomas zdążyli wyjść za nią.

W połowie drogi odwróciła się i pomachała, popatrzyła, jak światła nikną w oddali.

Brnęła przez zasy, wysoko unosząc nogi w nowych butach. Gałęzie eukaliptusów uginały się pod białymi czapami, tworząc łuki, jakby szła do ślubu. Czuła się wolna, skierowała twarz ku niebu, płatki śniegu opadały, piękno było tak intensywne, że prawie nie do zniesienia. Pomyślała o Robinie, o tym, jak spędzą weekend, jak będą robić anioły na śniegu i ulepią bałwana wysokiego jak dziadek.

Kiedy wyszła spod drzew, księżyc urokliwie oświetlił stary dom, a ona uśmiechnęła się, sama nie wiedząc dlaczego. W oddali w kuchni paliło się światło.

Zrobiła kolejny krok i zamarła.

Ślady na śniegu, prawie przysypane, ale wciąż widoczne.

Odciski stóp.

Wielkich stóp.

Po raz pierwszy tej nocy poczuła zimno, prawdziwe, przenikliwe zimno Montany.

-- Hal -- powiedziała cicho.

Wydłużyła trochę krok, serce zaczęło bić szybciej. Coś było nie tak. Czuła to.

Wtedy go zobaczyła. I wrócił jej spokój.

Siedział na ławce, ze strzelbą przy nodze.

Kiedy zbliżyła się do werandy, pomachała i uśmiechnęła się szeroko, potem skierowała się na schody. Opowie mu o wszystkim, jak było

źle.

Ale wtedy spojrzała na jego twarz, bladą, ściągniętą, pokrytą potem spływającym z czoła. Oddech miał przyśpieszony, lecz mimo to próbował się do niej uśmiechnąć.

Podeszła powoli i bardzo ostrożnie ściągnęła z niego koc.

Krew.

-- O kurwa, Hal -- szepnęła.

Przyciskał rękę do brzucha, ale krew płynęła szybko i nieustannie.

-- Dorwałem go -- powiedział Hal.

Wyciągnął do niej rękę, gdy życie z niego uchodziło. Ujęła ją w swoją, krew spłynęła na nią jak śmiertelna zaraza.

Puściła go i pobiegła do telefonu w kuchni. Komisariat policji hrabstwa Iver, numer na szybkim wybieraniu, przekazała tyle, ile mogła.

Zostawiła ślady krwi na słuchawce. Wyjęła whisky z kredensu i wybiegła.

-- Kurwa.

Przystawiła mu butelkę do ust.

Zakaszła, tu też była krew.

-- Dopadłem go, Duchess. Uciekał, ale go dopadłem.

-- Nic nie mów. Ludzie już jadą. Ludzie, którzy wiedzą, co robić.

Popatrzył na nią.

-- Jesteś banitką.

-- Jestem -- powiedziała drżącym głosem.

-- Jestem z ciebie dumny.

Ścisnęła mocniej jego rękę, przycisnęła swoją głowę do jego, zamknęła oczy i powstrzymywała łzy.

-- Kurwa! -- krzyknęła.

Uderzyła go w ramię, w piersi, klepnęła mocno w policzek.

-- Dziadku, obudź się.

Spojrzała w dół, na krew na nowej żółtej sukience, a potem na śnieg, gdzie ślady stóp wiodły na białe pola.

Przyklękła raz jeszcze.

-- Koniec jest początkiem.

Wzięła strzelbę, która stała obok niego.

Już nie czuła przeraźliwego zimna, nie widziała księżyca w pełni. Nie widziała gwiazd, czerwonych obór, zamarzniętej wody.

W stajni osiodłała siwkę i wyprowadziła ją na zewnątrz.

Wciągnęła się na grzbiet jedną ręką, w drugiej ścisnęła strzelbę. Chwyła wodze i ruszyły po śladach.

Przeklęła się w duchu za samozadowolenie, za to, że dała się nabrać na obietnicę nowego życia. Powrócił do niej gniew, gorący, nieposkromiony gniew.

Powiedziała sobie, kim jest.

Duchess Day Radley.

Banitką.

Część trzecia. Rekompensata

Jechał dzień i noc, długie światła, migające kwiaty polne, przesuwa-
jące się za oknem rozmazane kształty pustyni Mojave.

Droga numer piętnaście, jasność Las Vegas, oślepiająca, jakby wiel-
ki statek obcych opuszczał się z nieba.

Wyłaniające się billboardy, wystrojeni magicy z wygiętymi brwiami
i podstarzałe gwiazdy odcinające kupony, żeby trochę zarobić.

Spoglądał we wsteczne lusterko, jak wszystko to blednie, i po chwili
zdawało się, że nic z tego nigdy nie istniało. Ominął Valley of Fire, Be-
aver Dam i wieczne cienie kanionu za nimi. Światła motelu i stacji ben-
zynowej, autostrada pustoszejąca w miarę upływu godzin.

Cedar City, zatrzymał się w całonocnej jadłodajni, w historycznym
centrum hrabstwa Iron, w większości uśpionego. Usiadł w boksie i słu-
chał, jak paru facetów rozmawia o "pożegnaniu Clarke'a". Nie zoriento-
wał się, czy Clarke umarł, czy może się ożenił.

Przetarł oczy i przeczytał napisy: "Pocatello", "Blackfoot", "Idaho
Falls".

Kiedy w polu widzenia pojawiło się Caribou-Targhee, w końcu, po
tysiącach mil czerni, zobaczył błękit. Zwolnił na osiemdziesiątce sió-
demce i popatrzył na wschód słońca nad Henrys Lake; woda mieniła
się tyłoma kolorami, że znów przetarł oczy.

Pierwszy śnieg pojawił się w Three Forks, białe pola ciągnęły się aż
po białe niebo. Zamknął okno i włączył ogrzewanie, ale nie czuł ani
zimna, ani ciepła.

Kiedy zadzwonili z wydziału policji hrabstwa Iver, Walk był w do-
mu, leżał w jakimś dziwnym porażeniu, które ścięło go do tego stopnia,
że ledwo sięgnął po telefon. Ale potem, kiedy tamten się rozłączył, walił

słuchawką tak długo, aż się połamała. Następnie zmiotł zawartość biurka na podłogę i kopał monitor komputera, dopóki się nie rozbił. A jeszcze później powoli wszystko pozbierał.

Wszelkie złudzenia, pocztówki, wieczorne piątkowe rozmowy z Harlemem, wszelkie wyobrażenia, że dziewczynka i chłopiec wreszcie mają życie, na jakie zasłużyli, umarły śmiercią zimną i ostateczną, a Walk nie był w stanie z nikim rozmawiać przez trzy dni. Wziął wolne, zaległy od dekady urlop, czym wszystkich zmartwił tak, że Valeria przyszła i dobijała się do jego drzwi. Ale nie otworzył. Nie odbierał telefonów od Marthy.

Pierwszy dzień spędził u siebie; rozrysował życie Darke'a na ścianie za telewizorem, żeby ciągle mieć w pamięci tego człowieka. Tropił ślady tak stare, że numery telefonów nie odpowiadały albo zastawał po drugiej stronie zdezorientowanych ludzi, którzy nie słyszeli nazwiska Darke'a od dwudziestu lat. Próbował pić, opróżnił ćwierć butelki jima beama, ale się poddał. Leki w połączeniu z alkoholem sprawiły, że stawał się ospały. Szukał błędu, argumentu, aby zrzucić winę na swoje barki i zatonać, ale znów nie znajdował nic. To była okrutna ręka losu, nic nietypowego. Darke dokonał wyboru i działał pod jego wpływem. A oni nadal nie potrafili niczego z nim połączyć. Żadnych świadków. Śnieg wchłonął krew. Rozstawili posterunki, zablokowali wszystkie drogi, wysłali ekipę tak daleko, jak tylko mogli. Hrabstwo Iver brało pod uwagę hipotezę, że zabójca nie żyje, że leży pogrzebany gdzieś w śniegu na polach, a zwierzęta rozszarpią go, gdy odtaje.

Walk wrócił na posterunek i do pracy. Rutynowo spisywał naruszenia prawa, rutynowo objeżdżał szkoły i pracował na rutynowe zmiany przez cztery dni i jedną noc.

Martha przyjechała bez zapowiedzi, a kiedy wszystko jej opowiedział, przyłożyła rękę do ust, jakby chciała stłumić okrzyk. Jeśli wcześniej Walk był załamany, to teraz, po tym, co się stało w Montanie, rozpadł się na milion kawałków, i to tak rozproszonych, że nie było już nadziei na ponowne ich poskładanie.

Pojechał odwiedzić Vincenta, siedział w rozgrzanej poczekalni trzy godziny, na wypadek gdyby tamten zmienił zdanie i do niego wyszedł. Postąpił z Cuddym i obserwował grę w koszykówkę, nie wzdrygał się, kiedy mężczyźni zaliczali twarde upadki albo tracili zęby od uderzenia łokciem.

Brodę miał teraz długą, opadającą na wychudłą pierś. W ciągu kilku miesięcy postarzał się o dziesięć lat, skóra ciasno opinała jego wystające kości policzkowe.

W Lewis and Clark warstwa śniegu stała się jeszcze grubsza. Umył się na stacji benzynowej przy osiemdziesiątej dziewiątej. Śmierdziało sikami, więc próbował wstrzymać oddech, kiedy ściągał mundur. Stał nago pod migającym światłem. Brzuch wklęsły, zapadnięta pierś, sterczące żebra i miednica. Ubrał się, koszula, spodnie, krawat. Włosy miał przycięte na jeża, nie musiał się czesać. Ręce mu drżały. Nie walczył z tym. Odmawiały współpracy, kiedy sięgał po telefon jedną ręką, nie dawał rady utrzymać długopisu w drugiej. Było to wyczerpujące i wkurzające.

Kościół baptystów w Canyon View.

Ktoś odśnieżył parking, zepchnięty śnieg piętrzył się po bokach. Przyjechał za wcześnie o godzinę, więc odchylił siedzenie i przymknął oczy. Cała noc w drodze, powinien się zdrzemnąć na pół godziny, ale świadomość go nie opuszczała. Pomyślał o Duchess, kiedy była mała, o

sposobie, w jaki na niego patrzyła, jakby był tym, który rozwiąże jej problemy.

Pierwsze samochody wtoczyły się na parking. Obserwował ich, starsi ludzie, mieli zimno wypisane na twarzach, w czerwieni policzków, kiedy spokojnie wchodzili do małego kościoła.

Znalazł sobie zaciszny kąt z tyłu. Organy zagrały pogodną melodię. Z przodu stała trumna. Podniósł się razem z innymi.

Wtedy odwrócił się i zobaczył chłopca, Robina; trzymał za rękę kobietę, której Walk nie znał. Chłopiec wyglądał na starszego, jak dziecko ponownie ograbione przez pociągnięcie za spust.

Za nimi pojawiła się ona, w ciemnej, prostej sukience. Patrzyła przed siebie twardo i wyzywająco. Rozejrzała się po kościele; ludzie próbowali przywoływać na twarze smutne uśmiechy. Nie odpowiadała na nie. Nie była już dzieckiem.

Kiedy go dostrzegła, zgubiła krok, tylko na chwilę, jak na niechciane wspomnienie, a potem poszła dalej.

Usiadła z przodu. Zobaczył kokardę w jej włosach, trochę schowaną, ale nadal na miejscu.

Za nią siedział szczupły chłopiec w okularach, a kiedy pastor przemówił i Robin zaczął płakać, chłopak położył rękę na ramieniu Ducha. Nie odwróciła się, po prostu strząsnęła rękę.

Po wszystkim Walk pojechał za nimi na farmę Radleyów.

W środku czekały kanapki i ciasto. Dolly przedstawiła się i podała Walkowi kawę.

Robin stał obok kobiety i wyglądał na najbardziej zagubione dziecko na świecie. Powiedział: "Nie, dziękuję", kiedy podała mu pączka. Odmówił równie grzecznie, kiedy spytała, czy chce iść ostatni raz do swojego pokoju.

Walk wymknął się na zewnątrz i poszedł po skrzypiącym śniegu za śladami małych stóp. Znalazł ją w stajni; stała odwrócona plecami do niego i drobną ręką głaskała piękną sówkę po grzbiecie nosa. Koń pochylił łeb, trącił ją, a ona lekko go pocałowała.

-- Możesz już jechać -- powiedziała, nie odwracając głowy. -- Nie musisz tu tkwić. Widziałam, że wszyscy tylko zerkają na zegar. Jakby Hal w ogóle chciał ich widzieć w swoim domu.

Stał pod spadzistym dachem.

-- Przykro mi.

Podniosła rękę -- w porządku, odpięła się. Nie wiedział, które z tych dwóch, ale nie miało to znaczenia.

-- Jakiś dzieciak cię szuka.

-- Thomas Noble. Tak naprawdę wcale mnie nie zna.

-- To ważne mieć przyjaciół, prawda?

-- Jest normalnym chłopakiem. Dwoje rodziców. Dobre stopnie. Co roku latem sześć tygodni w domku letniskowym w Myrtle Beach. Odychamy innym powietrzem.

-- Jesz normalnie?

-- A ty? Wyglądasz inaczej, Walk. Gdzie twoja pulchność?

Miała na sobie tylko sukienkę, ale nawet nie zadrżała.

-- Ta pani w kościele, z Robinem... -- zaczął.

-- Pani Price. Lubi, żeby tak się do niej zwracać. Na wypadek gdybyśmy zapomnieli, jak tymczasowy jest nasz pobyt tutaj. Przyszła się pokazać.

Walk na chwilę spotkał jej wzrok, potem znów się odwróciła.

-- Przykro mi.

-- Kurwa, Walk, przestań to powtarzać. Karty zostały rozdane. Los, rezygnacja. Bez różnicy.

-- Nie tego uczą w kościele.

-- Wolność to złudzenie, im szybciej to zaakceptujesz, tym lepiej.

-- Co z farmą?

-- Słyszałam, jak rozmawiają. Hal miał długi, pójdzie na aukcję, wszystko zabiorą. Ziemię Radleyów. Jesteśmy tylko tymczasowymi opiekunami.

-- A Robin?

Posmutniała; tylko on to widział, smutek zagrzebany głęboko w jej oczach.

-- Robin... przestał mówić. Mówi tylko "tak" albo "nie". Próbują nas gdzieś umieścić, na razie mamy opiekę zastępczą. Pani Price, pan Price, płacą im za nas. Dają nam jeść. Wysyłają do łóżek o ósmej, bo lubią mieć czas dla siebie.

-- A święta? -- Ledwie to słowo wybrzmiało, pożałował pytania.

-- Nasza opiekunka społeczna przysłała nam prezenty. Pani Price nie zostawiła nic dla Robina.

Z trudem przełknął ślinę.

Odwróciła się i poklepała siwkę.

-- Ją sprzedadzą, chyba że ktoś ją weźmie razem z farmą. Mam nadzieję, że nie będą jej mocno zajeżdzać. Utyka trochę po tamtej nocy.

-- Upadła.

-- To ja upadłam -- powiedziała gorzko. -- Jechałam na niej. Jest dobrym koniem, została potem ze mną, po prostu była, cały czas przy mnie.

Śnieg znów zaczął sypać. Spojrzał na dom; matka wyprowadzała chłopca w okularach, który wykręcał głowę do tyłu, żeby zobaczyć Du-chess. Pomyślał o Vincencie i Star.

-- Zostaniecie tutaj? W tej samej szkole?

-- Taka jedna kobieta pracuje nad naszą sprawą. Rozumiesz, właśnie tym teraz jesteśmy, Walk. Sprawą. Mamy numery i teczki. Listę cech charakteru i błędów.

-- Nie jesteś numerem. Jesteś banitką.

-- Może krew mojego ojca jest tak kurewsko kiepska, że zabiła wszystkie cechy Radleyów. Nie jestem jak Star albo Hal, Robin czy Billy Blue. Jestem wpadką, błędem, odruchem. Niczym więcej.

-- Nie możesz tak myśleć.

Odwróciła się od niego, jakby mówiła do siwki.

-- Nigdy nie dowiem się, kim jestem.

Popatrzył na zimowy krajobraz, stado łośi u stóp gór.

-- Gdybyś potrzebowała, wiesz gdzie.

-- Wiem.

-- Zawsze jestem.

-- Ten stary pastor. Spytał nas kiedyś o sens życia, po mszy. Wszystkie dzieci, po kolei. Większość mówiła o rodzinie i miłości.

-- A ty?

-- Nie powiedziałam nic, bo Robin był przy tym. -- Zakaszłała. -- Ale wiesz, co powiedział Robin?

Pokręcił głową.

-- Powiedział, że sensem życia jest mieć kogoś, kto właściwie o ciebie zadba i będzie cię chronił.

-- Ma ciebie.

-- I zobacz, do czego to nas doprowadziło.

-- Ale wiesz, że nie...

Znów podniosła rękę w geście "odpierdol się".

-- Wszyscy myślą, że facet, który zastrzelił Hala, nie żyje.

-- Wiem.

-- Nie będą go szukać. To był Darke. Nie wierzą mi.

Poszli razem przez śnieg do radiowozu.

-- Myślę o Vincencie Kingu.

Chciał powiązać Star i Darke'a. Nie potrafił.

-- Wiesz, że to nie twoja wina.

Tak dobrze ją rozumiał.

-- Właśnie że moja, Walk. Tym razem to moja wina.

Odwrócił się i chciał ją przytulić, ale wyciągnęła tylko dłoń, więc ją uścisnął.

-- Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze spotkali.

-- Będę z wami w kontakcie.

-- A możesz nie? -- Głos zadrżał jej po raz pierwszy, prawie niezauważalnie, ale zobaczył, że odwraca głowę. -- Po prostu jedź i życz mi powodzenia czy coś, co tam się mówi. A potem idź w swoją stronę, a ja pójdę w swoją. Nasza historia była krótka, komendancie Walker. Bardzo smutna, ale krótka. Nie udawajmy, że jest inaczej.

Stali chwilę w ciszy, która zawisła nad drzewami, nad ziemią Radleyów.

-- W porządku -- powiedział.

-- No i?

-- Powodzenia, Duchess.

Opiekunka społeczna malowała usta fioletową szminką, tak bliską czerni, jak tylko się dało.

Shelly. Miała włosy w trzech kolorach, z których według Duchess żaden nie był naturalny. Dobrotliwa, uczuciowa, podchodziła do ich przyszłości z uzasadnioną troską i szczerze opłakała człowieka, którego nigdy nie poznała.

Usiedli na tylnym siedzeniu pordzewiałego volvo 740. Na podłodze wałały się puszki po coli, z popielniczki się wysypywało, chociaż nigdy nie paliła, kiedy byli w samochodzie.

Obok jeziora Duchess odwróciła się i po raz ostatni spojrzała na dom, po czym auto zanurzyło się pod rozmodlone drzewa.

-- W porządku, dzieciaki? -- Shelly wrzuciła dwójkę i cały samochód zadrżał.

Duchess wzięła brata za rączkę. Nie wyrwał się, ale też nie oddał uścisku, po prostu pozwolił się trzymać za bezwładną kończynę.

Shelly uśmiechnęła się do nich w lusterku.

-- Msza była piękna.

Jechali mila za milą po absolutnej bieli, zima trwała już tak długo, że zapomnieli o jesieni; Duchess była wdzięczna za ten przeszywający chłód. Niech świat zamarznie cały, niech wchłonie wszystkie kolory, aż płótna znów staną się puste.

Przyjechali do miasteczka Sadler -- rząd schludnych, odśnieżonych podjazdów. Dom Price'ów stał przy ulicy identycznych dziesięcioletnich budynków. Był pomalowany na kolor kitu, tak mdły, jakby deweloper wstydził się zniszczyć nim piękny krajobraz.

-- No to jesteśmy. Dogadujecie się z państwem Price'ami? -- spytała Shelly jak zawsze.

-- Tak -- powiedział Robin.

-- A jak tam Henry i Mary Lou?

Dzieci Price'ów, zbliżone wiekiem, ale z zupełnie innego świata. Grzeczne jak aniołki przy rodzicach, ale Duchess słyszała, jak między sobą rozmawiały o tym, co spotkało Hala, i żeby lepiej nie zbliżać się do tej dziewczyny, bo krążą plotki, że ścigała faceta i wypaliła do niego ze strzelby. I takie dziewczyny robią takie rzeczy.

Oczywiście, chowane pod kloszem, bez szans, by znać wyjętych spod prawa.

-- Są okej -- odpowiedziała Duchess.

Pożegnali się i dali uściskać. Duchess poprowadziła Robina do wejścia. Shelly zaczęła, aż pani Price otworzy drzwi, pomachała im i odjechała.

Duchess chciała pomóc Robinowi zdjąć eleganckie buty, ale się odsunął i zrobił to sam.

Pani Price nie odezwała się do nich, nie spytała o to, jak było po pogrzebie, zwyczajnie się odwróciła i zostawiła ich samych. Duchess nie mogła powiedzieć, że ich źle traktują, po prostu w tym domu byli jak drugi sort. Obiad dostawali na innych talerzach, picie nie w szklankach, tylko w plastikowych kubkach. Zostawiali ich z telewizorem w pokoju na tyłach, a sami zasiadali w salonie. W tym samym miejscu, ale gdzie indziej.

Duchess poszła za Robinem do kuchni: białe szafki i marmury, na lodówce świadectwa Henry'ego, na ścianie nad stołem oprawione w ramki prace Mary Lou. Robin stanął przy drzwiach i wyjrzał na dwór. Ogródek. Bałwan był ogromny, pan Price i Henry toczyli kolejne kule.

Pani Price i Mary Lou szły po śniegu z kijkami, wyrzucały je przed siebie na długość ramienia. Henry powiedział coś i wszyscy się zaśmiali.

-- Chcesz wyjść? -- spytała Duchess.

W tej samej chwili pani Price podniosła wzrok, zobaczyła ich, po czym się odwróciła i zajęła swoimi sprawami. Otoczyła Mary Lou ramieniem, troskliwie, demonstracyjnie.

Ich pokój znajdował się na przerobionym strychu. Duchess puściła Robina przodem po schodach. Mieli małą łazienkę dla siebie: umywalka, prysznic i szczoteczki do zębów w kubku. Parę książek z pozaginanymi rogami na półce, seria Famous Five.

-- Chcesz się przebrać?

Położył się na łóżku i odwrócił plecami, żeby nie widziała, że płacze. Ramiona drżały mu lekko, więc podeszła i usiadła przy nim. Kiedy położyła mu rękę na ramieniu, strząsnął ją.

-- Mogłaś dziś nie jechać. Nienawidziłaś dziadka. Nawet kiedy był miły, mówiłaś mu straszne rzeczy, bo byłaś wredna, cały czas wredna.

Patrzył w niebo za oknem, padał śnieg; tymczasowe schronienie, tylko tyle dzieliło ich teraz od dziczy.

-- Przepraszam -- powiedziała.

-- Zawsze to mówisz.

Szturchnęła go w zębra. Nie uśmiechnął się.

-- Poczytać ci?

-- Nie.

-- Chcesz porzucać śnieżkami w twarz Mary Lou? Mogę je ulepić tak, że będą twarde jak lód.

Prawie uśmiech.

-- Albo mogę walnąć jedną w pana Price'a. Wybić mu ząb. Panią Price dźgniemy soplem. Możemy zmusić Henry'ego, żeby jadł żółty śnieg.

-- Jak zrobimy żółty śnieg?

-- Nasikamy na niego.

Na to wreszcie się zaśmiał. Przyciągnęła go do siebie.

-- Będzie z nami dobrze? -- spytał.

-- Będzie.

-- Jak?

-- Będziemy...

-- Nie możesz się nami zająć. I nie sądzę, że pani Price nas chce.

-- Dostają tysiąc dwieście dolców co miesiąc na każde z nas.

-- Więc mogą nas trzymać za te pieniądze.

-- Nie. Są tylko opieką zastępczą, pamiętasz, co mówiła Shelly. Spróbuje nam znaleźć dobry dom na zawsze.

-- Z farmą i zwierzątkami?

-- Może.

-- I pojedziemy niedługo po prochy dziadka.

-- Kiedy zadzwonią do Shelly.

-- Wtedy będzie z nami dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Pocałowała go w głowę. Nie lubiła okłamywać brata. W łazience wzięła małe nożyczki i obcięła mu paznokcie.

-- Trzeba to było zrobić wcześniej.

Popatrzył na nią.

-- Znowu wyglądasz jak mama. Musisz więcej jeść.

Przewróciła oczami. Uśmiechnął się.

Wieczorem dostali tłuczone ziemniaki i kielbaski, razem w małym pokoju, przed telewizorem. Ciągle mieli na sobie ubrania z pogrzebu.

-- Przynajmniej umie gotować -- powiedział Robin nad talerzem. -- Zjadłbym dwie takie kiełbaski.

Duchess próbowała przełożyć swoją kiełbaskę na jego talerz, ale odepchnął jej rękę.

-- Nie twoją. Też musisz jeść.

-- Pójdę zobaczyć, czy możesz dostać jeszcze jedną.

Zabrała swój talerz i poszła powoli korytarzem, Robin zamknął drzwi, włączył sobie bajkę. Na ścianie wisiały rodzinne zdjęcia, jedno w Disneylandzie -- Henry i Mary Lou z uszami Myszki Miki, jedno z lotniska Kennedy'ego, inne z kanionu -- pan Price i Henry w takich samych czapkach.

Był napis "Kochany bajzel" i karykatura pani Price nad wodą, z uśmiechem szerszym, niż Duchess kiedykolwiek widziała.

Zatrzymała się przy drzwiach kuchennych, usłyszała ich głosy przy stole: pani Price pytała Mary Lou o test, a potem Henry'ego o softball. Poczekala, aż Henry zacznie mówić, po czym weszła cicho do kuchni.

-- Duchess.

-- Ja tylko... Robin lubi kiełbaski, chciałby jeszcze jedną.

-- Już nie ma -- powiedziała pani Price.

-- Och.

Zerknęła na talerz Mary Lou i zobaczyła, że ma trzy.

Odwróciła się i wyszła, nadziała na widelec własną kiełbaskę i niosła ją przed sobą. Kiedy wróciła, dała ją Robinowi.

-- Zjadłaś swoją? -- spytał.

-- O tak. Była dobra.

-- Mówiłem ci.

Kiedy cały dom już spał, wymknęła się cicho schodami na dół i weszła do gabinetu pana Price'a. Pomieszczenie wyłożone drewnem, na

półkach równe rzędy książek o finansach i transakcjach walutowych. W komputerze wyszukała "Vincent King" i przeczytała wszystko, co znalazła o sprawie. Zdziwiła się, że nie prosił o łaskę i dożywocie, skoro jego wina była oczywista. W gazetach pisali, że nadal nic nie powiedział, także podczas rozprawy, ani nie wystąpił o adwokata.

Prokuratorka okręgowa była świetna, zamierzała zawalczyć o sprawiedliwość dla Star Radley i jej dzieci. "Tych biednych sierotek".

Przewijała szybko strony, kiedy usłyszała, że ktoś stoi w drzwiach.

-- Nie powinnaś wchodzić do gabinetu taty.

Mary Lou. Dobrze odżywiona, czesana co dzień przez panią Price, obsypana trądzikiem. Miała piętnaście lat i Duchess domyślała się, że należy do dziewcząt, które pewnego dnia złożą śluby dziewictwa, a potem je tracą, gdy pierwszy raz wypiją alkohol.

-- Musiałam skorzystać z komputera.

-- Muszę mu powiedzieć.

Duchess włożyła w swój głos całe dziecinne przerażenie.

-- Och, proszę, nie mów nic tacie.

-- Powinnaś coś zobaczyć.

-- Co?

-- Myślisz, że jesteście tu pierwszymi dziećmiakami?

Duchess gapiała się na nią.

-- Słyszałam, jak gadasz z bratem. Myślisz, że coś dla was znajdą? --

Mary Lou się zaśmiała.

-- A dlaczego nie?

-- No wiesz, dla Robina może i tak. Jest dość mały, porządny. Ale słyszałam, jak tata mówi o tobie, że sprawiasz same problemy. Kto by cię chciał?

Duchess zrobiła krok w jej stronę.

-- Chcesz mnie uderzyć, co? Dajesz. To właśnie robią tacy jak ty.
Duchess zacisnęła dłoń w pięść.

-- No, dawaj. -- Mary Lou uśmiechnęła się z wyższością.

Duchess poczuła napływ adrenaliny, płonący ogień. Po czym odwróciła się do monitora komputera. Zdjęcie z miejsca zbrodni, mały dom przy Ivy Ranch Road, zamazani sąsiedzi i dziennikarze. I zdjęcie obok, posterunek w Cape Haven, Walk. Uśmiechnięty. Walk, który przypominał jej wszystko, co dobre.

Minęła Mary Lou, wzięła głęboki oddech i weszła po schodach.

Walk obudził się przy biurku, słońce padało na rozrzucone dokumenty.

Z trudem się wyprostował; bolało tak bardzo, że ledwo powstrzymał okrzyk. Znalazł tabletki w szufladzie i łyknął dwie bez popicia.

Poprosił Leah, żeby zamówiła mu nowe spodnie, koszulę i kurtkę. Waga powiedziała, że schudł dwadzieścia pięć funtów.

Ktoś zapukał. Nie wiedział, jak długo tu siedział, ale na pewno tyle, aby uznać to za szaleństwo.

Zachwiał się na nogach, próbował stanąć prosto i prawie zwymiotował z bólu. Odetchnął głęboko, wypchnął pierś do przodu i wyszedł z gabinetu, po czym zgarbił się trochę, gdy zobaczył, że to tylko Ernie Coughlin ze sklepu z narzędziami.

-- Dobry. -- Walk otworzył mu drzwi, ale Ernie nie wszedł.

-- Gdzie rzeźnik? -- rzucił Ernie, z rękami w kieszeniach brązowego fartucha.

Walk popatrzył, zdezorientowany.

-- Rzeźnik -- powtórzył Ernie. -- Jest już po siódmej. Wrócił z urlopu tego samego dnia co zawsze. Dlaczego jeszcze nie otworzył sklepu?

-- Może jest na polowaniu. Łucznictwo, nie? Może wydłużył sobie wolne o jeden dzień.

-- Głupi chujek, ganiałby tylko za indykami. Dwadzieścia dwa lata, Walk. Odkąd przejął interes po ojcu. Od dwudziestu dwóch lat kupuję u niego kielbasę na śniadanie. Potem idę na drugą stronę ulicy i Rosie mi ją przygotowuje. Trzy placki, syrop, dwa kubki mocnej kawy.

-- Nie możesz po prostu zjeść kielbaski od Rosie?

Ernie spojrzał na niego z niesmakiem.

-- Widziałeś w gazecie? Nowe domy na skraju miasta. Zrzuńną to miejsce. Rozumiem, że będziesz przeciwko.

Walk przytaknął i, ziewając, włożył koszulę w spodnie.

-- Pójdę sprawdzić, co z nim.

Ernie pokręcił głową, odwrócił się i wyszedł.

Walk wrócił do biurka i wybrał numer Milтона, ale odezwała się poczta. Potem znów zajął się oglądaniem taśm z monitoringu Cedar Heights. Moses z budki przy bramie dał mu je bez oporu, nie spytał nawet o nakaz, którego Walk nie miał.

Prawie nic się nie działo, ale jakoś była tak słaba, że musiał się mocno skupić, żeby nie przeoczyć nikogo, kto wychodził. Nie wiedział, jaki czas go interesuje, więc oglądał całe nagrania. Następnego dnia, listonosz, sąsiad w fordzie.

Po kolejnej godzinie wreszcie coś zobaczył. Zwolnił obroty i przewijał trzy razy. Dobrze znał tę starą terenówkę comanche. Zmrużył oczy i wypatrzył naklejkę na zderzaku. Sylwetka czarnego jelenia. Milton.

Obserwował z zainteresowaniem, jak szlaban się podnosi, po czym ustawił naprawdę wolne odtwarzanie. Trzy godziny później, kąś gorszy, niż kiedy wjeżdżał. Bez wątplenia jednak był to ten sam pojazd.

Po kolejnych trzech godzinach znalazł sedana, bardzo podobnego do tamtego z dwoma mężczyznami, którzy szukali Darke'a.

Dziesięć minut później wyjechali.

Przez dziewiętnaście minut łąpał Boyda przez telefon, ale tylko po to, by tamten odrzucił prośbę o nakaz przeszukania domu Darke'a. Walk powiedział mu o facetach, którzy czekali na Darke'a, i poczuł się jak niedoświadczony dupek, kiedy Boyd zapytał o numery rejestracyjne, a Walk miał za słaby obraz, żeby je odczytać.

Kiedy się rozłączyli, rozluźnił krawat, pochylił się i walnął głową w biurko tak mocno, że zabolalo.

-- Coś mi się zdaje, że muszę wkroczyć.

Podniósł głowę, zobaczył Marthę i zmusił się do uśmiechu. Niosła teczkę pełną dokumentów.

-- Masz tu jakieś alko? -- Usadowiła się naprzeciwko niego.

Sięgnął do najniższej szuflady i wyjął butelkę burbona. Kentucky's Old Reserve, prezent od jakiejś turystki za pilnowanie domu podczas zimowych miesięcy. Znalazł filiżanki do kawy i nalał trochę do obu.

Patrzył, jak pije, czekał, aż na jej policzkach pojawią się delikatne rumieńce, takie same jak wtedy, kiedy się złościła lub była podekscytowana. Martha May, nadal wiedział o niej wszystko.

-- Nic nie mam -- obwieściła z emfazą.

-- Przyjechałaś taki kawał, żeby mi o tym powiedzieć?

-- Może chciałam cię zobaczyć.

-- Serio? -- Uśmiechnął się.

-- Jasne, że nie. Przywiozłam ci coś dobrego.

Otworzyła torbę i wyjęła pojemnik.

-- Mogę spytać, co to?

-- Takie tam resztki makaronu.

-- I?

-- I nic.

Zamrugnął, czekał.

-- Cubanelle -- dodała wreszcie. -- Smażona papryka dla leszczy. Musisz coś jeść, Walk. Jesteś chudy jak szczapa. Martwię się o ciebie.

-- Doceniam.

Wstała i chodząc po pokoju, powtórzyła mu wszystko, co już wiedział. A potem on powiedział jej o Darke'u i taśmach.

-- Masz jakąś hipotezę?

Pomasował sobie kark.

-- Nie mam. Na razie. Chcę sprawdzić dom Darke'a. I chcę się dowiedzieć, komu płaci te pieniądze. Jeśli nie mogę go dopaść za Hala i Star, dopadnę go za cokolwiek. Nie chcę, żeby sobie spokojnie chodził po ulicy.

-- Jeśli w Montanie to był on, jest duża szansa, że nie żyje.

-- Jeśli uda się nam go tam namierzyć, udowodnimy powiązania ze Star. Może chłopiec coś słyszał i Darke chce go zabić. Możemy to wykorzystać. Potrzebuję tylko punktu zaczepienia.

-- Przelewu bankowego?

-- Dzwoniłem do dyrektora, nic nie powie bez nakazu sądu. Normalna.

-- First Union. Musisz uderzyć trochę niżej. Może do kasjera.

Uniósł brew.

-- No co. Myślisz, że nie wiem, jak obejść system? Muszę sobie jakoś radzić z tymi wszystkimi splukanymi tatuškami, którzy ukrywają dochody, więc idę do samego źródła.

-- I co, działa?

-- Nie zawsze, ale proszę o przysługę i potrafię się odwdzińczyć tym samym. Ot, los prawnika. Więc wiesz, znasz całe miasto, Walk. Musi być ktoś, na kim możesz polegać.

Szedł szybko, ignorując powitania; zatrzymał się, dopiero kiedy drogę zastawiła mu Alice Owen z psem na rękach.

-- Walk, możesz popilnować jej przez chwilę, muszę tylko...

-- Śpieszę się.

-- Dosłownie na minutę. -- Wcisnęła mu zwierzę, złośliwego pieprzonego drania, po czym weszła do delikatesów Brandt's. Widział ją w środku, jak rozmawia z dziewczyną za ladą, bez wątpienia zamawia jakieś sojowe gównno z nowego ekspresu, deliberując nad serem po dwadzieścia dolców. Zerknął na psa i zobaczył obnażone kły, potem z powrotem na Alice, która wpadła na Bree Evans i coś jej gwałtownie wykladała.

A potem popatrzył na odznakę i pomyślał o swoim życiu, cholerynym, bezdusznym idealnym życiu.

Postawił psa na ziemi, odpiął smycz i wrzucił ją do kosza.

Zdezorientowany kundel spojrział na niego wypukłymi oczami. Następnie niepewnie ogarnął wzrokiem dziką okolicę, uruchomił w sobie wewnętrzne zwierzę i potruchtał w dół Main.

Walk także odszedł, przeciął pusty parking, pomasaował sobie ręce i rozciągnął plecy. Teraz kolej na jego ruch, piłka jest po jego stronie. Był odurzony lekami, ociężały, miał trudności w skupieniu się na czymkolwiek.

Stanął przed małym domem i popatrzył. Nie widział ludzi przy pracy, nie wiedział nawet, że stary budynek przechodzi gruntowne zmiany. Dowiedział się o tym godzinę po wyjeździe Marthy, kiedy po raz setny czytał protokoły przesłuchań.

Dee Lane.

Poznała Darke'a w banku First Union, gdzie pracowała jako kasjerka, odkąd Walk pamiętał. Zadzwoił do Leah, kiedy uświadomił sobie, że nie ma aktualnego adresu Dee, i serce zamarło mu na chwilę, kiedy usłyszał, że kobieta dalej mieszka w podupadłym domu przy Fortuna Avenue, tym samym, który należał do Darke'a i którego najem jej swego czasu wypowiedział.

Ale teraz nie był już podupadły: nowe okna, nowa weranda. Drewno świeżo polakierowane i pomalowane, ogródek ze starannie utrzymaną trawą, obsadzony kwiatami. Były też brama i ogrodzenie, duma zamiast dawnej rozpaczki.

Stała w drzwiach, zanim zdążył zapukać, lekko się uśmiechnęła, wpuszczając go do środka.

Wnętrze wyglądało podobnie jak wcześniej, tyle że zniknęły kartonowe pudła ze spakowanym dobytkiem, meble i fotografie w ramach wróciły na swoje miejsca. Poszła zrobić kawę. Spytał, czy może skorzystać z łazienki, i wszedł na górę. Zajrzał do pokoju starszej córki; porzec z Yale, wyjechała dawno temu, ale Walk słyszał, że obie były bardzo bystre. I pokój młodszej, pomalowany na różowo, z nową narzutą na łóżku. Pieniądze nie były po oczach, zauważył jednak nowy telewizor i komputer. Znał imiona dziewczynek, ale teraz kompletnie wypadły mu z głowy.

Wrócił na dół, a Dee zabrała go do ogródka, gdzie usiedli przy małym stoliku. POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

-- Wiem, co sobie myślisz -- powiedziała.

-- Po prostu się cieszę, że Darke pozwolił ci tu zostać. Myślałem, że zburzył ten dom, żeby zarobić miliony.

Napiła się kawy i spojrzała na ocean, jakby się tu dopiero pojawił, a nie tylko odsłonił.

-- No widok to jest.

-- Prawda. Prawie nie mogę w to uwierzyć, kiedy się budzę rano. Teraz wcześnie, po piątej. Lubię patrzeć na wschód słońca nad wodą. Widziałeś to kiedyś, Walk?

-- Pewnie.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się, jakby tylko to powstrzymywało ją przed krzykiem. Wiedział, co zrobiła, ona to wiedziała, ale wciąż musieli wygłosić wiele kwestii, odegrać nużącą szopkę.

-- Więc mówisz, że byłaś wtedy z Darkiem. Tamtej nocy. Kiedy Star została zamordowana.

Dee aż się wzdrygnęła, jakby to nie było konieczne.

-- Już przez to przechodziliśmy.

-- Owszem.

-- Wyglądasz na zmęczonego, Walk.

Uspokoił rękę, schował ją pod stół, zdjął okulary przeciwsłoneczne, bo chmury zakryły słońce.

-- On tu był, wtedy, w nocy. Co robiliście? Przypomnij mi.

-- Pieprzyliśmy się -- powiedziała beznamiętnie.

Jeszcze niedawno zaczerwieniłby się na coś takiego. Teraz uśmiechnął się smutno. Ale nie było w nim nienawiści.

-- Pracowałam przez całe moje... -- Głęboko się zaciągnęła. -- Płaciłam podatki, wychowałam dzieci, nie zamordowałam męża, który mnie zdradzał. Nigdy nic nikomu nie zabrałam.

Napił się kawy; była za gorąca, żeby uchwycić smak.

-- Wiesz, ile zarabiam przez rok, Walk?

-- Za mało.

-- Nie płacił mi alimentów. To sprawiedliwe? Wszystko ukrywał i nie musiał płacić na dziewczynki, które sprowadził na świat. -- Spuściła wzrok. -- A dzieci Radley. Czy one...

-- Ich matka nie żyje.

-- Jezu, Walk. -- Przejechała ręką po włosach. Miała cienkie nadgarstki z nabrzmiałymi żyłami. -- Utrudniasz mi wszystko bardziej, niż trzeba. Wsadziliście już kogoś za kratki, prawda?

-- Nie pomyślałaś o tym, żeby zapytać Darke'a, gdzie wtedy był.
Odrzuciła głowę w tył, rozchyliła usta i wydmuchała dym.

-- Dostałaś przynajmniej coś w zamian?

-- Nie wiem, o czym mówisz. -- Miała łzy w oczach.

-- Mogę cię wezwać, oficjalnie przesłuchać. Wiesz, co grozi za krzywoprzysięstwo?

Może mógłby udowodnić, że Darke skłamał, ale to głównie znaczyło, jeśli nie miał nic więcej.

Zamknęła oczy.

-- Nie mam żadnej rodziny. Tylko ja i dziewczynki. Nikogo więcej.

Nie odebrałyby matki dzieciom. Konsekwencje byłyby zbyt okrutne. Wiedział to z rozmów z Halem, widział, co działo się z Duchess i Robinem.

-- Potrzebuję czegoś. Przysługi. Może nic to nie da, ale potrzebuję.

Nie spytała nawet, o co chodzi, po prostu od razu kiwnęła głową.

Pochylił się i dotknął jej ręki; westchnęła i mocno ją chwyciła, jakby chciała go zatrzymać, jakby mogła wycisnąć z niej rozgrzeszenie.

Sypiała zawsze naj płytszym ze snów, więc wstała natychmiast i na-
ciągnęła sweter i dzinsy, kiedy tylko usłyszała stukanie. Robin spał
obok niej, głęboko, zwinięty w kłębek, tak jak kiedyś w pokoju rodzin-
nym w szpitalu Vancour Hill.

Przy oknie dała znak ręką, znalazła trampki, po cichu zeszła po
schodach i wyszła na zimną noc.

Miał szalik i wełnianą czapkę, a rower oparł przy bramie.

-- Kurwa, Thomasie Noble'u. Walileś kamieniami w okno Mary
Lou.

-- Przepraszam.

-- Jak długo tu jechałeś?

-- Wyszedłem po kolacji, powiedziałem mamie, że nocuję u kolegi.

-- Nie masz kolegów.

-- Czasem wychodzę do Walta Gurneya.

-- Tego chłopaka z okiem?

-- Zараża tylko przy dotyku.

Miał tak grubą kurtkę, że wyglądał jak owinięty w opony.

Poszli razem długim podjazdem. Za bezlistnymi drzewami znajdo-
wał się mały staw. Robin spędził tam z wędką godzinę, zanim pani Pri-
ce powiedziała mu, że nie jest zarybiony.

Usiedli na kamiennej ławce pod połówką księżycy i jasno świecący-
mi gwiazdami.

-- Powinieneś nosić rękawiczki z pięcioma palcami. Nawet Robin
nie nosi takich z jednym.

Thomas Noble sięgnął, wziął ją za rękę i pochuchał na nią, przygo-
tował się na ochrzan, ale ona nic nie powiedziała.

-- Byłaś w gazecie. I wszystko, co się stało. Mam wycinki.

-- Wszystko widziałam.

-- Chciałbym, żebyś wróciła do szkoły.

Spojrzała na uśpiony dom, na sąsiadów obok. Wstaną, pójdą do pracy, opłacą rachunki. Pojadą na wakacje. Będą się martwić o pensje i wywiadówki, jaki następny samochód kupić i gdzie spędzić Boże Narodzenie.

-- Lubilem Hala. Był trochę straszny i w ogóle, ale lubilem go, dokładnie za to samo. Naprawdę bardzo mi przykro, Duchess.

Gniotła śnieg ręką, aż zaboląło ją do kości.

-- Myślę, co robić dalej. Żeby znów swobodnie oddychać. Nie mogę tego spieprzyć, tyle wiem. Ta dziewczyna, Mary Lou... najchętniej ujebałabym piździe łeb.

Thomas Noble nacisnął mocniej czapkę na uszy.

-- Muszę wrócić do Cape Haven. Obiecałam Robinowi, że znajdę dla nas dom, tym razem na zawsze. Tylko to się dla niego liczy.

-- Spytałem mamę, czy nie moglibyście zamieszkać u nas, ale...

Machnęła tylko ręką, zbywając go.

-- Zabawia się z listonoszem tak gorliwie, że wkrótce będziesz mieć rodzeństwo.

Zmarszczył brwi.

-- Nie potrzebuję nikogo... ale mój brat jest jeszcze mały. Myślisz, że istnieje coś takiego jak akt całkowitej bezinteresowności, Thomasie Noble'u?

-- Jasne. Poszłaś ze mną na bal.

Uśmiechnęła się.

-- Lubię zimę najbardziej ze wszystkich pór roku i myślę, że w Montanie mamy jej aż w nadmiarze.

-- Dlaczego?

Podniósł chorą rękę, rękawiczka z jednym palcem całkowicie ją skrywała.

-- To dlatego nosisz te rękawiczki.

-- Tak.

-- Był taki banita, William Dangs, cholernie dobrze strzelał i złapali go dopiero wtedy, kiedy obrabował trzy banki. Nie miał jednej ręki, od ramienia.

-- Serio?

-- Tak.

W tej chwili była zadowolona, że nie znał jej opowieści.

Zaczęła się trząść.

Zdjął kurtkę i narzucił jej na ramiona.

Teraz on zaczął się trząść.

-- Mogą nas odesłać gdzieś bardzo daleko. Jeśli w ogóle nam coś znajdą, może to być gdziekolwiek w całym kraju.

-- Pojadę tam. Bez względu na to, gdzie to będzie.

-- Nie potrzebuję nikogo.

-- Wiem. Jesteś najtwardszą dziewczyną, jaką znam. I najładniejszą. I wiem, że pewnie mnie uderzysz, ale myślę, że mój świat stał się nieskończenie lepszy, odkąd się w nim pojawiłaś. Wcześniej byli tylko tacy, co się ze mnie śmiali, wytykali palcami i szeptali za plecami. Ale teraz już nie. I wiem, że...

Wtedy go pocałowała. Jej pierwszy pocałunek, jego też. Miał zimne usta i zimny nos na jej policzku. Był zbyt zaskoczony, żeby oddać pocałunek. Odsunęła się i odwróciła do stawu.

-- Milcz -- rzuciła.

-- Nic nie powiedziałem.

-- Ale chciałeś.

Wydechali parę.

-- Hal powiedział, że koniec jest początkiem.

-- To gdzie jesteśmy teraz?

-- Nie jestem pewna, czy to ma znaczenie.

-- Gdziekolwiek jesteśmy, mam nadzieję, że zostaniemy tu trochę dłużej.

Przez chwilę trzymali się za ręce. Potem wstali i poszli przez ogród, gdzie głęboko zagrzebana w ziemi spała wiosna. W domu znajdowała się jej walizka i był tam jej brat, nic więcej nie miała na tym świecie. Nie mogła się zdecydować, czy to ją czyni wolną, czy tak straszliwie przekłętą.

Thomas Noble wyciągnął rower z za bramy i starł śnieg z siodełka.

-- Jak mnie znalazłeś? -- spytała i oddała mu kurtkę.

-- Mama rozmawiała z twoją opiekunką społeczną.

-- No tak.

Wsiadł na rower.

-- Hej. Dlaczego tu dziś przyjechałeś?

-- Chciałem się z tobą zobaczyć.

-- No i? Widzę przecież. Powiedz mi.

-- Szukam go. Tego Darke'a. Codziennie po szkole jadę na farmę Radleya i chodzę po terenie.

-- Może być tak, że znajdziesz zwłoki.

-- Taką mam nadzieję.

Do końca podjazdu Price'ów odpychał się nogami. Wyszła z nim na ulicę. Skrzynki na listy stały równym rzędem, każda z wypisanym nazwiskiem. "Cooper", "Lewis", "Nelson". Robin lubił czytać nazwiska, wyobrażał sobie, że mieszka w tych domach.

-- Thomasie Noble'u.

Zatrzymał się, oparł na jednej nodze i spojrział przez ramię.

Podniosła rękę.

Podniósł swoją.

Kiedy wróciła do pokoju, znalazła zapłakanego Robina, przyklejonego do ściany, z głową między rękami.

-- Co się stało?

-- Gdzie byłaś? -- wychlipał.

-- Thomas Noble tu był.

-- Łóżko.

Spojrzała na zwinięte w kłęb prześcieradło.

-- Łóżko jest mokre -- powiedział zrozpaczony. -- Przyśniła mi się tamta noc. Słyszałem to. Słyszałem głosy.

Przytuliła go mocno i pocałowała w głowę. Potem pomogła mu zdjąć spodenki i koszulkę, wsadziła pod prysznic i umyła.

Po wszystkim przebrała go w czystą piżamę i położyła w swoim łóżku. Spał już, kiedy zajęła się zdejmowaniem materaca.

Walk leżał w łóżku i zmagał się z faktami, które już znał. Dickie Darke skłamał w sprawie alibi na noc, kiedy Star została zamordowana. Milton złożył mu wizytę. Może wyjechali razem na polowanie. Ale Walk tego nie kupował. Milton zaginął. Walk podjechał do niego i zastał dom ciemny i pusty. Nie było takiego miejsca, gdzie mógł zanoć, motelu czy czegoś innego. Milton spał pod namiotem, polował, przemieszczał się po polach w samotności, którą tak ciężko mu było znieść w Cape.

Na godzinę przed świtem Walk wstał, ubrał się, wypił kawę, a potem wsiadł do samochodu i pojechał do Cedar Heights.

Nocą przy bramie nikt nie stróżował, więc zostawił radiowóz za drzewami, kołyszącymi się pod jaśniejącym niebem, przeszedł przez podjazd i skorzystał z bocznej furtki.

W żadnym domu nie było oznak życia, po drugiej stronie ulicy też. Szedł, nie kryjąc się, z podniesioną głową, bez wątpienia widoczny w kamerach. Nie wiedział, czy to przez brak snu, czy z powodu drżenia ciała, ale tego ranka miał w dupie problemy, które może na siebie ściągnąć.

Podszedł do furtki z boku domu, otworzył ją i wszedł do ogrodu, a potem zamarł. Tylne drzwi pozbawione były szyby, usunięto ją delikatnie, żeby nie robić hałasu. Pomyślał o facetach, którzy szukali Darke'a, i ostrożnie nacisnął klamkę.

W środku nic się nie zmieniło; szedł przez dom, wyłączony telewizor, plastikowe owoce w misce, schody, pokoje, wszystko urządzone tak, jakby idealna rodzina wyszła na godzinę, żeby zainteresowane osoby mogły wejść i przyjrzeć się ich życiu.

Zajrzał pod łóżko, odsunął kołdrę i wytrząsnął na podłogę zawartość poduszek. I wtedy coś znalazł, zupełnie nie na miejscu. Tu, w łóżku, sweterek, mały i różowy. Dziewczęcy sweterek. Pomyślał, żeby go włożyć do torby i zabrać, a potem wyjaśnić wszystko Boydowi. Ale zostawił go na miejscu, tylko zapisał znalezisko w notesie, żeby nie zapomnieć.

Wtedy rozbłysło światło.

Schylił się i przesunął pod okno, w tym momencie usłyszał samochód na jałowym. Zaryzykował zerknięcie przez okno i zobaczył sedana, innego niż poprzednio, ale z tymi samymi facetami. Brodaty opuścił szybę, twarz oświetlona przez żar papierosa. Popatrzył na dom.

Walk liczył uderzenia serca.

Piętnaście minut później wrzucili wsteczny i powoli odjechali. Zapi-
sał numery rejestracyjne, może się przydadzą.

Wrócił do kuchni, zapalił światło i przeszukał szafki.

Prawie to przegapił.

Przyklęknął i dokładnie obejrzał płytki.

Bez wątpienia krew.

Trzy godziny zajęło sprowadzenie policyjnych techników, a i to w
ramach przysługi. Tana Legros właśnie kończyła zmianę, kiedy za-
dzwonił. Walk nakrył kiedyś jej syna na paleniu trawy. Podczas impre-
zy, którą rozpędził w Fallbrook. Rozpoznał nazwisko chłopaka i od-
wiózł go do domu, zamiast spisać. Tana miała być mu za to wdzięczna
do końca życia.

Kiedy Moses stawiał się w dyżurce przy bramie, Walk najpierw pró-
bował się z nim dogadać, ale w końcu uznał, że najłatwiej będzie unik-
nąć pytań, dając mu dwudziestaka.

Wrócił na miejsce i znalazł na tyłach mały gabinet. Komputer był
plastikowy, pusty w środku i wyglądał jak prawdziwy.

Przyjechała Tana z facetem, młodym, metodycznym i gorliwym. Fa-
cet zatrzymał się i podniósł brew, kiedy Tana założyła maskę. Wskazała
w kierunku kuchni, zaciągnęli żaluzje, roztwór luminolu rozświetlił
podłogę.

-- Jezu -- powiedział Walk. -- Krew?

-- Tak -- potwierdziła Tana.

-- Dużo?

-- Tak.

-- Możesz ją zbadać?

-- Masz nakaz? Możesz tu być?

Nic nie powiedział.

-- W takim razie chyba nie mogę usunąć tej płytki.

-- Szkoda.

-- Wezmę wacik i przyłożę do niej. Dasz mi więcej informacji, a ja opracuję profil. Do niczego nie dojdę, jeśli nie ma nic w systemie.

Pomyślał o facetach ścigających Darke'a. A potem przyszedł mu na myśl Milton.

Wysiadł z radiowozu na chodnik i podbiegł do domu Milтона od frontu. Załomotał do drzwi.

-- Milton! -- krzyknął, cofnął się na ulicę i spojrzał w okna na piętrze. Usłyszał za sobą hałas, odwrócił się i zobaczył Brandona Rocka podlewającego trawnik.

-- Widziałeś Milтона?

-- Ma urlop.

Brandon wyglądał okropnie: ciemne okulary, zarośnięty, włosy oklapnięte.

-- Wszystko gra?

-- Leah ci nie powiedziała?

-- O czym?

-- Oni już w ogóle ze sobą nie rozmawiają. Pewnie nawet nic nie wie. -- Brandon ledwo bełkotał.

-- O czym nie wie, Brandon?

-- Ed mnie wylał.

Walk zbliżył się o krok i wyczuł alkohol.

-- Mnie, Johna i Michaela.

-- Przykro mi.

Brandon machnął ręką, odwrócił się i ruszył chwiejnie w stronę domu.

-- Upadający rynek. Rozwalona gospodarka. Kompletna ściema. Ed doprowadził firmę do ruiny. Wóda, kobiety. Łaził do The Eight częściej ode mnie, a ja tam prawie mieszkałem.

Walk przysunął kontener na śmieci, stanął na nim, podciągnął się i przeskoczył przez boczną furtkę do ogrodu Milтона z tyłu domu. Zaboląły go kości, kiedy wylądował na ziemi.

Pod sztucznym kamieniem znalazł klucz. Pięć lat temu Milton przygarnął bezdomnego psa, chudego kundla, którego tak upasł, że zwierzę wyzionęło ducha rok później. Zeżarł jednak tyle mięsa, że odszedł szczęśliwy. Walk karmił psa, kiedy Milton był na pogrzebie ojca.

Wszedł do środka.

Od razu wyczuł krew; pomyślał, że Milton przenosił ten zapach na wszystko, na czym usiadł. Zobaczył kalendarz na ścianie z zaznaczonymi dwoma tygodniami i datą, kiedy rzeźnik miał ponownie otworzyć sklep.

-- Milton! -- zawołał głośno, na wypadek gdyby facet się kąpał; taki widok mógłby prześladować go w koszmarach sennych przez całą wieczność.

Salon był pusty.

Wszedł po schodach, zajrzał do pokoju gościnnego. Materac na podłodze, brak pościeli. Przeszedł do głównej sypialni.

Było czysto, gruby koc na łóżku zamiast kołdry, stara toaletka z lustrem, może należała kiedyś do jego matki. Na ścianie u wezglowia łeb jelenia oprawiony w mahoń. Martwe oczy kazały Walkowi zastanowić się, jaki typ człowieka chciałby codziennie patrzeć na coś takiego.

Stał też regał z książkami -- wszystkie o polowaniu, sidłach, z mapami dzikich zakątków. Nic o astronomii.

Podszedł do okna, zobaczył teleskop marki Celestron i przeciągnął po nim palcem. Warstwa kurzu była tak gruba, jakby przyrządu nie używano od roku.

Pochylił się, spojrział przez okular i aż wstrzymał oddech, kiedy odkrył, że teleskop wcale nie jest skierowany w niebo, tylko na dom po drugiej stronie ulicy.

W konkretne okno.

Okno sypialni Star Radley.

Pomyślał o Miltonie, który zawsze oferował pomoc, pożyczał co-manche'a, wystawiał śmieci, dawał Duchess kawałki mięsa. Walk uważał, że to dobry, nierozumiany człowiek, trochę oderwany od rzeczywistości, ale w głębi ducha przyzwoity. Przeklął pod nosem i zaczął przetrząsać szuflady.

Walizkę znalazł pod łóżkiem, wywlókł ją i rzucił na materac.

"Straż sąsiedzka", nabazgrano flamastrem na wierzchu. W środku panował porządek, zdjęcia starannie skatalogowano.

Były ich setki. Niektóre z polaroida, inne lepszej jakości. Wyciągnął jedno i zobaczył Star bez ubrania, z gołymi piersiami, w samych majtkach. To był główny temat. Na niektórych była ubrana, pracowała w ogródku, w polu widzenia znaleźli się czasem Duchess i Robin, ale wyraźnie nie oni byli celem. Odrzucił te nagie: Star pochylona, Star rozebrana do snu.

-- Milton, ty skurwysynu.

Niektóre były stare, dziesięć lat podglądania. Na kilku zauważył faceta, z którym się kiedyś spotykała. Walk nie pamiętał, jak się nazywał. Zgadywał, że Milton czaił się, żeby ich przyłapać na seksie; ale zamiast tego miał serię ujęć, jak Star całuje go na dobranoc, a potem facet wynosi się do salonu.

Potem zmarł.

Teczka podpisana "14 czerwca".

Dzień, w którym Star została zamordowana.

Drżącą ręką przerzucił strony, potem znów przeklął, kiedy zobaczył, że są puste.

Jeszcze raz się rozejrzył, po czym zadzwonił. Odebrała Leah Tallow, wydawała się wstrząśnięta, kiedy jej wszystko opowiedział.

Już on sobie pogada z Miltonem, jak tylko go znajdzie.

Przywykli do niekompletnego życia.

Rano śledzili w milczeniu wzrokiem, jak Mary Lou i jej brat zbierają przyjaciół po drodze do szkoły. Grupa oglądała się, szeptała i śmiała. Raz Duchess poślizgnęła się na lodzie, rozdarła džinsy i rozcięła kolanem. Nikt się nie zatrzymał, żeby pomóc. Utykała w ciszy, niosąc plecak brata i własny.

Pani Price położyła plastikowe prześcieradło na łóżku Robina. W nocy szeleściło tak głośno, że przychodził spać do Duchess.

Spotkali się z dwoma małżeństwami.

Pierwsza para, państwo Kolene. Duchess wiedziała, że Shelly sporo się natrudziła, żeby ich skłonić do spotkania, które odbyło się na placu zabaw w parku przy Twin Elms Avenue. Duchess huśtała Robina, a Kolene'owie i Shelly usiedli na ławce, wyjęli termos z kawą i gapili się na nich, jakby byli atrakcją w zoo.

-- Na co się tak, kurwa, gapią? Mamy robić jakieś sztuczki czy co?

-- Cicho, bo usłyszą.

Duchess wyjęła chusteczkę z kieszeni i wydmuchała nos, po czym wróciła do huśtania brata, a Shelly uśmiechnęła się do niej.

-- Typ wygląda jak bibliotekarz.

-- Dlaczego?

-- Przez te okulary. I kamizelkę. Myślę, że są za starzy na dzieci w naturalny sposób i szukają czegoś z drugiej ręki. Może ma problemy ze spermą albo ona jest jałowa jak Mojave.

Robin wytrzeszczył oczy.

-- Jak to jałowa?

-- Może ma martwe narządy.

-- Wygląda zdrowo.

-- Widzę, że zgorzknienie sączy się jej z porów. Powinna była zamrozić jajeczka. I tak nas nie pokocha.

-- Ale nikt inny nie przyszedł.

-- Znajdą się. Shelly powiedziała, żebyśmy byli cierpliwi, prawda?

Opuścił wzrok.

-- Prawda?

-- Tak. Tak myślę.

-- Oni ich wszystkich sprawdzają. Prześwietlają. Chodzą na specjalne zajęcia, żeby się nauczyć być rodzicami.

Rozhuśtała go wyżej, aż łańcuchy zaczęły szarpać, a chłopiec krzyczał i śmiał się głośno. Podziwiała jego zdolność przystosowania się do każdej sytuacji, sposób, w jaki uśmiechał się do państwa Price'ów, tak na wszelki wypadek, wystarczała mu sama nadzieja, że mu odpowiedzą.

Duchess ciężko pracowała, żeby utrzymać swój temperament na wodzy, nie reagowała na złośliwe uśmieszki Mary Lou, nie odzywała się, kiedy Henry nie chciał podzielić się grami z Robinem. Głęboko zagrzebała część siebie, myśli o Halu, o tym, jak umarł. Oglądała stare westerny, czytała książki, wiedziała, że pragnienie zemsty może tak bardzo wpłynąć na życie, że zniszczy wszelkie dobro, jakie człowiek kiedykolwiek w sobie miał.

To Walk powstrzymał ją przed zrobieniem czegoś głupiego, zakotwiczył w niej dobro, sprawił, że skupiała się na przyszłości, a nie na teraźniejszości. Walk przypomniał jej, że ludzie mogą być dobrzy. To dzięki niemu nie podeszła teraz do Shelly i Kolene'ów i nie powiedziała im, żeby poszli w pizdu, że zajmuje się Robinem przez całe jego życie i nie zamierza przestać. Pani Kolene podniosła rękę, a Robin uśmiech-

nał się radośnie i pomachał najmocniej, jak potrafił, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Ledwo z nimi porozmawiali, parę pytań z rozwlekłym akcentem Środkowego Zachodu, bez szans, żeby ich wzięli, ot, kolejna para szukająca spełnienia, która z góry wie, że dzieci Radleyów jej tego nie zapewnią.

-- Brak chemii -- powiedziała Shelly w drodze powrotnej do Price'ów.

Tego wieczora pani Price była na nich ostro wkurzona, jakby źle odegrali swoje role, jakby już była nimi zmęczona i chciała młodsze, świeższe twarze, żeby je ciągać co niedzielę do kościoła i chwalić się na prawo i lewo.

Następne spotkanie poszło bardzo źle. Państwo Sandford. On był emerytowanym wojskowym w stopniu pułkownika, ona gospodynią domową w pustym domu.

Usiedli na tej samej ławce z Shelly i prowadzili z nią niezobowiązującą rozmowę, oceniając dzieci. Pułkownik śmiał się i klepał żonę w kolano tak mocno, że musiał zostawiać ślad.

-- Będzie nas bił -- przepowiadała Duchess ze swojego stanowiska przy huśtawce.

Robin gapił się na niego.

-- Pewnie każe ci ogolić głowę na лыso i zaciągnąć się do wojska.

-- Ale może ona nauczy cię piec ciasta.

-- Chuj jebany.

-- Powiedziałas to za głośno.

Zobaczyli, że pułkownik na nich patrzy. Duchess zasalutowała. Shelly uśmiechnęła się nerwowo.

Na początku marca zaczęła się odwilż. Co wieczór Duchess siadała przy oknie i patrzyła, jak woda kapie miarowo, a kolory powoli wracają

do Montany. Co rano wstawało zimne słońce, ale słońce to zawsze słońce. Topniał śnieg na chodnikach, ogródki wylaniały się spod zasp, świdośliwy obsypały się białymi kwiatami, które sięgały w niebo. Obserwowała zmiany, ale nie potrafiła dostrzec w nich piękna.

Duchess szła przez swoje małe życie bez uczuć, każdy ruch wykonywała tak automatycznie, że czasem zapomniała, jaki jest dzień tygodnia. Dbała o Robina, chodziła z nim do szkoły, ignorowała Mary Lou i jej pomagierkę Kelly, kiedy krytykowały jej buty, top, stan dzinsów. Shelly przyjeżdżała co tydzień, czasem zapraszała ich na lody, a raz nawet do kina. Robin opowiadał o nowej rodzinie, że tata będzie taki jak Hal, nauczy go wędkować i grać w piłkę. Z każdym mijającym dniem ścisnął tę wiarę w małych rączkach coraz mocniej.

Pewnej soboty Shelly zabrała ich na farmę. Proces spadkowy miał ciągnąć się miesiącami, więc nadal należała do Radleyów, chociaż już niedługo. Po drodze zgarnęli Thomasa Noble'a.

Piękny wiosenny ranek. Robin pokazał Shelly kurnik i opowiedział, co musiał przy nim robić. Duchess i Thomas Noble przeszli się po polach pszenicy, których nie obsiano, pozostały polacie chwastów i góry ziemi. Ogarnął ją smutek tak dojmujący, że przez dłuższą chwilę nie mogła rozmawiać. Hal był w każdym stawianym przez nią kroku, czuła zapach cygar, kiedy weszli na werandę i usiedli na huśtawce. Oparła się, łańcuchy zaskrzypiały; chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. Była na pastwisku, gdzie kiedyś biegała siwka, tęskniła za nią równie mocno jak za dziadkiem.

Potem odjechali z farmy w ciężkim milczeniu. Robin płakał. Trzymała go za rękę. Kiedy wrócili do Price'ów, usiedli beczynn timer na krawężniku i patrzyli na dzieci sąsiadów jeżdżące na rowerach. Było ciepło, do lata jeszcze trochę brakowało, ale już dawało o sobie znać.

-- Znalazłam kogoś -- powiedziała Shelly.

Duchess usłyszała coś w jej głosie, jakiś nikły sygnał, ale coś tam było. Coś innego niż dotąd.

-- Kogo? -- spytał Robin.

-- Nazywają się Peter i Lucy. Są z Wyoming, kiedyś tam pracowałam. Szukali jednego dziecka, ale kiedy im opowiedziałam, jacy jesteście wyjątkowi...

-- Skłamała pani -- stwierdziła Duchess.

Shelly uśmiechnęła się i podniosła rękę.

-- Posłuchajcie. Mieszkają w małym miasteczku, on jest lekarzem, ona nauczycielką w trzeciej klasie.

-- Jakim lekarzem?

-- Prawdziwym lekarzem?

-- Psychiatrą? Bo jeśli tak, nie chcę, żeby jakiś facet mieszał mi w głowie.

-- Zwykłym lekarzem. Prowadzi praktykę. Sprawia, że chorzy ludzie wracają do zdrowia.

-- Podobają mi się -- powiedział Robin.

Duchess westchnęła.

-- Możecie się z nimi spotkać w następny weekend, jeśli chcecie.

Robin patrzył prosząco na Duchess, aż w końcu kiwnęła głową.

Jechali piątką z Medford do Springfield jej toyotą prius.

Sto mil za Salem zostawili jasne światła i gładki asfalt i zjechali na wyboiste ciemne drogi, które biegły przez Marion i te miasteczka, które istnieją wyłącznie na bardzo starych mapach.

Martha spała. Kiedy nawierzchnia się poprawiła, a trasa wyprostowała, Walk pozwolił sobie trochę pooglądać widoki za oknem i wtedy

poczuł ostry ból, powracający do niego od dnia, w którym ponownie wkroczył w jej życie. Wyglądała spokojnie, łagodnie, tak pięknie, że czasem walczył z pokusą, żeby ją pocałować.

Świt nastał nad autostradą Calasade. Walk był tak zmęczony, że najechał na podwójne żółte linie, aż Martha wyciągnęła rękę i delikatnie skorygowała tor jazdy.

-- Powinieneś zjechać na pobocze.

-- Jest okej.

Na Silver Falls patrzyli, jak słońce wyłania się zza gór i barwi pola na tuzin odcieni zieleni. Na obiad zjedli jajka z bekonem i wypili kawę tak mocną, że Walk poczuł, jak z powrotem stawia go na nogi.

-- Już niedaleko -- powiedziała Martha znad mapy rozłożonej na stoliku.

Jechali do Unity, prywatnego ośrodka opieki zdrowotnej w Silver Falls. Na konto tej placówki Dickie Darke robił przelewy od samego początku istnienia jego rachunku w banku. Dee wszystko sprawdziła; zapukała do drzwi Walka wczoraj wieczorem i dała mu kartkę z nazwiskiem odbiorcy.

Trzy filizanki kawy i wyszli; kofeina krążyła w żyłach Walka, gdy park stanowy Silver Falls zbliżał się do nich coraz bardziej. Martha pilotowała i niedługo na poboczu pojawiły się drzewa. Nad stromymi zielonymi zboczami rysowały się skały. Walk otworzył okno i wpuścił do środka szum wodospadu.

Skręcili jeszcze raz i dotarli do bramy. Walk zadzwonił wcześniej, powiedział, że chce się rozejrzeć. Podał nazwisko do domofonu i zobaczył, że brama się otwiera.

Podążyli długą drogą, aż wyłonił się przed nimi budynek szpitala, zgrabny i nowoczesny, ciemne ramy okien kontrastowały z piaskową

cegłą; wyglądał bardziej jak kompleks luksusowych mieszkań pośród drzew niż szpital.

Kobieta nazywała się Eicher i wyszła im na spotkanie z serdecznym uśmiechem. Zaprowadziła ich do olbrzymiego holu z nowoczesną rzeźbą, która mogła przedstawiać orła. Panował tu spokój, lekarze przechodzili bez pośpiechu, pielęgniarki poruszały się powoli, bez nerwowości. Na początku Walk pomyślał, że może to jakieś miejsce odosobnienia. Ustronna przystań dla zabieganych dyrektorów, żeby mogli się wyciszyć. Ale wtedy Eicher wróciła do nich i zaczęła im opowiadać, jakie rodzaje usług świadczą, jak bardzo skomplikowane potrzeby pacjentów zaspokajają przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Ruchy miała zdecydowane, mimo dodatkowych pięćdziesięciu funtów, które na sobie nosiła. Mówiła z trudnym do ustalenia akcentem, może niemieckim, ale głęboko ukrytym pod lokalnymi naleciałościami. Nie pytała, do kogo przyjechali. Walk wspomniał przez telefon, że krewny potrzebuje pomocy, specjalistycznej opieki. Eicher poprosiła, by przyjechał i sam się rozejrzał, niezobowiązująco, ważne, żeby dobrze dopasować miejsce, nie śpieszyć się.

Martha stała obok i milczała, zwróciła jednak uwagę na przestronne pokoje dzienne, windy i dywany tak grube, że zapadały się w nich stopy.

Eicher opowiedziała im o historii miejsca, o bliskości parku stonowego i panującym tu spokoju. Są przygotowani na każdą możliwą sytuację, mają pięciu lekarzy pod telefonem i trzydzieści pielęgniarek.

Oprowadziła ich po ogrodach, które ciągnęły się wzdłuż strumienia za niskim ogrodzeniem. Walk zobaczył przy drzwiach dwóch portierów z papierosami. Eicher zabiła ich spojrzeniem, więc szybko zgasili i odeszli.

-- Mogę zapytać, gdzie nas państwo znaleźli? -- spytała.

-- Przez przyjaciela, Dickiego Darke'a.

Uśmiechnęła się, miała białe zęby i przerwę między jedynekami.

-- Ojca Madeline.

Walk nie odpowiedział.

-- To wyjątkowa dziewczynka. A pan Darke jest tak silny, mimo że stracił żonę w taki sposób. Znali państwo Kate?

Martha przesunęła się o krok naprzód.

-- Niezbyt dobrze.

Eicher spojrzała na nich smutno, jedyne pęknięcie na nieskazitelnej fasadzie.

-- Pochodziła stąd, wychowała się w Clarkes Grove. Madeline jest jej kopia.

Odprowadziła ich do wyjścia przez budynek, wzięli broszurę i obiecali zadzwonić. Walk nie musiał już dalej wypytywać. Dostał to, po co przyjechał.

-- Przekáže mu pan pozdrowienia? Mam nadzieję, że szybko wraca do zdrowia -- powiedziała Eicher.

Walk odwrócił się do niej; dobrze odczytała jego spojrzenie.

-- Przykro mi. Ten wypadek. Dickie utyka, mówił, że się poślizgnął.

Walk poczuł, że krew szybciej krąży mu w żyłach.

-- Kiedy to było?

-- Może z tydzień temu. Niektórych prześladowuje pech. -- Eicher do-rzuciła kolejny uśmiech, a potem ich zostawiła.

Przejechali piętnaście mil do Clarkes Grove, tam poszli spacerem kolorową Main Street, tak bardzo odległą od tej w Cape. Walk z miejsca polubił to miasteczko. Znaleźli starą miejską bibliotekę na końcu ulicy, klimatyczną, ale podniszczoną, jakby utrzymywała się wyłącznie

z datków. W środku było pusto, ciemnowo i chłodno, zapach przeniósł Walka do Portoli, gdzie spędził dwa lata w college'u.

Starsza pani za biurkiem nie podniosła wzroku znad monitora, więc poszli na tył, do stanowisk z komputerami. Martha wzięła się do pracy, siedziała blisko Walka, ich nogi się stykały. Obserwował ją: zmarszczone brwi, unosząca się w oddechu pierś.

-- Gapisz się na mnie, komendancie?

-- Skąd. Przepraszam. Nie.

-- To niedobrze.

Zaśmiał się.

Wpisała szybko "Kate Darke" i wyszukiwarka wyrzuciła kilkanaście trafień. Czytali w milczeniu: wypadek samochodowy, Kate zginęła na miejscu, a Madeline Ann odniosła poważne obrażenia mózgu. Były zdjęcia: lód, ford, który stoczył się z drogi i zjechał stromym poboczem prosto na drzewa, kompletnie rozbita przednia szyba. W tle jezioro, The Eight, jedyne spokojne miejsce w kadrze.

Fotografia rodziny sprzed tragedii.

Martha zrobiła duże powiększenie i Walka zaskoczył widok Darke'a -- brakowało tego bezdennie pustego spojrzenia.

-- Więc Madeline teraz powinna mieć czternaście lat -- stwierdziła Martha.

-- Tak.

-- Jezu, jest w ośrodku od dziewięciu lat. Mniej więcej w tym czasie Darke zaczął swoje interesy. To kupa kasy.

Walk znalazł jeszcze jeden artykuł, całkowicie poświęcony Madeline i opiece, jaką dostaje w Unity. Mówił dużo, ale tak właściwie nic. Dziewczynkę utrzymywała przy życiu maszyna.

Darke liczył na cud.

Harbor Bay.

Walk dojechał tu w trzydzieści minut, nie zapalał świateł, bo na Ca-brillo wiało pustką. Telefon złapał go godzinę po powrocie z Portland.

Wysiadł z radiowozu przy bramie i poszedł wzdłuż podskakujących na falach trawlerów, błyszczącego baylinera i szeregu navigatorów. W lukach między burtami chlupało. Zobaczył ławicę sumów, która skręciła, gdy starszy mężczyzna wysypał resztki przynęty.

Zmącona woda, słona bryza, wszechogarniający strach.

Trawler ze stoczni Reynolds był z siedemdziesiątego trzeciego, ale wyglądał na nowszy, świeżo odmalowany, z niebieskimi elementami. Na pokładzie stał Andrew Wheeler, wbijał wzrok w załamujące się fale.

Walk trochę go znał. Andrew parę razy spotkał się ze Star.

W oddali widać było Cape, klify, pas ziemi zbiegający do plaży i dom Kinga, górujący nad wszystkim. Andrew nadal pracował ze Skipem Douglasem, tak starym i marudnym, że ledwo się odzywał na lądzie. Skip zszedł na pomost, kiwnął głową Walkowi i skierował się na parking, bez wątplenia po parę piw, żeby mogli odreagować ten dzień.

Podszedł Andrew, uścisnęli sobie ręce; miał muskularne i opalone ramiona, a na nosie, mimo zmierzchu, okulary przeciwsłoneczne. Światła się kołysały, kiedy Walk wchodził na łódź.

-- Co się stało? -- spytał Walk.

-- Wyłynęliśmy z grupą z miasta, z Sacramento. Trzech przyjaciół z dzieciństwa, chcieli popłynąć do Six Rivers.

Sezon na homary trwał od października do marca. Były limity połowów, ograniczono liczbę, rozmiar i wagę, ale większość klientów chciała po prostu spędzić dzień na wodzie.

-- Płynęliśmy powoli, kiedy Skip mnie zawołał. Sieć się w coś wplątała, często się to zdarza, ale dupa boli zawsze. Czasem naciągam kombinizon i nurkuję, tnę, gdzie trzeba.

Walk oparł się o burzę, chociaż fale były niewielkie.

-- Ale była bardzo ciężka. Skip aż zdjął czapkę i wytarł głowę, a ten facet nigdy się nie poci. Złapałem za kołowrót i zacząłem kręcić. A potem to wyskoczyło na powierzchnię. Goście się porzygali, wszyscy trzej. Mewy krążyły liczniej niż zwykle i stąd wiedziałem, wrzeszczały jak dziki, więc Skip zamknął umarłakowi oczy.

-- Poza tym go nie dotykaliście?

Andrew pokręcił głową i odsunął się na bok.

-- Ci goście tak rzygali, że musiałem go przykryć.

Walk odsunął ręcznik i poczuł, że się dusi.

Milton.

Nabrzmiały, obsypany plamami, opuchnięte oczy.

-- W porządku, Walk?

-- Jezu.

-- Znasz go?

Walk skinął głową. Pomyślał o krwi w domu Darke'a, wkrótce dostanie wyniki, w sumie nie miał już wątpliwości. Coraz więcej kawałków do dopasowania, bardzo nierównych kawałków.

-- Usiądź sobie, źle wyglądasz.

Usiedli na pokładzie i zaczęli na koronera. Andrew dał Walkowi piwo; pił je powoli, aż wróciły mu kolory na twarzy.

-- Lepiej?

-- Nie wydajesz się bardzo wstrząśnięty -- stwierdził Walk.

-- To moje trzecie zwłoki.

-- Poważnie?

-- Jedne były w Jersey, a potem drugie, kiedy pracowałem w Keys. Sporo się dzieje w Cape Haven.

-- Aż za dużo.

Walk przyłożył sobie butelkę do głowy, żeby uśmierzyć ból. Ręka mu drżała, gdy pił, już nawet nie próbował tego ukryć.

-- Widziałem cię na pogrzebie. Przykro mi, nie dałem rady podejść.

-- Andrew stanął przy rufie z pochyloną głową; trwał tak kilka minut, potem usiadł.

Machnął ręką.

-- Byłem... było mi smutno. Cała ta sprawa, kiedy się dowiedziałem. Myślałem o dzieciach, wtedy jeszcze chłopiec był malutki, ale dziewczynka, ona tak się na mnie patrzyła.

Walk pomyślał o Duchess.

-- Wiesz, kto to zrobił? Tamten typ?

-- Może.

Andrew już o nic nie spytał.

Patrzyli, jak nadpływa łódź, światła wisiały nisko nad wodą.

Andrew podniósł swoją butelkę do zachodzącego słońca.

-- Ostatni raz widziałem ją pięć lat temu. Ale ciągle o niej myślę. To nie było nawet... coś poważniejszego, nic z tych rzeczy. Wiesz, kiedy chcesz kogoś zatrzymać przy sobie, ale nie masz pojęcia, jak się do tego zabrać.

-- Spotykaliście się jakiś czas.

-- Może parę miesięcy. Poznałem ją w barze, słuchałem, jak śpiewała, potem postawiłem jej drinka, myślałem, że jest ładna, zabawna i po przejściach, czyli nic niezwykłego w barach, do których chodziłem się napić.

-- A potem?

-- Byliśmy razem, ale nie byliśmy. Prawie jak przyjaciele. Chciałem czegoś więcej.

Walk patrzył na niego.

-- Seks. Nigdy do niczego nie doszło.

Walk zobaczył łódź motorową, zupełnie tu teraz nie na miejscu, białą i krzykliwą, bez wątpienia jakiś urlopowicz sprowadził swoją zabawkę; stare i nowe zderzało się w sposób, który ciągle wywoływał u niego ból. "Na sprzedaż", głosił napis. Walk miał nadzieję, że ktokolwiek ją kupi, zabierze swój nabytek jak najdalej stąd.

-- Była piękna. Ale seks to jest coś. Wiem, że nie o tym teraz rozmawiamy, ale jest ważny. Bez tego co się właściwie ma w związku?

Walk pomyślał o Marcie, charakterze ich przyjaźni, prądach, które go przebiegały za każdym razem, gdy ją widział, wciągających jego myśli tam, gdzie nie powinien się zapuszczać. Zamknęła tę część, która należała do niego, swoje myśli, wszystko przepadło wraz z dzieckiem, które straciła.

-- Mówiła coś o powodach? -- spytał Walk.

-- Powiedziała, że wielką miłość można przeżyć tylko raz. I trzeba mieć szczęście, żeby na nią trafić. Wszystko pomniejsze nie ma znaczenia.

Walk pomyślał o Star. Nie doczekała szczęśliwego zakończenia. Co noc modlił się, żeby dane było to jej dzieciom.

Robin denerwował się spotkaniem.

W poprzedzającą noc leżeli, a on mówił o Peterze i Lucy, jakby ich dobrze znał. Postanowił, że sam też zostanie lekarzem albo nauczycielem. Kazała mu spać, żeby był wypoczęty. Gadał jeszcze dobrą godzinę.

Przygotowała mu krótkie spodenki i koszulkę. Wymienił je na eleganckie spodnie i pogrzebową koszulę. Przymierzył nawet muszkę, ale ją odrzucił. Wyczyścił do połysku buty śliną i papierowymi ręcznikami. Próbowwała mu rozczesać włosy, ale poddała się i tylko je przyklepała.

Sama włożyła džinsy i top, wtedy nakrzyczał na nią, żeby się przebrała w sukienkę. Wybrał jej żółtą kokardę do włosów, a potem spytał, czy nie powinna się trochę umalować. Nie zjadł śniadania, wypił tylko sok, stojąc przy oknie.

-- Musisz wyluzować.

-- A jeśli nie przyjadą?

-- Przyjadą.

Pojechali do parku. Robin milczał, wyglądał przez okno. Duchess widziała, że krzyżuje małe palce. Zaparkowali, wysiedli na słońce, śpiew ptaków i lekki wiatr.

Peter był niski, miał niewielką nadwagę, ale dobrze się z nią prezentował. Lucy uśmiechała się całą sobą -- Duchess pomyślała, że urodziła się po to, żeby być mamą albo nauczycielką w trzeciej klasie. Shelly pomachała i ruszyli w ich stronę.

Peter odwrócił się i gwizdnął. Czarny labrador podniósł łeb, wystawił przednią łapę i wystartował.

-- Mają psa -- szepnął Robin.

-- Po prostu panuj nad sobą i bądź miły.

Robin spojrzał na nią. Zaczekała chwilę, potem kiwnęła głową, a on odwrócił się i pognął do labradora, machając rękami jak szalony.

-- O kurwa.

-- Nie przejmuj się -- powiedziała Shelly.

-- Chciał zabrać walizkę, na wypadek gdyby zdecydowali się nas zabrać od razu.

-- O kurwa -- zgodziła się z nią Shelly.

Mogło być niezręcznie, tak jak w poprzednich przypadkach, ostrożne uściski dłoni i niewiele kontaktu wzrokowego, ale Peter i Lucy od pierwszej chwili byli życzliwi i otwarci. Przedstawili się, opowiadali o długiej podróży, z Jetem, labradorem, z ich małego miasteczka w Wyoming. Peter pobiegł z Robinem i psem, zostawali w zasięgu wzroku na trawie. Robin odwracał się i machał, dopóki Duchess nie odmachiała. Duchess nie powiedziała nic niestosownego, właściwie to w ogóle niewiele mówiła. Lucy powiedziała, że podoba jej się sukienka Duchess, Duchess podziękowała. Zapytała o szkołę, Duchess odparła, że jest miło. Zapytała o życie z Price'ami, też odpowiedziała, że jest miło.

Przez cały czas patrzyła z niepokojem, jak Robin bierze Petera za rękę i mocno ją ściska, potem głaszcze Jeta, a wszystko to ze zbyt szerokim uśmiechem. Kiedy Lucy wspomniała, że hodują kurczaki, Duchess miała nadzieję, modliła się, żeby Peter nie powiedział tego Robinowi.

Dziesięć minut później Robin odwrócił się i bezgłośnie powiedział "kurczaki". Duchess się uśmiechnęła, a Robin zaklaskał w ręce.

Trzymali się bezpiecznych granic, nie wspominali o przeszłości, chociaż Lucy powiedziała, że przykro jej z powodu Hala i tego wszystkiego. Dodała, że gdy była mała, umarła jej mama.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Robin ściskał Petera tak długo, że Duchess musiała wkroczyć.

Robin gadał przez całą drogę powrotną, prawie nie robił przerw na oddychanie. Powiedział, że Peter mówił coś o kolejnym spotkaniu, że pozwoli mu potrzymać smycz Jeta. Shelly zapewniła go, że dobrze się spisał i że Peter z Lucy byli bardzo zadowoleni ze spotkania.

-- I co? -- spytał Robin.

-- Zobaczymy. Ale tym razem mam dobre przeczucia -- odparła Shelly.

Robin zaklaskał, potem wyskoczył z samochodu i popędził ścieżką do domu Price'ów. Pani Price wyszła do drzwi i uśmiechnęła się do Shelly.

-- Nie powinna była pani tak mówić. Dopóki to jeszcze nic pewnego.

-- Trzeba myśleć pozytywnie -- stwierdziła Shelly.

Duchess potarła oczy; to był długi rok, niepewność wyczerpywała. Nie wiedziała, czy wierzy w Boga, ale tej nocy się modliła.

Walk znalazł ją w kościele.

Staął w drzwiach, położył rękę na ścianie obłożonej starymi deskami i patrzył na wodę w kropielnicy, kwiaty na grobach.

Martha siedziała samotnie w pierwszej ławce, spoglądała na witraże i ołtarz; dokładnie w tym samym miejscu siedziała w każdą niedzielę rano, kiedy jej ojciec był tu pastorem. Walk zajął swoje miejsce na końcu, po cichu, nie chciał jej przeszkadzać. Całe przedpołudnie spędził przy telefonie, najpierw dzwonił do Boyda, żeby mu zrelacjonować sprawę z Miltonem. Powiedział mu, że trop prowadzi do Darke'a, że byli razem na polowaniu i że widziano Milтона, jak przyjechał do domu Darke'a, a potem odjechał. Nie wspomniał o krwi, ale Boyd powiedział, że to sprawdzi, zdobędzie nakaz.

Potem zadzwonił do adwokata procesowego w Clearlake, gościa o nazwisku Carter, jednego z kontaktów Marthy. Carter chciał się spotkać z Vincentem Kingiem. Walk nie mógł mu tego zagwarantować. Proces się zbliżał, zostały już tylko tygodnie, za mało czasu, żeby się dobrze przygotować.

-- Potrzebuję cię -- powiedział, a stary kościół poniósł jego słowa; sprawił, że zamarła, uniosła głowę, ale się nie odwróciła. Skończyła mówić w duchu to, co zamierzała.

Podszedł do niej, a potem usiedli razem pod starym krzyżem, w uświęconym sąsiedztwie.

-- Potrzebuję cię. W sądzie.

-- Wiem.

Spojrzał w dół na własny krawat, złotą spinkę, sztywny kołnierzyk; nigdy nie czuł się tak słaby, a może zawsze się tak czuł, ale wcześniej

sobie tego nie uświadamiał. Znów umówił się na wizytę do Kendrick -- zwiększyła mu dawkę. Nie było sposobu, by powstrzymać to, co nieuniknione.

-- Popelnię błędy. I one będą miały znaczenie.

-- Wiem, że to niesprawiedliwe.

-- Tu chodzi o coś więcej. To kwestia życia lub śmierci. Kiedyś chciałam występować w sprawach i bronić ludzi w ten sposób. Taki port pośredni między dobrem a złem. On mi to odebrał. Mój ojciec.

-- Ciągłe możesz...

Przerwała mu z oczami pełnymi łez.

-- Nie chciałam żyć w kłamstwie.

-- Milton nie żyje. Rzeźnik. Myślę, że to Darke go zabił. Myślę, że Darke zabił Hala, żeby dopaść dzieci.

-- Martwi się, że chłopiec coś sobie przypomni.

Walk kiwnął głową.

-- Darke nie może tu teraz przyjechać. Jest winny pieniądze ludziom, złym ludziom.

Sprawdził tablice rejestracyjne i tym razem trafił. Sedan był zarejestrowany na firmę budowlaną w Riverside, jeden z jej dyrektorów miał powiązania ze znaną rodziną przestępczą. Problemy Darke'a nie miały się skończyć.

Wtedy na niego spojrziała.

-- Idź z tym do Boyda. Potrzebują ochrony.

-- Byłem. Dalej tego nie kupuje.

-- Bo na przeszkodzie stoi Vincent King.

-- Ale jeśli jest niewinny, jeśli uda nam się go...

-- Kurwa, Walk. Najlepszy prawnik w kraju nie da rady go z tego wyciągnąć.

-- Jeśli Vincent jest niewinny, to znaczy, że Darke ściga Robina Raddleya, nie Duchess. -- Walk zamknął oczy z powodu tej przerażającej wizji, pomasaował sobie kark; mięśnie miał tak zeszywniałe, że bolało go, gdy odwracał głowę.

-- A czy teraz powiesz mi, co się dzieje, Walk? Myślisz, że przez cały ten czas nie zauważyłam? Wyglądasz na zmęczonego. Bardzo schudłeś.

-- To tylko stres.

-- Powtórz to tyle razy, aż sam w to uwierzysz.

-- Nie.

Obserwował staruszkę, która mijając drzwi, przyklękła, przeżegnała się i dopiero wtedy poszła dalej. Może dzięki temu lepiej sypia.

-- Jesteś jak otwarta księga, Walk. Patrzę na ciebie i widzę, co siedzi w środku.

-- Chcę być znowu tamtym facetem. Tylko... wszystko się zmienia. Gubię się. Czuję to, codziennie. Przywykam do myśli, że świat wokół idzie do przodu. Przejeżdżałem obok ziemi Tollera. Trudno to sobie wyobrazić, te wszystkie domy.

-- Ludzie muszą gdzieś mieszkać, Walk.

-- To ich drugie domy. Spychają miasto coraz bardziej.

-- Lubisz, żeby było po staremu. Widziałam twój dom. Twoje biuro. Kurczowo trzymasz się przeszłości.

-- Był taki czas, że wszystko było lepsze. Kiedy byliśmy dziećmi, pamiętasz? Widziałem swoje życie, ułożone, glina w mieście, gdzie się wychowałem, żona, dzieci, Mała Liga, wyjazdy na biwak.

-- A Vincent po drugiej stronie ulicy, może wasze żony się przyjaźnią. Wspólne wakacje. Rozpalasz grilla, patrzysz, jak twoje dzieci surfuja.

-- Widziałem tę chwilę, trzydzieści lat i wciąż jest wyraźna. Jest taka... mogę jej dotknąć. Ale nie mogę zmienić.

-- Opowiedz mi o Vincencie, jakiego pamiętasz.

-- Nie było rzeczy, której by dla mnie nie zrobił. Przykład ślepej lojalności. Miał różne dziewczyny, jednak to Star była mu przeznaczona. Szybko rwał się do bójki, ale nigdy nie zaczynał walki. Potrafił milczeć, czasem przez wiele dni, a ja wiedziałem, że ojciec się na nim wyżywał. Był zabawny. Był dla mnie wszystkim. Był moim bratem. Jest moim bratem.

Nie mógł niczego wyczytać z jej oczu. Na zewnątrz świeciło słońce, śpiewały ptaki.

-- Myślałem, że się z tobą ożenię, Martho. Wiesz?

-- Wiem.

-- Ciągle mam cię w głowie. Jesteś moją pierwszą myślą co rano i ostatnią wieczorem.

-- Masturbacja to grzech.

-- Nie mów "masturbacja" w kościele.

-- Lubisz mnie, bo jestem bezpieczna, Walk. Jestem twoim lustrzanym odbiciem. Nie zmieniam się, niczym cię nie zaskakuję. Prosta i niezawodna, dopóki nasze idylliczne dzieciństwo się nie posypało.

-- To nieprawda.

-- Właśnie że prawda. Ale nie ma w tym nic złego. Pomagamy ludziom. Nie znam lepszego sposobu na życie.

-- Więc zrób to.

Nie odpowiedziała.

-- Myślisz, że będziemy razem w innym życiu?

-- Obecne jeszcze trwa, komendancie. -- Sięgnęła i uspokoiła jego drżącą rękę swoimi ciepłymi dłońmi.

Peter i Lucy zabrali ich spod domu Price'ów.

Shelly usiadła z nimi w SUV-ie na tylnym siedzeniu i podczas jazdy zajęła się wypełnianiem dokumentów.

Peter i Robin gadali całą drogę, o Jecie, o tym, że boi się ptaków, o pacjencie Petera, który przez cały rok miał czkawkę.

-- Próbowaleś go przestraszyć? -- dopytywał Robin.

-- Pete straszy ludzi samą swoją twarzą. -- Lucy puściła oko do Duchess w lusterku wstecznym. Duchess odpowiedziała uśmiechem, chociaż nie zdołała się roześmiać. Rano Mary Lou powiedziała jej, że nie ma szans, żeby fajny lekarz i jego żona chcieli przyjąć do domu dziewczynę sprawiającą same problemy, która ma fatalne stopnie i lubi bać się bronią. Duchess zniosła to, jadła w milczeniu płatki, a Mary Lou podeszła i wyjęła wtyczkę zasilania od telewizora, który oglądali.

Zatrzymali się pośród niczego na jałowym biegu na poboczu, a Peter i Lucy odwrócili się na swoich siedzeniach. Peter czytał przewodnik.

-- Droga Ku Słońcu. Gotowi?

-- Gotowi -- powiedział Robin.

Peter spojrzał na Duchess i uśmiechnął się do niej.

Obok Robin mocno ścisnął ją za rękę.

-- Gotowi.

Droga Ku Słońcu ciągnęła się pięćdziesiąt mil między strzelistymi skałami. Światło rozbłysło po wschodniej stronie tunelu, gdy dwie góry rozstąpiły się jak kurtyna na początku przedstawienia.

Wtaczali się powoli po stromym stoku, droga skręcała przed nimi w nicość, prawdziwy rollercoaster, tak pięknie, że Duchess zamknęła oczy.

Przemierzali doliny, mijali huczące wodospady, połacie kwiatów polnych w niezliczonych kolorach. Ścieżki zbiegały po zboczach urwisk do przejrzystych jezior, wysokie sosny przytulały się do wzgórza, jakby próbowały nie spaść.

Lucy wyjęła nikona i robiła zdjęcie za zdjęciem.

Z tyłu Shelly pochyliła się i położyła rękę na ramieniu Duchess, lekko ją ścisnęła, jakby czuła, że dziewczynka tego potrzebuje.

Zatrzymali się przy lodowcu Jacksona. Lucy wyjęła z bagażnika kosz i rozłożyła koc na trawie. Robin usiadł z Peterem i jedli kanapki oraz czipsy, pili sok i patrzyli na cienie falujące na lagunie.

-- Dziadkowi by się tu spodobało.

Duchess zjadła kanapkę, podziękowała Lucy i próbowała się uśmiechnąć. Chwilami czuła się tak daleko od miejsca, w którym nigdy nie była, jakby dom gdzieś tam stał i wołał ją, a ona nie wiedziała, jak go znaleźć. Otarła oczy rękawem, poczuła, że Lucy ją obserwuje i pewnie się zastanawia, jak bardzo pojebany jest ten dzieciak. Czy naprawdę chce ją w swoim życiu na zawsze?

-- Wszystko w porządku, Duchess?

-- Tak, dziękuję. -- Chciała, żeby słowa zabrzmiały szczerze, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Pragnęła dać do zrozumienia, że potrafi żyć spokojnie, nie przeszkadzać, nie sprawiać kłopotów, dopóki będą kochać jej brata i o niego dbać.

Wstała i podeszła do barierki, przechyliła się i spojrzała na płytką wodę i błękitne kamienie w dole, wyraziste fioletowe kwiaty, falujące korony sosen.

Lucy stanęła obok niej, nic nie mówiła, a Duchess była jej za to wdzięczna.

W drodze powrotnej zwolnili przy kozłach śnieżnych i owcach kanadyjskich.

-- A jeśli spadną? -- spytał Robin.

-- Nie martw się -- odparł Peter. -- Jestem lekarzem.

Lucy przewróciła oczami.

Duchess uważnie obserwowała Petera, jak ostrożnie prowadzi auto, z jaką naturalnością się uśmiecha. Wyobraziła sobie uporządkowane życie, gdzie wszystko jest po prostu na swoim miejscu. Były od niego spokój i nieśpieszność. Ludzie by go ignorowali, ale on by o to nie dbał. Pomyślała, że byłby przyzwoitym ojcem dla Robina.

Kiedy dotarli na miejsce, patrzyła, jak Robin obejmuje Petera, mocno zaciska ramiona wokół jego pasa. I zobaczyła, że Peter i Lucy wymieniają spojrzenia.

Duchess wiedziała już prawie na pewno.

Znaleźli nowy dom.

Pracowali długo, do późna, o północy Martha znów zrobiła kawę.

Całe popołudnie spędzili w hrabstwie Fairmont, z Vincentem. Martha nagrała sesję, próbowała instruować i podpowiadać, lecz on nie mówił nic, bo i tak nie zamierzał zeznawać. Było to daremne ćwiczenie, ale Walk miał nadzieję, że jeśli Vincent zobaczy, że Martha w niego wierzy, będzie miał pretekst, którego potrzebował, żeby wreszcie zrzucić z siebie wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy.

Szli właśnie na spotkanie, gdy złapał go Cuddy i podał mu kopertę.

-- Co to jest? -- spytał Walk.

-- To do Vincenta. Dostał list. Niewiele mówi. Ale pomyślałem, że chciałbyś rzucić okiem.

Walk zaczekał, aż będzie sam w poczekalni, i rozłożył kartkę. List, napisany na maszynie, ale bez wątpienia od Darke'a.

Trudno mi zdobyć fundusze, ale się nie poddam. Wiem, że cię zawiodłem, więc znajdę sposób, żeby wszystko naprawić. Powodzenia na procesie, czasem życzenia stają się rzeczywistością.

Przeczytał wiadomość kilkanaście razy, szukał czegoś, czego w niej nie było, czegoś, o czym by jeszcze nie wiedział. Darke miał sumienie, może. To już i tak nie miało znaczenia.

Kiedy oddał list, Vincent schował go do kieszeni, odwrócił się do Marthy i zmienił temat. Nakreślona została granica i Walk najwyraźniej znalazł się po drugiej stronie.

Proces zbliżał się wielkimi krokami, a Martha spędzała całe dni na przygotowaniach, dzwoniła, prosiła o przysługi, jeździła nawet do swojego starego profesora, który mieszkał w hrabstwie Cameron.

Urządzili sobie z Walkiem biuro u niego w piwnicy; każdy kawałek ściany pokrywały dokumenty, zdjęcia i mapy. Czytała stenogramy z rozpraw, ćwiczyła oświadczenie wstępne tyle razy, że Walk mógł je bezbłędnie przywołać z pamięci. Martha знаła prokuratorkę okręgową ze słyszenia, wiedziała, że Deschamps musiała się przygotowywać od miesięcy. Fakty były przekonujące: Vincent King znał ofiarę i został znaleziony w domu, pokryty jej krwią.

Rozmawiali o wezwaniu Dickiego Darke'a do stawienia się w sądzie, ale nie mogli go znaleźć. Prokuratorka miała jego zeznania. W żaden sposób nie dawało się mu przypisać obecności na miejscu zbrodni, a wszelkie próby oznaczałyby wzywaniem Dee Lane na rozprawę, czego Walk chciał uniknąć ze względu na jej dzieci. Bez wątpienia on sam zostanie powołany na świadka oskarżenia.

Sporządzili harmonogram wypadków i szukali zbieżności. Prokuratorka twierdziła, że Vincent wrzucił broń do wody. Martha mogła udowodnić, że to niemożliwe, bo nie miał aż tyle czasu. Takie małe zwycięstwo. Potrzebowali go.

O dziewiątej Walk siedział na krześle, gdy nagle poczuł drzenie, najpierw w lewej ręce, potem w prawej nodze. Zamknął oczy, jakby mógł się w ten sposób tego pozbyć. Zaczął wolniej oddychać i przeklinał w duchu własne ciało, które go zawodziło w tak decydującym momencie.

-- Wszystko gra, Walk?

Chciał coś powiedzieć, ale to zaatakowało już twarz, szczęki i wargi. Najpierw mrowienie, a potem drzenie. Minie, ale dopiero za jakiś czas. Poczul, że do oczu napływają mu łzy, ciepłe łzy wstydu. Chciał podnieść rękę, wytrzeć je, zanim Martha zauważy, ale ręka nie słuchała.

Przymknął powieki i zapragnął zniknąć z tego pomieszczenia, z tego miasta, w ogóle z życia. Pomyślał o tamtych czasach, kiedy miał dziesięć lat i jeździł na rowerze z Vincentem, jak zajeżdżali sobie nawzajem drogę i uśmiechali się tak szczerze, jak tylko dzieci potrafią.

I wtedy poczuł jej ręce na swoich, tylko je położyła, delikatnie; były ciepłe. Podniósł powieki i zobaczył, że Martha klęczy przed nim. Piękne oczy miała pełne łez.

-- Już dobrze.

Pokręcił głową: nie jest dobrze i już nigdy nie będzie dobrze. Nie płakał od kilkunastu lat. Ale teraz, kiedy spojrzał na totalny bałagan, jaki zapanował w jego życiu, łkał, jakby miał piętnaście lat i Vincenta znów wysłali do więzienia.

-- Dlaczego czujesz się odpowiedzialny za Vincenta?

-- Bo to moja wina. Tamtej nocy, kiedy znalazłem Sissy, pojechałem do niego i zobaczyłem samochód. Wiedziałem, że to on.

-- Wiem. Powiedziałaś mi.

-- Ale mogłem go obudzić. Zgłosiłby się sam. Wyglądałoby to lepiej w sądzie. Sędzia byłby bardziej pobłażliwy. Ale nie, poleciałem od razu do komendanta Dubois. Kto tak robi? Kto, kurwa, robi coś takiego przyjacielowi?

Martha wzięła jego twarz w ręce.

-- Postąpiłaś właściwie, Walk. Jak zawsze. To, jak potem opiekowałaś się Star, kiedy nawet ja wiedziałam, że cię odepchnie, to było coś wyjątkowego, robienie czegoś takiego jest naprawdę wyjątkowe.

-- Trwamy. Tak. To właśnie robimy dla tych, których kochamy.

-- Świat byłby lepszym miejscem, gdyby było więcej ludzi takich jak ty.

Mówiła tak szczerze, że nie mógł jej nie wierzyć. Ale wtedy spojrzął nad jej ramieniem na tablicę i zdjęcie przyjaciela. Nie zostało im wiele czasu.

Pocałował ją, nagle, bez zastanowienia.

Zaczął przeproszać, lecz wtedy jej usta znalazły się na jego wargach i było coś szaleńczego w tym jej pocałunku, jakby czekała na to trzydzieści lat. Odsunęła się od niego, potem pociągnęła, by wstał, wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Chciał ją powstrzymać, powiedzieć jej, że robi kolejny błąd, że o wiele lepiej radzi sobie bez niego. Ale wtedy go pocałowała i poczuł to. Znów mieli po piętnaście lat.

Wieści nadeszły nocą. Telefon wyrwał Walka z najgłębszego snu, jakiego doświadczył od bardzo dawna. Usiadł, a Martha poruszyła się obok.

Wysłuchał wszystkiego w milczeniu, potem przerwał połączenie i odłożył telefon.

-- Co tam?

Wbił wzrok w sufit.

-- Wyniki sekcji Milтона. Utonął. Nic więcej, żadnych obrażeń. Tak po prostu utonął.

Martha zerwała się na równe nogi, mimo że niebo było jeszcze czarne.

-- To jest to, Walk.

-- Co?

-- Przełom, na który czekaliśmy.

Tej nocy Robin obudził się z płaczem, prześcieradło było całkiem mokre, a koszmar tak realny, że w pierwszych chwilach nie mógł wykrztusić słowa do tulącej go mocno Duchess.

-- To była mama. Byłem zamknięty w pokoju i słyszałem mamę. Krzyczała. Chcę do Petera i Lucy. Chcę do mamy. I do dziadka. Chcę, żeby było jak kiedyś, żeby to wszystko okazało się koszmarem.

Uspokajała go i pocałowała w głowę.

Potem pomogła mu się umyć, ściągnęła plastikowe prześcieradło z łóżka i oboje usiedli. Rozsunęła zasłony i patrzyli w nocne niebo pełne gwiazd, z księżycem w pełni.

-- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

-- Myślisz, że zabiorą nas do Wyoming?

-- Twoja przyszłość jeszcze nie jest zapisana, Robin. Możesz zostać, kim chcesz. Jesteś królewiczem.

-- Chcę być lekarzem, jak Peter.

-- Będziesz świetnym lekarzem.

Kiedy usnął, Duchess usiadła przy oknie i wyjęła podręcznik. Napisała wypracowanie z historii, najlepiej jak umiała. Znowu walczyła.

Spojrzała na brata i wiedziała bez wątpienia, że jest jedynym kolorowym punktem w jej mrocznym świecie.

Następnego dnia, kiedy szli do szkoły, Mary Lou nieustannie nachylała się do uszu innych dzieciaków i szeptała im coś, od czego marszczyły nosy i zaczynały chichotać.

-- O co chodzi? -- spytał Robin.

-- O nic. Pewnie widziała coś głupiego w telewizji.

Trwało to przez całą drogę, na Hickory i Grove Street. Doszło czworo innych dzieciaków, bliźniaki Wilsonów, Emma Brown i jej brat Adam. Za każdym razem Mary Lou robiła to samo, zbliżała się i szeptała, a potem z przyjemnością patrzyła, jak się wzdrygają i zaczynają śmiać.

-- Yyy, ohyda -- stwierdziła Emma.

Robin znów spojrział na Duchess.

-- Henry nie chciał, żebym szedł dziś ze starszymi.

-- Henry to dupek.

Duchess patrzyła na nich, jak szli, na Mary Lou, która ciągle się oglądała i głupawo uśmiechała, tak samo Kelly, Emma i pieprzony Henry ze swoimi pizdusiowatymi koleżkami. Poczowała, że chłód wypełnia jej żyły, zaczyna topnieć i krążyć, gdy dotarli do bramy szkoły, a Mary Lou coś szeptała grupce dzieciaków z klasy. Wszyscy się odwrócili. Chichoty przeszły w głośny śmiech, twarze wykrzywiły się z obrzydzeniem.

Wtedy Duchess ruszyła. Robin złapał ją mocno za rękę i pociągnął w tył.

-- Proszę.

Przyklęknęła na trawie.

-- Robin.

Chciał coś powiedzieć, a ona pogłaskała go po włosach.

-- Kim jestem?

Spojrzał jej w oczy.

-- Banitką.

-- A co robią banici?

-- Nie cackają się.

-- Nikt nie będzie nas popychał. Nikt nie będzie się z nas śmiał. Zawsze stanę w twojej obronie. Płynię w nas ta sama krew.

Miał strach w oczach.

-- Idź teraz do klasy.

Popchnęła go delikatnie, więc się odwrócił i wszedł do budynku, niechętnie, nerwowo.

Stanąła, odrzuciła plecak i wpatrywała się w Mary Lou. A potem ruszyła w jej stronę. Dziewczyny zrobiły krok w tył, Emma, Kelly i Alison Myers, odsunęły się, bo słyszały plotki.

-- Powiesz mi, co cię tak śmieszy?

Chłopcy podeszli i obstawili je dookoła.

Mary Lou nie cofnęła się, ciągle miała na twarzy złośliwy uśmiešek.

-- Śmierdzisz sikami.

-- Co takiego?

-- Sikasz w łóżko. Widziałam wczoraj w nocy. Mama prała prześcieradła z twojego łóżka. Obsikałaś się jak debilka.

Duchess usłyszała dzwonek.

Nikt nawet nie drgnął.

-- No tak.

Przez tłumek przebiegł szmer, parę osób się roześmiało, padły jakieś okrzyki, których treść do niej nie dotarła.

-- Przyznajesz się? -- spytała Mary Lou.

-- Jasne.

-- Widzisz. Mówiłam ci, że to prawda -- rzuciła do Kelly. Potem odwróciła się i grupa zaczęła się rozchodzić.

-- A wiesz, dlaczego to zrobiłam?

Zatrzymali się, odwrócili głowy.

Mary Lou patrzyła, niepewna, o co chodzi, ale napięta i gotowa.

-- Żeby twój tatuś mnie nie macał.

Kamienna cisza.

-- Kłamczucha -- powiedziała Mary Lou.

Kelly i Emma trochę się odsunęły.

-- Ty pieprzona kłamczucho! -- krzyknęła i ruszyła na Duchess.

Mary Lou przywykła do popychania, może szarpania za włosy, ale nic poza tym. Nie przewidziała spotkania z banitką na szkolnym dziedzińcu.

Duchess powaliła ją jednym silnym ciosem.

Mary Lou skuliła się, ząb wylądował na trawie, a dookoła rozległ się wrzask, kiedy z jej ust popłynęła krew.

Duchess stała bez ruchu, spokojna, obserwowała swoją ofiarę z lekką nadzieją, że ta znów się na nią rzuci i będzie mogła zrobić swoje jeszcze raz.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy przybiegł dyrektor i dwóch nauczycieli i zajęli się Mary Lou, zakrwawioną, z wybitym zębem, a nowa dziewczynka stała obok z uśmiechem, zabrali ją do środka i zadzwonili do Price'ów i Shelly.

Duchess siedziała sama i czekała, żałowała, że w korytarzu nie pojawi się Hal, który wszystko by załagodził. Za oknem widziała niebo Montany i pomyślała o Walku i Cape, o tym, jakie niebo zobaczyli tamtego ranka, kiedy wszystko znów się zmieniło.

Pani Price przyjechała zapłakana, mąż otaczał ją ramieniem.

-- Już nigdy, nigdy więcej tego nie zrobisz -- powiedziała między szlochami, wpatrując się w Duchess, jakby chciała, żeby dziewczynka padła trupem na miejscu.

Pan Price też się gapił, więc Duchess pokazała mu środkowy palec.

Dotarła Shelly, przytuliła ją. Duchess stała spokojnie, nie oddała uścisku.

Dorośli konferowali w gabinecie dyrektora ze złotą tabliczką na drzwiach tak potężnych, że Duchess nie słyszała nic oprócz podniesionych głosów. Pani Price wykrzykująca: "Precz z mojego domu, ani jednej nocy dłużej, moje dzieci muszą być bezpieczne!".

Zawołali Duchess od razu po wyjściu Price'ów, którzy minęli ją obojętnie, jakby nigdy nie mieszkała pod ich dachem. Shelly zapytała ją o to, co powiedziała na temat pana Price'a. Powiedziała prawdę. Powiedziała tak, żeby Mary Lou się odczepiła. Shelly broniła jej z całych sił, chociaż sprawa była z góry przegrana, ale ciągle starała się pomóc.

Dyrektor był przerażony, zarzuty ciężkie, w szkole nie ma miejsca na przemoc, ma nie wracać.

Duchess na odchodne pokazała mu środkowy palec.

-- Wszystko dobrze? -- spytała Shelly, kiedy wyszły ze szkoły.

-- Żyję. -- Duchess nie podobało się, że zostawiają Robina.

Wsiadła do samochodu Shelly i milczała do samego domu Price'ów.

Pani Price stała na straży w kuchni. Pan Price zabrał Mary Lou na pogotowie, żeby ją zbadali i zajęli się zębem. Padły groźby, prawne i inne. Duchess została wysłana na górę, żeby spakowała rzeczy. Nie zajęło jej to dużo czasu. Walizka czekała przygotowana od dnia przyjazdu.

Wyszła z domu, bez słowa ominęła panią Price, która na schodach ocierała oczy.

Shelly jechała do biura w milczeniu, tam chwyciła za telefon i zaczęła dzwonić jak szalona, a Duchess siedziała na starym drewnianym krześle i liczyła mijające godziny.

O trzeciej Shelly wyszła i zostawiła Duchess pod opieką dwóch starszych pań, które uśmiechały się do niej co dziesięć minut.

Shelly wróciła z Robinem. Chłopiec płakał.

O piątej znalazło się miejsce. Shelly mówiła bez emocji, była zmęczona i pokonana setką innych spraw, innych przypadków, innych przegranych istnień.

-- To dom dziecka -- powiedziała.

Budynek był ogromny, w stylu klasycystycznym, z doryckimi kolumnami, tak potężnymi, że Duchess czuła się przy nich mała.

Wypielegnowany trawnik ciągnął się aż po drżące osiki, jaskrawozielone na tle nieba. Shelly była w środku, rozmawiała z dużą kobietą w czerni o imieniu Claudette, załatwiała wszystko, co należało załatwić. Dom opieki nad młodzieżą.

Robin był milczący, zrezygnowany, kiedy tu przyjechali, ale na tyle zdenerwowany, by nie puszczać ręki siostry.

-- Przepraszam -- powiedziała z takim smutkiem w głosie, że położył jej na chwilę głowę na ramieniu.

Na dworze były dzieci, bawiły się w jakąś skomplikowaną zabawę z piłką, trzema pętlami i kijem. Duchess obserwowała je przez dwadzieścia minut, ale nie udało jej się zorientować w zasadach. Znała za to wyraz ich oczu -- dzieciaki takie jak ona, przekłete. Nie uśmiechały się, nie kiwnęły nawet głową, po prostu szły przez dzień, jakby przeżycie każdego kolejnego było dla nich cudem. Na zewnątrz, na ulicy stała kobieta i trzymała za rękę dziewczynkę, nie większą niż Robin; gapily się na dom. Kobieta była wyniszczona jak narkomanka.

Pół godziny później siedzieli z innymi w stołówce, która pachniała setką obiadów połykanych przez setkę dzieci. Robin odsunął swoje jedzenie.

Był tam wspólny pokój, w telewizorze ustawionym w rogu leciał jakiś film. Kilka dziewcząt zajęło miejsce na brązowej sofie; oglądały, jedząc popcorn, ale głównie ignorując się nawzajem.

W drugim kącie stała skrzynia z zabawkami, od kostek sensorycznych po puzzle.

-- Idź się pobawić.

Robin poszedł ze spuszczoną głową i wziął sobie książeczkę dla o wiele młodszych dzieci. Usiadł po turecku na podłodze, przewracał od czasu do czasu kartkę, myślami uciekając na wiele mil od siostry i tego pokoju.

W holu znalazła Shelly.

-- Wiem, co zrobiłam. Wiem, że wszystko dokumentnie spieprzyłam...

Shelly pogłaskała ją po ramieniu, ale Duchess cofnęła się o krok.

-- Co teraz będzie?

-- Nie jestem...

-- Proszę mi po prostu powiedzieć. Co stanie się ze mną i z moim bratem.

-- Ten dom jest dla dziewcząt.

Duchess potrząsnęła głową.

Shelly uspokajająco podniosła rękę.

-- Claudette pozwoli ci tu zostać z Robinem ze względu na jego wiek.

Duchess znów zaczęła oddychać.

-- A co z Peterem i Lucy?

Shelly z trudem przełknęła ślinę, spojrzała w ziemię, na Robina, wszędzie, ale nie na Duchess.

-- Powiedzieliście im?

-- Musiałam. Peter... jest lekarzem. A Lucy pracuje w szkole. Po tym, co powiedziałaś na temat pana Price'a, nie mogą ryzykować...

-- Rozumiem.

-- Będziemy szukać. Po prostu musimy was gdzieś dopasować.

-- Ja nigdzie nie pasuję.

Wyraz oczu Shelly prawie ją złamał.

Przyszedł Robin i poszli razem korytarzem, schodami.

Mijali sypialnie z dziećmi w środku, jakaś dziewczyna czytała na głos, a jej siostra słuchała z uwagą. Ściany były kolorowe, pastelowe, w odcieniach różowego i żółtego. Zdjęcia przypięte do tablic korkowych, wspólne zdjęcia rozbitych rodzin.

Ich pokój miał białe ściany, tablica korkowa była pusta, ich czas tutaj -- niezapisany. Dwa łóżka, które Duchess zsunie potem razem, narzuty w paski w kolorach tęczy. Opróżnione szafa i skrzynia, wiklinowy kosz na pranie. Wykładzinę, jak puzzle, ułożono z dopasowanych kwadratów, łatwych do zastąpienia, jeśli zostaną zaplamione.

-- Pomóc wam się rozpakować? -- spytała Shelly.

-- Dam radę.

Robin stanął na środku pokoju, spojrział w stronę okna, potem zaciągnął zasłony, aby odciąć światło. Włączył lampkę, wszedł na łóżko i zwinął się w kłębek.

-- Kiedy przyjedzie Peter?

Shelly spojrzała na Duchess, a ona gestem dała jej znać, że sobie poradzi, żeby poszła. Shelly powiedziała, że przyjedzie jutro sprawdzić, jak się mają.

Duchess podeszła do brata i położyła mu rękę na plecach.

-- Peter i Lucy.

Odwrócił się do niej, usiadł i popatrzył. Nie powiedziała już nic, tylko pokręciła głową.

Rzucił się do tyłu, przeklinał ją wszystkimi brzydkimi słowami, jakie znał. Szarpnął się i z całej siły uszczypnął ją w policzek. Nie podniosła rąk, tylko zamknęła oczy, a on wrzeszczał i wykrzykiwał wszystkie te rzeczy, które już jej nie raniły. Wszystko już wiedziała. Jest złą sio-

strą. Złą osobą. Płakał tak bardzo, że aż się trząsał, z twarzą w poduszce, płakał za życiem, które przez kilka szczęśliwych tygodni miał w zasięgu ręki.

Duchess czekała, aż się wypłacze. Trwało to bardzo długo. Czowała, że ma krew na policzku, tam gdzie ją złapał.

Kiedy w końcu zasnął, zdjęła mu trampki i przykryła go. Potem się zmartwiła, że nie umył zębów.

Tej nocy usłyszała dźwięki; ktoś nowy, tak jak oni, w małym pokoju po drugiej stronie korytarza. Płakał, wtedy przyszła Claudette i mówiła coś uspokajająco.

Duchess przesunęła się na łóżko brata i patrzyła na niego. Pomyślała o Thomasie Noble'u, że teraz już ich nie znajdzie. Nie знаła jego adresu, żeby napisać. Mogła poprosić Shelly, ale wiedziała, że nic z tego nie będzie. Była tylko dopiskiem w jego życiu, w życiu Dolly, Walka. Nie zostawiała trwałego śladu, jej wpływ był paskudny, ale litościwie krótkotrwały.

-- Duchess. -- Robin usiadł.

-- Już dobrze. -- Pogłaskała go po włosach.

-- Miałem sen. Znowu mi się to śniło. Nie potrafię rozpoznać, co mówi ten głos.

Położyła go z powrotem.

-- Czasem zapominam, gdzie jestem.

Trzymała dłoń na jego sercu, aż się uspokoił.

-- Ale jesteś tutaj.

-- Jestem.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

-- Zostanie ci ślad?

-- Nie.

-- Przepraszam.

-- Nigdy nie musisz mi tego mówić.

Wiosna powoli zaczynała pachnieć latem. Gdy Walk i Martha przygotowywali się do procesu, Duchess i Robin znów zaczęli w nowej szkole. Jeździli autobusem z innymi dziećmi z domu i wpadali w rytm kolejnego ograniczonego życia. Duchess nadal troszczyła się o Robina, dbała o niego jak matka, ale bez roztkliwiania się, zajmowała się nim, jakby tylko w tym była dobra. Starła się z całych sił ciągle do niego uśmiechać, bujała go na huśtawce i bawiła się w jego zabawy, biegała z nim po wielkim dziedzińcu i pomagała mu wspinać się na dąb. Nie mogła jednak zmazać swoich błędów, pozbyć się poczucia, że nie tylko sama idzie na dno, lecz także ciągnie za sobą brata.

Shelly odwiedzała ich regularnie. Robin uśmiechnął się, kiedy zmieniła kolor włosów z różowego na kobaltowoniebieski. Pytał o Petera i Lucy podczas każdej wizyty, poprosił nawet o ich adres, żeby mógł do nich napisać. Duchess pomogła mu sklecić list. Napisał, że wie, że on i jego siostra nie pasowali do ich rodziny, i że to jest okej. Potem spytał o Jeta, czy w Wyoming jest gorąco i jak Jet radzi sobie z upałem. Podpisał się z uczuciem i narysował budynek domu dziecka, z nim i Duchess. Chude sylwetki z głowami jak balony i kreskami ust, jakby rozmyślały nad tym, co by mogło być. Kazał Duchess również się podpisać. Nabazgrała "Duchess Day Radley, banitka". Kazał jej skreślić ostatnie słowo.

Dostała pocztówkę od Walka. Miał kontakt z Shelly, która informowała go na bieżąco. Napisał jej o Cape Haven, jak cicho się tam zrobiło bez niej, litery stawiał tak drobne, że ledwo je odczytała.

Na pocztówce było ujęcie z Cabrillo, most Bixby Creek, łuk w Big Sur, ocean uderzający falami tak mocno, że prawie mogła go usłyszeć.

Przypięła ją do tablicy korkowej razem z listem od Petera i Lucy, który przyszedł tydzień później. Napisali o wszystkim i o niczym, że jest goręcej niż w Hadesie i że Lucy spaliła się na słońcu podczas pracy w ogródku. Robin kazał go sobie przeczytać pięć razy i zasypał ją pytaniami, na które nie mogła znać odpowiedzi. Podpisali się własnym rysunkiem Robina i Duchess, z pamięci. Lucy bardzo ładnie rysowała, ale zrobiła im za szerokie uśmiechy. Do listu dołączyli zdjęcie Jeta. Tej nocy Robin spał ze zdjęciem na nocnej szafce, parę razy się budził i sprawdzał, czy nadal tam jest. Następnego dnia Duchess przypięła je do tablicy i ich kolekcja trochę się powiększyła.

Duchess zaczęła niepewnie myśleć o przyszłości, nie własnej, tylko Robina. Znów pogorszyły się jej stopnie, była już prawie ostatnia w klasie. Inne dzieci zostawiły ją w spokoju, wiedziały, że jest z Oak Fair, więc równie dobrze mogła za chwilę stąd wyjechać.

I wtedy, pewnego dnia, jeden chłopak, Rick Tide, zaczął węszyć. Okazało się, że kuzynką Ricka jest Kelly Raymond, przydupaska Mary Lou. Rick dowiedział się o tamtej historii, a potem podał ją dalej, nieco ubarwioną. W wersji, która dotarła do Duchess, Mary Lou straciła oko. Duchess zignorowała to, nawet kiedy Rick potrącił ją w kolejce po lunch i zrzucił jej jedzenie na podłogę.

Następnego dnia poturbowała Ricka na tyle mocno, że trafił do pielęgniarki.

Wezwano Shelly i wszystko udało się załagodzić. Dyrektorka wiedziała wystarczająco dużo o Ricku Tidzie, żeby uciąć sprawę.

Duchess dostała dzień wolnego w szkole i Shelly zabrała ją na Main Street, gdzie usiadły przy stoliku przed barem, piły koktajle, a samochody mijały je leniwie. Na drodze stały pacholki w związku z przygo-

towaniami do parady. Wywieszono flagi, a nad ulicą pomiędzy budynkami rozciągnięto baner.

-- Owocowa parada? Brzmi jak najbardziej gówniana parada, o jakiej kiedykolwiek słyszałam.

Shelly się uśmiechnęła.

-- Wiesz, co dziś jest?

-- Śledzę wiadomości.

Pierwszy dzień procesu; korzystała z komputera, kiedy wszyscy spali, i czytała, co mogła.

-- Dobrze się czujesz?

-- Jasne. Hal mówił, że pójdzie szybko. Skażą go na śmierć.

Shelly westchnęła, lekko przechyliła głowę.

-- Proszę to z siebie wyrzucić -- powiedziała Duchess.

-- Co?

-- To, co pani chce powiedzieć.

Shelly ukryła oczy za ciemnymi okularami.

-- Nigdy nie rozdzielałam rodzeństw. Zawsze lepiej, jak zostają razem.

-- Jesse James i jego brat, Frank, napadali razem na banki, od Iowa po Teksas. Policja dopadła ich gang w Northfield, tylko bracia uciekli. Dbali o siebie nawzajem.

Shelly się uśmiechnęła.

-- Pracuję w zawodzie już dwadzieścia lat. Przebijam się przez to wszystko. Spotkałam się z przeróżnymi przypadkami. Wszyscy są w przelocie, jedni odchodzą, inni wracają. Zajmowałam się setkami, za każdym razem... płakałam. To całe moje życie, i tak powinno być. Ale...

-- Nie istnieje coś takiego jak złe dziecko, prawda? -- Cień paniki w głosie.

-- Nie jesteś zła, Duchess.

Przejechała półciężarówka w tym samym kolorze co ta należąca do Hala. Duchess zabolalo w środku.

-- Robin ma sześć lat. To dobry wiek. To naprawdę dobry wiek, ale nie trwa długo. Ciężko o tym mówić, ciężko nawet myśleć.

Duchess zakołysała swoim koktajlem i wpatrywała się w kubek.

-- Wiesz, co chcę powiedzieć, Duchess?

-- Wiem, co pani chce powiedzieć.

Shelly wyjęła chusteczkę z torebki, zdjęła okulary i wytarła oczy. Wyglądała teraz starzej, jakby wykończyły ją te wszystkie lata, brzemie tej uprzywilejowanej, nieszczęsnej odpowiedzialności, która ciążyła na niej dzień i noc.

-- Prędzej umrę, niż opuszczę brata.

-- Tu nie chodzi o opuszczenie.

-- Chodzi o powierzenie opieki nad nim komuś, kogo nie znam. A ja nie poznałam zbyt wielu przyzwoitych ludzi w życiu. Nie lubię loterii.

-- Rozumiem.

-- Czy to samolubne z mojej strony?

Shelly podniosła na nią wzrok.

-- Samolubne? -- Teraz w oczach miała rozpacz. -- Czy ja postępuję samolubnie? Jest kochany, jest dobry i kochany, i potrzebuje lepszej siostry niż ja. Może mu to pani zapewnić, Shelly? On przeżywa trudny okres. Tracę go, coraz z nim gorzej. Nie mogę nic na to poradzić. Budzi się w nocy i potrzebuje mojej obecności. Woła mnie. A jeśli nie ma mnie obok...

Shelly przyciągnęła ją i mocno przytuliła.

-- Kurwa.

-- Już dobrze.

-- Nie jest dobrze. Wcale nie jest dobrze.

-- Nigdy ci tego nie zrobię, Duchess. Nie zrobię nic, zanim najpierw z tobą nie porozmawiam. I widzę, że nie może być inaczej. Rodzeństwo musi być razem. Będę szukać. Znajdę kogoś odpowiedniego. Obiecuję, że będę szukać.

Walk i Martha przetrwali trzy dni tak mordercze, że kiedy wrócili do Cape Haven, leżeli bezsennie w łóżku Walka, niezdolni do zrozumienia obrazu, jaki przed nimi odmalowano: więźnia przez trzydzieści lat zajmującego się planowaniem zemsty na dziewczynie, której nie mógł mieć.

Oświadczenia wstępne były krótkie, zgodnie z planem: siedem minut dla Marthy, osiemnaście dla prokuratorki okręgowej Elise Deschamps. Deschamps prezentowała się imponująco: długa lista osiągnięć, elegancki strój, czarne włosy okalające bladą twarzą. Szczerość wręcz wylewała się z niej, kiedy witała ławę przysięgłych, mówiła, że pracuje dla nich, dla stanu Kalifornia i dla Star Radley oraz jej osieroconych dzieci. Jest ich głosem, ich sprawiedliwością. Dowody są niepodważalne, zbrodnia dokonana z premedytacją, z zimną krwią. Vincent King jest mordercą. Odebrał życie dziecku, potem współwięźniowi. Zabijanie przychodziło mu z łatwością. Przekonają się, że nie ma wyboru, muszą uznać go za winnego, a tym samym wydać wyrok śmierci. To nie będzie łatwe, ale ona ich potrzebuje. Dzieci Radley ich potrzebują.

Deschamps była doskonała, absolwentka prawa na Yale, obstawiona przez dwóch asystentów, którzy obserwowali, notowali i kiwali głowami we właściwych momentach.

Urzednicy, prawnicy, rysownik, dziennikarze. Mały tłum zgromadził się, aby popatrzeć, jak ważą się losy człowieka.

Mimo całego zadęcia zrzeczność, z jaką Deschamps mamiła ławę przysięgłych, imponowała. Była twarda i niepodważalna. Sprowadziła patologa ze stanowego laboratorium kryminalnego, który pochwalił się

kwalifikacjami tak imponującymi, że Martha aż wykrzyknęła, że faktycznie, musi być wybitnym ekspertem. Deschamps warknęła, sędzia Rhodes uspokoił sytuację. Walk się uśmiechnął, gdy Martha pozostała niewzruszona. Zobaczył, że Vincent zrobił to samo.

Patolog zabrał ich w arcyciekawą podróż, wykorzystując zestaw zdjęć, sędziowie przysięgli potrząsali głowami, jedna z kobiet płakała. Dokładnie omówił ciosy, na tyle silne, że ofiara miała złamane trzy żebra. Prześledził tor pocisku, śmiertelnego strzału w pierś, prawdopodobnie Star nie żyła, zanim upadła na podłogę. Pokazywał wykresy, szczegółowo wykladał anatomię.

Facet od daktyloskopii opowiedział im o odciskach zebranych w domu Radleyów. Vincent King przebywał w kuchni, w korytarzu, w salonie. Jeden znaleźli na frontowych drzwiach. Po godzinie członkowie ławy nie ukrywali zmęczenia. To, że Vincent King był na miejscu zbrodni, od początku nie ulegało wątpliwości.

Kolejny ekspert, od balistyki, po prostu strzelał informacjami. O broni, której ostatecznie nie znaleziono, ale wiadomo było, że pocisk wyjęty z ciała Star Radley pochodził z magnum trzy pięć siedem.

I wtedy wkroczyła Deschamps; wiedzieli wcześniej, że tak będzie. Prokuratorka wyjęła dokument i zamachała nim, jakby się palił. Ojciec Vincenta Kinga miał zarejestrowaną broń. Ruger blackhawk. Spytała przysięgłych, czy wiedzą, jakiego typu pociski do niego pasują. Walk obserwował ich uważnie i zobaczył, że spijają każde jej słowo.

W odpowiedzi Martha próbowała zdobyć parę punktów, skłaniając faceta, by przyznał, że naboje do magnum trzy pięć siedem, chociaż nieco mniej popularne, nadal można wszędzie kupić. Jednak szkoda się dokonała.

Deschamps przeszła do szczegółów życia Star: trudne dzieciństwo, tragiczna śmierć młodszej siostry, a potem samobójstwo matki. Przytaczała fakty. Vincent King siedział nieporuszony, przymknął tylko oczy, gdy mówiła o pasie drzew, gdzie znaleziono ciało małej dziewczynki. Porzuconej na zimnie, by umarła w samotności. Potem matka, która targnęła się na życie, a Star ją znalazła, jak mocno musiało to na nią wpłynąć. I wreszcie -- jaśniejszy punkt -- mimo ciężkich doświadczeń kochała swoje dzieci, Duchess i Robina, które teraz trafiły do domu dziecka w mieście, którego nie znają, do szkoły, w której muszą wszystko zaczynać od nowa, tysiące mil od rodzinnego miasta. Kolejne zdjęcie, całej trójki na plaży; Walk zrobił je osobiście w jeden z niewielu, jakie pamiętał, spokojniejszych dni.

Walk został wezwany na świadka oskarżenia razem z grupką kilku funkcjonariuszy i ratowników medycznych. Wywołany jako pierwszy, zajął miejsce dla świadka, odchrząknął i powiedział całą prawdę, bez upiększeń. Krew na Vincencie, spokój w jego głosie. Żadnych własnych opinii, tylko fakty, od czasu do czasu zerkał na przyjaciela. Vincent posłał mu lekki uśmiech. "W porządku, rób, co do ciebie należy, Walk".

Po ośmiu dniach sędzia zarządził przerwę. Walk i Martha poszli do baru naprzeciwko, gdzie zajęli boks z tyłu sali i zamówili smażone krewetki prosto z zamrażarki.

-- Jak sobie radzi Vincent?

-- Och, pierwszorzędnie -- powiedziała Martha. -- Mam ochotę wezwać go do barierki i pokazać sędziom przysięgłym, że jest oazą spokoju. Nazwiemy to niepoczytalnością. Wyściełana cela do końca życia. Wszystko lepsze niż igła, prawda?

Walk wziął krewetkę, uważnie ją obejrzał i odłożył na zatłuszczony papier.

-- Ile czasu ci to zajmie?

-- Parę dni. Powiem swoje, wezwę moich ludzi, a potem tamci wydadzą wyrok i skazą go na śmierć. -- Wpatrywała się w swój napój.

-- Doskonale sobie radzisz, Martho. Serio, bardzo dobrze się tam prezentujesz.

-- Spróbuj nie gapić się tak otwarcie na mój tyłek. Rozbestwiłeś się.

-- To butom nie mogę się oprzeć. Twojemu oddaniu trampkom Chucka Taylora.

Sięgnęła po torebkę i wyjęła butelkę ostrego sosu.

-- Teraz to naprawdę pojechałaś. Serio, wzięłaś go ze sobą?

-- Podwójny, wali jak obuchem. -- Polała sobie szczodrze. -- Zauważ, że noszę krzyżyk. -- Wskazała łańcuszek na szyi. -- Sędziowie numer trzy, dziewięć i dziesięć są ludźmi wierzącymi. -- Osobiście wzięła udział w wyborze przysięgłych, spędziła dwa dni na morderczej selekcji, odrzuciła parę, która zapewne ochoczo zgłosiłaby się do tego, by własnoręcznie dokonać egzekucji, i przerzuciła się na liberałów, tylko po to, by zobaczyć, jak Deschamps odwdzięcza się jej pięknym za nadobne.

-- Ta broń -- westchnęła. -- Pocisk. Jakby już i tak nie było źle.

Walk odetchnął, żeby się uspokoić.

-- Wierzę w ciebie.

-- Po prostu chcesz się do mnie dobrać.

Następnego dnia rano była niespokojna. Wstali, kiedy wszedł Rhodes i zajął swoje miejsce na olbrzymim krześle między flagami.

Vincent siedział z przodu w tanim garniturze wybranym przez Walka, bez krawata, którego założenia stanowczo odmówił.

Martha wezwała najpierw własnego lekarza, Cohena. Pomogła kiedyś jego córce wyrwać się z opresji, kolejna przykra historia ze spluka-

nym dupkiem, który nie umie utrzymać pięści w kieszeniach, ale Cohen był na tyle wdzięczny, że chętnie odplacił przysługą za wybawienie jego małej dziewczynki.

Obejrzeni dokładnie zdjęcia obrażeń Star Radley, oboje zwrócili uwagę na to, jak bardzo były poważne. A potem zdjęcia rąk Vincenta Kinga. Lekka opuchlizna na prawej dłoni, ale wyglądająca na starą, powstała raczej w wyniku zatargu sprzed paru dni.

Deschamps odbiła piłeczkę: zmusiła Cohena, by przyznał, że nie potrafi ocenić, od kiedy Vincent miał opuchliznę i że mężczyzna jego rozmiarów mógł zadać obrażenia tego rodzaju gołymi rękami.

Martha przeszła do kwestii śladów wystrzału: powołała ekspertkę, specjalistkę medycyny sądowej, wynajętą za pieniądze Walka, oszczędności zebrane, gdy prowadził ustatkowane życie. Była młoda, ale budziła zaufanie. Kiedy mówiła, skupiała na sobie uwagę wszystkich obecnych. Przeprowadziła wywód naukowy, przedstawiła skład chemiczny, reakcję łańcuchową, opisała chmurę gazów i pozostałości wystrzałowych tworzącą się podczas wystrzału. Na Vincencie Kingu nie znaleziono żadnych śladów.

Martha obserwowała potem przepytywanie ekspertki, jak przyznawała, że ślady prochu mogły zostać zmyte, kran był przecież odkręcony, mogły spłynąć z potem, a może w ogóle by ich nie było, gdyby King wyszedł z pokoju zaraz po strzale.

Walk ponownie stanął przy barierce. Tym razem uśmiechnął się, powiedział wprost, że Vincent King był jego przyjacielem w dzieciństwie, ale to dawne czasy. To przecież on zmienił los Vincenta na lata. Jego obowiązkiem było stać na straży prawa i nie pozwoli, żeby cokolwiek mu w tym przeszkodziło.

Wtedy na środek wyszła Martha, wzięła oddech i wypuściła swoją zabójczą strzałę.

Rzeźnik.

Milton.

Deschamps zmrużyła oczy i lekko się wyprostowała.

Martha poprosiła, żeby Walk opowiedział o młodości Milтона, o jego ojcu rzeźniku i sklepie, który prowadził. Walk zaczął od tego, że Milton był wyrzutkiem, dzieciakiem, którego rówieśnicy omijają szerokim łukiem na ulicy. Deschamps zgłosiła sprzeciw, że to pogłoski, ale uwaga już padła.

Ten wyrzutek wyrósł na problematycznego dorosłego. Był samotny, do tego stopnia, że często zagadywał urlopowiczów i pytał, czy ktoś pojedzie z nim na polowanie. Tak, Milton lubił polować. Martha wyliczyła całą broń, jaką miał na sobie zarejestrowaną; lista była długa i Walk widział, że członkowie ławy wymieniają spojrzenia.

-- Czy powiedziałby pan, że łączyły pana z Miltonem bliższe relacje?

-- Martha stanęła przy ławie przysięgłych.

-- Lubilem go. Było mi go żal, bo zawsze wydawał się lekko zdesperowany, ale doszedłem do wniosku, że jest po prostu nieśmiały. Nie miał przyjaciół, nikt do niego nie dzwonił.

-- Więc dzwonił do pana.

-- Czasem. Raz pojechaliśmy razem na polowanie, tylko raz. Lubię jeść, ale nie zabijać.

Kilka osób się zaśmiało.

-- Zatem sprawnie posługiwał się bronią.

-- Nawet bardziej niż sprawnie. Widziałem, jak położył mulaka z tyśiąca jardów. Ten człowiek potrafił strzelać.

Te słowa Walk skierował do przysięgłego numer jeden, który polował w Mendocino, tak jak Milton.

Martha przeszła dalej, nawiązała do tego, że Milton mieszkał na przeciwko Star, że pożyczał jej auto i wystawiał śmieci.

-- Myślałem, że Milton zachowuje się przyzwoicie -- powiedział Walk. -- Że Star ma kogoś, kto jej pomoże.

-- Kogoś poza panem?

-- Tak.

Walk spoglądał jej przez chwilę w oczy. Radziła sobie doskonale. Był z niej dumny.

Przeniosła teraz uwagę na dowód C.

-- Może mi pan powiedzieć, co to jest, komendancie Walker?

Walk opowiedział, co znalazł w sypialni Milтона. Część sędziów kręciła głowami nad zdjęciami Star, mniej lub bardziej roznegliżowanej.

-- Ile ich tam było?

Walk wydał policzki.

-- Dużo. Setki. Ułożone datami, od bardzo dawna.

-- Obsesja.

Deschamps wyraźnie chciała zgłosić sprzeciw, ale się powstrzymała.

-- Na to wygląda -- zgodził się Walk.

-- Mówi też pan, że Milton miał teleskop.

-- Twierdził, że lubi obserwować gwiazdy. -- Zerknął na reakcję sędziów przysięgłych.

-- Ale nie był skierowany w niebo?

Deschamps wstała, nic nie powiedziała i usiadła z powrotem.

-- Zatem gdzie był wycelowany?

-- W okno sypialni Star Radley.

-- A katalog zdjęć, prowadził go przez ostatni rok?

-- Do nocy, kiedy zamordowano Star.

-- A zdjęcia z tamtej nocy?

-- Zniknęły. Jeszcze ich nie znaleziono.

Martha spojrzała na ławę.

-- A co powiedział Milton, kiedy pan o nie zapytał?

-- Nie miałem na to szansy. W zeszłym miesiącu wyłowiliśmy jego ciało.

Przez salę przebiegły westchnienia, na tyle głośne, że Rhodes musiał je uciszyć.

-- Utonął -- dodał Walk. -- Nie było oznak przestępstwa.

-- Samobójstwo.

Martha pozwoliła, żeby to słowo zawisło, zanim Deschamps zerwała się i zgłosiła sprzeciw. Martha wycofała się z uwagi, ale i tak wszyscy obecni ją zarejestrowali.

Deschamps próbowała zmienić kierunek pytań, z zaróżowioną twarzą, chciała zmusić Walka, by przyznał, że nie znaleźli odcisków palców Milтона w domu Radley. Mógł założyć rękawiczki. Walk nie musiał tego mówić. Facet był rzeźnikiem, nosił rękawiczki. Nie trzeba było nic naciągać.

Tego wieczora w barze panował lepszy nastrój. Walk zamówił burgery i żuli je w pełnym zadowolenia milczeniu. Martha wyglądała na zmęczoną, presja była ogromna. Rozmawiali trochę o Vincencie i o tym, że nie zareagował na śmierć Milтона, po prostu siedział jak zawsze, wpatrzony w podłogę, ignorując spojrzenia.

-- To był dobry dzień.

Martha ssła słomkę od napoju.

-- Ciągłe jest tego za dużo, Walk.

Podniósł wzrok.

-- Za dużo rzeczy, których nie można lekceważyć. Nie chcę, żebyś robił sobie większe nadzieje. Ta sprawa jest nie do wygrania, ale zrobimy wszystko, co możemy. Milton trafił nam się szczęśliwie, jakkolwiek to brzmi. Ale tego będzie więcej. Broń, pocisk. Cała ta historia. Krew na jego rękach. Kurwa, sama bym skazała Vincenta, gdybym go nie znała.

-- No ale go znasz, prawda?

-- Ale sędziowie przysięgli nie.

Wyszli i stanęli przy samochodzie Marthy.

-- Chcesz już wracać?

-- Jutro mowy końcowe. Noc jeszcze młoda.

Patrzył, jak odjeżdża, potem wsiadł do radiowozu i wrócił na posterunek. Leah już skończyła, budynek tonął w ciemności, ale Walk nie przestał pracować, odkąd proces się zaczął. Znalazł na biurku stos dokumentów, zapalił światło i opadł na krzesło. Przejrzał pocztę, otworzył parę kopert i wtedy to zobaczył. Verizon Communication. Wykaz rozmów z komórki Darke'a. Boyd go dla niego zdobył.

Spis sięgał dat sprzed roku, cyferki były tak małe, że Walk musiał mrużyć oczy. Wróci do nich, gdy proces się skończy. Przerzucał kartki, oczy zaszyły mu łzami, gdy ziewnął, potem się przeciągnął. Nie spodziewał się, że coś tu znajdzie.

Ale wtedy zobaczył datę, dziewiętnasty grudnia, dzień śmierci Hala. W pierwszej chwili nie zrozumiał, ale oczy wyłowiły cyfry, które doskonale znał.

Skupił się, pomyślał, że jednak mu się przywidziało.

A potem odłożył kartkę na biurko.

Telefon na komórkę Darke'a.

Połączenie wyszło z posterunku policji w Cape Haven.

Płakała. Walk patrzył.

Siedzieli na zewnątrz, Cape pogrążone było we śnie. Nie spała, cienie pod oczami powiedziały mu, że w ogóle nie sypia.

Mrugała, spływały czarne od tuszu łzy.

Żalostną scenę oświetlał księżyc w pełni. Leah Tallow otarła oczy, pociągnęła nosem i znów zaczęła płakać. Przyszedł pod jej dom po cichu, chciał zdobyć kolejną odpowiedź, rozpaczliwie jej potrzebował.

-- Powiesz mi?

Nawet nie próbowała kłamać. Wbiła wzrok w trawę, uspokoiła się, jakby się tego spodziewała.

-- Walczyliśmy przez długi czas.

Odetchnął głęboko, chciał odsunąć ten moment, wiedział, że gdy już nastąpi, wszystko się zmieni.

-- Chodzi o pieniądze, Walk.

W oczach miała udrękę.

-- Firma Eda. Już jej nie ma.

-- Nie ma?

Podniosła wzrok.

-- Leah, nie rozumiem. Połącz dla mnie kropki.

Znów patrzyła na dom.

-- Rodzina Eda prowadziła Tallow Construction od siedemdziesięciu lat. Przejął interes od ojca, który go przejął po dziadku. Firma przynosiła przyzwoity zysk. Zwykle zatrudniała pół miasta. Jezu, Ed dalej ma piętnastu pracowników. Od kilku miesięcy płacimy im z własnych oszczędności. A potem umarł ojciec Eda i zostawił nam dom, przy Fortuna, w drugiej linii. Niewiele, dla nas dużo, ale niewiele w prawdziwym świecie.

-- Mógł sprzedać firmę, zmniejszyć straty.

-- Ed by tego nie zrobił. Kocha to miasto, Walk. Tak jak ty. Ale potrzebowaliśmy zmiany, nowych domów, nowych pieniędzy. A ty to blokowałaś, ty i inni, głosowaliście przeciwko za każdym razem.

-- Słyszałem ostatnio, że pozwolenie przejdzie bez względu na wszystko.

-- Ale dla nas już jest za późno. Pograżyłeś nas, wiesz o tym.

Nie komentował przez chwilę, zastanawiał się nad swoją rolą, swoją potrzebą zatrzymania zmian w Cape Haven, żeby nie szło naprzód bez niego, bez Vincenta, Star i Marthy.

-- Darke? -- spytał.

Teraz ona wzięła głęboki oddech.

-- Kupił od nas dom przy Fortuna za grosze. W zamian miał przygotowane kontrakty dla Eda. Na wyburzenie naszego i całej reszty ulicy. I na budowę. Ed by to dostał. Te wszystkie domy, mieszkania, to by nas uratowało, Walk. I uratowałyby Cape, prawdziwe Cape, mieszkańców, którzy się tu urodzili.

-- Ale to już przepadło. Wszystko.

-- Wcale nie.

-- Nie rozumiem.

-- Dom Kinga. Pieniądze z ubezpieczenia. Duchess Radley ma taśmę. Jeśli ją odda, Darke odzyska pieniądze z ubezpieczenia, spłaci nas i wszystko odzyskamy.

Myślał, jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

-- Ile?

Leah z trudem przełknęła ślinę.

-- Wszystko. Dom, druga hipoteka na firmę, karty kredytowe i pożyczki. Kurwa, Walk, wszystko. Nie było nas stać na zatrudnienie mnie,

dlatego brałam dodatkowe zmiany na posterunku.

Walk popatrzył na księżyc, potem spojrzął na dom.

-- Ed wie, co zrobiłaś?

-- Nie. To ja prowadziłam księgi. Ed jest jebanym idiotą. Myśli, że nie wiem o tych wszystkich kobietach, a ja zawsze czuję na nim perfumy.

-- Sprzedałaś dziecko.

Potrząsnęła głową, łzy popłynęły szybciej.

-- Nie skrzywdziłby jej, nie znasz Darke'a.

Chciał wziąć ją za rękę, mimo wszystko znał ją przez całe życie. Opanował się jednak.

-- Jak ich znalazłaś?

-- Twoja rozmowa przez telefon. Wiedziałam, że to w Montanie, miałam twoje paragony. Ze stacji benzynowej. I wtedy Hal podczas waszej rozmowy wymienił nazwę szkoły. I jeziora przy farmie.

-- Podśluchiwałaś? -- spytał, ogłuszony.

Nie mógł oddychać, tarł oczy, pomasował sobie kark, czuł, jak gorąco wylewa mu się na policzki. Wstał, nogi ugięły się pod nim, usiadł z powrotem.

-- Masz krew na rękach, Leah. I w imię czego? W imię firmy męża.

-- To dla nich -- powiedziała głośno i wskazała na dom. -- Dla moich dzieci. Dla wszystkich rodzin, które wspieramy w mieście. To tylko taśma, pieprzona taśma, Walk. Duchess podpaliła klub. Wszyscy to wiemy, ale ty nic z tym nie zrobiłeś.

-- To nie tak...

-- To właśnie tak, Walk. Wiesz to doskonale. Ty i Star, i wasza jebana fałszywa lojalność wobec Vincenta Kinga. Star była jego dziewczyną, obiecałeś o nią dbać. Przecież wiem. Powiedziałeś mi, że zrobiłbyś

wszystko dla swoich przyjaciół. Od liceum. Gdybyś zrobił, co do ciebie należało, gdybyś dorwał dziewczynę i...

-- Gdzie jest teraz Darke?

-- Nie wiem.

Wpatrywał się w nią intensywnie.

-- Nie wiem, przysięgam.

-- Ciągłe szuka Duchess?

-- Tu chodzi o pieniądze, zawsze chodzi o pieniądze. On się nie zatrzyma, z moją pomocą czy bez niej.

Pomyślał wtedy o Marcie, która siedzi w domu nad mową końcową.

-- Darke zabił człowieka. Doprowadziłaś do tego.

Znów się rozplakała.

-- Nie mogę o tym myśleć.

-- Kurwa, Leah.

-- W naszym życiu są tacy ludzie, dla których zrobilibyśmy wszystko. Wiesz o tym lepiej niż ja.

Tej nocy chodził po ulicach Cape, dopóki słońce nie wdarło się na nocne niebo i zastał go dzień. Zatrzymał się przy domu Radley, Milto-
na, na Main i Sunset. Postał przy domu Kinga i pomyślał o tym, że bu-
dynek zostanie zburzony. Nawet jeśli Darke nie zorganizuje pieniędzy,
ktoś inny kupi go taniej. Wspominał rzucanie piłką do kosza na podjeź-
dzie, chowanie się na starym strychu i oglądanie "Playboyów" Richa
Kinga. Istniała szansa, że mają rację, że Milton zrobił to, o czym mówi-
ła Martha. Może Vincent nie umiał już funkcjonować poza zakładem
albo po prostu nienawidził siebie tak bardzo, że wolał umrzeć niż żyć
na wolności. Wciąż wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Walk
wiedział, że jest jeszcze szansa, że może trochę koloryzuje, ale nadal
czuł to w środku. Vincent King był niewinny. A on nie zostawi tego

przypadkowi. Już nie. Zaszedł tak daleko, że musi to skończyć, nawet jeśli zapłaci za to własną duszą.

Tego poranka Walk stanął przed lustrem i się ogolił.

Obserwował, jak umywalka się wypełnia, jak wyłania się jego twarz, blada, mizerna, chora. Nie roztkliwiał się, po prostu splukał policzki zimną wodą i bardzo ciężko odetchnął. A potem pojechał do Las Lomas, zajął swoje miejsce, ignorując spojrzenia i szepty.

Wprowadzono Leah Tallow.

Wyglądała na spokojną, makijaż ukrył nieprzespaną noc, prosta sukienka, buty na obcasach. Spojrzała Walkowi w oczy, minęła go bez uśmiechu.

Martha przedstawiła ją, powiedziała, że pracuje w administracji posterunku Cape Haven od piętnastu lat, czasem jako dyspozytorka. Była tam od zawsze, jak Walk i Valeria. Leah mówiła z pewnością siebie, kilka razy się zająknęła, ale Walk widział, że ława przysięgłych ją lubi. Zadzwoił do niej rano, powiedział wszystko, zgodziła się bez namysłu. Coś w rodzaju rozejmu, reperkusje mogły poczekać, to -- nie. A potem zadzwonił do Marthy. Usłyszał wątpliwości w jej głosie, wiedział, że ryzykuje wszystkim, co było ważne dla nich obojga.

-- System... to stały żart. Po prostu powiedzmy sobie szczerze, że Walk lubi, gdy wszystko jest jak jest, a nie jak powinno być.

Martha uśmiechnęła się do Walka, który uniósł brwi. Sędzia numer siedem zauważył to i się zaśmiał.

-- Od lat próbuję to zmienić, uporządkować archiwum. No więc cztery lata temu wprowadzili nowy wzór, nowe formularze i metodę kodowania. A sposób, w jaki Walk się do tego zabrał... znaczy był w tym sens. Zorganizowany chaos.

Deschamps wstała, Rhodes przyjął sprzeciw, Martha przeprosiła.

-- No więc siedzę w tym od trzech miesięcy. Dotarłam do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego i właśnie to wykopałam.

Martha podniosła dokument. Deschamps zgłosiła sprzeciw, sędzia poprosił je do siebie. Walk słyszał natarczywość w głosie prokuratorki, zobaczył, że jest czerwona na twarzy, kiedy się odwróciła i kręcąc głową, wracała na miejsce. Rhodes pozwolił dołączyć dokument do akt.

-- Może nam pani powiedzieć, co to jest? -- poprosiła Martha.

-- To raport z włamania z trzeciego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku przy Sunset Road numer jeden, do domu Gracie King.

-- Domu Vincenta Kinga. Domu, do którego wrócił po wyjściu z więzienia.

-- Zgadza się.

-- Raport podaje, czy coś zginęło?

-- Tak. Komendant Walker był dokładny jak zwykle. Przeprowadził Gracie King, matkę Vincenta. Okazało się, że zapomniała zamknąć sejf. Zabrali dwieście dolarów w gotówce, złotą broszkę, diamentowe kolczyki. I pistolet.

-- Pistolet?

-- Tak. Ruger blackhawk.

Szmer na sali, uciszony przez Rhodesa. Deschamps podeszła do bariery i coś klarowała sędziemu. Atmosfera stała się na tyle gorąca, że Rhodes zarządził piętnastominutową przerwę.

W następnej kolejności wywołano Walka, który nie musiał się już przedstawiać i potwierdzać tożsamości. Martha pytała go o włamanie. Odpowiadał spokojnie. Nie spojrzał ani razu w stronę Vincenta, chociaż czuł na sobie jego wzrok.

I wtedy wstała Deschamps.

-- Czuję się lekko zaskoczona.

-- Leah znalazła to wczoraj wieczorem. Czasem pracuje dłużej, kiedy jej mąż może zostać w domu z dziećmi. Przeszkadza jej, znaczy system, bardziej niż mnie. Ja wiem, gdzie co leży.

-- Więc, komendancie Walker, skoro wie pan, gdzie co leży, czemu nie przekazał nam pan tego wcześniej?

-- Zapomniałem o włamaniu.

-- Zapomniał pan? -- Spojrzała na ławę przysięgłych z konsternacją na twarzy. -- Dorastał pan z Vincentem Kingiem. Zna pan rodzinę. Odwiedzał go pan w więzieniu. Nie wydaje mi się, że w tej sytuacji można o czymś takim zapomnieć.

Walk z trudem przełknął ślinę i nabrał powietrza. Wiedział, że teraz wszystko się zmieni. Wszystko.

-- Jestem chory.

Rozejrzał się po sali; dziennikarze z tyłu, rząd obserwatorów. Zapadła cisza, wszystkie oczy skierowały się na niego.

-- Mam chorobę Parkinsona. Pamięć mi szwankuje. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, bo uważałem, że sobie poradzę. I chyba... nie chciałem stracić stanowiska, jak sądzę.

Spojrzał na członków ławy i zobaczył współczucie. Następnie na Vincenta, który patrzył na niego ze smutkiem w oczach.

A potem spuścił wzrok na raport z włamania i wiedział, że gdyby przestudiowali go dokładnie, gdyby mu się bardzo dobrze przyjrzeni, dostrzegliby lekko pochylone bazgroły, jakby pisane drżącą ręką.

Mowy końcowe zaczęły się o piątej. Rhodes powiedział, że raczej przedłuży posiedzenie niż przełoży je na drugi dzień. Martha wystąpiła pierwsza, wyszła na środek i wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

Nie korzystała z notatek. Walk mógł sobie tylko wyobrazić, jak spędziła ostatni wieczór. Wypowiadała się zwięźle, przedstawiła fakty. Powiedziała o Star i tragedii, która ją spotkała. Mówiła o dzieciach Radleyów i jak bardzo zasługują na sprawiedliwość, ale żeby ta sprawiedliwość spotkała właściwą osobę. Potem o Miltonie, faktach, którym nie można było zaprzeczyć. Odmalowała portret tak tragicznie trafny, że zahipnotyzowała przysięgłych. A następnie o Vincencie. Poprosiła ich, żeby sobie wyobrazili wrzuconego w system karny piętnastolatka, przerażone dziecko w więzieniu z najpodlejszymi ludźmi. Podkreśliła, jak bardzo żałował, jak robił wszystko, by maksymalnie utrudnić sobie tam życie. Może i nie umiał funkcjonować poza więzieniem, może zabił człowieka w samoobronie. Może popełnił błąd tego rodzaju, na którego naprawienie się nie zasługuje. Ale to nie znaczyło, że zabił Star Radley. A jego milczenie nie świadczyło o poczuciu winy, lecz o miażdżącej nienawiści do samego siebie, płonącej tak gwałtownie, że wolałby raczej zostać ukarany za czyjąś zbrodnię niż żyć dalej na świecie, na którym dziecko, które zabił, już żyć nie mogło.

Tysiące mil od sali sądowej Robin znalazł żółty kwiat przypominający króliczy ogonek i przyniósł go do pokoju. Duchess pomogła mu go spłaszczyc, a następnie przypiąc na tablicy obok zdjęcia Jeta. Otoczyła brata ramieniem, lecz myślami była gdzie indziej. Rick Tide znów nie dawał jej spokoju, próbował ją sprowokować, nie wiedział, kiedy należy przestać. Napluł jej na plecy i powiedział, że to za Mary Lou. Poszła do łazienki i zaprała koszulę, pomyślała o Walku, który jej mówił, żeby się dobrze zachowywała.

Wieczorem po kolacji Duchess zabrała Robina do wielkiego ogrodu na huśtawkę i bujała go, dopóki słońce nie schowało się za drzewami.

Mrużył oczy i uśmiechnął się, kiedy powiedziała, że jest królewiczem.

Potem pomogła mu się przygotować do snu, umyła bratu zęby i przeczytała rozdział książki o śwince o imieniu Wilbur i pajęczycy o imieniu Charlotta.

-- To bardzo uczuciowa świnka -- stwierdził Robin.

-- O tak.

Tej nocy odmówili modlitwę. Robin patrzył na siostrę, a ona kazała mu zamknąć oczy i złożyć dłonie.

-- Dlaczego modlimy się akurat dzisiaj? -- spytał.

-- Kontrolnie.

Kiedy zasnął, wymknęła się z pokoju. Mijała łóżka, zapomniane dzieci spały jak zabite, przez te parę cennych godzin mogły nie myśleć o tym świecie i przenieść się do innego. W pokoju było ciemno, tylko telewizor migał. Przeskakiwała po kanałach, aż znalazła właściwy, i oglądała dziennikarzy zgromadzonych pod budynkiem sądu.

Zadzwoiła do Walka. Odebrał, jego głos świadczył o tym, że był bardzo zmęczony. Powiedział jej, że ława przysięgłych się naradza, że mogą skończyć w każdej chwili. Domyśliła się, że nastąpi to lada moment.

Pobiegła myślami do matki, do poprzedniego roku i wszystkiego, co się wydarzyło.

Odwróciła się i ujrzała w drzwiach brata, który intensywnie się w nią wpatrywał.

-- Powinieneś być w łóżku.

-- Przepraszam.

Podszedł, usiadł obok niej i razem oglądali obrazy tak odległe, że trudno im było uwierzyć we własny związek z nimi.

Zobaczyli, jak dziennikarze zaczynają się kłębić, i nastąpiła przerwa na reklamy. Duchess siedziała w milczeniu i zastanawiała się, o czym myśli brat. Potem wróciła relacja, spikerzy pokrótce przedstawili przebieg procesu, mówili o rzeczach, których dzieci nie wiedziały o matce i Vincencie Kingu. Kiedy werdykt wyświetlił się na czerwono, aż się wyprostowała, a serce zaczęło jej bić bardzo szybko.

-- Co tam jest napisane?

-- Uznali, że nie zabił mamy.

Patrzyła z lekko otwartymi ustami, jak dziennikarz łapie jednego z sędziów przysięgłych. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego, ale zdołał się uśmiechnąć. Omówił szczegółowo zeznanie komendanta policji z Cape Haven. Powiedział, że policjant odkrył raport z włamania, że broń, która miała być narzędziem zbrodni -- pistolet należący kiedyś do ojca podejrzanego -- nie mogła być w posiadaniu Vincenta Kinga. Ława przysięgłych była niezdecydowana, a on dał im punkt zaczepienia, którego potrzebowali.

Rozbolał ją brzuch, tak mocno, że wcisnęła w niego zwiniętą pięść.

-- Walk. Coś ty, kurwa, zrobił, Walk?

Robin przytulił się do jej boku; pocałowała go w głowę, kwestionując w myślach wszystko, co uważała za pewne na tym świecie. Znów ją to dopadło, koncepcja prawdy, niewiara w sprawiedliwość.

Wtedy go zobaczyli.

Robin wstał.

Na ekranie w towarzystwie drobnej kobiety w eleganckim kostiumie i trampkach Chucka Taylora pojawił się Vincent King.

Ekran rozjaśniły rozbłyśki fleszy. Uniewinnionego mężczyznę prowadzili do czekającego samochodu.

-- Co się stało? -- spytała brata.

Trząsł się, przez całe jego ciało przechodziły dreszcze, gdy on walczył o oddech.

Rozplakał się, a ciemna plama rozlała mu się po spodniach.

Opadła na kolana.

-- Robin. Powiedz mi.

Potrząsał tylko głową z mocno zaciśniętymi zębami.

-- Już dobrze. Jestem przy tobie.

-- To on -- wykrztusił z wysiłkiem, zapłakany. -- Pamiętam.

Delikatnie wzięła jego twarz w dłonie.

-- Co pamiętasz?

Wbijał wzrok w ekran za jej plecami.

-- Vincent przyszedł do mnie do pokoju. Pamiętam, co powiedział.

Otarła mu łzy, a on wreszcie na nią spojrzał.

-- Powiedział, że mu przykro za to, co zrobił mamie. Powiedział, że bym nikomu nic nie mówił, albo pożałuję.

Zamknął oczy i łkał. Mocno go przytuliła.

Odprowadziła go do pokoju, wsadziła pod prysznic, umyła, dała czystą piżamę i położyła do łóżka.

Usnął.

Wtedy się spakowała.

W torbie znalazła zdjęcie, jedno z niewielu, jakie miała: Star i ich dwójka w ogródku przed domem, z bosymi stopami, roześmiani. Przypięła je do tablicy korkowej, obok zdjęcia Hala.

Odsunęła trochę żaluzje, żeby widzieć gwiazdy, a potem usiadła w nogach łóżka i tak przetrwała nocne godziny. Jednocześnie długie i szybkie, gdy wspominała ich życie. Przypomniła sobie, jak się urodził, jego pierwsze kroki, pierwsze słowa. Jak ją rozśmieszał. Pierwszy dzień w szkole, kiedy uczyła go rzucać piłką w ich małym ogródku.

Odczekała do brzasku. Nie chciała, żeby został sam w ciemności.

Wyciągnęła torbę za drzwi i zostawiła je lekko uchylone. Potem wróciła, z trudem powstrzymała łzy, aż nie mogła oddychać, przeklęła samą siebie i pociągnęła się za włosy tak mocno, jak tylko mogła wściekła dziewczynka. Gdyby miała nóż, zraniłaby się głęboko. Zasłużyła na ból. Zasłużyła na największe cierpienie.

Pochyliła się, pocałowała brata w głowę, powiedziała mu, żeby był dobrym człowiekiem, gdy ona już usunie się z jego życia, jak wcześniej wielu innych.

Walk siedział przy biurku, znalazł w szufladzie butelkę kentucky, odkręcił i pociągnął długi łyk.

Zamknął oczy, bardzo go piekły, w ogóle nie czuł się w nastroju do świętowania. Vincent pojechał prosto do domu. Nie rozmawiali po drodze, nie uśmiechał się, po prostu uścisnął dłonie Marcie May. Walk powiedział jej, że była świetna, ich spojrzenia się spotkały i wiedział, że Martha wie. Zwycięstwo było miałkie. Prokuratorka okręgowa wypadła z sali sądowej jak burza.

Napił się jeszcze trochę. Noc zbladła, ramiona mu opadły, ciało przestało go dręczyć.

Spojrzał na stos dokumentów na tacy, który rósł przez prawie rok, głównie rutynowe sprawy. Opuścił wszystko oprócz Vincenta Kinga i Darke'a. Jediną kwestią, w jakiej nie skłamali na rozprawie, był stan gabinetu Walka.

Przyciągnął do siebie stos i zaczął przekładać kolejne papiery, bagroły Valerii, wykroczenia drogowe, akty wandalizmu, możliwe wtargnięcia na teren prywatny. Trudno było mu się skupić, trudno ogarnąć standardowe, zwykłe rzeczy. Zauważył kilka komunikatów od władz stanowych, a potem, między nimi, wiadomość, że doktor David Yuto odpowiedział na jego telefon.

Walk przetrząsnął umysł; już zaczęła ogarniać go frustracja, kiedy przypomniał sobie, że chodziło o autopsję Baxtera Logana, mężczyzny, którego Vincent zabił w Fairmont.

Spojrzał na zegarek, zobaczył, że jest późno, ale mimo to wybrał numer. Mężczyzna odebrał po pierwszym sygnale. Okazało się, że Yuto pracuje już ostatni tydzień i przygotowuje się do przekazania obowią-

ków swemu następcy, dwadzieścia lat młodszemu, z doświadczeniem krótszym o jedno pokolenie. Chwilę porozmawiali ogólnie, potem Walk przeszedł do sprawy Logana. Yuto po minucie namierzył teczkę.

-- Co więcej chciałby pan wiedzieć? -- spytał Yuto.

-- Właściwie... więcej szczegółów. Zastanawiałem się po prostu...

-- W tamtych czasach nie byliśmy tak rygorystyczni jak dziś. Nie było badań DNA. Zanotowałem przyczynę śmierci: uraz głowy.

Walk popił whisky, nogę trzymał na biurku.

-- Więc tak to było. Jeden cios i...

-- To nie był jeden cios. Logan by wtedy tak nie wyglądał.

Walk wpatrywał się w szklanke.

-- Pamiętam, jak Cuddy zadzwonił. Oczywiście, był wtedy młodszy, jeszcze nie przejął obowiązków po ojcu. Ale powiedział mi, żebym nie roztkliwiał się za bardzo nad Loganem. Przestępcy seksualni nie są popularni w Fairmont. Podałem więc przyczynę śmierci i zająłem się następną sprawą.

-- Pobicie... było poważne?

Yuto westchnął.

-- Minęło wiele lat, ale pewnych rzeczy po prostu się nie zapomina. Wybite zęby, oba oczodoły zmiażdżone. Nos połamany tak, że właściwie rozplaszczony na twarzy.

-- Ale to była bójka. Vincent King walczył o życie.

-- Nie jestem pewny, co próbuje pan powiedzieć, komendancie Walker. To była bójka, ale Logan był bity jeszcze długo po jej zakończeniu.

Walk pobiegł myślami do Star -- trzy złamane zębra. Podziękował Yuto i zakończył rozmowę.

Przełknął ślinę smakującą whisky, gardło miał wyschnięte, przyspieszone bicie serca. Wstał, wyszedł z posterunku i postanowił się przejść, była już noc, w oddali światelka błyskały na falach, nieprzerwany ciąg łodzi przecinających zatokę.

Oddychał słonym wiatrem, szedł powoli i próbował zebrać myśli, ale one biegly swoją drogą i układały się w obrazy, których nie chciał widzieć. Znalazł się na Brycewood Avenue, sąsiedzi, których znał z poprzednich letnich sezonów, kiedy jeszcze kontrolował miasto.

Zatrzymał się na końcu Sunset, kiedy zobaczył po drugiej stronie ulicy Vincenta: poruszał się bardzo szybko, zwrócony plecami do niego, ubrany w ciemne dżinsy i koszulę. Już chciał go zawołać, ale zamiast tego poszedł za nim, w dość dużej odległości. Zastanawiał się, co czuje człowiek wydarty z objęć śmierci.

Szli chodnikiem pod górę, po dwóch minutach Vincent wspiał się na suchy mur z szarego kamienia, wyszczerbiony w łagodnym świetle latarni. Podszedł do drzewa życzeń, nie zwalniając, schylił się energicznie, potem wyprostował i rozejrzał na boki.

Na końcu drogi pojawił się samochód i oświetlił reflektorami wzgórze. Walk cofnął się w cień, Vincent jak widmo podążał dalej, szybko, wreszcie rozpląnął się w ciemnościach.

Walk poczekał, aż samochód przejedzie, potem wspiał się na mur i zeskoczył w wysoką trawę. Pod drzewem było ciemno, więc wyjął telefon i oświetlił pień u podstawy.

Jama, przy samej ziemi, mała, łatwa do przegapienia.

Uklęknął, włożył rękę do środka i wyciągnął pistolet.

Odciski stóp na Księżycu -- powiedział Thomas Noble. -- Zostawili je astronauty z Apolla i zostaną tam przynajmniej na następne dziesięć milionów lat.

Nie uważała już, że niebo jest nieskończone. Wiedziała o duszach, prorocत्वach, o zjednoczeniu z Bogiem i przyszłym świecie. Starła się nie myśleć o Robinie, który obudził się rano, przerażony. Przełknęła kulę w gardle, tak gorzką ze wstydu, że prawie się rozpląkała.

-- Dokąd pojedziesz?

-- Mam sprawy do załatwienia.

-- Możesz tu zostać.

-- Nie.

-- Pojadę z tobą.

-- Nie.

-- Jestem dzielny. Będę cię miał na podbitym oku.

-- Za to byłabym ci dożgonnie wdzięczna.

Leżeli na skraju jego ogródka, w cieniu lasu, który rósł za ich plecami.

-- To niesprawiedliwe -- stwierdził. -- Że ci się to wszystko przytrafia.

-- Mówisz jak dziecko. A co jest sprawiedliwe? -- Zamknęła oczy.

-- Wiesz, że nie wyjdzie z tego nic dobrego.

Gwiazda spadła z nieba. Nie pomyślała życzenia. Życzenia do spadających gwiazd są dla dzieci, a Duchess wiedziała, że już nim nie jest. Zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek była dzieckiem.

-- Ci wszyscy ludzie -- powiedziała -- co przez całe życie gapią się w niebo i zadają pytania. Czy Bóg ich wysłucha? A jeśli nie, to czemu na-

dal się modlą?

-- Na tym polega wiara. Na nadziei, że wysłucha.

-- Bo inaczej życie jest niepełne.

Kiedy znów się odezwał, mówił bardzo cicho.

-- Boję się, że nie znajdziesz już drogi powrotu.

Duchess patrzyła na księżyc.

-- Zwykle proszę Boga o zdrową rękę. Dlaczego? Tak po prostu. Zawsze się modlę, żebym obudził się normalny. A przecież to bezcelowe modlitwy.

-- Może nie są bezcelowe.

-- Zostań tu. Ukryję cię.

-- Muszę coś załatwić.

-- Chcę ci pomóc.

-- Nie możesz.

-- Mam cię tak po prostu puścić samą? Czy to odwaga?

Wzięła go za rękę i spleli palce. Zastanawiała się, jak by to było być na jego miejscu, z drobnymi problemami, matką śpiącą w domu, nieskazitelną przyszłością, otwierającą się przed nim tak szeroko.

-- Będą cię szukać.

-- Niezbyt intensywnie. Po prostu kolejna uciekiniarka z domu dziecka.

-- Zaslugujesz na to, żeby cię znaleźli. I co z Robinem?

-- Proszę -- powiedziała na granicy rozpacz. -- Pewnie przyjdzie do ciebie policja. Będą pytać, gdzie jestem i co robię. Pomyśl o tym, co im powiesz, sam wiesz, co najlepiej.

-- A jeśli powiem prawdę?

-- Nie powiesz.

Leżała w ukryciu do rana. Pani Noble wyszła wcześniej, ubrana do pracy, lexus dyskretnie zaszurał na podjeździe, a Thomas Noble otworzył tylne drzwi.

Duchess weszła do domu Noble'ów, umyła się i zjadła płatki.

Było tak bezpiecznie. Thomas Noble dał jej pięćdziesiąt dolarów; nie chciała wziąć, ale wcisnął jej banknoty siłą.

-- Oddam ci.

Wrzuciła do torby parę puszek: fasola i zupa. Robiła wszystko błyskawicznie. Shelly zadziałała szybciej, niż się spodziewała, bo telefon już dzwonił jak opętany i włączała się automatyczna sekretarka.

Odsłuchali.

-- Martwi się.

-- Ma tysiąc takich jak ja.

W drzwiach zobaczyła spakowane bagaże. Za kilka dni Thomas Noble wyjedzie na wakacje. Zapomni o niej. Jego życie potoczy się dalej. Uśmiechnęła się do tej myśli.

Ulica budziła się powoli, z jednej strony nadjeżdżała śmieciarka, z drugiej -- listonosz.

Thomas Noble wystawił na zewnątrz rower i oparł go o bramę.

-- Weź go.

Chciała odmówić, ale położył jej rękę na ramieniu.

-- Po prostu weź. Dojedziesz dalej, zanim cię złapią.

-- Będę jak duch. Już jestem.

-- Zobaczymy się jeszcze?

-- Pewnie.

Oboje wiedzieli, że kłamię, ale nie drażył, pochylił się i pocałował ją w policzek.

Wsiadła na rower, zarzuciła torbę na ramię -- wszystko, co miała na tym świecie.

-- Na razie, Thomasie Noble'u.

Podniósł zdrową rękę, a ona wyjechała na ulicę. Potem mocno nacisnęła na pedały i nie obejrzała się za siebie; wiatr owiewał jej twarz, kiedy latarnie się skończyły i znalazła się w ciemności.

Godzinę później była na Main Street. Zostawiła rower przed zakładem pogrzebowym Jackson Hollis i weszła do środka; klimatyzacja uderzyła ją z taką siłą, że poczuła mrowienie na twarzy.

-- Duchess! -- Magda przywitała ją uśmiechem. -- Miło cię znowu widzieć.

Magda prowadziła zakład z mężem, Kurtem, mężczyzną bladym jak jego klienci. Pewnie właśnie się kimś zajmował, bo zasłony były zaciągnięte, a trumny -- ukryte.

-- Chciałabym zabrać prochy dziadka.

-- Zastanawiałam się, kiedy przyjedziesz. Shelly mówiła, że któregoś dnia cię przywiezie.

-- Jest w aucie. -- Duchess wskazała głową nissana zaparkowanego po drugiej stronie ulicy pod kątem, który nie pozwalał dokładnie się przyjrzeć.

Magda poszła na zaplecze i minutę później wróciła z małą urną.

Duchess wzięła ją i skierowała się do wyjścia, kiedy zasłona się uchylila i wyszli zza niej Dolly z Kurtem. Duchess wymknęła się na chodnik i prawie dotarła do Cherry'ego, zanim Dolly ją dogoniła.

-- Duchess.

Dolly wciągnęła ją do cukierni i posadziła w rogu. Sama poszła złożyć zamówienie.

Wyglądała starzej, makijaż miała niedopracowany, włosy nieporządnie uczesane. Nadal nosiła markowe ciuchy, torebkę i buty od Chanel.

-- Mogłabym powiedzieć, że miło znów cię tutaj widzieć.

-- Ale.

Dolly się uśmiechnęła.

-- Przykro mi z powodu Billa. Nie wiedziałam.

-- Był już gotowy. Okazało się, że ja jednak nie.

Torba Duchess upadła i otworzyła się, ukazując ubrania i puszki. Dziewczynka przyciągnęła ją bliżej i zasunęła zamek.

Dolly popatrzyła na nią smutno.

-- Co teraz będzie? -- spytała Duchess.

-- Pochowam męża. Co dalej, jeszcze nie myślałam. Były plany, wycieczki, miejsca, które chcieliśmy zobaczyć. Nie wiem, czy dam radę sama. Ale miał dobre życie. Czego można więcej chcieć, prawda?

-- Thomas Noble mówi, że sprawiedliwość istnieje...

-- Rozumiem go. -- Dolly się uśmiechnęła.

-- ...a skoro istnieje, to oznacza, że ktoś ma nad wszystkim kontrolę.

-- Słyszałam o tamtym człowieku. Mówili w wiadomościach. Myślałam o tobie i Robinie. Może Thomas Noble miał na myśli coś takiego, że ktoś idzie przez życie i zadaje cierpienie innym, podczas gdy inni ludzie po prostu starają się robić swoje. Te dwa typy zawsze się ze sobą ścierają.

Duchess pomyślała o Dolly, jej życiu, jej ojcu, robieniu wrażenia.

-- Hal powiedział, że ten człowiek był rakiem na naszej rodzinie. Może sięgnąć daleko, po mnie i Robina. Po mojego brata. Nie potrafię...

Dolly pochyliła się i położyła rękę na jej dłoni.

-- Może nie wybierasz, kim zostaniesz. Może jest to określone z góry. Niektóre z nas są banitkami. Może się nawzajem odnajdujemy.

-- A może jest zupełnie inaczej. Nikt nie ma żadnej kontroli, tylko po prostu pojawia się ktoś, kto jest gotowy wyjść i wziąć, co chce.

-- Co wiesz o sprawiedliwości, Duchess?

-- Trójpalczasty Jack. Przejechał pięćset mil, żeby z zemsty zabić partnera, Franka Stilesa.

-- Ale co o tym myślisz? I nie chodzi mi o definicję, chodzi mi o to, co twoim zdaniem ona, "sprawiedliwość", oznacza dla ludzi, którzy zostali zranieni.

-- Że to już koniec. Że mogę dalej oddychać. Ale wiem, że to nie wystarczy.

-- A Robin? Jak myślisz, czego on chce?

-- Ma sześć lat. Jeszcze nie wie, czego chce. Nie zna świata, poza tym najbliższym.

-- A ty?

-- Ja znam aż za dobrze.

Podeszła kelnerka i przyniosła dwa kubki kakao i małą babeczkę z wbitą weń świeczką. Postawiła wszystko, mrugnęła do Duchess i wróciła za ladę.

-- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Duchess.

Duchess gapiła się w ciastko.

-- Nie musiałaś...

-- A teraz cicho. Nie co dzień dziewczyna kończy czternaście lat. Musisz pomyśleć życzenie.

Kiedy się zorientowała, że Dolly nie odpuści, pochyliła się, zamknęła oczy i zdmuchnęła świeczkę.

Potem poszły zacienioną stroną ulicy. Przy zakładzie pogrzebowym Duchess podniosła rower i zaczęła go prowadzić.

Dolly zatrzymała się przy swojej terenówce.

-- Powinam ci teraz powiedzieć wiele rzeczy.

-- Nic, czego bym już nie wiedziała.

-- Wrócisz ze mną do domu? Jest coś, co chciałabym ci pokazać.

-- Nie mogę. Muszę jechać.

-- Innym razem.

-- Jasne.

Dolly wzięła ją za rękę.

-- Obiecuj mi, że kiedyś do mnie wpadniesz.

-- Obiecuję.

-- I wiem, że dotrzymasz słowa. Banitka jest warta tyle, ile jej słowo.

Dolly wyglądała bardzo krucho w tym momencie, miała zmartwienie wypisane na twarzy, jakby to nie Duchess stanowiła jej główny problem.

-- Mogę sprawdzić, co u Robina.

Duchess kiwnęła głową i dolna warga lekko jej zadrżała. Musiała być twardsza przed tym, co ją czekało.

-- Uważaj na siebie, Duchess.

I wtedy Dolly sięgnęła do torebki i wyjęła portmonetkę. Gdy zaczęła wyciągać banknoty, Duchess wsiadła na rower i odjechała.

Odwróciła się przy końcu Main.

Pomachała, a Dolly uniosła rękę.

Duchess dotarła do ziemi Radleyów około pierwszej, ze spalonymi słońcem nogami. Miała mokrą od potu koszulkę i pozlepiane włosy. Odłożyła rower w trawie przy bramie i powoli poszła krętym podjazdem, pod rozmodlonymi drzewami przy nieruchomej wodzie.

Pomyślała o Robinie, czy jest teraz w szkole, czy jest przy nim Shelly. Musiała zebrać wszystkie siły, żeby nie zawrócić z drogi i nie pojechać z powrotem, do niego, by paść na kolana i mocno go przytulić. Miała jedno jego zdjęcie, z uśmiechem, sprzed roku, jeszcze z dłuższymi włosami. Wyjęła je z torby, kiedy weszła po starych schodach na werandę i usiadła na huśtawce.

Na bramie wisiała tabliczka "Nieruchomości Sullivan". Pewnego dnia odbędzie się aukcja i wprowadzi się tu ktoś inny, zacznie uprawiać ziemię, wejdzie w ten sam cykliczny kierat. W oddali Duchess dostrzegła łosie, jak zwykle zbite w gromadkę u stóp wzgórz. Pola wymagały orki. Pomyślała o Halu, który kiedyś żył tu samotnie.

Otworzyła drzwi czerwonej obory i zobaczyła jego narzędzia; wszystkie leżały tam nadal, nie miały dla nikogo żadnej wartości. Weszła w mrok i odsunęła wykładzinę.

Pociągnęła drzwi w podłodze, były ciężkie. Pot spływał jej z podbródka. Podparła klapę i zeszła po drabinie.

Magazynek. Broń na półkach, stojak na strzelbę.

Stary skórzany fotel, miejsce, gdzie Hal mógł być sam.

Z tyłu stał mały stolik, na którym piętrzył się stos listów. Przerzuciła koperty, zatrzymała się nad ostatnią i otworzyła ją, a kiedy to zrobiła, dwie kartki sfrunęły na ziemię. Podniosła je, były to dwie połówki czeku. Złożyła je razem i ledwo przełknęła ślinę przez wysuszone nagle gardło -- milion dolarów. Opatrzony późniejszą datą, miał się stać ważny kilka miesięcy po procesie. Podpis był prosty, jak wydrukowany. Richard Darke. Na odwrocie zobaczyła, że Vincent indosował czek na Halę.

Odłożyła wszystko z powrotem, pomyślała o kosztach odkupienia, pocieszyła się myślą, że jej dziadek przedał czek na pół.

Wstała.

Zobaczyła pudełka.

Podeszła, przyklękła i wtedy dostrzegła kolorowy papier. Prezenty. Sprawdziła bileciki, przeczytała własne imię i imię brata. Na każdym była data, kolejne daty jej urodzin. Usiadła na najniższym szczeblu i rozdarła jeden z pakunków. Lalka. Potem kolejna. Puzzle. Paczek Robina nie otwierała.

Zamarła nad ostatnią -- miała dzisiejszą datę. Otworzyła ją ostrożnie, zdjęła pokrywkę i z trudem przełknęła ślinę, gdy zobaczyła, co jest w środku.

Wyjęła kapelusz i wpatrywała się w niego z zachwytem. Skórzane ćwieki na otoku, przewiewna główka i czterocalowe rondo. Przejechała kciukiem po metce z wytłaczanymi złotymi literami.

John B. Stetson.

A potem powoli włożyła go na głowę. Pasował idealnie.

Wzięła dwie sztuki broni, swoją i jedną dziadka. Do tego pudełko nabojów, tych, które jej pokazywał.

Kiedy skończyła, resztę odłożyła na miejsce, spakowała torbę i stwierdziła, że jest bardzo ciężka.

Prochy rozsypała na wodzie, w miejscu, gdzie czasem razem siadywali.

Zebrała się w sobie i opuściła rondo kapelusza.

-- Na razie, dziadku.

Walk spędził cały dzień na odrzucaniu połączeń od przełożonych. Wieści rozchodziły się szybko, miał zostać wezwany do biura gubernatora Hopkinsa, gdzie czekała go rozmowa o przeniesieniu; bez wątplenia dostanie pracę za biurkiem. Trzy połączenia zaledwie jednego dnia, jakby góra nagle uznała, że przestał nadawać się do służby.

Siedział w swoim gabinecie, teczki leżały otwarte, napuchnięta twarz Milтона wpatrywała się w niego natarczywie. Mężczyzna nie miał żadnej rodziny, którą należałoby zawiadomić, jedynie jakąś odległą ciotkę mieszkającą w domu opieki w Jackson. Walk zadzwonił -- stwierdziła, że nie zna żadnego Milтона.

Podniósł wzrok, kiedy stanęła w drzwiach, próbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

Martha zamknęła za sobą drzwi.

-- Odrzucasz połączenia ode mnie, komendancie? -- spytała z uśmiechem.

-- Przepraszam, mam tu dziś kocioł.

Usiadła, przechyliła głowę i uniosła brwi.

-- A naprawdę?

-- Nie byłem w stanie spojrzeć ci w twarz.

-- Zrobiłeś szwindel.

-- Ale nie chciałem cię w to wciągać.

Skrzyżowała nogi.

-- Poradzę sobie. Oboje wiedzieliśmy, w co się pakujemy.

-- Myślę, że ja bardziej niż ty.

-- Teraz widzę, że to był całkiem dobry interes. Cała kolejka skurwieli skazanych na śmierć chce, żebym poprowadziła ich apelacje. Ale

niech zapomną. Spłukani faceci i poturbowane kobiety. To mój chleb powszedni.

Przeciągnęła ręką po włosach, a on śledził jej każdy ruch.

Pochyliła się i chciała wziąć go za rękę, ale się cofnął.

-- Porozmawiaj ze mną.

-- Kiedy zaczynaliśmy sprawę, widziałem tylko jej koniec. Widziałem, że Vincent wychodzi na wolność i czas się cofa. To dla mnie dość. Ja już wypadam z gry. Jestem chory, Martho. Moje komórki umierają. To się już dzieje, wczesny etap, ale już się dzieje.

-- Wiem o tym.

-- Czyżby? Czytałem, rozmawiałem z lekarzem, widziałem innych w poczekalni, o wiele bliżej w kolejce ode mnie.

-- Co więc próbujesz mi powiedzieć?

-- Nie chcę, żebyś była pielęgniarką. Chcę, żebyś miała wszystko, co najlepsze. Zawsze chciałem.

-- Mówisz zupełnie jak mój ojciec. Jakbym była małą dziewczynką, która nie ma nic do powiedzenia na temat swojego życia. A ja wybrałam... ty jesteś moim wyborem. I myślałam, że ja jestem twoim.

-- Bo jesteś.

-- Gówno prawda. Wybrałeś siebie, swoje pieprzone, szlachetne ja. Spuścił wzrok.

Otarła oczy.

-- Nie jestem smutna, jestem wściekła. Jesteś tchórzem, Walk. To dlatego odpuściłeś sobie wszystko przez cały ten czas.

-- Myślałem, że nie chcesz mnie widzieć.

-- A ja właśnie chciałam.

-- Przykro mi.

-- Nie pierdol głupot. Przez te wszystkie lata mogłeś coś zrobić, spotkać się ze mną, kurwa, zadzwonić. Tylko Vincent cię obchodził, zawsze tylko Vincent.

-- To nie...

-- Kiedy cię spytałam o Vincenta, pamiętasz, skupiłeś się wyłącznie na dobrych rzeczach, ani jednym, kurwa, słowem się nie zająknąłeś, jak przez cały czas robił Star w chuja. Te wszystkie dziewczyny, płakała mi w rękaw. Kryłeś go, okłamywałeś nawet mnie. Zawsze go, kurwa, kryłeś.

-- To nic nie znaczyło.

-- Ja to wiem. Chcę tylko powiedzieć, że przez ostatnie trzydzieści lat żyłeś przeszłością kogoś innego. Nie czas dać sobie spokój?

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się i wycelowała w niego palec.

-- Jak już odpuścisz, kiedy ta parada żalości się skończy i odzyskasz jaja, zadzwoń do mnie.

Drzwi się otworzyły i Martha przemknęła obok Leah Tallow, która odwróciła się i patrzyła za nią.

-- Co jej się stało?

Wstał, zamknął gabinet i wskazał Leah krzesło naprzeciwko. Bez makijażu, włosy zaczesane do tyłu, twarz wymęczona.

Usiadł.

-- Jesteś pewny, że tego właśnie chcesz, Walk?

-- Tak.

Patrzył, jak Leah wybiera numer na telefonie z jednorazową kartą.

Darke nie odbierał. Leah zaczęła, aż włączy się poczta głosowa.

-- Wiem, gdzie są. Oddzwoń. -- Głos jej się załamał, gdy mówiła. Łzy popłynęły, kiedy zakończyła połączenie.

-- Kiedy oddzwoni, dasz mu ten adres. Powiesz mu, że dzieciak to kolega Duchess i może wiedzieć, gdzie ją znaleźć.

Podał jej karteczkę z adresem napisanym odręcznie, ale czytelnie.

-- Nie rób tego, Walk. Porozmawiam z Boydem. Wszystko mu powiem.

Patrzył, jak wychodzi, i próbował ją nienawidzić, ale nie potrafił.

Wiedziała, że musi jechać na południe, do większego miasta, Fort Pryor, gdzie był dworzec autobusowy. Nie miała pojęcia, dokąd dojedzie za pięćdziesiąt dolarów, ale domyślała się, że niezbyt daleko. Może do Idaho albo Nevady, jeśli dopisze jej szczęście. Postanowiła nie wybiegać myślą dalej niż o jeden dzień naprzód, bo zadanie, które miała do wykonania, ciągnęło ją w tył.

Jechała wąskimi bocznymi drogami. Kiedy biegły pod górkę, zsiadała i pchała rower, kiedy opadały, zjeżdżała ostrożnie z ręką na hamulcu.

Montesse, Comet Park, obszary o wyjątkowej urodzie, otulone drzewami, spowite cieniem. Piękne domy rozrzucone swobodnie na rozległej polaci, żółte tablice nawołujące do głosowania za projektem budowy rurociągu, który wniesie życie w pogrążone w stagnacji miasteczka, parę ciężarówek pod sklepami spożywczymi, nic, tylko dreszcz śmierci.

Dwie mile dalej, pośrodku niczego złapała gumę. Ten cios prawie doprowadził ją do łez. Próbowała mimo wszystko posuwać się naprzód, ale teraz każde naciśnięcie pedału wymagało podwójnego wysiłku.

Przeklinała, gdy porzucała głupi rower Thomasa Noble'a w lesie za Jackson Creek.

Usiadła na zwałonym drzewie, zjadła chleb, który już całkiem wyschł, i popiła go resztką wody, a potem wstała. Jej trampki nie nadały się do wędrówki, zdzierały skórę z pięt.

Mijała farmy i szachownice pól, wszystko w odcieniach zieleni i brązu, kościoły, które wciąż miały dzwony i ludzi do bicia w nie. Przez milę szła za parą starszych ludzi, wyposażonych w długie kijki i szczerze uśmiechy. Słyszała każdy ich krok; chociaż zesza ze szlaku, trzymała się mniej więcej kierunku. Oni zmierzali do jakiegoś celu. Ona chciała tylko mieć pewność, że tym celem jest południe.

Straciła ich z oczu, znowu przeklęła, czuła się słaba i opuszczona.

Dotarła do drogi tak szerokiej, długiej i puste, że zatrzymała się na poboczu, odchyliła głowę i spojrzała w niebo.

I wtedy znów pojawiła się para starszych ludzi. Hank i Busy z Calgary. Emeryci na wakacjach, nocowali w motelach i chodzili po szlakach, chłonąc starymi oczami nowe widoki.

Dołączyła do nich, przedstawiła im pozbawioną szczegółów historię, jak to jej matka zachorowała i ona teraz idzie do szpitala w Fort Pryor, żeby się z nią zobaczyć. Dali jej wody i czekoladowego batona.

Busy opowiedziała o swoich wnukach: siedmioro z nich rozrzuconych po kraju, bankier na Dalekim Wschodzie, lekarz w Chicago. Hank szedł z przodu, jakby badał teren, usuwał gałęzie sprzed nóg dam, kark miał spalony słońcem.

Hank zauważył, że Duchess utyka, więc posadził ją na trawie, a sam wygrzebał z plecaka plastry, którymi zakleił jej pięty.

-- Biedne dziecko.

Ruszyli dalej. Hank miał mapę i wskazał jezioro Tethan.

-- Kolejne jezioro. -- Busy przewróciła oczami do Duchess.

-- Kiedyś mieszkałam w miasteczku Cape Haven. Kiedy byłam mała.

-- Śliczna nazwa -- powiedziała Busy. Miała mocne łydki, nogi stworzone do wędrówki. Szeroką twarz, przystojną, ale z grubymi rysami. -- Pamiętasz je dobrze?

Duchess odegnała muszki z twarzy, gdy przechodzili na kolejny szlak.

-- Nie.

Przecięli drogę numer siedemdziesiąt pięć i weszli na ścieżkę nie szerszą niż ciężarówka. Nie zadawała pytań, ponieważ Hank poruszał się z dużą pewnością. Nocowali pół mili od Fort Pryor i zamierzali ją tam bezpiecznie odprowadzić. Miała szczęście. Długo wyczekiwane szczęście.

-- Masz rodzeństwo? -- spytała Busy.

-- Tak.

Duchess widziała, że Busy chce pytać dalej, dostrzegła to w jej smutnym uśmiechu i wilgotnych oczach. Nie pociągnęła tematu i zawiśło to przez chwilę nad nimi.

Po godzinie marszu dotarli do dwuskrzydłowej bramy na zakręcie drogi, która ciągnęła się tak daleko, że nie widzieli jej końca. Hank powiedział, że powinni trochę odpocząć, przedarli się więc przez wiciokrzew i zwiędłe kwiaty.

Wyłonił się przed nimi dom, duży i okazały. Podeszli od frontu i popatrzyli na kamień, bloki większe od ich głów, pięknie zdobione okna.

Hank się rozglądał, a Duchess go obserwowała, przyciskając do siebie torbę, aby sprawdzić broń.

-- Ten dom to Attaway, Hank lubi architekturę.

Mężczyzna wyciągnął aparat i zawzięcie fotografował.

Obeszli budynek i z tyłu zobaczyli długie, czyste zbiorniki wodne, ciągnące się aż do lasu.

-- Dym -- powiedziała Busy i wskazała kierunek.

Unosił się z ogniska na polanie. Inna para, w tym samym wieku, z tym samym wyrazem oczu. Jakby znaleźli się w niebie o dziesięć lat wcześniej, niż powinni. Przedstawili się sobie.

Nancy i Tom z Dakoty Północnej, mieli kampera w Hartson Dam, ale chcieli zobaczyć dom Attaway.

Zjedli hamburgery z grilla. Duchess pomyślała o Robinie, spojrzała na zegarek i zobaczyła, że pewnie teraz też je, samotnie. Zwykle bez niej nie jadł. Znow dopadł ją ból brzucha, tak silny, że zaczęła go kurczowo ścisnąć.

O zachodzie słońca dotarli do motelu. Fort Pryor znajdował się o dziesięć minut marszu. Hank dał jej dwie garście batonów i jeszcze jedną butelkę wody. Busy uściskała ją i powiedziała, że będzie się modlić za jej matkę.

Duchess powędrowała do miasta, nogi bolały ją trochę mniej. Ciemność osnuwała góry za jej plecami, zamigotały światła, jakiś bar i sklep turystyczny.

Znalazła dworzec autobusowy za rogiem, za warsztatem blacharskim stały szeregi błyszczących aut, światła latarni ulicznych odbijały się w ich maskach. W kasie siedziała czarnoskóra kobieta, niezbyt zajęta, jak na gust Duchess. Domyślała się, że Shelly zawiadomiła policję i może zaczęli obserwować farmę, nawiązali kontakt z Thomasem Noble'em, ale wątpiła, by zdołali zrobić coś więcej.

-- Jak daleko dojadę za pięćdziesiąt dolarów?

Kobieta spojrzała znad okularów.

-- A w którą stronę chcesz jechać?

-- Na południe. Do Kalifornii.

-- Jesteś sama? Nie wyglądasz na odpowiednio...

-- Mama jest chora. Muszę się dostać do domu.

Popatrzyła uważnie, szukając jakichś konkretnych cech, oznak kłamstwa. Uznała, że w sumie chyba jej to nie obchodzi, więc odwróciła się do komputera.

-- Buffalo, będzie cię to kosztować czterdzieści dolarów.

Za nią, za taflą pleksiglasu wisiała mapa. Duchess znalazła Buffalo.

Wydawało się dość daleko, ale nie aż tak, by wystarczyć.

-- Odjeżdża dopiero rano. Chcesz się zastanowić?

Duchess potrząsnęła głową i przesunęła pieniądze po ladzie.

-- Zaraz zamykamy -- powiedziała kobieta, gdy Duchess popatrzyła na wyściełaną ławkę. -- Masz dokąd pójść?

-- Tak.

Dostała bilet.

-- Dokąd można stamtąd dojechać?

-- Pytasz o kurs najszybszy czy najtańszy?

-- Wyglądam na kogoś, kto ma pieniądze?

Kasjerka zmarszczyła brwi, potem znów spojrzała na monitor komputera.

-- Najtańsze bilety mam do Denver. Potem Grand Junction, do Los Angeles. Kawał drogi, dziewczyno. No i mimo wszystko potrzeba na to pieniędzy.

Duchess wyszła z dworca. Miała siedemnaście dolarów, torbę z dwoma pistoletami, trochę jedzenia i ubranie na zmianę.

Pod barem O'Sullivana znalazła automat telefoniczny. Podniosła słuchawkę, ale uświadomiła sobie, że nie ma do kogo zadzwonić. Chciała porozmawiać z Robinem, nawet nie porozmawiać, tylko posłu-

chać go, gdy śpi. Chciała pocałować go w głowę i przytulić, otoczyć ramieniem i zasnąć przy nim.

Znalazła park: parę drzew i plac zabaw. Weszła między drzewa i ułożyła się na trawie. Wyjęła z torby sweter i się nim przykryła.

Kiedy całe miasto już spało, przeszła pół mili; każdy krok sprawiał jej ból, nogi miała jak z ołowiu, mięśnie stawiały opór.

Motel był cichy, nie było recepcjonisty, w ogóle nikogo. Napis głosił: "Big Sky, kolorowe telewizory, wolne pokoje". Przeszła przez parking, przed każdymi drzwiami parkowało rodzinne auto, kilka drzew górowało nad niskim dachem pokrytym ciemną dachówką. Okna z ciągniętymi zasłonami; podeszła do drzwi, przed którymi stał ford bronco. Tablice rejestracyjne z Calgary. Hank i Busy spali przy otwartym oknie, cali oni, niefrasobliwi.

Postawiła torbę i wyjęła broń. Następnie odmówiła cichą modlitwę i weszła przez okno do pokoju.

Zobaczyła kształt -- Hank, przykryty kołdrą, śpiący kamiennym snem po całym dniu wędrówki. Światła było dość, by trafić do krzesła, na którym leżały jego spodnie. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła portfel, w środku zdjęcie uśmiechniętych dzieci. Z trudem przełykała ślinę, gdy wyciągała banknoty, nie mogła oddychać, bo czuła ból w piersi.

I wtedy zobaczyła Busy, z otwartymi oczami, smutną. Duchess sięgnęła za plecy i poczuła pistolet wetknięty w dzinsy. Starsza pani nic nie powiedziała.

Duchess była zdruzgotana, gdy wyszła.

To jej przypadło zadanie, by im przypomnieć, dać do zrozumienia, że świat nie jest dobrym miejscem.

Walk siedział w wypożyczonym samochodzie na końcu Highwood Drive.

Szereg domów jednorodzinnych, dużych, drogich, na każdym podejździe niemiecki samochód. Miał na sobie mundur, ale osunął się nisko na siedzeniu. Za nim wały się kubki po kawie, żadnych opakowań po jedzeniu. Pokonał tę trasę sam, tysiąc mil. Myślał, żeby przełamać strach i polecieć samolotem, ale potrzebował broni, więc odłożył walkę z lękiem na inny raz.

Dom Noble'ów był pusty. Thomas z rodziną jak co roku wyjechali na wakacje. Duchess kiedyś powiedziała mu, że lato zawsze spędzają w Myrtle Beach. Walk dał ich adres Leah, wiedział, że Darke zjawi się, by sprawdzić każdy ślad, który może go doprowadzić do dziewczynki.

Nie miał gazety, nie miał książki, nic, co odciągnęłoby go od zadania. Godzinę temu łyknął kilka tabletek; ból mięśni był okropny, spazmatyczny, ogarnęła go ochota, żeby po prostu się położyć i zostawić sprawy swojemu biegowi.

To miało być jego ostatnie zadanie jako gliniarza, ostatni wzlot po dziesięcioleciach nicości. Nie myślał o Marcie, o Vincencie, o całym tym narastającym bajzlu w Cape; robił to dla dzieci Radley -- zapewni im bezpieczeństwo, zrobi to dla Star i dla Hala. Nie wiedział, jak daleko stąd był Darke, kiedy zadzwonił do Leah, ale domyślał się, że gdzieś w pobliżu Montany. Duchess, taśma, to była ostatnia szansa Darke'a, żeby ocalić upadające imperium.

Walk poczuł, że zmęczenie leży na nim jak ciepły pled w zimną noc, owija go coraz ściślej, a jego powieki stają się ciężkie. Leki, senność, jeden z błogosławionych skutków ubocznych. Uświadomił sobie, że nie

spał dobrze od roku, więc nie było niebezpieczeństwa, że zaśnie akurat teraz. Ale ziewnął raz, a potem powoli zamknął oczy.

Thomas Noble leżał w swoim łóżku i oglądał telewizję, kiedy zgasło światło.

Wstał; panowała cisza, tylko odgłosy domu, zegar w holu, szum bojlera. Stał chwilę, zrobił krok i potknął się o torbę, spakowaną, gotową. Rodzice podwieźli go na obóz, ten sam od wielu lat. Mieszkali przy plaży, podczas gdy on budował zamki z piasku i farbował koszulki osiem mil od własnego domu. Po zmroku wymknął się i wrócił przez las, do własnego ogródka, potem w garażu znalazł zapasowy klucz. Rano wszystko się rypnie, ale do tej pory on będzie już w drodze do Kalifornii. Znajdzie ją. Pomoże jej.

Serce biło mu szybko, położył sobie rękę na piersi i spróbował się uspokoić. Nasłuchiwał, ale nic nie usłyszał, czuł się głupio, że wystraszył się ciemności. Podeszedł do okna i zobaczył, że w sąsiednich domach jest prąd, werandy błyszczą światłami. Nie było dla niego tajemnicą, gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami i co należy zrobić.

Przesunął się do schodów, kiedy usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Zamarł, wrósł w ziemię, nie był w stanie nawet drgnąć. Dobiegło go kliknięcie zamka i drzwi się otworzyły.

Chrzęst rozbitej szyby pod czyimiś butami.

Wiedział, że ojciec ma broń i że trzyma ją w gabinecie. Wiedział też, że nie znalazłby w sobie dość odwagi, żeby wycelować i strzelić, nawet gdyby miał obie ręce sprawne.

Ciężkie kroki rozległy się na podłodze w kuchni, potem stłumione -- na chodniku w korytarzu. Chciał krzyczeć, dać znać, że tu jest, bo strach w połowie składał się z zaskoczenia. Ładny dom przy ładnej ulicy, matka miała biżuterię, nic specjalnego, ale efektowną.

Wziął głęboki wdech i ruszył z pośpiechem, stąpając po zewnętrznych krawędziach schodów; zszedł na pierwsze piętro, do sypialni rodziców. Sięgnął po telefon na nocnym stoliku.

Brak sygnału.

Podbiegł do okna, pomyślał, że zacznie wzywać pomocy, ale kroki rozległy się o wiele bliżej, na schodach. Umysł pracował na najwyższych obrotach -- może wyskoczy, w najgorszym razie złamie nogę.

Odwrócił się, rozejrzał, zobaczył przestrzeń pod łóżkiem, wiedział, że jest miejsce w szafie, przygotowane dla gości.

Cień na schodach. Nie oglądał się za siebie, wślizgnął się za drzwi i przywarł płasko do ściany. Chciało mu się krzyczeć, starał się to zdławić, bo może ten ktoś, ktokolwiek to jest, pomyśli, że nikogo nie ma w domu, weźmie, czego mu trzeba, i sobie pójdzie.

-- Thomasie.

Zamknął oczy.

-- Wiem, że tu jesteś. Widziałem cię z lasu. Powiesz mi, co chcę, i zostawię cię w spokoju. Obiecuję.

Chciał zawołać i spytać, czego tamten chce, a potem wszystko mu wydać, bez dyskusji. Po chwili mężczyzna znów się odezwał i Thomas Noble poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach.

-- Duchess Radley. POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

Facet z escalade'a. Darke.

Thomas Noble rozejrzał się, w zasięgu oka nie było niczego, czego mógłby użyć, niczego ciężkiego i ostrego, niczego, co kupiłoby mu cenne sekundy. Darke zaraz go znajdzie.

Pomyślał o Duchess, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, pomyślał o tym, co przeszła, o ich pierwszym tańcu i pierwszym pocałunku. Pomyślał o swoim idealnym domu i kochających rodzicach, o tym, że Du-

chess była teraz sama, gdzieś w drodze, z pistoletem w torbie, i miała dość odwagi, żeby go użyć. Nie mógł jej pomóc. Ale teraz może, może się wykazać. Też może zostać banitą.

Obserwował cień wyłaniający się zza drzwi, ogromny jak pieprzony potwór, a kiedy się zbliżył, Thomas Noble wziął głęboki wdech i rzucił się w ciemność.

Huk wystrzału.

Walk obudził się, wyskoczył z samochodu i ruszył biegiem.

Rozbite szkło, otwarte drzwi, przebiegł przez nie z wycelowaną bronią, sprawdzał pomieszczenia jedno po drugim. Wpadł na schody.

Chłopak siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę, z kolanami przyciśniętymi do piersi.

-- Jesteś ranny?

Pokręcił głową. Nad nim ziała dziura w karton-gipsie, wyrwany kawał sufitu, strzał ostrzegawczy.

-- Gdzie on jest?

-- Tylne wyjście.

Walk zbiegł po schodach. Zobaczył płotek za trawnikiem, przeskoczył go i znalazł się w lesie. Ruszył niewyraźną ścieżką, światło księżyca padało srebrzystymi odłamkami na miękkie poszycie.

-- Darke! -- krzyknął. Nie usłyszał odpowiedzi, więc biegł dalej.

Kluczył między wysokimi drzewami.

Nagle, przed sobą, uchwycił ciemny kształt, przy drzewie, poruszał się wolno.

Walk podniósł broń.

Zatrzymał się, rozstawił stopy, unieruchomił ręce.

Strzelił raz.

Wielki kształt upadł. Walk ruszył naprzód, powoli.

Kiedy do niego dotarł, Darke opierał się o pień. Nie miał nic w rękach. Walk zobaczył pistolet parę stóp przed nim. Schylił się i go podniósł.

Darke ciężko oddychał. Miał ranę w ramieniu, bolesną, ale jego życiu nic nie groziło.

Walk nasłuchiwał, nie usłyszał nic. Pewnie sąsiedzi zaraz wezwą policję.

W tamtej chwili nie czuł drzeń ciała, skupiał się wyłącznie na zadaniu. Na swojej robocie, tej, która była mu przeznaczona. Jednak nie był jeszcze gotowy odejść.

-- Nie sądziłem, że jesteś do tego zdolny.

-- Załatwmy to wreszcie, Darke, co?

-- Jasne, komendancie Walker. -- Głos miał spokojny, wyzuty z emocji, mimo że to był jego koniec.

-- Przez cały ten czas się ukrywałeś.

-- Lizalem rany. No i ci ludzie, jestem im sporo winny. Oni nie odpuszczą. Byłeś kiedyś postrzelony, komendancie? Bo ja tak, teraz już dwa razy.

-- Mam parę pytań.

Darke nie przyłożył ręki do rany, krew po prostu spływała mu po ramieniu i kapłała z palców.

-- Znaleźliśmy Milтона. Trawler go wyłowił.

Darke patrzył na niego.

-- Co na ciebie miał? -- ciągnął Walk.

Darke wyglądał na zdezorientowanego, ale powoli zaczynało do niego docierać.

-- Lubił robić zdjęcia.

Walk kiwnął głową, bardziej do siebie.

-- Szukał kumpla, kogoś, z kim mógłby pojechać na polowanie. No to z nim pojechałem. Wszyscy staramy się zrozumieć, komendancie. Tak właśnie działamy.

Walk pomyślał o Marcie.

Darke zacisnął dłoń w pięść i krew popłynęła szybciej.

-- Czy to jest ten moment, kiedy mam wyznać grzechy?

W oddali rozległy się syreny.

-- Wiem o Madeline.

Darke z trudem przełknął ślinę, po raz pierwszy okazał cień emocji.

-- Ma teraz czternaście lat.

-- Tyle samo co Duchess Radley.

-- Nie chciałem ścigać tej dziewczyny. Robiłem wszystko, żeby zał-
twić to inaczej.

-- A Hal?

-- Nie dał mi szansy dojść do słowa, po prostu strzelił.

-- Jesteś mordercą.

-- Tak samo jak twój przyjaciel.

Walk zrobił krok w tył, poczucie oszołomienia wróciło.

-- Vincent...

-- Tragedia potrafi zrobić świętych z grzeszników. Uwierz mi, wiem to. -- Darke łapczywie łąpał w płuca powietrze, ból był nieznośny. --
Chłopak tam był. Nic mu nie zrobiłem.

-- Wiem.

-- Ludzie na mnie patrzą, a to, jak wyglądam, skłania ich do pew-
nych ocen. W sumie to okej, pomaga mi w różnych sprawach.

-- Zamordowałeś Star Radley.

-- Jeszcze w to wierzysz, komendancie Walker? Poprosiłem ją o przysługę, żeby pogadała o mnie z Vincentem, namówiła go do sprzedaży. Jak tylko wspomniałem jego imię, straciła panowanie nad sobą, machała pięściami. Wpadła w szal.

-- Ty i Vincent zawarliście coś w rodzaju umowy. Nie mogłeś jej dotrzymać. Nie mogłeś zebrać pieniędzy.

-- Zawsze dotrzymuję słowa. Zapytaj Vincenta, powie ci.

-- Mówisz, jakbyś go znał.

-- Może i znam. Może Star mi opowiedziała to i owo, lubiła wypić, zaćpać. Spowiedź niekoniecznie odbywa się w kościele. Vincent... jest inny, niż ci się wydaje.

Walk wpatrywał się w niego intensywnie, szukał prawdy, ale może wcale nie chciał jej znaleźć.

Oddech Darke'a stał się urywany.

-- Mam ubezpieczenie na życie. Wystarczy na opiekę nad Madeline.

-- Zawsze chodzi o pieniądze.

-- Nie wypłacą za samobójstwo. Uwierz mi, sprawdzałem.

-- Samobójstwo ręką gliny.

-- Nie, jeśli właściwie to przedstawisz.

-- Córka cię nie potrzebuje?

Darke przymknął oczy, potem znów je otworzył, widać w nich było ogromne cierpienie.

-- Zawsze lepiej jest, gdy dziecko ma rodzica. Ale to miejsce, w którym jest... Ona tego właśnie potrzebuje. Tylko tyle mogę jej dać.

-- Nie wyjdzie z tego.

-- Nie są w stanie stwierdzić z całą pewnością. Jest szansa, z czasem. Cuda zdarzają się codziennie.

Walk nie wiedział, czy Darke naprawdę w to wierzył, ale domyślał się, że tylko ta nadzieja dawała mu siłę do działania.

-- Zastrzel mnie.

Walk wolno pokręcił głową.

-- Włóż mi mój pistolet do ręki, a potem mnie zastrzel.

Walk zrobił krok w tył.

Krew ciągle kapiała. Darke był za silny, za duży i za silny.

-- Kurwa, zastrzel mnie. Proszę. Po prostu mnie, do kurwy nędzy, zastrzel. Zabiłem starego. Chciałem dorwać dziewczynę. Proszę.

Walk usłyszał dźwięki, w oddali, ale coraz bliżej.

-- Nie mogę.

-- Litości, komendancie. Twój bóg w nią wierzy.

Walk potrząsnął głową, nic nie było tu jasne, co jest właściwe, co sprawiedliwe. Pomyślał o Madeline, dziewczynce, której nie znał, i o Duchess, którą znał.

Zrobił krok w stronę Darke'a.

-- Daj szansę mojej córce. Dasz radę. Masz w sobie siłę.

Walk zrobił kolejny krok.

-- Zamkną cię.

-- Ale pewnego dnia wyjdę. I wtedy znów znajdę Duchess. Tym razem to będzie zemsta. Tak po prostu. Skończę z nią.

Walk przejrzał go, to było zbyt oczywiste.

-- Kurwa. Proszę, Walker. Gliny mnie zabiorą, a moja córka umrze. Jestem splukany. Nic mi nie zostało. Klub był jedyną rzeczą, jaką miałem. Nie mam czym płacić za utrzymywanie jej przy życiu.

Walk stał, broń ciążyła mu tak bardzo, że ledwo mógł ją utrzymać.

-- Musisz zetrzeć swoje odciski palców. -- Darke opierał głowę o pień, łzy napłynęły mu do oczu. -- W kieszeni mam klucz. Skrytka pod

Cape. W West Gale. Są tam rzeczy dla Madeline, chcę, żeby je dostała.
To ważne, żeby o nas wiedziała.

Walk stał i patrzył.

-- Nie ma czasu. Zrób to, komendancie. Daj szansę mojej córce.

Walk wytarł pistolet Darke'a, potem pochylił się i podał mu go.

Darke zamrugał, wycelował i strzelił.

Huk odbił się echem. Dzwonił w uszach, kiedy Walk podnosił swoją
broń.

Darke skinął głową.

Walk pociągnął za spust.

Duchess patrzyła na mijane miasta, samotne góry i niebo, czasem tak niebieskie, że przenosiło ją wprost do domu, nad bezkresne wody Cape Haven.

Siedziała na kole, czuła w kościach każdy wybój, droga jak blizna przecinała stan, przez który kiedyś przejeżdżał jej dziadek, po tym jak zostawił za sobą jedyne szczęście.

Zatrzymywali się w miasteczkach, ludzie wsiadali i wysiadali, starsi mężczyźni, cisi i zapomniani, młodzi mężczyźni, z plecakami, mapami i planami, oraz pary, których miłość wylewała się na wszystkie strony, a Duchess musiała odwracać głowę. Kierowca uśmiechnął się do niej, kiedy cały autokar spał, a oni byli jedynymi osobami, które dostrzegły autostopowicza na tle słońca wschodzącego nad Kolorado.

Zepsute ciężarówki, podniesione maski i pochyleni nad nimi mężczyźni, ich kobiety obok, wpatrzone w srebrne smugi przejeżdżających po autostradzie pojazdów. Knajpy i wozy policyjne, lincolny i odcinek drogi zdecydowanie zbyt oddalony od miejsc, które warto odwiedzić.

Mężczyzna z gitarą w Caroga Plain, wsiadł i spytał, czy nie mają nic przeciwko, wszyscy pokręcili głowami, więc zaśpiewał o złotych snach; głos miał szorstki, ale było w nim coś takiego, że zrywało dach ze starego autokaru i wpuszczało do środka gwiazdy.

Dopiero późną nocą, gdy księżyc opadł w kanion Artaya, a kierowca trochę zwolnił, Duchess pozwoliła sobie na myśl o Robinie. To był ból. Nie taki jak u zranionej dziewczyny, o której czytała w gazetce zostawionej przez kogoś na siedzeniu, to był ten bezlitosny rodzaj bólu, który przeszywa duszę, tak gwałtowny, że zgięła się wpół i z trudem łapała powietrze, sięgnęła do torby, wyjęła wodę i wykonała kilkanaście odde-

chów do butelki, szybkich i płytkich. Kierowca przyciągnął jej wzrok, w oczach miał niepokój; na próżno, nie jest z nią dobrze, już nigdy u niej nic nie będzie dobrze.

Pieniądze skończyły jej się gdzieś pod Dotsero. Między wybrzuszeniami gór pokrytych kraterami górował wulkan, zielone drzewa ustępowały miejsca jałowej ziemi, tak czerwonej, że aż się schyliła, żeby jej dotknąć.

Znalazła budkę telefoniczną na parkingu dla ciężarówek przy trasie numer siedemdziesiąt, obok płynęła woda, torująca sobie drogę od Gór Skalistych do Meksyku i dalej. Wybrała numer, a operator połączył ją ze światem, który zostawiła daleko za sobą. Miała szczęście i trafiła na samą Claudette; nie chciała rozmawiać o powrocie, o policji i problemach. Wytrzymała całą gadaninę, odpowiedziała, że tak, u niej wszystko okej. A potem Claudette powiedziała jej, żeby chwilę zaczekała, że go przyprowadzi.

Rozłączyła się, kiedy go usłyszała, a potem poczuła, że znów stoi pod ścianą, daleko od czegokolwiek, zbyt mała, by być sama, pod niebem grożącym burzą, przed którą nie mogła uciec. Jej brat powiedział "cześć", cichutko, jakby w tajemnicy, a ona nie potrafiła znaleźć słowa, ani jednego słowa, żeby mu cokolwiek odpowiedzieć ani przeprosić za to, co zrobiła i co zamierzała zrobić.

Ostatnie dwa dolary wydała na mleko i czerstwego bajgla.

Siedziała tam przez cztery godziny, słońce zakreślało leniwie swój fragment łuku, jak wskazówka zegara przepychająca ranek w rozgrzane popołudnie. W kasie na stacji benzynowej pracowała kobieta, za nią skrywał się magazyn; głowa jej opadała, była zmęczona. Nosila ogromne okulary i miała plamę na koszuli. Dała Duchess klucz do łazienki i

uśmiechnęła się przy tym przelotnie, jakby wiedziała, że dziewczyna stoi na rozdrożu, bo wcześniej widziała już wiele takich.

W środku śmierdziało, każdy kawałek powierzchni pokrywały ba-zgroły, romantyczne wyznania, "Tom i Betty-Laurel bzyknęli się tutaj", numery telefonów, pod którymi czekała dobra zabawa.

Duchess ostrożnie zdjęła koszulkę i dzinsy, umyła się mydłem z do-zownika i wytarła papierowymi ręcznikami. Ochlapała twarz zimną wodą, pod oczami miała kręgi ze zmęczenia.

Na zewnątrz zaczęła obserwować ciężarówki, próbowała wybrać właściwą, kierując się wyłącznie instynktem, który nigdy w przeszłości nie poprowadził jej dobrze.

Godzinę później zdecydowała się zaczepić dużego faceta w kracia-sterz koszuli i z wielkim wąsem. Jechał czystą ciężarówką z napisem "Annie-Beth" na masce i sercami po obu stronach.

Podeszła do niego, a on uśmiechnął się na widok jej mokrych wło-sów, stetsona, małej torby i osiemdziesięciofuntowej sylwetki.

-- Dokąd chcesz jechać?

-- Może do Vegas.

-- Vegas, hm.

-- Tak.

-- Uciekłaś?

-- Nie.

-- Mogę mieć problemy.

-- Nie uciekłam. Mam osiemnaście lat.

Roześmiał się.

-- Jadę do Fish Lake.

-- Gdzie to jest?

-- W Utah.

-- Dobra.

Pojechali, wyglądała przez okno, widok był imponujący. W szoferce pachniało skórą. Duży facet miał na imię Malcolm, jakby jego rodzice oczekiwali, że przestanie rosnąć, osiągnąwszy pięć stóp i siedem cali, i zacznie pracować w księgowości. Na desce rozdzielczej umieścił roślinę, wzięła to za dobry znak. I zdjęcie dziewczyny, trochę starszej od niej, oraz kobiety.

-- Czy to Annie-Beth? -- spytała.

-- Moja córka.

-- Śliczna.

-- A pewnie. Teraz jest starsza... ma dziewiętnaście lat, studiuje nauki polityczne na uniwersytecie. -- Duma była z każdego słowa. -- Co-dziennie wieczorem sprawdzam, co u niej. Jest taka mądra, że sami się zastanawialiśmy, skąd się taka wzięła. Błogosławieństwo.

-- Obok jest pana żona?

-- Była żona. Lubilem wypić. -- Wskazał znaczek przypięty do deski.
-- Osiemnasty miesiąc trzeźwości.

-- Może do pana wróci.

-- Raczej nie ma na to szans. Mam roślinkę. To kaktus. Trzyma się zdrowo od jakichś sześciu miesięcy. Zawsze chodzi o to, żeby coś odzyskać, nie?

Popatrzyła na kaktus, od dawna uschnięty. Zastanawiała się, czy on o tym wie i jak trudno zabić kaktus.

Próbował ją podpytywać, ale go zbywała, więc przestał, opuścił przesłone, żeby go nie raziło słońce, i jechał mila za milą.

Przespała się trochę, potem obudziła się z takim przerażeniem w oczach, że musiał ją uspokoić, że wszystko w porządku. Zobaczyła wy-

schnięte skały, czerwone, żółte i pomarańczowe, słońce zachodziło nad drogą tak długą i prostą, że zastanawiała się, czy nie śni.

Na miejscu postojowym dla ciężarówek powiedział jej, że to koniec trasy. Podziękowała mu i życzyła powodzenia.

-- Jedź do domu -- powiedział.

-- Właśnie jadę.

Duchess szła skrajem miasta, którego nazwy nawet nie знаła, pod srebrnym niebem, nogi miała jak z ołowiu i poruszała nimi już tylko siłą woli. Wysokie budynki po obu stronach, pomalowane na kolorowo i jaśniejące z każdym jej krokiem. Żółte donice i młode drzewka, umierające sklepy i głosy dobiegające z baru naprzeciwko, pod migoczącym neonem. Stała, torba wrzynała jej się w ramię, oczy miała tak zmęczone, że obraz jej się zamazywał, a światła latarni -- rozplływały. Przeszła przez ulicę, z trudem stawiając kolejne kroki. Oddychała płytko i nieregularnie, nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma, ręce jej drętwiały od ciężaru, a co jakiś czas wspomnienie Robina podsycalo w jej piersi ogień i nienawiść do człowieka, który ukradł jej dawne życie i wyrzucił niedbale jak śmieć na wiatr.

Pchnęła drzwi wbrew zdrowemu rozsądkowi i podeszła do baru; mężczyźni i kilka kobiet rozstąpili się w czerwonej poświacie.

Barman był stary; poprosiła o colę, ale uświadomiła sobie, że nie ma dość pieniędzy. Kiedy zaczęła grzebać w kieszeniach, trafnie odczytał gest i popchnął puszkę w jej stronę w geście życzliwości, o której istnieniu prawie już zapomniiała.

Znalazła cichy kąt, odłożyła torbę, usiadła na niskim stołku i przymknęła oczy nad słodkim napojem. W drugim kącie facet z gitarą przywoływał stałych bywalców, grał, oni śpiewali, hałaśliwy tłumek patrzył, a czasem wybuchał śmiechem. Nikomu nie udało się trafić we właściwy

ton, ale Duchess wgapiła się w nich, jakby od wieków nie słyszała muzyki.

Na chwilę zamknęła powieki, otarła twarz z brudu i potu i ujrzała w myślach matkę, która podnosi Robina w górę, do gwiazd, jakby był błogosławieństwem, a nie kolejnym błędem.

Potem nieświadomie wstała i zaczęła iść, a ludzie znów się przed nią rozstępowali, kobiety patrzyły na nią jak na dziecko, mężczyźni -- jak na jakąś osobliwość.

Minęła stół bilardowy, wciągnęła do płuc dym, zapach piwa i oddechy zmęczonych ludzi, opierających się na sobie albo kiwających do dźwięków gitary.

Kiedy muzyka przycichła, dotarła do celu, gitarzysta uchylił przed nią kapelusza, a ona w odpowiedzi uniosła lekko swój.

-- Chciałabyś zaśpiewać?

Kiwnęła głową.

-- No dobra.

Zajęła miejsce i rozejrzała się; wszyscy na nią patrzyli, niektórzy z pogodną aprobatą, inni z powagą.

Pochyliła się i wymieniła szeptem parę zdań z muzykiem, bo nie była pewna tytułu piosenki, знаła tylko słowa, ale gitarzysta się domyślił i uśmiechnął, jakby dokonała dobrego wyboru.

Zaczął grać, a ona siedziała w milczeniu, nie zareagował, kiedy zamknęła oczy i przegapiła swój moment. Tłum zamruczał, lecz ona się wyłączyła. Dała się zabrać dźwiękom w przeszłość, kiedy miała matkę w zasięgu ręki, co prawda nigdy nie mogła jej uchwycić, ale wiedziała, że jest. Zobaczyła brata, potem dziadka, zadośćuczynienie jego miłości wykradło jej całe powietrze z piersi.

Otworzyła usta i zaśpiewała. Zaśpiewała, że będzie po ich stronie, gdy nadejdą trudne chwile. Pomruki tłumu natychmiast ustały, a goście przy stolikach zamarli z kieliszkami w rękach i ruszyli w stronę dziewczynki, która otworzyła przed nimi wrota niebios, obnażyła rozpaloną duszę i oszołomiła mężczyznę obok tak, że ledwo wybierał właściwe akordy.

Była totalnie przegrana i na ulicy. Zapadły ciemności, a wszędzie dookoła czaił się ból.

Nie miała złudzeń, jego krew jej nie oczyści. Ale zrobi to, musi to zrobić.

Kiedy skończyła, zapadła głęboka cisza. Starszy mężczyzna wyszedł zza baru i podał jej wypchaną banknotami kopertę. Zmarszczyła brwi, ale pokazał jej napis. "Zaśpiewaj i wygraj", raz w miesiącu do wygrania sto dolarów.

Nie zaczekała na oklaski, słyszała je za sobą jeszcze długo, gdy szła samotnie w noc, dźwigając swoją torbę w stronę dworca.

To była jej droga ku potępieniu.

Droga dziewczynki, która chciała naprawić krzywdy całego życia.

Całą noc i cały dzień Walk zmagał się z konsekwencjami. Padły pytania z wydziału policji hrabstwa Iver, powiedział niewiele. Wciąż próbowali ustalić, dlaczego Darke włamał się do domu Noble'ów. Walk nie mógł im pomóc. Stwierdził, że jest zmęczony i że na dniach napisze raport. Nie wspomniał o Duchess i taśmie. Zamierzał znaleźć lepsze wyjaśnienie.

Wsiadł do wynajętego auta. Postanowił uciec i gdzieś się przespać. Padło na motel na odludziu, jakieś pięćdziesiąt mil dalej.

W zmaltretowanym pokoju leżał na łóżku i myślał o Duchess, która przepadła jak kamień w wodę. Nie walczył z drzeniem ciała, po prostu się mu poddał. Spodnie na nim wisiały, musiał zrobić w pasku kolejne dziurki, już po raz trzeci. Gdy patrzył w lustro, widział tylko zmarszczkę w miejscu dawnego uśmiechu. Wszyscy mówili, że on się nigdy nie zmienia. Kurczowo trzymał się tej myśli.

W szufladzie znalazł Biblię, długopis i kartkę; napisał, że składa rezygnację, oddaje odznakę. Było jeszcze wiele pytań, może na żadne do końca nie znajdzie odpowiedzi, ale będzie próbował, dla dziewczynki i dla chłopca, będzie ciągle próbował.

Zadzwoił do Marthy, włączyła się automatyczna sekretarka, więc zostawił wiadomość, że nic mu nie jest; wiedział, że tego nie kupi, ale obiecał, że zadzwoni jeszcze raz, jak się wyśpi. Powiedział też, że jest mu przykro, że przeprasza za więcej, niż jest w stanie naprawić.

Telefon zadzwonił o dziewiątej.

Myślał, że to Martha, ale usłyszał głos Tany Legros, z laboratorium. Tym razem nie naciskał, poprosił tylko, żeby przeprowadziła ekspertyzę po cichu.

-- Mam dla ciebie wyniki badań krwi. Zostawiałam parę razy wiadomość na sekretarce.

-- Przepraszam, byłem...

-- Nieważne. Przede wszystkim zajęłam się bronią.

-- A krew w domu Darke'a? Milton?

-- Właściwie to nie. Zwierzęca, nie ludzka.

Walk przeciągnął ręką po włosach, gdy pomyślał o Miltonie: pojechali razem na polowanie, a potem do Darke'a.

-- Jeleń?

-- Możliwe.

-- W porządku.

-- Dobrze się czujesz, Walk?

-- A broń? Macie coś?

-- Zdjęliśmy odciski palców.

-- Vincent King? -- Wstrzymał oddech, pokój zawirował, teraz już wszystko albo nic.

-- Tak się składa, że nie.

Walk próbował to ogarnąć, nawet tętno mu nie podskoczyło, tak był zmęczony.

-- Są małe.

-- KobiECE?

-- Dziecięce. To było małe dziecko.

Walk zamknął oczy. A potem upuścił telefon, kiedy wszystkie kawałki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca. Poczul ból tak silny, że ledwo zdołał utrzymać głowę w pionie.

Podziękował Tanie i wybrał numer Vincenta.

Vincent odebrał po drugim sygnale, człowiek, który nigdy nie spał, typ sowy.

-- Wiem wszystko.

Usłyszał, że Vincent wstrzymał oddech.

-- Co wiesz? -- spytał Vincent cicho; w jego głosie nie było wyzwania, raczej akceptacja.

-- To Robin. -- Imię chłopca wisiało chwilę w powietrzu, cały ostatni rok, wszystko, przez co przeszedł wcześniej. Walk zbliżył się do okna, zobaczył pustą autostradę, niebo bez gwiazd. -- Znalazłem broń.

Milczenie trwało długo, byli tylko oni dwaj, razem, jak zawsze.

-- Opowiesz mi?

-- Odebrałem dwa życia, Walk. Mogę żyć z jednym z nich.

-- Baxter Logan. Zapłacił za swoje, prawda?

-- Mówisz o tym, że dałem szczęście rodzinie tamtej kobiety tym, co zrobiłem z potworem, który ją zrujnował? Może i tak. Wiem, co zrobiłem. Będę z tym żyć. Ale nie z Sissy. Za każdym razem... każdy mój oddech jest jej skradziony.

-- Powiedz mi, co się stało.

-- Przecież już wiesz.

Walk z trudem przełknął ślinę.

-- Chłopiec zastrzelił swoją matkę.

Vincent głośno odetchnął.

-- Ale celował w kogoś innego -- dodał Walk, cicho i smutno.

-- W Darke'a.

-- Dziewczynka podpaliła jego klub. Ubezpieczenie nie chciało wypłacić pieniędzy. Jak na to wpadłeś?

-- Zobaczyłem jego samochód, zawróciłem, pobiegłem skrótem. Darke powiedział, że przeszukał dom, próbował sforsować drzwi do pokoju dzieciaków, a Star dostała szału. Chłopiec wylazł przez okno, usłyszał krzyki matki i przybiegł.

-- Dzielny jest -- powiedział Walk. -- Jak siostra.

-- Star zamknęła go w szafie, usunęła z drogi. Dzieciak znalazł broń. Może pomyślał, że facet pobije matkę. Wycelował, zamknął oczy i naciśnął spust. Nadal miał je zamknięte, jak wszedłem.

-- A Darke?

-- Zabiłby go. Miał na sobie jej krew. Dzieciak byłby jedynym świadkiem. Bez względu na to, co mówi, Darke był na miejscu zbrodni. Darke idzie na dno.

Walk oparł głowę o szybę, właśnie zaczął kropić deszcz.

Pomyślał o Darke'u, o jego perspektywie i o tym, jak z niej korzystał. Może i zabiłby chłopca, ale Walk tak nie uważał. Wyjaśnienie nasuwało się samo.

-- Jak go przekonałeś?

-- Powiedziałem mu, że biorę wszystko na siebie. Całą winę, żeby gliny nie szukały nikogo innego. Że nigdy go nie było.

-- Kupił to?

-- Nie. Dom, Walk. On chciał dom. Więc mu go dałem. Będzie mógł go kupić, jak zostawi dzieciaka w spokoju.

-- Dlaczego po prostu nie przyznałeś się do winy?

-- Gdybym się przyznał, spędziłbym resztę życia w tej klatce. Jakbym twierdził, że jestem niewinny, to byłby mój koniec. Sprawa nie do wygrania. Padłyby pytania. O broń.

-- Ukryłeś ją.

-- Darke ją zabrał. Jako zabezpieczenie na wypadek, gdybym zmienił zdanie.

-- Pomogłeś wejść Robinowi z powrotem przez okno. Umyłeś ręce. Kurwa, Vincent.

-- Trzydzieści lat za kratkami, można się nauczyć wszystkiego o miejscach zbrodni.

-- Zatkales odpływ i nic nie mówiłeś.

-- Twoje pytania nie wymagały odpowiedzi. Jak nic nie mówiłem, bardziej wyglądałem na winnego. Gdybym zaczął mówić, tobyś mnie zamęczył, nie było broni, nie mogłem tego wyjaśnić. Niech już mi wbiją tę igłę w ramię. Niech zrobią to, co powinni byli zrobić trzydzieści lat temu.

-- Nie zamordowałeś Sissy.

-- Owszem, tak, Walk. Po prostu nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. Teraz jestem gotowy. Chcę odejść. Zawsze chciałem. Ale dopiero po odbyciu wyroku. Hal napisał, że cieszy się, że tam byłem, że kara mi się należała. Śmierć byłaby za dobra.

-- Darke nie dał rady zebrać pieniędzy na twój dom. Na opłaty, podatki. Nie po tym, co zrobiła Duchess -- powiedział Walk.

-- Tego nie wiedziałem. Ale potem do mnie napisał.

-- Widziałem list.

-- No tak.

-- Musiałeś się wściec.

-- Tak było. Na początku. Nie o mnie chodziło... o pieniądze. Potrzebowałem pieniędzy.

-- Oddał broń, bo nie był w stanie dotrzymać umowy. Człowiek honoru, tak?

Milczał dłuższą chwilę.

-- Ludzie są skomplikowani, Walk. Kiedy już myślisz, że kogoś rozgryzłeś... dał mi furtkę, gdybym jej potrzebował.

-- Niektóre życzenia się spełniają... drzewo życzeń -- powiedział Walk do siebie ze zmęczonym uśmiechem, właśnie tam, i przegapił to.

Wyobraził sobie Vincenta na drugim końcu linii. Zastanawiał się, jak bardzo jest złamany, czy zostało w nim jeszcze coś z tamtego dziecka.

-- Liczyłeś na to, że chłopiec nie będzie nic pamiętał.

-- Widziałem go, był nieobecny, kompletnie oderwany. Nie sędzę, żeby wiedział, co się stało. Powiedziałem mu, że ja to zrobiłem. To wystarczyło, przynajmniej żeby wzbudzić wątpliwości. Niech kto inny je rozwiewa. Kurwa, zasłużył na to. Próbowałem ją reanimować. Uciskałem jej pierś z całych sił.

Walk pomyślał o połamanych żebrach Star. I o Darke'u i Madeline, i okrutnej ręce losu.

-- Skłamałeś dla mnie. Stałeś przed sądem, nosząc odznakę, i skłamałeś. Nadal uważasz, że znasz siebie, Walk?

-- Nie.

-- Nie możesz ocalić kogoś, kto nie chce zostać ocalony.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

-- A co z tobą i Marthą?

Walk mimowolnie się uśmiechnął.

-- To dlatego się przy niej uparłeś.

-- Tamtej nocy rozegrało się milion tragedii, Walk. Większości z nich nie mogę naprawić.

Walk pomyślał o Robinie Radleyu.

-- Zawsze chciałem cofnąć czas i zacząć wszystko od nowa. Ale teraz jestem już zmęczony. Tak kurewsko zmęczony. Może to, co zrobiłeś, jest dobre.

-- Byłem to winny Radleyom. Nie będzie pamiętał. Jest mały. Mogłem oddać mu jego życie. Jest duża szansa, że to nigdy do niego nie wróci.

-- Prawie oddałeś życie za tę szansę.

-- Nie mogłem pozwolić, by spotkało go to, co mnie.

Walk pokonywał ostatnie mile, z każdą chwilą dalej od drogi, którą już nigdy więcej nie pojedzie. Całe życie bał się zmian. Zabił człowieka.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło, ale wiedział, że tak nie jest. Zato-ka otworzyła się przed nim z takim majestatem, że nie mógł oderwać wzroku od jej poszarpanej linii. Dwadzieścia mil od domu znalazł właściwe miejsce, magazyny w West Gale, podniszczone czerwone skrytki, bez biura, tylko numer telefonu do serwisu w razie potrzeby.

Walk zahamował, wysiadł, podszedł i wyjął klucz z kieszeni. Sprawdził oznaczenie na tabliczce i odszukał niższe numery. Namierzył odpowiedni, otworzył i wszedł do ciemnego wnętrza, namacał włącznik i światło spłynęło z góry matowożółtymi smugami.

Po jednej stronie zobaczył plastikowe pojemniki. Przeglądał ich wartość powoli, uważnie -- wspomnienia dawnego, szczęśliwszego życia. Album zdjęć ślubnych, młody Darke, wysoki, ale nie ogromny, jego żona naprawdę piękna. A potem zdjęcia Madeline, o brązowych włosach i jasnych oczach, szeroko uśmiechniętej na każdym ujęciu. Była bardzo podobna do matki. Ubranko do chrztu, stara suknia ślubna, rzeczy, które się przekazuje z pokolenia na pokolenie.

Walk będzie utrzymywał skrytkę, zapłaci za wynajem i da znać szpitalowi, na wypadek gdyby zdarzył się cud.

Już miał się odwrócić, zgasić światło i wyjść, kiedy w najdalszym rogu dostrzegł stos pudeł i worków na śmieci. Zajrzał do nich -- stare papiery, nic godnego uwagi, ale wtedy w oko wpadł mu pakiet przesyłek reklamowych. Przeczytał nazwisko i adres. Dee Lane.

Wyteżył umysł i przypomniał sobie scenę z zeszłego roku. Darke proponował, że przechowa jej rzeczy, zanim znajdzie sobie nowy dom.

Zanim się dogadali.

Wrzucił pocztę z powrotem na stos, a potem przeklął, kiedy wszystko się rozsypało. Schylił się i na chwilę zamarł, niepewny. Coś tu nie pasowało.

Samotna kasetka wideo.

Zawrócił prosto do Cape, wjechał w granice miasta, wzrok powędrował ku metalowym rusztowaniom, światło padało na zapowiedź nowych domów, nowych sklepów. Wniosek przeszedł po cichu, Walkowi umknęła kolejna zmiana w biegnącym naprzód świecie. Posterunek był ciemny. Nie włączył lampy, usiadł w swoim pokoju, włożył kasetę do odtwarzacza, uruchomił go i zmarszczył brwi. The Eight, klub Darke'a. A potem zauważył w rogu datę i puls mu przyśpieszył, bo uświadomił sobie, co właśnie ogląda.

Obejmowała cały dzień, przewijał na przyśpieszeniu, dopóki jej nie zobaczył -- Star pracująca za barem. Patrzył na nią jak na ducha, którym była, uśmiechnięta i zalotna, na sypiące się obficie napiwki. Przewinął trochę, zatrzymał na jakiejś przepychance, wszędzie tłoczyli się ludzie. Star poleciała do tyłu, trzymała rękę na oku i prawdopodobnie bardzo przeklinała. Potykała się, jakby wreszcie podziałał na nią wypity alkohol.

Walk nie mógł dostrzec, kim był facet stojący tyłem do kamery.

Ale wtedy mężczyzna odszedł.

Rozpoznał sposób utykania, podejmowane z wyraźnym bólem próby, żeby to zamaskować.

Brandon Rock.

Przewinął dalej, aż w końcu pojawiła się ona, wyraźnie jak na dłoni. Nieduża, jasnowłosa, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, gdy robiła

swoje. Patrzył, jak Duchess wywołuje pożar, który będzie trwał przez następny rok.

Skończył oglądać i wstał. Zdjął odznakę, położył ją na biurku, a potem wyjął kasetę z odtwarzacza i wyszedł w noc. Przeszedł kawałek Main, wyrwał taśmę z obudowy i ze szpul, a następnie wyrzucił do śmietnika.

Dom Kinga był pusty.

Duchess stała od frontu, przy krawężniku parkował stary taurus. Podwędziła kluczyki kobiecie, która grała na automatach w barze w Camarillo. Zostawi go tu, z kluczykami w środku, zmęczenie wyzwoliło ją z wyrzutów sumienia.

Obeszła auto i zapukała do drzwi. Miała wątpliwości, czy da radę przez to przejść, mimo długiej podróży, która doprowadziła ją aż do tej chwili.

Kiedy jechała Main, przyglądała się ulicom, jakby się spodziewała, że przez ten rok coś się zmieniło, nic radykalnego, ale coś, co powie jej, że Cape Haven nie jest już takie samo bez niej i jej małej rodziny. Ale zobaczyła miasto pogrążone w spokoju, zupełnie niezmienione, nawet jeden ogródek nie zarósł. Nic, tylko zwykły blichtr, jakby krew jej matki została starannie usunięta, by nie pozostał po niej ślad.

Okrzyżowała budynek, znalazła kamień i wybiła okno, huk fal rozbijających się o klif zagłuszył hałas.

Przeszła przez dom Kinga z pistoletem w ręce. Na ścianach zdjęcia, Vincent i Walk na tle oceanu, beztrosko uśmiechnięci, jakich nigdy nie знаła.

Wspięła się po schodach i sprawdziła wszystkie pokoje. Prowadziło ją tylko światło księżyca. Przeszukała szafę, ubrania Vincenta, zaledwie

kilka sztuk. Trzy koszule, para dżinsów, buty robocze. Pomyślała o tym, jak to się dzieje, że ktoś staje się mordercą, czy ten proces zaczyna się na długo przed urodzeniem, wynika z przeklętych genów rodziców, ze zgubnego rodowodu. A może to powolne nawarstwianie się, za dużo ciosów, za dużo blizn. Vincent mógł być kiedyś dobrym człowiekiem, ale krwi dziecka nie da się zmyć z rąk. Do tego trzydzieści lat między najbardziej zdeprawowanymi facetami, tylko najsilniejszy mógł przetrwać coś takiego bez uszczerbku.

Nie było łóżka, tylko materac na podłodze. Żadnych mebli w pokoju, żadnych obrazów, telewizora ani książek.

I tylko jedno zdjęcie przyklepione do ściany.

Zdjęcie, na którego widok straciła dech w piersiach, ponieważ dziewczynka wyglądała dokładnie tak jak ona. Jasne włosy i niebieskie oczy. Sissy Radley.

Wyszła z domu i przeszła milę ścieżkami, które wiodły wysoko w górę, ponad światła miasta. Zatrzymała się w pół drogi, czuła każdy mięsień, powietrze zadawało jej ból w piersiach, jakby organizm nie chciał, by została wśród żywych.

Kiedy wspięła się na ostatni grzbiet, zobaczyła światło, ostatnie nabożeństwo. Raz w nim uczestniczyła, siedziała obok kilku osób tylko z tego powodu, że nie mogła spać.

Kościół Little Brook.

Przeszła drogą wzdłuż ogrodzenia ze sztachet, podeszła do drzwi i wsłuchiwała się w niebiańską muzykę. Odłożyła na chwilę torbę, oparła się o drzewo, długi dzień prawie się kończył. Nie miała dokąd iść, więc udała się na mały cmentarz, gdzie leżała jej matka, obok Sissy, w części zarezerwowanej dla najbardziej niewinnych. Duchess zapytała je, czy znów są razem.

Zamarła.

Stał tam, wysoki na tle nieskalanego nieba. Za nim ziemia gwałtownie się urywała, nad stromym klifem i bezkresnym oceanem.

Przy Ivy Ranch Road Walk skierował się ścieżką w stronę drzwi i zapukał.

Brandon wyglądał jak nieszczęście, nic nie powiedział, tylko odsunął się i wpuścił Walka do środka. W domu śmierdziało, wszędzie wałały się opakowania po jedzeniu, puszki po piwie, gruba warstwa kurzu pokrywała każdą płaską przestrzeń. Stos płyt DVD z treningami, *Megawycisk*, Brandon wciągający brzuch na okładce. Brandon miał szkliste oczy, gdy siadał przy kuchennym blacie. Walk pomyślał o Star, jak go odtrąciła o jeden raz za dużo i może właśnie dlatego nie zapanował nad pięścią.

-- Wiem, co zrobiłeś -- zaczął Walk. I to wystarczyło.

Brandon się rozplakał, jakby puściły tamy, płakał tak, że trzęsły mu się ramiona. Walk patrzył na niego, a w głowie miał coraz większy zamęt.

-- Nie chciałem. Tak mi przykro. Musisz mi uwierzyć, Walk.

Walk nic nie powiedział, słuchał tylko historii opowiedanej między szlochami.

-- Wyciągnąłem rękę, tak jak mówiłeś. Zaproponowałem mu, że go zabiorę na łódź. Wspólne łowienie ryb, cokolwiek. Chciałem już skończyć ten spór. Ale przypomniałem sobie, jak mi zarysował mustanga. Wiem, że to był on. Bo kto inny? Najpierw chciałem to zgłosić, ale wtedy wydarzyło się to wszystko ze Star. To miał być żart. Miałem go wyciągnąć. Nawet nie byliśmy daleko od brzegu.

Walk oddychał głęboko, zamęt ustępował, został tylko smutek.

-- Wepchnąłeś go. Miltona.

Brandon zapłakał jeszcze głośniejsze, kaszłał, jakby chciał wyrzucić z siebie wspomnienie.

-- Czekalem na niego w porcie. Chcialem mu tylko dac nauczke, zeby przyplynal do brzegu. To byl dowcip. A kiedy sie nie pokazal, wrócilem. Ale jego juz nie bylo, Walk. Nie bylo.

Walk usiadl przy nim, zadzwonil do Boyda i czekal, powiedzial Brandonowi, co mowic. Byc szczerym. Ze potem bedzie lepiej spac w nocy.

Patrzyl, jak go zabieraja. Brandon szedl ze spuszczonej glowa, tylko raz ja podniosl i spojrzal na dom Miltona po drugiej stronie ulicy. Karma, kosmiczna sila, jak mawiala Star. Walk nie mial nawet czasu przemyśleć tego wszystkiego, bo zadzwonila Dee Lane i powiedziala, ze ktos wlamal sie do domu Kinga.

-- Widzialas kogos? -- spytal i zaczal biec.

-- Wydaje mi sie, ze to byla dziewczynka.

Na miejscu zobaczyl rozbite szklo.

Przeszedl jej sladem, sladem kontraktaku, i wiedzial, ze zjawil sie za pozno, by zapobiec temu, co mialo sie zdarzyc, cokolwiek to bylo. Nad kominkiem zobaczyl zdjecie, ledwo rozpoznal siebie jako chlopca, ale na twarzach Vincenta i Star widzial tylko usmiechy, uchwycona chwila, ktorej nie mogl przywrócic, bez względu na to, jak by sie staral.

Wszedl na gore. A potem zamarl, kiedy zobaczyl to.

Moze i Vincent mogl zostawic za soba cele, straznika, ludzi i metalowa siatke. Ale nie mala dziewczynke, ktora szla za nim wszedzie.

Patrzyla na niego dluzsza chwile, a potem podeszla.

-- Czekalem na ciebie -- powiedzial Vincent.

Duchess zbliżyła się jeszcze bardziej, powoli odłożyła torbę i wyjęła broń. Okazała się cięższa, niż pamiętała, właściwie ledwo mogła ją utrzymać.

Patrzył na nią, jak gdyby była ostatnim dzieckiem, ostatnim dobrem na tym świecie. Zauważyła, że położył kwiaty na grobach. Pytała w duchu, kto dał mu do tego prawo.

Widział pistolet, ale nie wydawał się zaniepokojony, miał opuszczone ramiona i oddychał spokojnie, jakby tylko czekał na ostateczny koniec życia pełnego końców.

Vincent cofał się, w miarę jak podchodziła, krok, kolejny krok, w końcu stanęła mocno na nogach i spojrzała na światło księżyca za jego plecami.

W kościele ciągle grała muzyka.

-- Lubię tę pieśń -- powiedział. -- Była kaplica... w Fairmont. Zawsze lubiłem tę pieśń. "Ziemska radość przygasa, a chwała przemija".

-- "Widzę tylko zmianę i rozkład".

-- Przykro mi.

-- Nie chcę, żebyś mówił.

-- Okej.

-- Nie chcę, żebyś mi mówił, co się stało, nie chcę wiedzieć.

-- Okej.

-- Ludzie powtarzają, że to niesprawiedliwe.

-- Zawsze tak jest.

-- Wtedy, kiedy dałeś mi broń. Powiedziałeś, że należała do twojego ojca.

-- Tak.

-- Wyczyściłam ją, tak jak mi pokazałeś. Szanuj ją, tak? A potem schowałam ją w szafie, chociaż mi powiedziałeś, że mam jej użyć, by się

bronić.

-- Nie powinienem był ci mówić...

-- Więc właśnie to robię. Hal powiedział, że jesteś jak rak. Wszystko, do czego się zbliżysz... wszystko zabijasz. Powiedział, że nie zasługujesz na to, by żyć.

-- Miał rację.

-- Walk poszedł do sądu i skłamał. Star mówiła, że Walk to samo dobro.

-- Przykro mi, Duchess.

-- Kurwa. -- Wyciągnęła rękę i poprawiła kapelusz. Nie mogła oddychać. Ledwo wydobywała z siebie głos, ale opanowała rękę i położyła palec na spuście. -- Jestem banitką Duchess Day Radley. A ty jesteś mordercą, Vincencie Kingu.

-- Nie musisz tego robić. -- Uśmiechnął się łagodnie.

-- Wiem, co muszę. Wymierzyć sprawiedliwość. Dokonać zemsty. Z czymkolwiek się to wiąże, dam radę.

-- Nadal możesz być, kim chcesz, Duchess.

Poprawiła ułożenie broni.

Z oczu popłynęły mu łzy, ale nadal się do niej uśmiechał.

-- Przyszedłem tu pożegnać się z tobą. Ty nie masz z tym nic wspólnego. Nie pociągnę cię za sobą, nie pozwolę na to.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy zrobił krok w tył i rozłożył ramiona jak do lotu.

Podbiegła z krzykiem i zatrzymała się na skraju klifu, gdy pochłaniała go ciemność.

Pistolet upadł jej koło nogi. Opadła obok niego, kolana miała wbite w ziemię, gdy wyciągnęła rękę nad przepaścią i gwałtownie łapała powietrze.

Za plecami leżała jej matka, Duchess ostatkiem sił doczołgała się do grobu. Przycisnęła policzek do kamienia i zamknęła oczy.

Część czwarta. Złodziejka serc

Blair Peak graniczyło z obszarem Elkton-Trinity National Forest i miasteczkiem Whitefoot, jednym z tych, w których Walk mógłby spędzić dzień, po prostu gapiąc się na bezkresną dzicz, na drzewa tak wysokie, jakby chciały dosięgnąć dłoni samego Boga.

Pokonywał tę trasę, przez jałowe wzgórza i umarłą trawę, ponad sto razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ze Star u boku, licząc mile w cichym zamyśleniu. A potem, po wszystkim, była tak szczęśliwa, jakiej nigdy jej nie widywał. Jakiegokolwiek demony drzemały w jej duszy, ulegały egzorcyzmom człowieka, który nazywał się Colten Sheen i był terapeutą. Przyjmował w pokoju nad sklepem sprzedającym używane pianina.

Walk trzymał małą urnę. Nabożeństwo nie trwało długo.

Testament Vincenta Kinga był jasny i jednocześnie niekonkretny. Las porastał dwa miliony akrów położone na terenie sześciu hrabstw, więc Walk uznał, że to miejsce będzie równie dobre jak każde inne.

Przeciął ulicę i ruszył w dół, stapał po suchych liściach w stronę sosen cukrowych, a potem rozsypał popioły u ich stóp, na ściółce.

Nie odezwał się, nie wypowiedział słów pożegnania, po prostu pozwolił sobie na chwilę wspomnień, które w końcu zaczęły zanikać.

Potem poszedł Union Street i znalazł wejście. Sklep był zamknięty, ale tego zimowego dnia w środku paliło się światło. Zadzwoił domofonem, popchnął drzwi, gdy odezwał się brzęczyk, i wszedł do małego korytarza, na wąskie schody. Był tu wcześniej tylko raz, przy pierwszej wizycie, by upewnić się, że dobrze trafiła.

-- Jestem komendant... -- Walk zająknął się. -- Przepraszam, jestem Walker, po prostu Walker. Byłem komendantem posterunku w Cape

Haven.

Nie zaskoczyło go, gdy Sheen zaczął intensywnie myśleć i szukać w głowie właściwych skojarzeń. Stojący przed nim mężczyzna miał już swoje lata, kompletnie siwe włosy i prawie sześć stóp wzrostu. Wyciągnął rękę, kiedy Walk wspomniał o Star Radley.

-- Przykro mi, to było tak dawno temu -- powiedział Sheen. -- Mam kolejną osobę za dziesięć minut, więc obawiam się, że tylko tyle mogę panu poświęcić.

Usiedli. Walk zapadł się w miękki fotel i uśmiechnął do pogodnych nadruków na ścianie. W głębi znajdowało się wielkie okno z widokiem na Elkton-Trinity i ośnieżone szczyty.

-- Mógłbym na to patrzeć przez cały dzień.

-- Często tak robię. -- Sheen uniósł lekko kąciki ust.

-- Jestem tu z powodu Star.

-- Powinien pan wiedzieć, że nic nie mogę powiedzieć, jestem związany...

-- Tak -- przerwał mu Walk. -- Tyle że... Przepraszam, byłem w okolicy i pomyślałem, że podejdę, bo widzi pan... Star nie żyje.

Na twarzy Sheena malowało się pełne serdeczności współczucie.

-- Tak, widziałem. Śledziłem tę sprawę w wiadomościach. Prawdziwa tragedia. Ale nadal, nawet po śmierci...

-- Sam do końca nie wiem, czemu tu przyszedłem, tak naprawdę.

-- Stracił pan przyjaciółkę.

-- Tak... straciłem przyjaciółkę.

Dotarło to wtedy do niego z całą mocą, całe to szukanie śladów i sprzeczne teorie, pośród tego wszystkiego nie myślał nawet o tym, jak bardzo tęskni za przyjaciółką. Łatwo było dostrzec jej problemy, jej

urodę, wszystko oprócz prawdziwej, słodkiej osoby, którą znał przez całe życie.

-- Chyba chciałem tylko się dowiedzieć, dlaczego przestała przyjeżdżać. Dobrze sobie radziła, przez tyle czasu świetnie jej to robiło. A potem przestała, zupełnie znienacka. I tak naprawdę nigdy nie wyszła z tego stanu.

-- Jest milion przyczyn, dla których ludzie wracają albo wybierają inną drogę. Nawet gdybym mógł coś panu powiedzieć, było to tak dawno temu. No i widziałem ją tylko ten jeden raz.

Walk zmarszczył brwi.

-- Przepraszam, ale mówimy przecież o Star Radley.

-- Tak, przypomniałem sobie pana. Nieczęsto się zdarza, że pacjentkę przywozi oficer policji.

-- Ale przecież przywoziłem ją co miesiąc.

-- Nie do mnie. Chociaż często ją widywałem. Wie pan, widok. Zawsze jestem przy oknie.

Walk pochylił się w jego stronę.

-- Gdzie dokładnie ją pan widział?

Sheen wstał. Walk podszedł z nim do szyby.

-- Dokładnie tam. -- I wskazał palcem.

Chmury zasłoniły słońce, gdy Walk stał na chodniku. Przez Blair Peak jeździł tylko jeden autobus i Walk wsiadł do niego, tak samo jak Star co miesiąc przez dwanaście lat, na przystanku tuż pod oknem Coltena Sheena.

Usiadł z tyłu, na wpół pusty autobus podjeżdżał pod stromą górę, a potem zjeżdżał w dolinę. Drzewa ocieniały drogę.

Po chwili, tam gdzie wycięto las, otworzył się widok na rozległe kalifornijskie równiny. Wstał i przeszedł na przód autobusu, stanął za

kierowcą i obserwował.

To, czego szukał, zobaczył dopiero za ostatnim zakrętem; nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, uświadomił sobie, gdzie jest i na co patrzy.

Autobus się zatrzymał, a on wysiadł i śledził wzrokiem, jak odjeżdża. Na wiele mil w każdym kierunku nie było zupełnie nic, tylko długi podjazd, wysokie na dwadzieścia stóp ogrodzenie z drutu kolczastego i niskie budynki zakładu karnego hrabstwa Fairmont.

Czekał godzinę; siedział w pokoju sam, uniósł rękę i patrzył, jak mocno drży. Przegapił porę zażycia leków, przegapił w pewnym sensie życie -- nie swoje, tylko Vincenta. Teraz było z nim źle, czasem towarzyszył mu ból, zawsze -- strach. Nastawił alarm w telefonie godzinę temu, by dać sobie czas na przygotowanie się do bitwy, coraz trudniejszej do wygrania. Przyszłość rysowała się przerażająco, ale wtedy uświadomił sobie, że nigdy nie było inaczej.

Kiedy Cuddy wyszedł, rzucił mu półuśmiech.

-- Prawie cię nie poznałem bez gwiazdy. Właśnie skończyłem, jeśli chcesz się ze mną przejść.

Walk zrównał krok z postawnym strażnikiem, trzymał się blisko niego, gdy bramy najpierw się otwierały, a potem zamykały. To życie tutaj, porządek i chaos, źli w środku, a dobrzy na zewnątrz. Nie potrafił sobie wyobrazić, jaką to ma cenę.

-- Przykro mi. Nie byłem na nabożeństwie -- powiedział Cuddy. -- Nie jestem dobry w pożegnaniach.

Szli wzdłuż ogrodzenia, ku wieżom przypominającym silosy.

-- Są rzeczy, o których nie wiem -- zaczął Walk.

Cuddy odetchnął głęboko, czekał. Walk nie wiedział, co właśnie robią, dlaczego spacerują wokół, może Cuddy lubił po prostu pooddychać świeżym powietrzem po dziesięciogodzinnej zmianie.

-- Star tu przyjeżdżała -- ciągnął.

-- Tak.

-- Ale nazwisko... Sprawdziłem rejestr odwiedzin. Sprawdziłem wszystko, co mogłem.

Minęli strażnika na wieży, Cuddy podniósł rękę.

-- Lubię zmrok -- stwierdził Cuddy. -- Koniec astronomicznego zmierzchu. Słońce coraz niżej nad horyzontem. Pozwalam im czasem popatrzeć, jak zachodzi. Pięciuset typów, zabójców, gwałcicieli i dilerów. Stoją razem i gapią się w niebo; to jedyne chwile, kiedy nie mamy problemów.

-- Dlaczego?

-- Może chodzi o to piękno. Wtedy trudniej zaprzeczyć istnieniu siły wyższej.

-- Albo łatwiej.

-- Nie trać ducha, Walk. To byłaby prawdziwa tragedia.

-- Powiedz mi o Star.

Cuddy zatrzymał się, w miejscu najbardziej oddalonym od więzienia, między dwiema wieżami i strażnikami gotowymi pozbawić życia równie szybko jak ława przysięgłych.

-- Lubiłem ją. Poznałem ją trochę przez te wszystkie lata. Vincent King był przyzwoitym człowiekiem, najprzyzwoitszym ze wszystkich, na jakich tu trafiłem. I obserwowałem, jak się zmienia. Przerażony dzieciak, przez chwilę nieustraszony, a potem zaczął się przyzwyczajać.

-- Do czego?

-- Do swojej skóry. Niby w porządku, ale coś uwiera. A Star, Star mu pomagała. Zadał jej ogromne cierpienie i był jedyną osobą, która mogła je z niej zdjąć. Znów miał jakiś cel.

Walk patrzył, jak zapalają się pierwsze gwiazdy, oddalone o lata świetlne.

-- Potrzebował jej, znów coś odczuwał, coś więcej niż ten Vincent, który nosił pomarańczowy kombinezon i kajdanki. Kiedy przyjeżdżała, zachowywali się, jakby byli małżeństwem od ponad dwudziestu lat. Czasami nie rozmawiali, na początku, po prostu patrzyli na siebie, ona rozpalona, podjarana, a on z takim wzrokiem, jakby zjawiała się na tym świecie wyłącznie dla niego.

-- A co z innymi więźniami?

-- Och, nie wpuszczałem ich do wspólnej sali. To znaczy za pierwszym razem tak, ale zobaczyłem, że ona była na to o wiele za młoda, faceci byli zbyt okrutni, w słowach, obietnicach i groźbach. Vincent źle to zniósł, strażnicy wkroczyli na czas, ale kiedy odkryli jego słaby punkt, wykorzystywali to. Mieliśmy inny pokój, taki apartament. Małżeński, trzeba na niego zapracować. Mieliśmy taki tylko my i trzy inne stany.

-- Zostawiałeś ich samych?

-- Vincent tego potrzebował... poczuć się jak człowiek. Kurwa, ja chciałem, żeby znów czuł się człowiekiem. A Star, oni razem. No magia, kosmiczna magia. Żadne więzienie na ziemi nie mogło zatrzymać tej siły.

Walk się uśmiechnął.

-- Nie mogłem tego jednak notować w rejestrach, nie było zezwolenia. Obserwowałem ją, jej sylwetkę, przez dziewięć miesięcy, ten blask, wiesz, o co chodzi. Dwa razy. Dwa cuda zrodzone z rozpacz. -- Twarz Cuddy'ego rozświetlił uśmiech.

-- Ale Star nawet ich tu nigdy...

-- Nie zniósłby tego. Nie w tej klatce. I nie chciał, żeby wiedzieli. Nawet go nie winię. Powiedział, że żadne dziecko nie chce mieć ojca w

Fairmont. Rozmawialiśmy o tym, dawało mu to determinację. Motywację, żeby żyć dla kogoś. Nie na marne.

Walk zamknął oczy i pomyślał o Duchess i Robinie, ich pochodzeniu, o tym nieznanym.

-- Prosił mnie, żebym nikomu nie mówił. Obiecałem, że sam z siebie nie powiem, ale też że nie będę kłamać, jak ktoś zapyta. Dotrzymuję słowa.

-- No tak.

Cuddy cicho się zaśmiał.

-- Niewielu z nas już zostało.

-- Myślę, że Star mogła powiedzieć Darke'owi.

-- Dlaczego tak sądzisz?

-- Po prostu na sam koniec powiedział coś takiego. Są rzeczy, które ludzie robią dla siebie, racja? Oni to rozumieli. Vincent i Star, nie mogli tego ciągnąć.

-- Potem wszystko się zmieniło, zabrali apartament, żeby zrobić miejsce na oddział o zastrzonym rygorze. Vincent nie mógł się z nią widywać w rozmównicy, nie po tym, co się kiedyś stało. Te obietniki, że ją znajdą, kiedy wyjdą na wolność. Niby puste słowa, ale Vincent nie chciał, nie chciał tego dla niej i dla dzieci.

-- Więc zerwał kontakt -- powiedział smutno Walk.

-- To była dla mnie najtrudniejsza rzecz w życiu. Odprawiać ją. Powiedział jej, że ma iść do przodu, znaleźć sobie kogoś innego. Ona dalej przychodziła, czekała cały rok, na wypadek gdyby zmienił zdanie. A potem koniec. Pomyślałem, że znalazła sposób, żeby zapomnieć o przeszłości.

-- Znalazła. Ale nie żeby zapomnieć, raczej żeby nic już nie czuć.

Cuddy się nie odezwał, ale umiał sobie wyobrazić. Nie było takiej tragedii, której nie był świadkiem lub której skutków nie widział.

-- Więc o niczym nie wiedziałeś? -- spytał Cuddy.

-- Nie. Star miała świadomość, co bym powiedział. Że ma zadbać o siebie. Że rozpamiętywanie przeszłości w niczym jej nie pomoże. Pewnie tak by było. Może potrzebowali czegoś, co będzie tylko ich. Małej rodziny, rozbitej, ale tylko ich.

Kiedy dotarli do bramy, Walk uściśnął rękę Cuddy'ego.

-- Dzięki, Cuddy, zrobiłeś coś dobrego.

-- Mogę spytać, czemu akurat teraz? Co sprowadziło cię z powrotem?

-- Przypadek. Vincent chciał, żebym rozsypał jego prochy w Elkton-Trinity. Nie jestem nawet pewny dlaczego.

Cuddy uśmiechnął się, wziął Walka za ramię i wskazał palcem.

-- To cęła Vincenta. Numer sto trzynaście. Patrzył na to przez trzydzieści lat. Sam zobacz.

Walk się odwrócił.

I wtedy nad falistymi wzgórzami zobaczył dwa miliony akrów wolności.

Ciepły jesienny poranek, zza góry przebijały jasne promienie słońca.

Duchess jechała na siwce, jak co dzień, zanim obudziła się reszta Montany. Dobrze już znała wszystkie ścieżki, wydychała kłębuszki pary; siwka była zadowolona z wolnego tempa, nie biegała już tak szybko jak kiedyś. Duchess pogłaskała ją, kiedy stały na szczycie stromego wzgórza, i spojrzała na ranczo.

Dom był cały drewniany i piękny, ogień płonął, komin dymił. W obejściu stały obory, obok płynęła rzeka, wzdłuż której jechała między osikami, aż natknęła się na ślady wilków i szybko musiała zawrócić. Miała nóż dziadka i w weekendy wyruszała sama, wycinała ścieżki przez krzaki, przechodziła nad płytkimi rozlewiskami utworzonymi przez długotrwałe opady.

Ostatnie miesiące były długie i trudne, ale odkryła, że zmiana otoczenia pomogła. Zaczęła znów oddychać, tak jak kiedyś powiedział jej Hal, i chociaż nadal bolało, wiedziała, że czas jest wszechmocny.

Kiedy dotarła do stajni, wprowadziła siwkę, sprawdziła, czy ma wodę i siano, poklepała klacz po głowie.

Znalazła Dolly w kuchni -- czytała gazetę, a w powietrzu unosił się zapach kawy. Duchess przyjechała do niej, zjawiała się o północy i spełniła obietnicę. Najpierw zgodziła się zostać na jedną noc, ale następnego dnia rano Dolly zaprowadziła ją do stajni i pokazała siwkę, którą zabrała za darmo po zajęciu majątku Hala.

Jeden dzień przerodził się w tydzień, potem w miesiąc i w kolejne. Dolly udawała, że potrzebuje pomocy w gospodarstwie, chociaż była wystarczająco zamożna, żeby najmować paru ludzi co tydzień. Duchess

pracowała ciężko, od świtu do chwili, kiedy słońce opadało za horyzont. Na początku niewiele rozmawiały, dziewczynka była mocno poturbowana. Dolly wiedziała, że tylko czas może jej pomóc.

Dolly poruszyła temat oficjalnej adopcji pewnego poranka, kiedy zmiatały liście czeremchy z podjazdu. Duchess nie odzywała się przez trzy dni, a potem powiedziała Dolly, że chyba jest głupia, że chce taką córkę, i że powinna iść do lekarza. Ale jeśli lekarz zaświadczy, że jest w porządku, to tak, chciałyby zostać.

Duchess zrzuciła ciężkie buty.

-- Muszę zarobić trochę pieniędzy.

Dolly podniosła wzrok znad gazety.

-- Jestem komuś winna, muszę oddać.

-- Mogę ci...

-- Muszę zarobić sama. Banitki spłacają swoje długi.

Jeszcze nie wiedziała, jak znajdzie Hanka i Busy. Zacznie od motelu, podzwoni. Zrobi wszystko, jak trzeba.

Duchess chciała już odejść, kiedy Dolly zatrzymała ją i podała jej list.

-- Masz, przyszedł do ciebie.

Wzięła kopertę. Zobaczyła stempel z Cape Haven i poszła do swojego pokoju, który pomalowała na zielen pasującą do wzgórz.

Zamknęła za sobą drzwi i usiadła w wielkim fotelu przy oknie.

Rozpoznała pismo, dość drobne, i pomyślała, że Walk spędził z tydzień, żeby to napisać.

Czytała powoli. Przeprosił ją za to, że skłamał w sądzie, że zachwiał jej wiarą w niego. Napisał, że czasem ludzie robią złe rzeczy z dobrych pobudek.

Na dwudziestu stronach opowiedział o życiu swoim i jej matki, o młodym Vincencie Kingu i Marcie May. Napisał, że zachorował, i jak się tego wstydził, i bał, że straci stanowisko. Całą stronę o miejscach, po których się włóczył, zanim się zebrał, żeby przekazać jej prawdę, która sprawiła, że upuściła kartki i zaczęła chodzić po pokoju.

Kiedy się uspokoiła, podniosła je z podłogi. Powiedział jej o Vincencie, o tym, czyja krew płynie w jej żyłach i że nie powinna czuć się z tego powodu smutna, tylko dumna. O tym, że matka zawsze go kochała i ta miłość żyła w niej nawet w najgorszych chwilach. Napisał o cierpieniach Vincenta, o tym, że nie potrafił odpokutować za życie, które skradł. Star go jednak kochała, to właśnie jej napisał. Ona i jej brat urodzili się z nieskończonej miłości.

Do listu dołączone było zdjęcie. Walk na zardzewiałej łódce ze świeżo domalowanym napisem "Cape Haven Fishing". W wodzie Duchess zobaczyła odbicie drobnej kobiety: ciemne włosy, aparat w rękach i bardzo szeroki uśmiech na twarzy.

Oprócz fotografii w kopercie znajdowały się ostatnia wola i testament Vincenta Kinga.

Później Dolly uświadomiła jej, że ona i Robin są obecnie właścicielami wielkiego domu w Cape Haven. Vincent go dla nich wyremontował. I że nie muszą teraz podejmować żadnych działań, ale pewnego dnia będzie mogła tam pojechać i albo go sprzedać, albo zrobić z nim, co jej się będzie podobało. Nie miała nic, a nagle, w bardzo krótkim czasie, okazało się, że ma tak wiele, jej przyszłość nadal jest niepewna, ale przynajmniej jakaś jest.

Tej nocy leżała bezsennie i myślała o wszystkim, co się wydarzyło, czego się nauczyła i o czym nigdy nie zapomni. Będzie czekać, leczyć rany, żeby znów stać się silna.

Następnego dnia rano powiedziała Dolly, że jest gotowa.

Miasteczko objawiło się bez zbędnego hałasu, po prostu zwykła tablica z nazwą.

Owl Creek.

Dolly miała przyjaciółkę w Rexburgu, pojechały nocą. Stamtąd Duchess postanowiła kontynuować podróż sama, autobusem. Dolly spytała raz, czy jej potrzebuje. Duchess powiedziała, że nie, ale podziękowała.

Autobus był długi, srebrny, z czerwonymi i niebieskimi elementami. Kiedy podjechał, wzięła torbę i wstała, podeszła do wejścia i wkroczyła w atmosferę Wyoming.

Kierowca zawołał, życząc jej bezpiecznej podróży, zamknął drzwi i ruszył. Rzuciła ostatnie spojrzenie przez okno, odbite twarze, kilka uśmiechów. Zapach silnika, ciepło pojazdu.

Od tamtego dnia chodziła ze spuszczoną głową, cichsza niż kiedykolwiek.

Minęła hotel Capitol. Nad sklepami wisiały markizy, które kusily zamożnych turystów, by zatrzymali się przy witrynie. Lacey's Pottery, Aldon Antiques, Pressly Flower Shop.

Biblioteka Carnegie, słońce wisiało nisko i ciężko nad górami Bighorn, przed którymi falowały równiny. Odetchnęła głęboko, plecy bolały ją od długiego siedzenia. Odświeżyła się w toalecie na rozświetlonej stacji benzynowej, schowała włosy pod kapeluszem.

Miała przy sobie małą mapę, na której kółkiem oznaczone było właściwe miejsce. Do tej pory jeszcze na nią nie spojrzała. Przeszła niecałą milę i dotarła do rozległego terenu porośniętego gęsto trawą i otoczonego pięknymi domami.

Jeszcze jedna droga i znalazła.

Szkoła podstawowa w Owl Creek.

Budynek był niski, napis wymalowany na biało, z wiszących koszy wylewały się kwiaty. Dalej kolejna trawiasta przestrzeń, za którą rósł wielki dąb, przypominający jej drzewo życzeń. Podeszła tam, stanęła pod gałęziami, po czym usiadła w cieniu na liściach tak soczyście pomarańczowych, że aż podniosła jeden i wystawiła go do słońca.

Wyjęła z torby butelkę wody, napiła się trochę, resztę zostawiła na później. Miała czekoladowego batona, ale była zbyt zdenerwowana, żeby jeść.

Wtoczył się pierwszy samochód, potem drugi, ale zauważyła, że większość rodziców przychodziła po dzieci pieszo.

Petera dostrzegła natychmiast, szedł z Jetem na smyczy i uśmiechał się do każdego.

Przycisnęła ręce do piersi, kiedy pierwsze dzieci pojawiły się przy wyjściu. Poprawiła kapelusz, zawiązała mocniej sznurówki butów. Miała na sobie najlepszą sukienkę w swoim ulubionym kolorze, żółtym.

Aż westchnęła, gdy go zobaczyła.

Był wyższy, włosy miał ostrzyżone krócej, uśmiech niezmacony i piękny. Wiedziała, że pewnego dnia będzie kradł serca.

Towarzyszyła mu Lucy, trzymał mocno jej rękę i szli razem do końca ścieżki. Wtedy Robin zauważył Petera i pobiegł do niego, a Peter chwycił go mocno i tak się przytulali dłuższą chwilę, jej brat z zamkniętymi oczami. Peter odstawił Robina i podał mu smycz, Jet podskakiwał i lizał chłopca po twarzy, a Robin głośno się śmiał. Duchess stała, wrośnięta w ziemię, gdy Peter zaprowadził ich do małego parku, bujał Robina na huśtawce, potem pomógł wspiąć się po drabince i złapał na dole wysokiej zjeżdżalni.

Obserwowała ich, czuła każdy jego uśmiech, jakby był jej własnym, słyszała śmiech, który niósł się daleko. Lucy wróciła do nich z torbą i wystającymi z niej papierami. Kiedy Robin ją zobaczył, pobiegł do niej, jakby bardzo długo jej nie widział.

Duchess szła za nimi, zachowując bezpieczną odległość, ale i tak by jej nie zauważyli. Kilka razy próbowała zawołać, jednak zbyt cicho, właściwie ledwo wykrztusiła jego imię.

Mieszkali w ładnym domu, o ścianach wyłożonych zielonymi deskami, z białymi okiennicami i zadbanym ogródkiem. Dom marzeń, jaki kiedyś chciała dla nich znaleźć.

Mieli skrzynkę pocztową, podpisaną ich nazwiskiem. "Laytonowie". Szła ich ulicą, gdy słońce już opadało, niebo Wyoming pyszniło się delikatnym pięknem. Rozglądała się po sąsiedztwie, widziała dzieci, rowery, kije i piłki do bejsbola.

Kiedy zapadł zmierzch, wróciła i zakradła się przed ich dom, do ogródka. Huśtawka, grill, domek dla owadów.

Przez długą chwilę trwała nieruchomo, noc zastąpiła jasność dnia blaskiem miliona gwiazd.

Weszła na werandę i stanęła przy oknie. W środku paliło się światło, scena jak z obrazka. Lucy pomagała Robinowi przy czytaniu. Peter znad blatu kuchennego wołał ich na kolację, na każdego czekał talerz. Usiedli razem, telewizor był włączony, ale bez głosu, Jet czuwał przy Robinie z wyczekującym spojrzeniem.

Robin zjadł wszystko do ostatniego kęsa.

Obserwowała ich do samego końca, aż Peter delikatnie pocałował Robina w głowę, a Lucy zabrała książkę do wieczornego czytania, wzięła go za rękę i zaprowadziła schodami na piętro.

Zastanawiała się, czy będzie pamiętał wszystko, przez co przeszedł. Wiedziała, że jest duża szansa na to, że nie, nie ze szczegółami. Był na tyle mały, że mógł zostać kimkolwiek. Świat leżał u jego stóp. Był królewiczem i wreszcie wiedziała dlaczego.

Nie należała do płaczących dziewczynek, lecz teraz łzy popłynęły z jej oczu, jakby puściły wszystkie tamy.

Płakała za wszystkim, co straciła, i za wszystkim, co znalazła.

Duchess przyłożyła rękę do szyby i pożegnała się z bratem.

Przez kilka następnych dni Duchess nie wychodziła z pokoju.

Dolly wiedziała, że musi dać jej czas, przestrzeń, chociaż się martwiła. Stawiała jej jedzenie pod drzwiami, zapukała tylko raz, żeby spytać, czy chce oporządzić rano siwkę. Zobaczyła dziewczynkę przy małym biurku, słońce padało na nią, kiedy coś pisała.

W poniedziałek Duchess weszła do klasy z Thomasem Noble'em.

-- Skończyłaś? -- spytał.

-- Tak.

Mieli zadaną prezentację na dowolny temat. Patrzyła na kolejne dzieci, jak wychodzą na środek i mówią o przeróżnych rzeczach, od Jeffersona po futbol, o letnich wakacjach i jak wytropić jelenia.

Kiedy nauczyciel wywołał jej imię, Duchess wyszła przed klasę, przypięła karton do tablicy i z trudem przełknęła ślinę z nerwów. Głęboko wbiła ręce w kieszenie i stanęła przed swoim drzewem genealogicznym.

Kompletnym.

Poczuła na sobie wszystkie oczy i zerknęła na Thomasa Noble'a, który uśmiechnął się i gestem zachęcił ją, by zaczęła.

Duchess odchrząknęła i stanęła prosto. Zaczęła od swojego ojca, bany, Vincenta Kinga.

Podziękowania

Pisałem tę książkę bardzo długo. Miałem to szczęście, że pomagali mi najlepsi z branży. Bez nich ta powieść w ogóle by nie powstała.

Amy Einhorn. W tym przypadku nawet nie wiem, od czego zacząć. Dziękuję ci za szansę, za pomoc w napisaniu książki z moich marzeń. Zrobiłaś więcej, niż musiałaś, pracowałaś niewiarygodnie ciężko. Jesteś bezdyskusyjnie najlepsza i doskonale wiem, jakie miałem szczęście, że mogłem z tobą współpracować.

Conor Mintzer. Con Man. Con Air. Dzięki za spojrzenie z mojej perspektywy, za doskonały edytorski szlif, za niesamowite wskazówki. Jeśli upodlić się w Vegas, to tylko z tobą. Kocham cię, typie.

Maggie Richards. Za wszystko (chciałem napisać coś o knuciu w celu przejęcia panowania nad światem, ale wtedy wyszłabyś na czarny charakter z Bonda).

Pat Eiseann i Catryn Silbersack, tytanki promocji. Jestem wam do zgonnie wdzięczny ze popularyzowanie mojej książki. Umiecie kusić ludzi.

Caitlin O'Shaughnessy. Za zabranie mnie na targ i dopilnowanie, żebym wrócił z czymś więcej niż magiczne fasolki.

Chris Sergio i Karen Horton. Dzięki wam oszaleję ze szczęścia, jeśli ludzie będą oceniać książkę po okładce.

Jason Reigal. Za przekształcenie mojej pisaniny w coś, do kupienia czego mogę siłą woli zmuszać moich najbliższych i w ogóle wszystkich.

Kenn Russell. Chylę czoła przed twym majestatem (Conor nazywał cię "carem").

Maggie Carr. Są korektorzy i jest korektorka Maggie Carr. Dziękuję za oszałamiającą drobiazgowość i za zabawne komentarze na marginesach. Gdyby płacili od poprawionego błędu, zostałabyś dzięki mnie milionerką.

Meryl Levavi. Za piękną szatę graficzną. Żona przyłapała mnie na głaskaniu stron.

John Hart. Za łaskawość w obliczu mojego bombardowania e-mailami.

Wielkie dzięki składam również:

Kolegom po fachu za wspaniałomyślne pochwały.

Cath Summerhayes i mojej rodzinie z agencji Curtis Brown.

Katherine Armstrong i mojej rodzinie z wydawnictwa Bonniers.

Victorii Whitaker i mojej irytującej rodzinie.

Osobom, które to czytają, za to, że dotrwały do tego miejsca. Uwielbiam was za to.

Widzimy się przy następnych książkach.

1 W polskim przekładzie zdecydowano się zostawić imperialne jednostki miar. 1 cal to 2,5 centymetra; 1 stopa to 0,3 metra; 1 jard to 0,9 metra, a 1 mila to 1,6 kilometra (przyp. red.).

2 Emily Dickinson, *Nadzieja*, przeł. Stanisław Barańczak, w: tegoż, *100 wierszy*, t. 1, red. Stanisław Barańczak, Arka, Kraków 1993, s. 43.

3 Chodzi o stopnie w skali Fahrenheita, czyli około 27 stopni Celsjusza.

4 Prędkość podana w milach (czyli około 100 km/h).

Redaktorka inicjująca: Joanna Maciuk

Redaktorki prowadzące: Magdalena Matuszewska,
Anna Kapuścińska

Przekład: Katarzyna Bażyńska-Chojnacka

Opracowanie przekładu i redakcja: Agnieszka Czerepowicka, Anna Kapuścińska

Korekta: Krystian Gaik, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Paulina Piorun

Zdjęcie na okładce: Adrien Wodey / Unsplash

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. 22 828 98 08

faks 22 395 75 78

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-8318-711-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek